



KWIATY I KŁOSY.

ZBIÓR UTWORÓW
DO DEKLAMACJI.

NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ         WARSZAWA

KWIATY I KŁOSY

I

KWIATY I KŁOSY

UTWORY DO DEKLAMACJI

ZEBRAŁ

KS. MIECZYŚŁAW BRODOWSKI

WYDANIE TRZECIE POWIĘKSZONE

CSŁSC I



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ ————— WARSZAWA

POLISH BOOK IMP. Co., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA,

Treny.

(VIII. X. XIII)

Jan Kochanowski.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulo! tem zniknięciem swoim,
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała,
Wszystkie w domu kąciki zawždy pobiegała.
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytciem głowy psować,
To tego to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło; szczere pustki w domu:
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu;
Z każdego kąta żalność człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

.

Urszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona:
I tam w liczbę Aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta, czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwie
Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?

Czyli się w czyściu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwszej była,
Niżej się na mą ciężką żalność urodziła?
Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żalności,
A nie możeszli w onej dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

.
Moja wdzięczna Urszulo! — bodaj ty mnie była
Albo nie umierała, lub się nie rodziła!
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim
Za tem nieodpowiednem pożegnaniem twojem.
Omyliłaś mnie jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,
Potem nagle uciecze, a temu na jawi
Z onych skarbów jeno chęć a żądze zostawi.
Takeś ty mnie, Urszulo droga! uczyniła,
Wielkieś nadzieje w mojem sercu roznieciła,
Potemeś mnie smutnego nagle odbieżyła
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała;
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, duszy połowicę —
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień, murarze! ciosany połóżcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:
Urszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie.
Opakeś to, niebaczna śmierci! udziałą:
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała.

P i a s t.

Julian Ursyn Niemcewicz.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu
Karzącej zbrodnie doświadczył prawicy, —
Naród, chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruświcy.

Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste:
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.

Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody:
Na głośnych sporach czas upływał drogi,
Głód się czuć dawał; a obce narody
Szerzyły w Polsce najazdy i trwogi.

Ale Bóg dobry spojrzał na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
W pośród Kruświcy spokojnych wieśniaków
Był Piast, co bogów i ludzi miłował.

Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty,
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawor wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.

Znaną sąsiadom była naokoło
I dobroć jego i gościnna hojność,
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł święty dla skromnej drużyny,
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem,
Stół zastawiają tłustemi mięsiwy,
I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody.
Pierwszymi dary już uczczono bogi,
Gdy dwóch młodzieńców precudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnymi zawołał głosami:
»Piast luby bogom, pocóż czekać więcej:
Niech będzie królem, rządzi Polakami!«

»Większej, Piast rzecze, potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwej mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli!«

Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparkszy, siedział pod jaworu cieniem;
Znów przed dom jego ciż sami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promieniem.

Postać ich Niebian mieszkańców wskazuje,
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują,
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekli do Piasta: »Pan, co mieszka w niebie,
Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
Aniołów swoich przysłała do ciebie
Z rozkazem, żebyś wziął polską koronę.

Szanuj z pokorą świętą Jego wolę,
Wielkie on Polsce zakreśla zawody,
Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
Da wam zwycięstwo, chwałę i swobody.

Z plemienia twego dzielni wojownicy,
Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,
Na wschód i zachód kres państwa granicy
Naznaczą w rzekach żelaznymi słupy.

Przez dziewięć wieków, ród wasz istnieć będzie,
A po was inni tron Piastów osiedą,
Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstwach rzędzie,
A cne książęta hołdować jej będą:

Ale pomyślność przywiedzie zepsucie:
Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,
Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie,
I kraj ten obce rozszarpia narody!

Dnia ostatniego głos trąby straszliwy
Zagrzmie już dla was w pośród gromów bicia,
Gdy Bóg wszechmocny zawsze litościwy
W oziębłych sercach wskrzesi iskrę życia.«

Tu znikły męże w światłości powodzi,
A Piast zdziwiony pozostał samotnym,
Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
Jako woń fiołków po deszczu wilgotnym.

Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzeńki blaskiem
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
Wita go panem z radosnym oklaskiem,
I na królewskie komnaty prowadzi.

Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Świetną koroną uwieńczył swe skronie,
A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić przy tronie

»Ziomkowie, rzecze, kiedy mam panować
Gdy wy i same Nieba tak zrzędziły,
Zaklinam, chcecież rolnictwo szanować,
W mieczu i pługu są Polaków siły!»

Brzoza Gryżyńska.

Franciszek Morawski

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiej ziemi
Kościół świętego Marcina.
Głośno on niegdyś hymny brzmiał boskimi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia

Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoją obudzi,
Skąd polubiło ten pobyt żałosny,
Gryżyńskich spytał się ludzi

Onego czasu, lecz ktoż wie, lat wiele?

W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię i przy tym kościele

W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swej mogile leżał

Antoś, matczyzna nadzieja,

Kiedy wtem kopacz do księdza przybieżał,

I tak strwożył dobrodzieja.

»Jakiś nam lichy na cmentarz się wdarło,

Próżno człek strzeże i czuwa;

Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,

Wciąż rączkę z grobu wysuwa.«

Dziwi się pasterz, krzyż i stulę bierze,

Biegnie na miejsce zjawiska,

I trzykroć żegna, i zmawia pacierze,

I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,

Przy drobnej klęczy mogile;

Ale daremnie i błaga i prosi,

Widmo powraca za chwilę.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,

Młodzież i starce i dziatki,

A kiedy już wszyscy staną dokoła,

Tak się odzywa do matki:

»Co w syna twego dzieje się tu grobie,

Ja ludzką myślą nie schwyczę;

Samej to tylko wiadomem jest tobie,

A więc wyjaw tajemnicę.«

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczey;
Gdy wtem strasznemi zaklęta słowami
Tak się wśród jęku tłumaczy:

»Kara to mojej matczynej ślepoty,
Bóg mi złem za złe odmierzył;
Synek ten memi popsuty pieszczoty
Raz mnie w swym gniewie uderzył.«

»Bierz więc tę różgę i chłoszcz rękę syna«,
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
»Ziemskiej on się tu kary dopomina,
Aby wieczystej uniknął.«

»Uderz!« zawoła — i silnem ramieniem
Matka do grobu ciągniona
Odwraca oczy i z ciężkiem westchnieniem
Okropnej kary dokona...

I patrz! zaledwie różdżkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój wraca, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różdżkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiosnie,
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościółek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Wala się dęby, całe wala lasy,
A brzoza stoi jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzają nań w strachu i grozie;
I coraz dalej i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiej brzozie.

W a ż.

Franciszek Morawski.

Śmieszny wężowi przypadek się zdarzył:

Ogon się z głową poswarzył.

Głowa od wieków miewała pierwszeństwo,
Bo któż mógł lepiej ogonem kierować?

Cóż gdy przez jakieś szaleństwo,
Chciał na jej miejscu przodkować.

— »Jak to? zawoła, onaż ma być pania,
Ja się wiecznie czołgać za nią?

Nie, nie, — poznałem dzielność własnej siły,
Jestem jej bratem, nie sługą stworzony;

Dosyć już głowy rządziły,
Przyszła kolej na ogony.«

I nuż więc w prosby: »Potężne niebiany,

Zgromcie te srogie ogonów tyrany;

Niechaj sam ogon i rządzi i radzi,

Niech ogon głowę prowadzi.«

Niebiany, których dobroć nieszczęśliwa

Nieraz w swych skutkach zbyt okrutną bywa,

Mylnie w swem boskiem uradziły gronie,

Zamiast skarcić szal zuchwały,

Głupiej prosby wysłuchały

I rzekły: »Ruszaj ogonie«.

Rusza więc ogon, śmiało naprzód zmierza...
Lecz gdzież mógł zależeć przy swojej ślepcocie?
To się o drzewo, to o głaz uderza,
To w straszliwym grzęźnie błocie,
Wreszcie, gdzie wieczna czeka go zagłada,
W bezdenną przepaść zapada;
I tak przez swoje rządy ogonowe
Gubi i siebie i głowę.

Tak to i całe narody zabija
Zapał wściekłego szaleństwa.
Kiedy się jadu zawiści opije
Brudny ogon społeczeństwa.

Wesele.

(Z Wiesława).

Kazimierz Brodziński.

Już miły wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słyszać wesołe płasy i śpiewanie.
Parskając konie, bieżą po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
»Dobrze to w każdym znaleźć przyjaciela!
Witajcież do nas, wy, z proszowskiej ziemi!
Nie chcecie gardzić dary ubogiemi:
Pożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzyście się krakowskim dziewczynom,
Rozlicznym tańcom i precudnym strojom;

Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi,
Bo choć strudzeni, widzę, żeście młodzi.
Na to Halina przystępuje młoda,
W całym weselu najpierwsza uroda;
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje:

»Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!«

A przytem uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od družbów Wiesław powitany;
Potem starosta, zarządca wesela,
W te słowa družbom porady udziela:

»Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewczęję wybierze:
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.«

I wybrał druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w płasach rękę mu podaje;
Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali,
Nuca i biją w podkówki ze stali;
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą,
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ołcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina płasą z miną uroczyście,
Oburacz szatę ujawszy kwiecistą,

On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:

»Niechże ja lepiej nie żyję,
Dziewczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwie nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!«

Bierze Halinę, i tak wokoło
Przodkując družbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci.
Staje i w płasach tak dalej nuci.

»Czemuż ja w proszowskiej ziemi
Małe zaznał dziecię,
Byłbym między krakowskiemi
Najszczęśliwszy w świecie.
Krew nie woda ludźmi włada.
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi.«

Halina w płasach przed nim ucieka,
On w ręce pleszcząc goni z daleka;
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w płasach tak dalej nuci:

»Nie uciekaj, ptaszku luby,
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja mojej zguby
I nie puszcze więcej.

Kraży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany, piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.«

Sam teraz w płasach przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni
I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje : w płasach, tak przed nią nuci :

»Gospodarzu, nie dasz wiary

Jak konie opłacę;

Wydałem ja twe talary,

Moje serce stracę.

Grajcie skrzypki! bo się smucę,

W oplakany m stanie,

Z konikami ja powrócę,

Serce się zostanie.«

Dłoń mu podała, a on wokoło
Przodkując družbom tańczy wesoło,
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.

Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław staroście i matkom się kłania;
Słysząc wokoło pokątne szemrania.
Długo się Wiesław gościnnie weselił,
Już się też dzionek nad górą bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewy i granie;
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krają niewolne przy pięknej Halinie.

Hymn na dzień Zwiastowania N. M. Panny.

Adam Mickiewicz.

Pokłon przeczystej Rodzicy!
Gwiazdami twój wieniec płonie,
Nad niebiosą twoje skronie,
Jehowie na prawicy.

Ninie, dzień tobie uświęcamy wierni,
Wśród twego błysnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Otośród niemej bojaźnią czerni
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród twego błysnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmie piersią, jaką Cheruby
Zagrzmia światu na skonanie,
Gdy proch zapadły w wiekach otchłanie
Ze snu nicości wybiją:
Takim grzmotem Twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon dziewica.
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa, i w Niej upodobał sobie:
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy,
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką dziewica,
Bóg ciało!

Pieśń Wajdeloty.

(Z Konrada Wallenroda).

Adam Mickiewicz

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjsie wieszczą odgadnie żrenica;
Bo jeśli słuszną wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stapa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynię,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusimi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.

O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnymi i młodsze laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem, —
Ty czasem miewasz i broń archanioła.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,

I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stuletni
Trącąc kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymowym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala,
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznymi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszczce, tańczy dziewic grono.
Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!...

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Koncert myśliwski.

(Z Pana Tadeusza).

Adam Mickiewicz.

Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdał policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg, jak wicher, niewstrzymanym dechem
Niesie w puszcę muzykę i podwaje echem.
Umilkli strzelcy, stali szczerwacze, zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynał,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinał;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historia krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
Potem jęki, po jękach skomla: to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie.
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zda-
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało. [wało,
Zadał znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo przeraźliwie wyje;
Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął: potem beczenie żubra wiatr rozdarło.
Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zda-
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało. [wało,
Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi:
Słysząc zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zda-
ło Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało. [wało,
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak z chóru do chóru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Opowiadanie Jana Sobolewskiego.

(Z trzeciej części »Dziadów«).

Adam Mickiewicz.

... Dziś na Sybir kibitek dwadzieścia
Wywieźli,...

... Wywieźli wszystkich... Wszystkich do jednego...
Sam widziałem. Wracając, prosiłem kaprała
Zatrzymać się; pozwoił chwilkę. Stałem zdala,
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była; ludu zebrało się wiele.

Nagle lud cały runął przede drzwiami nawąłem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem przed przysionkiem
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem;
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, bębnami, stało we dwa rzędy,
W pośrodku nich kibitki; — z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf cara północy, zwycięzcy nad działawą!

Wkrótce znak dano bębniem i ratusz otwarty...
Widziałem ich: za każdym z bagnietem szły warty.
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami, na nogach okuci.
Biedne chłopcy! Najmłodszy, dziesięć lat nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.
Policmajster przyjeżdża, pyta, czego żądał?
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
»Dziesięć funtów, zgadza się z przepisana wagą.«
Wywiedli Jańczewskiego; poznałem, oszpetniał,
Szczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.
Ten przed rokiem swywolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś spoglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz! okiem dumnym, suchem i pogodnym,
To zdawał się pocieszać współników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz łagodnym.
Jak gdyby im chciał mówić: niebardzo mię boli.
Wtem, zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślał, że uwolniony; dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował.
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie
A kapral ciągnął gwałtem, ażeby się schował;
Nie chciałem — tylko stanął bliżej przy kolumnie;
Uważałem na więźnia postawę i ruchy,
On spostrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy..
Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężyło.
A wtem zacięto konia; kibitka runęła,
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła!«

Wpadli w tłum; ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny, jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdała widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza,
I wstaje z czarnego tyłu głów natłoku,
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza.
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku
I zostaną w mej myśli, i w drodze żywota
Jak kompas pokażą mi, powiodą gdzie cnota:
Jeśli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie
Zapomnij o mnie...

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki; ich wsadzano jednego za drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku, wszystkie twarze poblady jak trupie;
A w takim tłumie, taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.

Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje, milczy, tak się boją cara.
Wywiedli ostatniego. Zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów i ledwo na drugi
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi.
To Wasilewski! Siedział tu w naszym sąsiedztwie,
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.

Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łązy ocierał; niósł powoli, długo;

Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak oteżał.
Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielełe, szeroko rozwarte...
I lud oczy i usta otworzył; — i razem
Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte,
Głębokie i podziemne jękneło dokoła,
Jak gdyby jęły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem:
»Do broni! marsz!« — Ruszono, a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.

Jedna pusta: był więzień ale niewiadomy:
Rękę tylko do ludu wyciągał z pod słomy,
Sina, rozwartą, trupią; trząsał nią, jakby żegnał.
Kibitka w tłum wjechała; nim bicz tłumy przegnał
Stanęli pod kościołem — i właśnie w tej chwili,
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościół pusty, i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,
I rzekłem: Panie! Ty co sądami Piłata
Przełałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę, z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą, ni wielką, — lecz równie niewinną

Reduta Ordona.¹⁾ Opowiadanie adjutanta.

(W skróceniu).

Adam Mickiewicz.

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole — dwieście armat grzmiało.

¹⁾ Reduta = mała fortyfikacya, opatrzona rowem, wałami palisadą czyli sztachetą z grubych, ostrokończystych pniaków.

Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi,
I widziałem ich wodza: — przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota,
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.

Przeciw nim sterczy biała, wązka, zaostrzona
Jak głaz, bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat, wciąż dymią i świecą;
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci,
I ogromna łysina wśród kolumny świeci.

Tam kula lecąc, zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje; —
Już dopadła; jak boa wśród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słyszać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Ura! ура! Patrz, blisko reduty, już w rowy
Wala się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów,
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów

Czerwieni się nad czernią; jak w środek mrowiska
Wrzucony motyl błyska — mrowie go naciska, —
Zgasł: tak zgasła reduta. — Czyż ostatnie działo,
Stracone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapął¹⁾ krwią ostatni bombardyer zalał?
Zgasnął ogień. — Już Moskał roгатki wywalał...

Pociemniało mi w oczach, a gdym łzy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał.
On przez lunetę wspartą na mojem ramieniu,
Długo na szturm i szaniec spoglądał w milczeniu.
Nakoniec rzekł: »Stracona«. — Z pod lunety jego
Wymknęło się łez kilka, — rzekł do mnie: »Kolego,
Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordoną, czy widzisz, gdzie jest? — »Jenerale,
Czy go znam? — Tam stał zawsze, to działo kierował,
Nie widzę — znajdę — dojrzę! — wśród dymu się
[schował:

Lecz wśród najgęstszych kłębow dymu, ileż razy
Widziałem rękę jego, dającą rozkazy...
Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę;
Biorą go — zginął, — o nie, — skoczył w dół, do
[lochów!«...

»Dobrze, rzecze Jenerał, nie odda im prochów.«

Tu blask — dym, chwila cicho — i huk jak stu
[gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów:
Harmaty podskoczyły, i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; lonty zapalone

¹⁾ Zapął = lont.

Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłonał.
I nie było nic widać, prócz granatów blasku,
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę; — wały, palisady,
Działa, i naszych garstka i wrogów gromady,
Wszystko jako sen znikło! — Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży — rozjemcza mogiła.
Tam i ci, co bronili, i co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli!
Choćby cesarz Moskałom kazał wstać: już dusza
Moskiewska tam raz pierwszy cesarza nie słusza.
Tam zasypane tyluset ciała, imiona;
Dusze gdzie? — nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza
[Orдона.

On będzie Patron szanów! — Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia:
Bóg wyrzekł słowo »stań się«, Bóg i »zgiń« wyrzeczce.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Orдона:
Karząc plemię zwycięzców, zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

Trzech Budrysów.

Adam Mickiewicz.

Stary Budrys trzech synów, tegich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
»Wyprowadźcie rumaki, narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

Bo mówiono we Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgięd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biedz musi za Olgiędem ku Rusi
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dzięki jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci,
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synową.

Bo nad wszystkich ziem branki, miłsze Laszki ko-
Wesolutkie jak młode koteczki, [chanki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym czło-
Łaszkę sobie przywożem za żonę; [wiekiem,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.«

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę:

Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.

Idzie jesień i zima, synów niema i niema,

Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,

A pod burką wielkiego coś chowa.

»Ej to kubeł, w tym kubie nowogrodzkie są ruble?«

»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!«

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,

A pod burką wielkiego coś chowa.

»Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubek bur-

»Nie, mój ojcze, to Laszka synowa«. [sztynu?«

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,

Burka pełna, zdobyczy tam wiele:

Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał

Prosić gości na trzecie wesele.

Pani Twardowska.

Adam Mickiewicz.

Jedzą, piją, lulki palą,

Tańce, hulanka, swawola;

Ledwo karczmy nie rozwalą:

Cha cha, chi chi, hejże hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,

Podparł się w boki jak basza:

Hulaj dusza! hulaj! woła,

Śmiesz, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,

Wszystkich łaje i potęra,

Świsnął szablą koło ucha:

Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok! i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno. — Co u licha?
Po coś tu, kumie, zawitał?

Djablik to był w wódce na dnie;
Istny potwór, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznogie.

»A, Twardowski... witam bracie!«
To mówiąc, bieży obcesem:
»Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

Wszak ze mnąś na Łysej-Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy.

Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiega,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa.
Kładę arest na waszeci«.

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum,¹⁾
Djabł za kontusz ułapił,
»A gdzie jest nobile verbum?«²⁾

Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

»Patrz w kontrakt, Mefistofilu
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,
Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz cię do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

1) Czytaj diktum acerbum; znaczy tośłowo gorzkie, nie w smak.

2) Znaczy słowo szlacheckie.

Patrz, oto jest karczmy godło
Koń, malowany na płótnie:
Ja chcę mu skoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

Skreć mi przytem biczek z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy brutnale«.

Mefistofel duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi;
Potem bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa. —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

»No! wygrałeś panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona.
Trzeba skąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona«.

Djabek kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skapał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
»Teraz już w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię«.

»Jeszcze jedno, będzie kwita,
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

Przysięż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.«

Dyabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

Pieśń filarecka.

Adam Mickiewicz.

Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłone;
Otwórzmy myśli i chęci
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek,
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek:
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale kto jest w naszym gronie,
Pomnij na przysięgę swoją,
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu, czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota!

Kozak na stepie.

(Z Maryi.)

Antoni Malczewski.

Ej! ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy, rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy,
Nucąc żalosną dumkę, lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światółko w polu błyszczy na niej radość;

Wzgórek pożegnania.

Bohdan Zaleski.

Oto chaty dymią w dole,
Górą kalinowe gaje,
Przy gościńcu dalej w pole
Kilka krzaków bzu wystaje.

Za krzakami bzu wonnemi
Miga wzgórek wśród gałęzi.
Wolny wietrzyk buja niemi,
To rozszerza — to je więzi.

Tam gdy zapadł krąg miesiąca,
Przy świtanu dnia rumianem
Wyszła matka bolejąca
Z swą Zoryną i Ruślanem.

Mąż i krewni jej nieczuli
Kazą życie wieść tułacze;
Swą Zorynę małą tuli,
I na los Ruślana płacze.

Płacze siostra siedmioletnia,
Jak jutrenka złotowłosa;
Łza rumieniec jej uświetnia,
Jak poranny kwiatek rosa.

Ciche modły trwały chwilę...
Potem matka zbroi syna,
I żegnając na mogile
Tak wyrzeka, upomina:

»Kto chce życie spędzić w biedzie,
I łzy gorzkie wniesć do chatki,
Niech powtórnie za męża idzie,
Niech obcemu zwierzy dziatki.

On bez serca nie nad swemi
Strwoni ojców chleb sierocie,
Co po morzu, co na ziemi
Kupił ciężko w krwi i pocie.

Długoż miałam znosić długo!
Przeplakałam lat niemało,
W domu własnym byłam sługą,
Wkońcu i łez mi nie stało.

Za cóż nas doświadczasz Boże?
W grobie ojciec już spoczywa;
Cóż im dzisiaj pomódz może
Biedna matka — nieszczęśliwa!

Łatwiej dla mnie z córką jeszcze,
Przyjmą ludzie ją pocziwi.
Prędzej z nią się gdzie pomieszcze,
Bóg i praca nas wyżywi.

Lecz cóż z tobą, synu, będzie?
Gdzie przytułek dla twej głowy?
Twój cię ojczym znajdzie wszędzie,
Lżyć przykreml pocznie słowy.

Jedź odemnie, jedź kochany,
Szukaj zdala szczęścia w świecie;
Wszak gdzieś cichsze znajdziesz ściany,
Znajdziesz lepszych ludzi przecie.

Ciężko serce matki boli,
Gdy oddała dziecko z domu;
Ciężej jeszcze, gdy w niewoli
Da przewodzić nad niem komu!

Gdy za tobą Bóg obстанie,
I złowrogie dnie przeminą!
Nie zapomnij nas, kochanie,
Wzdychaj za mną, za Zoryną.

Teraz dziej się wola Boska.
Oto konia masz i zbroję;
Niech cię mija każda troska,
Błogosławię podróż twoję.

Bądź zdrow! wszystko się przemieni,
Co Bóg stworzył, nie zaginie,
Wszakże ludzie nie z kamieni,
Wszakże kraje nie pustynie!«

Rzy i tętni konik wrony;
We łzach pyta siostra mała:
»Kiedy? z której ciebie strony
Będę bracie wyglądała?«

Łzy się w oku lśnią Ruślana:
Po zielonej spojrział niwie,
Padł przed matką na kolana,
Ucałował siostrę tkliwie.

Dosiadł konia z miejsca rusza,
Fale bujnych traw przegania;
Wiatr powieki mu osusza,
Wiatr zapiera w piersi łkania.

Długo matka, siostra stały —
Prowadziły go oczyma;
Coraz dalej, mniejszy, mały,
Jeszcze mgli się i — już niema.

O, już wzgórek opuszczony,
Tylko woła siostra mała:
»Kiedy? z której ciebie strony,
Będę, bracie, wyglądała?«

Prędzej w źródle wyschnie woda,
Góra się z mogiły wzbije,
Niż go ujrzy siostra młoda,
Niż go oczy ujrzą czyje.

U nas inaczej!

Bohdan Zaleski.

Smutnoż tu, smutno, bracia, za Dunajem,
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą — i świat cały nudzi;
Cudzo — och, pusto — wśród świata i ludzi!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Och, Ojczyzna Lasza
To wszechsłowiańska królowa i nasza!
Bracia, zginiemy za nią, kiedy skinie,
Ale śnić będziem o swej Ukrainie:
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! I bujnie, i miło:
Hej, nie zastępuj na drodze, mogiło!
Nie ściel się cieniem! niech sokole oko
Kąpie w burzanach lubo a szeroko!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej -- inaczej!

U nas inaczej! Ponad Ukrainą,
Wskroś okolicą jarzącą się, siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmacony.
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Co zaśpiewam w dumie —
Co w głowie knowam — brat, koń mój, rozumie;
Rzy po swojemu: — czy tabun pamięta?
Och! za wolnością tęsknimy, bliźnieta!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Wciąż nuta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby,
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach, i chwale.
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Dziewczyna już marzy,
Coś ze swej dumki zwierciadli na twarzy;
Pusta rusalka — powiewna postawa,
Piękna kochana — a tęskna i łzawa:
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Jakoś lżej, weselej,
Krew gra burzliwiej: — o! wina mi nie lej!
Samem powietrzem po pjanemu żyję:
A kiedy hulam — to na łeb, na szyję!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządkie naszego żywota,
Boże-ż mój, Boże, łzami modłę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę w niebie!
Niema bo rady dla duszy kozaczej,
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

Westchnienie do Boga.

Seweryn Goszczyński.

O Boże! ja w Ciebie wierzę,
Ja Ciebie kocham, o Boże!
Jabym tak chciał kochać Ciebie,
Kochać i wierzyć tak szczerze,
I z taką siłą, jak tylko ten może,
Komubyś zdarzył być chwilę w Twem niebie.

Od Ciebie tylko w tej chwili
Pełność mej wiary zależna —
Tobie dar taki jest niczem —
Daj mi go! oto do Twych stóp się chyli,
Pada przed Tobą pokutnem obliczem:
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
Że co mam tylko, to są Twoje dary.
Ja zawsze widzę Twoją cząsteczkę —
W każdym uczuciu mego istnienia,
Uznaję siłę Twego ramienia.
Za każdą rozkosz sumienia
Wielbię Twą dobroć jedynie;
Czuję Ciebie w każdej cnocie,
W każdym wieszczego natchnienia polocie.

Alebym pragnął jaśniej, wznioślej, szczerzej
Czuć, kochać, wierzyć — pragnąłbym bez miary
Dopełnić mojej miłości i wiary!

Podnieś lot mej duszy wyżej,
Postaw mnie przy sobie bliżej,
Zabłyśnij mi choć na chwilę,
Choć jedną iskrą Twoją wszechświątą!
A ostatnią moc wysilę,
Choćbym zdeptać miał nogami
Najkosztowniejsze ziemskie ponęty,
Stargać tę wstęgę, co serce wiąże
Z najdroższymi sercami, miejscami:

Choćby natomiast to ciało
Trupem na mnie opaść miało,
Pójdę do Ciebie, podążę:
Byle tylko to sumienie,
Które tak Ciebie, przeczuwa, zgadywa;
Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,
Stały rychlej przed Twoim tronem
Ujrzały Ciebie bez plam nocy
I uderzyły wiecznym pokłonem
Twojej po trzykroć świętej Wszechmocy.

Osielek przebierający.

Aleksander Fredro.

Osielkowi w żłoby dano
W jeden owies w drugi siano.
Uchem strzyże, głową kręci:
I to pachnie i to nęci.

Od któregoż teraz zacznie,
Żeby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda. 7
Chwyci siano, owsa szkoda,
Chwyci owies, żal mu siana.
I tak stoi aż do rana,
A od rana do wieczora;
Aż nareszcie przyszła pora,
Że oślina pośród jadła
Z głodu padła.

Resurrecturis.

(Urywek). Zygmunt Krasiński.

Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota!
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota!

Darmo się duch miota,
Kiedy ból go zrani!
Na burze żywota
Niema tu przystani!

Los z nas szydzi w każdej chwili!
Dzielnych strąca do otchłani —
Gina święci — gina mili —
Żyją niecierpiani!

Wszystko się płacze — i nierozgmatwanie!
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie!

Więc trzeba skrzepnąć — stwardnieć — być bez serca!
Pośród morderców, stanąć jak morderca!

Pośród zbrodniarzy, wystąpić zbrodniarzem!

Kłamać — nienawidzić —

Zabijać i szydzić —

Tak świat, tem samem co dawa, obdarzym!

— Oto potęga! — lub stańmy się niczem!

Jedźmy i pijmy — bądźmy śmiecią złotą —

Ciała wygodą a myśli nędzotą —

Tak się do głupich i szczęśliwych wliczym!

O! nie! o Duchu mój!

Wstecz się cofnij — stój!

Nie takąć to bronią

Na ludzkości czele

Z złem na ostre gonią

Zła ukróćciele!

Jedna tylko w świecie

Moc ofiary cicha

Los gniotący zgniecie —

Oto dziejów lew!

A podłość czy pycha

To jednakie śmiecie,

Które w otchłań spycha

Lada dziejów wiew!

O! poznaj sam siebie,

Nie żądaj być panem

Jak Pan, który w niebie!

Ni chciej jak bydlę gnić nad paszy łąnem!

Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem

Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem,

Bądź cierpliwością — tą panią niedoli —

Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!

Bądź tą przegraną — której cel daleki,
A która wkońcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością wśród burz niepokoju —
W zamięcie miarą — i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i faryzeuszów
Bądź groźbą — gniewem — lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszków!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
Bądź tym pokarmem, który serca żywi —
Bądź im łzą siostry — kiedy nieszczęśliwi —
A głosem męskim — gdy się w męstwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani — bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili — nadzieją!
A śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie, bądź siłą, co skłania —
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!

W ciągłej przykładowi i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
Niech ból cię kaźden choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!
Świętością w niewoli!

.

Smutno mi, Boże!

Juliusz Słowacki.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą,
Przede mną gasisz w lazuruwej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa, z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil. przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,

Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom,
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.

Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.

Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący marli...

Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Rozmowa z Piramidami.

Juliusz Słowacki.

Piramidy! czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi,
Naszą zemstę w tym bułacie
Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?

»Wejdz z tym mieczem w nasze bramy:
Mamy takie trumny, mamy!«

Piramidy! czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowej złożyć szacie;
Tak, by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj, choć trupem cały?
»Daj tu ludzi tych bez plamy:
Mamy takie trumny, mamy!«

Piramidy! czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie,
Zlać tam razem i ostatek
Czary, dolać łzami matek?
»Wejdz tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy — łzawice!«

Piramidy! czy wy macie
Takie trumny, zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie,
Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować na dzień chwały?
»Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy!«

Piramidy! czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha,
Ażby Polska zmartwychwstała?

»Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny!
My umarłych tylko znamy,
A dla ducha trumn nie mamy!«

Przeczcucie śmierci.

Stefan Garczyński.

Już ognie rozłożyli szerokie dokoła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni,
Tu głos słyszeć niezbożnych, tam nabożnych pieni;
Z daleka straż co chwila hasło głucho woła!

Jednemu tylko smutno — jego pieśń wesoła
Nie rozśmieszy, nabożna tęsknoty nie zmieni,
I błądzi między wrzawą, jak wśród grobów cieni;
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.

Pytałem o przyczynę — nic nie odrzekł na to,
Myśleć z drugim, samotnie czuć zawsze jest milej;
Może i on przyczyny nie wiedział w tej chwili.

Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą?
Może się żegnał w sercu z rodzicielską chatą?
Nazajutrz — bitwa była — i jego zabili!

Ostatni kanonier.

Stefan Garczyński.

Konie wszystkie poległy — żołnierze wybici —
Dowódca tylko jeden z dwoma pozostały,
Oszańcowany w trupy jak w zastępne wały,
Z dwóch armat ciągle bije, i dymi, i świeci.

Lecz napróżno — krwi, mordów wrogowie niesyci
 Bateriami na zastęp uderzają mały;

Wkrótce się wróg zwycięstwem zupełnem poszczyci —
Wody niema — spiż w ogniu — kurzą się zapaly.

Więc strzelać zaprzestano — śród kul, w siarki dymie,
Trzech z lontami jak duchy migają się zdala;
Nieszczęście! — kula znowu jednego obala!

Co za krzyk? — Skąd ten wystrzał? — czyjeś
słysząc imię —

Imię wołając brata, spiż moczy w krwi bratniej
I znowu dym — i świeci kanonier ostatni.

Posterunek na stracenie.

Stefan Garczyński.

»Wy idźcie! — Ja z wyborem zostanę młodzieży,
Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
Na znak ogień rozłożym i zapalim wici —
Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświeci
I za tych modły wzniesie, co w polu zabici!«
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną —
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszę dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!



Natarcie kōnnicy.

Stefan Garczyński.

Znak do natarcia dany — wtem dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wy-
Wolno się posuwają na wietrznej topieli; [strzeli,
Coraz bliżej nadchodzą, krwi i mordów chciwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę
I parsknął — okiem strzelił — i żywiej i śmieiej
Kopytem dziarskiem ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział, że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz słyhać — patrz — na
skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani,
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani. —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mieszają się — kto wygrał? — Nie rozpoznać w dali.
Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali.

Szturm do okopu odparty.

Stefan Garczyński.

Warczą kule w powietrzu — śmigają granaty —
Jeden wpadł do okopu — kręci się i pęka —
Zamieszanie — tam kadłub — tu noga — tam ręka,
Tu ratują — tam z trupa krwawe ciągną szaty;

Na wale znów windują do góry armaty.
Pod śpiżu ciężarami ziemia gnie się miękka.
Zwindowali — nabili — i kanonier klęka
I cęluje — on pomści krwawej naszych straty.

Już lont swój zapalony drugi w rękę trzyma!
Przyłożył — strzelił — dym się skłębił, wzniósł
i znika —

Ale co za krzyk?! — Wróg się do szturm pomyka.

Śmierć lub odparcie — innej nadziei już niema,
Za broń! — kartacze w działa — śledzim go oczyma —
Ognia wszyscy! — Wał urósł z trupów najeźdźnika.

Śmierć zdrajcy ojczyzny.

Antoni Górecki.

Noc była ciemna, milczenie ponure
Lało spokojność na całą naturę;
Wtem księżyc zajaśniał mile,
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy z nieba skrycie
Na promykach gwiazdy schodzą,
I gorzkie nędzarzy życie
Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem
Toczy mętne wały,
Błyszczy gmach wspaniały.

Tam zdrajca kraju obrzydły,
Leżąc gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swemi skrzydły
Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu
Po kunsztownych lampach skryty,
Pokazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata
Zgromadził tam zbytek złoty,
Wszystkie niemal skarby świata;
Nie stawało snu i cnoty.

Już czas chyży
W twardej spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził,
A sen jeszcze nie przychodził.

On biegał po małych chatkach,
I przytulał tych w tej chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście:
Jak jesienne wędnał liście,
A smutki mu serce bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne

Wtem niebo znak dało grzmotem!
Pioruny trzasły,
Ognie zagasły,
Wicher drzwi wyparł z łoskotem:
Wchodzi naprzód księżyc bładny
A za nim w ślady
Jakaś poważna osoba,
Na niej żałoba;
Smutna postawa,
Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe
Drży zdrajcy serce lękliwe;
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: »To strachy czyje?
Stój! bo zabiję!«

Ale postać blada
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha i wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą.
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął —

Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztrąca,
Środek postaci przeszyła;
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem,
Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącym
Wspiera się łokciem oziębiającem,
I odpoczywa.
On mdleje,
Potnieje,

I za drugą broń porywa.
Wtém ona do niego rzecze
Głosem takim, jakim ciecze
Słodki strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
»Stój! mnie kula nie zabije,
Na waszym świecie nie żyję,

Synu! ty w ciemnym zamknąłeś mnie grobie,
A ja przychodzę dać ratunek tobie.
Widzę twą duszę smutkiem obciążoną,
Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności łono.
Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
Mścić się nad synem.«

Wtem razem wstrząsły się gmachy,
Zadrżały dachy,
Jękła noc blada,
Przez okna wpada
Duch czarnej postaci,
I rzecze głosem zagrmienia:
»Niemasz, nie masz przebaczenia
Temu, co przelał krew braci!
Pan przedwieczny, sprawiedliwy:
Stań przed jego sąd straszliwy.«

Tak wyrzekł i wnet ponury
Ciało zbrodnia w łożę cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury;
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

Wesele.

Ant. Edw. Odyniee.

Na zamku kasztelana,
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głaszy kapełę,
Puhar krąży wokoło,
Wszyscy bawią wesoło,
Prócz tej, czyje wesele.

I nie dziw! panna młoda
Jak róża, jak jagoda:
Jak chwast w zimie pan młody,
Nizki, łysy, pękaty;
Lecz starosta, bogaty,
Ojciec kazał — więc gody.

Idzie taniec; na przedzie
Pan starosta rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.
Wtem »gość!« krzyknął odzwierny,
I towarzysz pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.

Kasztelan gdy go zoczył,
Zaraz ku drzwiom poskoczył,
Pełen gniewu i trwogi:
»Mówilem już Acanu,
Że ludziom jego stanu
Za wysokie me progi.«

— »Nie tak zbyt, jak się roi,
Gdym je mógł przejść we zbroi,«
Zimno rycerz odpowie.
»Każdy z nas na zagrodzie
Równy jest wojewodzie,
A cóż kasztelanowi?«

Kasztelan w wściekłym gniewie
Co ma począć, sam nie wie,
Na nic już nie pamięta.
»Hola! szlachta panowie!
Kto się bratem mym zowie,
Za drzwi tego natręta!«

Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli,
Słyszac gniewny głos pana;
»Co ty? kto ty? zuchwały!
Gdy chcesz unieść łeb cały,
Precz z domu kasztelana!«

Młodzian się nie ustrasza,
Dobyl wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:
»Przez Bóg żywy! tej chwili
Po swój łeb się nachyli,
Kto krok postąpi ku mnie.

»Ale nie chcę uczt krwawic,
Nie długo mam tu bawic,
Chciałbym tylko, panowie!
Pannie młodej winszować,
Taniec z nią przetańcować,
I wypić za jej zdrowie.

»Natożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach
Kraj piersiami zasłaniał,
By mię lada kasztelan,
Waszem wsparciem ośmielał,
Jak psa z domu wyganiał?« —

— »Dobrze mówi, zuch! brawo!
Zostań z nami, masz prawo,
Do stu dyabłów magnaci!
Kto chce doznać, jak nasze
Wyostrzone pałasze,
Niech łeb wzniesie nad braci!

— Brawo! brawo! Pójdź z nami,
Zaprowadzim cię sami,
Winszuj! — jeśli jest czego.
Wypijmy jej zdrowie,
Potem, bracia panowie,
Dalej »nieskończonego!«

I wnet krzycząc zuchwale
Wiodą hurmem przez salę
Do kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony,
Sam kasztelan strwożony
Skrył się na bok z starostą.

Kasztelanka struchlała,
Gdy rycerza ujrzała,
Zapłoneła i zbladła.
Chciała witać, lecz siły
Nagle ją opuściły,
Na ręce jego padła.

»Wody, wódki, lawendy!«
Krzyk się rozległ wnet wszędy,
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucha,
Szepnął jej coś do ucha,
Kasztelanka ożyła.

»Teraz, bracia panowie,
Szczerych kochanków zdrowie!
— Vivant! pijmy kolejną!
Kto ich dzieli dla złota,
Niech mu niem za żywota
Czarci gardło zaleją!

»Hej, muzyko, polskiego!
Dalej nieskończonego!«
Idzie taniec po sali!
Młody rycerz na przedzie
Z kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.

Staął; — koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoń, oko w oku;
Wszyscy się okręcali,
Zamieszanie na sali,
Nic nie widać w natłoku.

Znowu taniec spokojny;
Lecz gdzież tancerz ów zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura niezwykła!
Pierwsza para gdzieś znikła,
Lecz gdzie i jak, nie wiedzą.

Wtem podwórzec zamkowy
Zabrzmiął brzękiem podkowy:
»Pancerny porwał młodą!«
— »Hej do koni, do broni!
Kto ich pierwszy dogoni,
Co chce weźmie nagrodą!«

Rzekł kasztelan, i prosto
Z zadyszczanym starostą
Zbiegł na dwór — już na koniu.
»Niech mych skarbów nie szczędzi,
Kto ich pierwszy dopędzi!«
I puści się po błoniu.

»Gdzie tam, próżna mozola!«
Ktoś ze szlachty zawoła,
»Muszą lecieć jak z procy;
Wreszcie trzeba waryata,
Za złoto gubić brata,
Lub kark łamać po nocy.«

— »Dobrze mówisz, Wojciechu!
Zawołali wśród śmiechu,
Krzywdą się nie zbogacim.
Przebawmy tu noc całą,
Wypijmy, co zostało,
A tak nic w tem nie stracim!«

Jak rzekli, tak zrobili,
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił
Kasztelan sam powrócił,
I już nie wiem co dalej.

Czy aniołek, czy djabełek?

Ant. Edw. Odyniec.

Kto to powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych zwierciadełek
Co u panien siedzi na dnie,
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo że siedzi, nie wiem co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Każdy widzi; lecz rzecz o to,
Czy to anioł, czy djabełek.

Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajszych rój światełek,
Że choć przysiądz gotów człowiek,
Że to anioł, nie djabełek.

To wnet znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igiełek,
Że wykrzykniesz mimowolnie:
Ach! to djabeł, nie djabełek.

I dlatego świat się biedzi,
By rozwiązać ten węzełek,
Co u panien w oczkach siedzi,
Czy aniołek, czy djabełek?

Tęsknota za krajem.

Konstanty Gaszyński.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną;
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bory lśnią się jedliną i sosną? —
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn usrebrzonych mchami;
Gdzie biała brzoza i jawór zielony
Błyszczą malowniczo nad łąk kobiercami?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdygam i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze raz choć zobaczę! —

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem;
Gdzie krzyże z drzewa, lub święci z kamienia,
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz pełen uprzejmości,
Wszystkiem co może dzieli z przyjaciół
I tęskni w domu, kiedy niema gości?
Gdzie lud choć biedny, rad w święto się stroi;
W tańcu czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa;
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewczoi
Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie poloneza koło,
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym mazurze
Brzękiem podkówek gromko takt wybija;
Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze
W rącznych się płasach krakowiak przewija?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie na głos ojczyzny
Mąż rzuca żonę, kochanek kochankę;
Gdzie starzec z chlubą wskazuje swe blizny,
A młodzian cieszy się na bojów wzmiankę?
Gdzie każdy pomnik starożytnej chwały
Ma swych czcicieli i swój liść wawrzynu;
Kraj, choć go losy w obcą przemoc dały,
Silny na duchu i skory do czynu?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż tych ludzi, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

Polka.

Konstanty Gaszyński.

I któżto w błogiej anioła postaci,
Siedząc nad dziecka lubego kołyską,
Uczy, wraz z pierwszą modlitwą za braci,
Wymawiać drogiej Ojczyzny nazwisko?
I w młodem sercu niewinnej istoty,
Obywatelskie rozpromienia cnoty;
Miłość ojczyzny, męstwo, stałość do ostatka:
Kto? Polka matka!

Kto, gdy Ojczyzna wzywa dzieci swoje,
Kiedy wolności uderza godzina,
Drogiego męża sama śląc na boje,
Drżącą mu ręką krwawy miecz przypina?
I swe ozdoby, pierścień nawet luby,
Co w dniach różanych święte spoik śluby,
Na ołtarz Ojczyzny składa rozczulona:
Kto? Polka żona!

Kto na zniszczonej niegdyś żyznej ziemi,
Co zagonami mogił dziś pokryta,
Tocząc wokoło oczyma błędnemi,
Wieczornych wiatrów o kochanka pyta?
Z rozwianym włosiem, z szatami żałoby,
Budząc łzą rzewną męczenników groby,
Smutna powtarza drogie imię bez ustanka?
Polka kochanka!

Kto żywiąc w piersiach duszę poświęconą,
Dla szczęścia ziomków i ojczystej sprawy,
Porzuca miłe rówieśniczek grono,
I cichą ustroń i płci swej zabawy?

I do pieszczoty utworzoną dłonią,
Walcząc, gdzie Orzeł łączy się z Pogonią,
Przeraża błyskiem miecza, choć wzrokiem zachwyca?
Polka dziewczica!

Gdy nad Ojczyzną, zdradnie w grób wtrąconą,
Słońce wolności zaszło po raz trzeci;
Kto, kryjąc kirem rozżalone łono,
Łzami gaszoną nadzieję w niem nieci?
I wzgardą płacąc uśmiech najeźdźnika,
Przed nim swe progi i serce zamyka
W cichych modłach za braci trawiąc dni tęsknoty?
Polki sieroty!

Papuga i wróbel.

Konstanty Gaszyński.

Nie pamiętam, w której stronie,
Czy to w Litwie, czy w Koronie —
Dość że w Polsce, tego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże! by dzieci nasze, lub choć wnuki
Skorzystały z tej nauki! —

Za pałacem, wśród ogrodu
Stała ogromna altana,
W siatkę z drutu oplataną —
W niej ptastwo różnego rodzaju,
Które wymieniać rzecz byłaby długa.
Lecz rej wodziła papuga;
Bo w kraśne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,

A stąd najbardziej zuchwała,
Że kilka słów francuskich na pamięć umiała
I ciągle je powtarzała.

Dudki, pawie i gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem,
Że ród papug tak uczony,
Iż obcym gada językiem.

A ona,
Wielką dumą napuszczona,
Z żadnym się już w rozmowę nie zadała ptakiem;
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy —
I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilka słów papugi,
Stąd łaska i uprzejmości
U owej hardej Imości,
Co siadłszy na pierwszej grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie.

Wszystkie ptaki,
Jaki taki,

Spuściwszy główki na dół i pisać nie śmiały,
Chyba, by głosić papugi pochwały. —

Aż wtem wróbel mały,
Choć niepozorny z postaci,
Ani z miny,
Ni z czupryny,

Ale szczerzy i śmielszy od ptaków swych braci —

Zadarłszy dzióbka do góry
Rzecz do niej: »Moja pani,
Skąd te fochy u Wasani!
Wyrzekłaś się danego głosu od natury
I z nas jeszcze chcesz tu szydzić?
I przewodzić nudnym krzykiem,
Papłając cudzym językiem?
Ot, powinnaś się wstydić,
Bo to brzydkie są narowy
Nie szanować własnej mowy!
Wiem ja dobrze, że słowiki
I skowronki i czyżyki
Bardzo piękne mają głosy, —
Jednak im nie zazdroszczę ni sarkam na losy!
Ale sobie świergocę jak moi ojcowie,
Szarzy wróblowie —
I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,
Aby ci prawdę powiedzieć.« —
Miał rację wróbel choć szary i mały. —
Oby tylko te słowa, z serca wyczerpane.
Nie padły jak groch na ścianę
I z wiatrem się nie rozwiały!

.

Pieśń o ziemi naszej.

Wstęp.

Wincenty Pol.

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów?
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyna, kędy gina,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi,
Co puścizną tobie dano?

.

Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzody,
Nim two serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę,
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulej
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści
I do serca przymatuli!

Otóż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na two ziemie
I rodzinne twoje plemię.

Sztandar.

Wincenty Pol.

Po krótkim boju i pobiciu wroga,
Okolo dworu szła powstańców droga.
Wybiegła pani, wioski tej dziedzica,
Gorączką uczuć palą się jej lica,
Wiedzie za rękę wysmukłe pachole,
A gdy nadjechał wódz, tak mu powiada:
»I jabym z krwi mej ofiarę dać rada;
Na waszą wolę i na Bożą wolę
Zdaję tu syna!« — Więc wódz na to: »Szkoda!
Jeszcze mi trochę chłopczyzna za młoda«.
— »Nie mam starszego« — rzekła pani smutnie;
A chłopak stanął i ostro i butnie,
I łza się kręci i iskrzą się oczy,
Więc po jagodach łza się matce stoczy,
A wódz powiada: — »Rozumiem, rozumiem,
I choć dziś z wami zapłakać nie umiem,
Bo oplakałem tej ziemi rozpaczę,
I odkąd oręż podjąłem, nie płaczę...
Ale pojmuje, co cię, matko, boli
I ciebie chłopcze, że nie chcesz niewoli.
Więc, matko Polko, niech Bóg płaci z nieba!
Nam trzeba stanąć dziś jeszcze daleko,
Za siódmą wioską i za drugą rzeką;
Dałaś mi syna, daj mym ludziom chleba,
Jego przeżegnaj a mnie podaj rękę,
I w imię Matki Polski weź podziękę«.

I ruszył orszak po krótkim spoczynku.
Syn wziął splakaną chustkę w upominku,
I gdy się spostrzegł, do wodza powiada:

— »To chustka matki!« — »Ha, weź ją ze sobą
Niech ci opieką będzie i ozdobą!«

I rozpiął chłopcu kurtkę i sam złożył
Chustkę na sercu, i dzieciuch ochoczy
Już ani płakał ani się nie trwożył,
Lecz jako w tęczę patrzył w wodza oczy.

»Most mi ten zerwać i bronić przeprawy!«
Skoczyli chłopcy, pozrywali dyle,
Razem z pierwszymi skoczy dzieciuch żwawy,
I poszedł w ogień. Strzelcy stoją w sile
I bronią mostu. Wtem chłopczyna pada
Tuż u stóp wodza, i mienia się oczy;
Lecz ku wodzowi twarz zwrócona blada,
Choć krwi rumianej zdrój się z piersi toczy.
Wódz go poderwał, a on mu powiada:

— »Ha, niechaj chustka matki nie przepada!«
Więc go zrozumiał, dobył chustkę żwawo,
Ale już była na pół prawie krwawą.

— »Hej! ktoś mi mówił, nie mamy sztandaru,
Oto jest sztandar z łez i ze krwi daru!
Ha! to wasz sztandar biali i czerwoni!
Ze łzami matki, syna krew w pogoni.
Oto wasz sztandar i przy tym sztandarze,
Bóg wam stać każe i ja wam stać każe!«

Chłopak na ziemi pięknie się uśmiechał,
Ostatniem czuciem Polaka oddychał,
I w ręku wodza skonał niby święty...
I stał wódz nad nim żałością przejęty,
I rzekł po chwili: — »Pochować poczciwie!
O! Matko Polko! coś żegnała tkliwie
Syna twojego, tybyś tu umarła,
Albo na wieki ży jak ja otarła«.

Stefan Czarniecki.

Wincenty Pol.

Oj, to Polak starodawny!
Co za mina, co za ruch!
Oj, to bracia wielki zuch!
Nasz Czarniecki Stefan sławny!

Szwedzi Polskę zwojowali,
Swoj im podał chleb i sól;
Lutrzy z nimi się zwąchali,
Za granicę drapnął król!

I już ziemia prawie cała
Szwedowi się poddawała,
I już wierny naród ginał!
Jedna tylko Matka Boska

Oparła się Częstochowska!
Przy niej stanął ksiądz Kordecki;
A ten zuch Stefan Czarniecki
Jak się zawziął, jak zawinał,

Wygnał Węgra precz z Lutrami,
I jak kaszę ze szwedami
Zjedli Szweda choć bez kaszy!
I nie tylko w ziemi naszej, —

Aż za morzem rej on wodził:
Bo gdy Szwed bronił się wodą,
On i morze wpław przebrodził!
A choć się nie rodził panem

Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co to boli,

Ruskim urósł wojewodą
I koronnym zmarł hetmanem.

Święty Jan Kanty.

Ks. Karol Antoniewicz.

Błysła na wschodzie jutrzeńka złota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy:
Z rosą poranną łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty.

Nie dla niej piękny świeci poranek,
Świat w szatę światła ubiera;
Żałośnie trzyma w swej dłoni dzbanek,
A drugą łezkę ociera.

Już Krakowiaków gromadka wesola
Na targ do miasta się spieszy;
Lecz na sierotkę nikt nie zawoła,
Sierotki nikt nie pocieszy.

Wtem mąż sędziwy, wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Rzewną sierotkę zmierzywszy okiem,
W te do niej ozwał się słowa:

»Dlaczego płaczesz, dziecino droga?
Bóg widzi te łezki twoje;
Wyznaj mi szczerze, ja w imię Boga
Może twą żałość ukoję«.

A Krakowianka w błękitnem oku
Fartuszką łezkę ociera
I kornie stojąc przy jego boku,
Drżące swe usta otwiera:

»Jestem sierotą, u mieszczeni z Łobzowa
Służę; ach! ostra to pani!
Nigdy dobrego nie da mi słowa,
Lecz zawsze gromi i gani.

»Zaledwie tylko błysnie poranek,
Na Kleparz na targ wysła,
Abym przedawszy ten mleka dzbanek,
Krupek i soli kupiła.

»A że to jutro święto Boskiej Matki,
Chcąc przybrać obraz Jej w wianek,
Po drodze wonne zbierałam kwiatki;
Wtem z ręki wymknął się dzbanek

»I wszystko mleko spłynęło drogą.
Ot! ślady widać z daleka,
Któż się nademną uzali niebogą?
Ach, wiem co w domu mnie czeka!«

»I czemuż, dziecię, tak rzewnie szlochasz
I główkę kryjesz w twej dłoni?
Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz,
Ona cię pewnie obroni.

»A gdy powrócisz do twej zagrody,
Boska cię Matka pocieszy.
Pospiesz do Wisły, zaczerpnij wody!«
Sierota ufa i spieszy.

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła
I klęcząc pacierz odmawia;
Główkę do ziemi kornie schyliła,
Przed Kantym dzban z wodą stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogosławił,
Modlił się długo i szczerze;
A gdy modlitwę swoją odprawił,
Dzban wody do ust swych bierze.

Lecz woda w mleko się przemieniła.
»Dziecię, Maryi złóż dzięki,
Ona cię w smutku twym pocieszyła;
Dzban mleka masz tu z Jej ręki«.

Na twarzy dziecka spłonął rumieniec,
Do nóg się Jana rzuciła;
Boga Rodzicy odtąd już w wieniec
Obraz codziennie stroiła.

Turczyk.

Józef Borkowski

W Śniatynie, w mieście Turcy gospoda
Stanęli w rynku i zdobycz wiodą;
Spętali jeńców, stada spędzili,
Bramy zrąbali, domy rozbili
I dzielą łupy i miody leją.

W Śniatynie, w mieście Turcy szaleją,
A czarnobrewy Turczyk na przedzie,
Dziewczynę młodą za rączkę wiedzie,
Co krok powiedzie, to się zaśmieje;
Dziewczynie z żalu serduszko mdleje,
Dziewczynie z chodu nogi ustały,
Dziewczynie z płaczu lica zczerniały.

Nie tobie luba dworzec z ogrodem,
Nie tobie drzewa z kwiatem i chłodem.

Nie tobie sadzić przed oknem matki
Pachnące zioła i wonne kwiatki;
Nie tobie w święta, ani w niedziele
Obrazy złote widzieć w kościele;
Nie tobie bujne bydło poryka,
Nie tobie nocą słuchać słowika.

Tobie w jasyrze być u Turczyka,
Prząść kądziel w kuchni, słać łożę pana,
Na białe, drżące padać kolana
Od ciężkich robót; wzdychać pod biczem
I skrwawić ziemię białem obliczem.

* * *

Powstają Turcy chmurą szarańczy,
Z szumem się dźwignął zastęp pohańczy,
Zajękły dzwony, świsnęły strzały,
Matki i siostry ręce łamały;
A miasto gęsty płomień oblewa.
Runęła z miasta powódź straszliwa,
Śniatyńska łuna jasno rozświeca,
I czarne dobrze i smagłe lica.

Ale na przedzie nie idzie w płasy
Wesoły Turczyk z czarnemi wąsy.
Niema z czeredą Turka młodego,
Samopas w polu biega koń jego,
Połyska zbroją i szuka pana
I z żalu grzebie dół po kolana.

Głowa Turczyka na płocie wbita,
Często nocnemi deszczami myta;
Przy niej nietoperz lata na straży,

Gawron zgłodniały na niej usiada,
I szczebiotliwa sroczka z nią gada,
A w każde święto, w każdą niedzielę,
Przybiega z miasta mołojców wiele,
Na wybujalej darni hasają
I, jak do tarczy, w głowę strzelają.

Kniaź Dymitr Wiśniowiecki.

Lucyan Siemieński.

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule
Za kratami, na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu —
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem, hufce wiódł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu;
Jakby nogę czuł w strzemieniu:
A tu stepem — cztery mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyną — małe chłopię.

Hej pacholę! oj ty tużysz,
Już nie u mnie nie wysłuchysz;
I ja tobą nie wytropię,
Wroga w stepie, ni zatopię
Bisurmańskie w Dniepr galary —
Dość mi daleś, dość swej wiary,
Dość dzielileś lichą dołę,
Wróc pacholę na Podole! —

— Kiedy łowiec w wilczej jamie,
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy:
Siada sokół wiern na ramię,
Wierna strzała się nie ruszy.

Ja ci strzałą, ja sokołem —
Nie powrócę; cierpmy społem. —

Przyszedł sułtan z pychą pawia
I tak kniazia sam podmawia:
— Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiare,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę. —
— Piękna córa, skarb bogaty,
Ale wiara twa za katy!

— Ha! psa giaura weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście! —

Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Galacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze.
Patrzy w morze, to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki? ciężko wzdycha —
Usta krzepną, mówi z cicha:
Oj pachole wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę! —
— Ja ci strzałą, ja sokołem
Nie powrócę, gińmy społem.

A kniaź oczy wiódł ponure:
— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przyleciały,
Trzy rarogi jasnopióre —
Hej pachole! daj trzy strzały;
Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

I sułtana zmierzył — w ciemie,
A sułtankę — w samo brzemie,
A dziewczę — w same lice!

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaze na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku.

Branka tatarska.

Lucyan Siemieński.

Nie zapieją nocą kury,
Nie czuwają ludzie w siele;
A tu naszły dymu chmury,
A tu naszło Tatar wiele.

Zrabowali, popalili,
Poganiają lud w jasyrze,
Powrozami upowili,
Podcinają konie chyże.

Jedzie Tatar na bezdroże
U strzemienia brankę troczy;
Stara branka iść nie może,
Wyplakuje stare oczy.

Dniem i nocą, stepem, wodą,
Jadą, brodzą, w kraje chana;
Tatar stanął przed zagrodą,
Żona wyszła przeciw pana.

— Witaj moja! ot masz lite
Złotogłowy, zausznice,

I przywiozłem ci kobietę,
Z samej Polski niewolnicę.

Trzy roboty robić będzie:
Niech oczami pasie trzodę,
A rękami kądziel przedzie,
A nogami huśta młode. —

Więc oczami pasła trzodę,
A rękami przedzę snuje,
A nogami huśta młode
A młodemu przyśpiewuje:

— Tatarczątko luli! luli!
Ty po córce mi wnuczątko;
Córka matki nie przytuli,
Babki nie zna niebożątko. —

Tu Tatarka wstała, zbladła;
— Skąd ty znasz mnie, niewolnico? —
— Gdy cię niańka w kąpiel kładła
Iskra padła ci na lico. —

— Matko moja! zrzuć te łąty,
Bierz jedwabie, bierz sobole;
U nas taki kraj bogaty,
Co masz tęsknić na Podole?! —

— Lepsza moja płachta zgrzebna,
Niżli wasza szata złota;
Tobie tęsknić nie potrzebna,
Za Podolem mnie tęsknota.

Błogosławieństwo polom.

Jan Nep. Jaśkowski.

»Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi.
I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
Pierwiosnek ubrał łąki — jabłoń kwiat rumiany;
O ślicznych nad dziewicę, kraju mój kochany!«

Takąć piosnkę jaskółka, witając cię, śpiewa,
Tak ci bocian klekoce, — tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!...

Że nucąc znalazł czasem pociechę w tej nucie;
Że płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twej grzędzie —
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.

I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów.
Śniąc o jodłowych puszczech i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha — bo dumny — bo się szczyci niemi

Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa
Ni pod jesiennem słońcem winograd dojrzewa;
Skądże nad skarb Ofiru — nad cedry Libanu,
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łąnu?

Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu,
Wypędził pierwszych ludzi na ten padoł głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem — chleba.

Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotej pszenicy — i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy — i zielone błonie,
Po którym dzwonią trzody i hasają konie;

Roje ciągnące słodkie soki dziecieliny:
Otóż święta puścizna — skarb naszej dziedziny;
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abła niewinne;
A więc wam błogosławieć pola me rodzinne!

Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty!
I lato, które kłosom daje plon bogaty;
Jesień, która purpurą odziewa ogrody,
I zima, która wasze otula zarody!

Błogosławieć po trzykroć tobie, światłoienne;
Tobie, księżycu błądy — i wam mgły jesienne;
Wam słodkie dżdże majowe z ranną rosą społy,
Wam wszystkie farby życia i woni żywioły.

O! i ty też, poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.

Gdybym mógł orlem skrzydłem wzbić się pod obłoki,
Gdybym mógł zbadać przyszłość, otoczoną mrokiem,
Naprzód wam, niskie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym jak skowronek rzewną pieśń pociechy.

Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby,
Więc i wam błogosławieć, o piewcy żałoby.

Błogosławieć... lecz skądże taka zmiana w nucie?...
Rwie słowa — maci myśli rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strunach:
Błogosławieć tym, którzy śpią na tych zagonach!

A ty drobna ptaszyno! co w górę się wznosisz,
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głośisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem,
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

Za późno.

Jan Nep. Jaśkowski.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nieznany
I pyłem odziany
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
»Mój dziadku, w tem siele
Któż ziemskie opuścił mieszkanie?«
»Smutne to są sprawy;
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj, opowiem, mój panie!

Przed kilku latami
Żył we wsi tej z nami
Kmieć z kmiecia, zamożny, pocziwy;
Ni soli, ni chleba
Nie było tam trzeba,
Był czczony, kochany, szczęśliwy.

I było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek — jedynak był trzeci;
Wesoły, rumiany,
Przystojnie odziany,
Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.

Raz ojciec z wieczora
Powraca ze dwora
I wzdycha i mówi do żony:
Mój Boże, mój Boże!
Jak też to przy dworze
Stan kmiotka maluczki, wzgardzony!

Prostaczek w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem.
I nam Bóg dał dziecię...
Czemużby też przecie
I ono nie było człowiekiem?

Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co się z niem stanie?
Może się przy dworze
Umieści, a może...
A może i księdzem zostanie?

Jak rzekli, zrobili,
Lecz bardzo zbłądzili,
Bo szczęście i w kmiecym jest stanie.
Dobra jest nauka,
Ale kto jej szuka
Nie z pychy — wszak prawda, mój panie?

Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiej stodoły
Szło zboże, z obory dobytek;
Syn wzrastał w rozumie,
Lecz za to i w dumie,
Na smutny rodzicom pożytek.

I przeszło lat wiele,
A nikt go w tem siele
Nie widział w zagrodzie rodzica,
A z cicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Waszmości udaje szlachcica.

Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca się wstydzi w sukmanie,
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi, —
Nieprawdaż?... cóż wam to, mój panie?

Tymczasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami
Bieda się do niskiej pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latek,
A znikąd pomocy, pociechy.

Starcowi i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna, na siebie,
Zapłakał ów człowiek ubogi.

Aż pracą znużony,
Aż troską strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie
I zasnął na wieki;
A nikt mu powieki
Nie zamknął — płaczecie, mój panie?

O! powieść nie cała;
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie.
Biada jest każdemu
Człowiekowi samemu,
Lecz stokroć samotnej kobiecie!

Więc pismem kazała,
Ze łzami błagała:
Mój synu! rzuć świetne marzenie;
Uczcij mą siwiznę,
Weź ojców spuściznę,
A znajdziesz spokojność i mienie!

Ba, panie kochany!
Groch rzucaj o ściany;
Trza było z rodzinnej wyjść ziemi
I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze
Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.

Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
W jej lubej zagrodzie, przy ścianie...
Przez litość w tej chwili
Jej my to dzwonili...
Co wam jest, dla Boga! mój panie? «...»

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
»Jam jest ten zabójca
I matki i ojca
I szczęścia mojego na wieki!

Roilem, marzyłem,
Czcze mary goniłem,
Wiatr rozwiął sny złote przedemną;
Dziś zdrowy, zbudzony,
Powracam w te strony, —
Miej litość, miej litość nademną!

Od dzisiaj w tem siele
Ja chleb mój, w popiele
Zwalany, łzy memi obmyję;
I jeść go zasięde,
I szemrać nie będę,
Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!

I upadł na ziemi,
I łzami krwawemi
Zalał się; w okropnym był stanie!
Dziad oczy skrył w dłonie
A idąc, na stronie
Rzekł z cicha: »za późno, mój panie!«

Ziemia!...

Józef Ignacy Kraszewski.

Ziemia lechicka... ziemia ukochana,
Jakżeś ty ślicznie przez Boga ubrana...
Gdyby dziewczyna w niedzielnej odzieży,
Gdy na próg chaty w wieńcu róż wybieży...
Jak pięknie niebo twym równinom świeci,
Jak zdrowy powiew karmi twoje dzieci!

Od morza brzegów, do grzbietu Karpatów,
Szumią twe lasy, słyszeć woń twych kwiatów,

Złocistą falą płyną pola twoje...
Srebrnemi wstęgi wiją wód twych zdroje...
Pagórki zielen kobierców okrywa,
Ziemio lechicka, ziemio urodziwa!
Szczęsny, kto na twem urodził się łonie
I spracowany legł na twym zagonie...
Jest czem odetchnąć — gdzie się rozpościerać
I żyć dla czego i za co umierać.

Ziemio lechicka, ziemio ukochana —
We wszystkieś dobro od Boga odziana,
Jakby zwierzyniec one twoje bory,
Pola twe, jako śpichrze i komory.
Miodem i mlekiem pierś twoja nabiera,
Sąsiad z zazdrością w oczy ci spoziera,
Ale na straży ni gród ani wały —
Stoi lud mężny, miłością drży cały...

Któżby tej ziemi nie kochał — macierzy?
Raz ją ujrawszy w królewskiej odzieży,
W złocie, bisiorach i błyszczącej zbroi,
Gdy dziatki swoje i tuli i poi...
Kiedy im pieśnią starą w serce wlewa
Miłość, co żywi, miłość, co ogrzewa...

Przeleć oczyma ponad te obszary —
Posłuchaj, szumem co mówi bór stary;
Pokłoń się dębom świętym u rozdroży,
Rzekom się pokłoń, w nich płynie zdrój Boży...
I tym zagonom, na których, wśród żyta
Mak i bławatek na wieńce rozkwita...

Piersią zaczerpnij powietrza i woni
I oko poślij w głębię tych ustroni!

Patrz, jaka cisza tę ziemię okrywa,
Błogosławiona, weselem szczęśliwa!
A kto się rodził, kto tu przeżył lata —
Chaty nie odda za wsze złoto świata!

Konik zwierzyniecki.

Edmund Wasilewski.

O Koniku ci zanuce,
Krakowianko hoża,
Co tańczy między ludem,
Jak strach przez rozdroża.

W oktawę Bożego Ciała
— Lat temu niemało —
Gdy po rynku obnoszono
Chrystusowe Ciała,

Lud się modlił, gwał kolana,
Bo klęski rozliczne
Najechały jak szarańcza,
Nasze łany śliczne.

Lud się modlił. Między tłumy
Straszna wieść przypadła,
Z rozwianymi na wiatr włosy,
Spłakana, wybladła.

I wrzasnęła w serca mężów
I w serca niewieście:
»O bieda nam, wielka bieda,
Goreje przedmieście!

Srogi Tatar, chciwy łupu,
W Zwierzyńcu plondruje,
Krwia się poi i na zdobycz
Jako wilk poluje!«

Ale prędzej dęby w lesie
Zegnę oddech burzy
I na wióry je rozniesie,
Niż Krakowiak stchórzy.

Przypadł włóczek ze Zwierzyńca,
Rękę podniósł w górę,
Jak gdyby chciał zażegnawać
Piorunową chmurę.

»Za mną, bracia! na tych zbójców,
Niechaj zginą marnie!
Nie dozwólmy ziemi naszej
Najeżdzać bezkarnie!«

I na wiatr czerwoną chorągiew rozwinął,
A z chorągwi orzeł, jak anioł, wypłynął.
Zanim w warkocz nocy
Słońce włosy zwiło,
Na wiślanym brzegu
Tatarów nie było.
Odbiegli zdobyczy i duszy odbiegli
I trupów taborem Zwierzyniec zalegli.

Dalej skrzypki grajcie...

Edmund Wasilewski.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórze i doliny, zapalcie w nich ducha;
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmia naokół,
A ty, myśli moja, podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosa wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją;
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek
Rozpogodzi niebo maj, wiosny kochanek.
Dalej razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty, fujarko, brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście;
Uroczyście zagra, jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki, serce rozweseli.
A więc skrzypki i fujarko, na ojczystej grzędzie
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, juści go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przy-
mili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli!

Dalej, skrzypki, grajcie hucznie, Wisła dźwięk po-
niesie,
Na jej brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie;
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanuć,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Śmierć Stefana Czarnieckiego.

Antoni Czajkowski.

W Sokołówce przed chatą u proga
Pachołkowie i ludu czerń mnoga;
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.

Hetman głowę pochylił na łożu,
Krzepkiem ciałem już władać nie może,
Złożył ręce, jakby do modlitwy,
Ale wojak ciągle marzył bitwy:
To o Szwedach — odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze;
A przy świetle gromnicy ksiądz cichy
Świętym krzyżem maże ziemskie grzechy,
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę;
A lud słowa powtarza kapłana:
»Sługę Twego zbaw, Panie, Stefana.«

Zarzął stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę hetman polny,
Bielmem zaszłe otworzył źrenice
I popatrzał na smutną gromnicę...
Witał księdza, jak ze snu powstały,
I znów słuchał, jak rzy jego Biały.

»Wprowadźcie go!« — skinął na husarzy,
I wnet Biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy,
(A obadwaj biali, jak dwa duchy);
Śmiał się hetman, jak dziecko szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegiem grzywy:

»O mój Biały!« A Biały spokojnie
Zda się z panem rozprawiać o wojnie;
Raz po razie miękką grzywą ruszy,
A starcowi coraz tęskniej w duszy,
Wzniósł buławę, spojrział wkoło groźnie
I rzekł: »Królu, dałeś ją za późno!«
Potem opadł na łożę bez siły.

Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny;
Pan Kijowski nie daje rozkazów,
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów,
Ani rzeniem nie zbudzi go siwy,
Bo wódz wielki już leży nieżywy.

A twarz jego szlachetna, uczciwa,
Jeszcze jakimś przestrachem przeszywa,
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
I szeroką odzywa się szramą:
»Jam nie z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli.«

„Ruszaj z Bogiem.“

Cyprian Norwid.

Przyszedł ktoś kiedyś i stanął pod progiem,
Mówiąc: — Bez chleba dziś jestem!... —
Lecz odrzeczono mu słowem i gestem:
— Ruszaj z Bogiem! —

Więc dalej ruszył po takiej nauce,
Westchnąwszy w sobie:
— Zaprawdę, nie wiem, co teraz już zrobię,
Lecz tu nie wrócę... —

I lata przeszły, chleb znowu był tanim — —
Raz księdza w drodze spotyka,
Który szedł z Bogiem do paralityka;
Rusza on za nim.

Idzie, a drogę wskazują im wprawni
Ludzie (bo duża parafia),
Aż oto patrzy, że w miejsce utrafia,
Gdzie żebrał dawniej...

Więc nie wszedł w dom ów, tylko kląkł na progu,
Wołając: — Wszechmocny Panie!
Zmilkuj się nad nim, może nie był w stanie,
Któż równy Bogu?...

Nie powiem dalej, bo może przełękne; —
To tylko nadmienię jeszcze,
Że nie zmyślili sobie tego wieszczce,
Bo zbyt jest piękne!

Zachwycenie.

Teofil Lenartowicz.

— Matulu moja! powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O moje dziecię! byłam ja w raju,
Gdzie rosną drzewa jak w naszym gaju:
Same jabłonie i wielkie grusze,
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłym się słońcu pięknie kołyszą,

Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba:
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotymi kłosa,
Co się pochyla pod Boże nóżki;
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki;
Potem widziałam przedziwne kwiatki,
Te w Bożych łąkach błękitne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszę ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie!
Co robi w niebie Gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe;
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy,
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nici babiego lata,
Co się na naszych polach oplata.

— Matulu moja! czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi ubogich głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się pełni.

— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— Moja dziecino! jak ci się zdaje,
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O, jeszcze piękniej, jeszcze weselej
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszek leśni,
I nasi ludzie: — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej.

— Matulu moja! powiedcież przecie,
Co tam jest więcej na tamtym świecie?

— Widziałam jeszcze strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając księgę białą otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzył na świat żalonym wzrokiem;

Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi;
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie,
Ta księga wszystko w sobie zawiera:
Czy się kto rodzi, czyli umiera;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

— Moiście drodzy! powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupkę, bydło na smugu?
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i obie wyciąga ręce —
Na małym wzgórku przy Bożej męce?

— O widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy,
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

— Powiedzcie jeszcze, mateńko droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie! moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni, co stamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie Boże.

— A jak daleko, matko, do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bogać tam miesiąc, kochane dziecię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To wkońcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł Boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.

Co miłsze?

Teofil Lenartowicz.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze.
I ludzie mi drodzy i mili;
I nie wiem, co miłsze nad wiejskie poddasze,
Nad ptaka, co w krzakach wciąż kwili.
Nad żonę, co w białej len przędzie świetlicy,
Nad ziemię, co zboże mi rodzi,
Nad gwiazdkę, co w czystej kapie się krynicy,
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi.
I nie wiem, co miłsze nad ludzkie wejrzenie,
Co czystsze nad wodę przeczystą,
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie,
Co droższe nad ziemię ojczystą.
I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną,
Nad serce pocziwe, gorętsze,
Co bardziej smutniejsze nad młodość straconą,
Nad pracę i miłość co świętsze,
Co prędzej nad wiarę łzy z oczu osusza,
Co więcej nad radość upaja.

Za dobre słowo dla pielgrzyma.

Teofil Lenartowicz.

Prawda, że piękne cudze kraje,
Lecz sercu czegoś nie dostaje;
Kościoły wielkie, zamki, wieże,
Ale za serce nic nie bierze...

We własnym kraju, tam w ojczyźnie,
Wszystko ci bratnie, wszystko bliźnie,
Głos ma dla ciebie zrozumiały
Ta ziemia szara, ten kraj cały.
Te lasy — twoją szumią mową
I dąb odwieczny nad dąbrową;
Te czaple, czajki i łabędzie,
Coś swego widzisz, słyszysz wszędzie.
A cóż, gdy jeszcze w progach domku,
We własnym domku, szczęśny Tomku,
Twoja cię własna matka spotka
I mała siostra, ta szczebiotka,
Rączkami rzuci się na szyję;
Kiedy do ciebie druh przepije
Ową kwaterką z prostej blachy;
Gdy cię obskoczą swatki, swachy,
A poczną prawić o tej! o tej,
Co stawia mokry len pod płoty,
O tej, co rośnie na twe gody,
Co kiedy nóżkę w staw zabroczy,
To od niej czystość biorą wody,
To od niej gwiazdy biorą oczy,
To od niej uśmiech dziatki śpiące,
I od niej włosy ranne słońce,
A gdy przemówi — czary, czar...!
A co przepowie — jakby stary...

A w cudzym kraju i cóż będzie?
Ziemia na ziemi jak i wszędzie,
Ale ta ziemia — jakaś sucha,
Ale ta ziemia — jakaś głucha.
Zdarzy się w cichej gór kotlinie
Że, jak i u nas, potok płynie,
Szumi, po skałach się rozbija,
Woda cię mija — człowiek mija.
Nikt ci nie powie: — Pochwalony! —
— Na wieki wieków! Pod odwieczną
Drogą tą białą stopy wleciesz;
Głazy i głazy, i znów głazy,
Choć się obejrzysz i sto razy,
Nikt się za tobą nie obróci.
Z suchym się ostem wietrzyk kłóci,
I kłos, by żalem wskroś brzemienny,
Przy ziemi chwieje się nieplennej —
Do tego kłosa równasz siebie,
Co na jałowej rośnie glebie.

Przy drodze, niby druchy twoje,
Pną się berberys i powoje,
A tobie, na ów widok kwiatu,
Skądś — nie wiada... — w myśli stanie
Twoje kochanie, nie kochanie,
Co w złote włosy kwiatki wplata.
Patrzysz — z dalekich wierzb warkocz,
Woda obrywa liście drobne,
Woda na morze listki toczy —
• Czyż to do ciebie niepodobne?
Ty sam przed swoim zawdy okiem
Ty jesteś wierzbą, kraj potokiem.

Za którym twoje myśli cieką
I płyną, płyną tam daleko,
I wciąż się świecą, a tęsknota,
Jak ta pod wieczór barwa złota,
Na wszystko błyska, coś porzucił,
Żebyś oglądał się i smucił...

Przecież za słówko: »Szczęść ci Boże!« —
Za dobre słówko dla pielgrzyma,
Choć w oczy chłodny wiatr zadyma,
Choć was nie ujrzę nigdy może —
To »szczęść wam Boże« za otuchę,
Za kroplę wody na posuchę.
Oto mi zda się, żem u zdroja,
Że szczęsne było życie całe
I że mi wody siostra moja
Przechyla swoje wiadro białe,
 Że mnie matka miła,
 Na pierś przyglądziła:
 — Witaj z długiej drogi!

Do mojego grajka.

Teofil Lenartowicz.

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
I basista nie najgorzej:
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi!

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A już smyczek sam mu chodzi.

Czasem to się tak zaduma,
Że go łokciem trąci kuma...

Za nutami — jedna druga,
Ta króciuchna, a ta długa;
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianozęci.
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę,
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą;
Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwytą:
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

A zawracaj od komina
Çzapka na bok, ostra mina!
Z przewieszoną tedy połą,
Pomaluchnu, ano wkoło,
Potem rażno na odsiebkę...
Bodajże cię za tę skrzypkę!
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Danaż moja, dana, dana!
Od wieczora aż do rana,

Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze;
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrzmoci.
Zagrajże mi, grajku, proszę...
Wysypię ci w skrzypkę grosze;
Zagraj, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie!

Hagar na puszczy.

Kornel Ujejski.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A wkoło pustynia; — do Ciebie, Jehowa,
 Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw, Panie! by niebo nademną wychłódło,
I skały granitu zmień, Panie, na źródło,
 A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż, Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
 Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
 Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
 I cierpi i płacze mój syn.
Jam, Panie, kochała i była kochana,
Szczęśliwą, — to słusznie, że jestem karana,
 Lecz syn mój Ismael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada jak kwiat;
Ja tobie, o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając, gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna wśród nocy i wrzasku:
Dławionej gazeli to wrzask;
A wkoło szakale oczyma mi świecą:
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ocz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawisnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa: och wody, och rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu.

Pogrzeb Kościuszki.

(W skróceniu.)

Kornel Ujejski.

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żalłość górująca,
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot bo-
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści, [leści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łąny,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żalosną zwilżyły się rosą,
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa, — ta najgłośniej
[szłocha.

O, panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chlōpi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczerą skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiedze.

* * *

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana;
U jej progu stanął Kmita i »co zacz on?« pyta —
Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj, mości
[Kmita!

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach, na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: »Ja, król chłopków, rękę ci podaję,
Wždy obadwaj my uczeili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!«

* — *

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli¹⁾
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, co, gdy kościół pełny, stają przed kościołem.

Już skończono mszę żałobną. W chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana
puszczono:

A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: »Och, już go za-
mknęli!

Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy;
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach!

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptak-by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.«

Tak lud żali się i marzy, — urywane słowa
Zwolna cichną — lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

* — *

¹⁾ Ks. Paweł Woronicz, późniejszy arcyb. warszawski.

I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona? cóż w nią schować naspoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz — jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... »Hej do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kiedy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więteż ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakrament,
Złóście w urnę i mogile dajcie na fundament.«

Tak zrobili. Z brzaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopci i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie hyżej,
A krakowska cała ziemia woła: »Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...«
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą; Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki!

Zwierzyna.

Władysław Syrokomla.

— »Strzelcze! hej panie strzelcze! co chcesz za kwi-
czoła!«

Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła,
Dogania go z pospiechem, a strzelec wąsaty
Popatrzył na twarz chłopca, na odzież szmaty,

I pomruknął niechętnie: »Ha piękna mi sprzedaż,
Co ja chcę, to chcę, malcze, ty mi pewno nie dasz.
Dwa złote!... nie dla ciebie, to zwierzyna droga«.

— »Dwa złote! dobry strzelcze! bój się Pana Boga,
Mam dwuzłotkę, to prawda, lecz mi reszty trzeba,
Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,
I zanieść do apteki ten przepis doktora,
Bo widzisz, panie strzelcze, moja matka chora,
Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
Pan doktor kazał warzyć rosół ze zwierzyny,
Mój ojciec stary cieśla — a my niebogaci,
Przedaj mi za złotówkę, a Bóg ci dopłaci!«

— »Jak żyję, nie słyszałem«, rzekł strzelec wesoły,
»Aby pani cieślowa miała jeść kwiczoły,
Na chorobę jest u mnie recept doskonały,
Powiedz matce, niech palnie kieliszek gorzały,
Ja za złoty nie strzelam ptactwa dla biedaków,
Nabój drożej kosztuje, nie licząc już kłaków«.

— »Hej strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwiczoła?«

Tak z błyszczącej kolaski jasny pan zawoła,

— »Pięć złotych, jasny panie, i groszy dwadzieście,
Teraz strasznie zwierzyna podróżowała w mieście,
A wyszukać a zabić, wielką miałem pracę«.

— »Strzelcze! ja ci półtora, ja ci dwa zapłacę,
Oddaj mi!... mówił chłopak bolejącą mową,

»Sam mówiłeś dwa złote!... a gdzież twoje słowo?«

— »Czego chce ten ulicznik?« rzecze pan z kolaski,

— »Łaski! Wielmożny panie! proszę małej łaski,

Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,
To mojej chorej matki lekarstwo jedyne,
Doktor kazał!...«

— »Doprawdy! czy masz młynka w czubie?
Uważasz, mój kochany! ja kwiczoły lubię,
Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jadlo!
I bardzo mię to cieszy, że kupić wypadło.
A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?
Oszczędność w waszym stanie, oszczędność, mój bracie!
Dla chorej matki klejek... niech doktora spyta,
Można trochę posolić, to rzecz wyśmienita,
Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara.«
To mówiąc pan strzelcowi zapłacił talara,
Wziął kwiczoła i skinał swem pańskim obliezem,
Dziecię w płacz — stangret spojrział i smagnął je biczem.

Kolaska się po bruku potoczyła żywo,
A strzelec do gospody wyruszył na piwo,
A ubogie pacholę z dwuzłotką w dłoni
Stoi jak skamieniałe i łyzy ciche roni.
Ostąpili je wkoło uliczni krzykacze,
Patrzajcie, jak on płacze... jak on śmiesznie płacze.

* * *

Coś w tydzień... na mogiłki trzy trumny przynieśli;
W jednej leży w łachmanach biedna żona cieśli,
W drugiej wąsaty strzelec, co w podpiłej dobie
Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie,
W trzeciej trumnie wspaniała karawana jedzie
Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi kolejną,
Panu stroją katafalk i psalmy zaś pieją;
A tam... w krainie duszy, Archanioł już woła
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.

Grabarz.

Władysław Syrokomla.

W kościele trumna — słyhać organy —
I śpiew szpitalnych nędzarzy;
A przy kościele grabarz w pół-pijany
Wsparł się na rydlu i gwarzy:

»Pocziwy rydel!... służy mi godnie,
Kopie tu żwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie,
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.

I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono — i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
O biedna... biedna niewiasta!...

Co tam niewiasta? póki odwyknie,
Płacze i mówi pacierze,
Potem... filozof... jak człowiek łyknie,
To zdrowiej te rzeczy bierze.

Na przykład... ktoś sam schodzi ze świata —
Grabarz mu jamę otworzy;
Mniej jednym człkiem... zdaje się strata,
A może zresztą niegorzej!?

Człowiek stworzenie Boskie rozumne,
Już go nie pogrześć jak bydło;
Szpital za dzwony, stolarz za trumnę,
Za lampy, świece, kadzidło.

Ksiądz za msze święte, psalmy pokutne,
Grabarz, że kopiąc się trudzi, —
Każdy grosz weźmie... śmierć — prawo smutne,
A z niej pożytek dla ludzi!

Jeden coś traci... to drugi zyska;
Bo wszyscy — Boża drużyna,
A tam pod ziemią... trupie kościska
Gnią — zwyczajnie jak glina.

Na trupie dziecka wąż się obwije,
Mędrcom szczur wlezie do ucha,
I gniazdo złoży i mózg mu wyje,
W piersiach dziewicy — ropucha.

E! lży się kręca... lecz niema rady;
Nie tylko człeka co z duszą,
Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady,
I oneż przecie jeść muszą.

A potem z trupa korzysta bliźni,
Bo zgnije trumna i koście,
A od zgnilizny grunt się użyzni,
I bujnie trawa porośnie.

Czyż tylko trawa? — na złęgc grobie
Rosną pokrzywy i chwasty,
A dobry człowiek wyda po sobie
Jagódkę, kwiatek krzewiasty.

Lub piękne drzewko wyskoczy hożo, —
Więc idzie korzyść koleją,
Czasem tak bywa... cmentarz zaorza,
A na nim żyto posieja.

I kupa kłosów urośnie z ziarnka,
Och! jak to słodko i ładnie!
Na piersiach ojca córka żniwiarka
Mendel zbożowy nakładnie.

To cóż, że cielsko zjedzą robaki,
Kiedy grób chleba przymnaża?
Boże mój, Boże! gdyby zgoń taki
Na przykład... dla mnie nędzarza!

Na chwałę Twoją niech idzie, Panie!
Com ja wycierpiał za młodu;
Teraz na starość w zdartej sukmanie
Ginę od głodu i chłodu.

Wczora tak słodko, tak miłosiernie
Cieszył mię Pleban Dobrodziej:
Że za łzy moje, za moje ciernie
Pan Bóg mię niebem nagrodzi.

Chcesz mię nagrodzić, Ojczy światłości?
Będę zapłacon obfito:
Niech z moich kości, dla potomności
Wyrośnie kwiatek lub żyto.

Skarga Żmudzinów.

Włodzimierz Wolski.

Śpi cicho sioło, w bory otulone...
Bój męczenniczy kona już dokoła;
Ale powstańcy nie weszli w tę stronę,
Choć za nich modlą się po chatach sioła,
Bo — wbrew podchwytnym obiecankom cara —
Wiąże ze swymi krew, serce i wiara.

Śpi ciche sioło marząc, czy o świetle
Bóg ześle słotę lub słońko zapali?
Noc ciemna wdziała szarej mgły okrycie...
Wtem psy zawyły — i oddział Moskali
Wysunął z boru jak dzik z trzęsawiska,
Przystanął i kłami bagnetów błyska.

— Rebiata! spędzić mi z chat wszystkich chłopów,
Kolb i nahajek wsypać dobrą miarę —
Ciemno! — zapalić chat i stodoł parę —
I do płomieni nie żałować snopów!

Kazał oficer. Dla carskiej rebiaty
Mordować śpiących, bezbronnych — to święto!
Dziki śmiech z jękiem wstrząsnął wszystkie chaty.
Jakby psów sfora, szczuta krwi zachętą,
Pędzą w pół-nagich, zwleczonych z pościeli,
Co się tak nagle i krwawo ocknęli,
Mężczyzn, niewiasty, starców, drobne dzieci —
A pożar z czterech rogów sioła świeci.

— Księdza, powstańca, skryliście zbrodniarze;
Wrzasnął oficer, krwawiąc ludziom twarze.
Próżno zaklina się trwożna gromada,
Próżno mu niewiast kilka do nóg pada.

— Milczycie? Dawać tu pałki i pletnie!
Zaraz się język buntowników przetnie.
Babę pletniami, a na chamów pałki.
Zimno! Rebiata, palnijcie gorzałki!

Ciało w kawały rwa pałki i pletnie!
Lecz nic nie wiedząc, biedni męczennicy
Jękami tylko mówią.

— Szubienicy

Na buntowników! Ot ich krzyż w pobliżu!
Będziemy wieszać psów na ich psim krzyżu! —
Pieniąc się, wołał do rycerskiej roty
I do kozaków porucznik piechoty.

.....
.....
— Unteroficer! zacniemy od dziada!

Będiesz mu brodę po włosku wyrывał,
A gdyby jeszcze dziad nie nie wyśpiewał,
Bierz go na stryczek, wnuczka się wygada;
Choć błąda, chuda, przyłóż jej nahajki
Ostro — a teraz daj ognia do fajki! —
Unteroficer miał w tych dziełach wprawę,
Lecz gdy mu na dłoń z siwych włosów pękiem
Krew zabryzgnęła, gdy z nieludzkim jękiem
Zemdlony starzec upadł na murawę,
Kat wspomniął chatę rodzinną daleko...
I na jej przyzbie własnego rodzica
Z takimże włosem bieluchnym jak mleko,
Z takąż zadumą zgrzybiałego lica —
Więc zadrżał, zimny pot z czoła ociera,
Opuścił ręce w osłupieniu głuchem...
Porucznik za to dał mu w twarz cybuchem,
Aż zbił trzy zęby unteroficera.

Na miejsce jego wbiegł kozak opiły,
Z bydłęcym śmiechem schyla się ku ziemi,
Lecz już trup tylko z oczyma szklistemi
Leżał tam sztywny, krwawe łyzy broczyły
Lice i świtę... Kozak stryczek wkłada
Na szyję trupa.

Nagle wystrzał pada
Blizkiej pikiety — i człowiek wysoki
W łachmanach, blady, pospiesznymi kroki
Idzie od krzyża.

— Hej rebiata do mnie!
Zasadzka! Wszyscy stać w wojennym szyku!
Wołał zmieszany Moskał nieprzytomnie.

— Sam jestem, nie drżij, carski rozbójniku.
Księdza-powstańca w tych borach szukacie,
Coście go wczoraj przy spalonej chacie
Spotkali — lecz wam zniknął w oczerecie...
Jam ów ksiądz, próżno tutaj mordujecie
Niewinnych ludzi.

— Jak przed sądem Boga,
Za chwilę pewno z ciała się wyzwolę,
Przysięgam, nigdy nie powstał w tem siole.
Jam wasz wróg — mnie więc morduj jako wroga,
Wszak tylu lepszych padło dla swobody,
Lecz nie męcz biednych, nie pal im zagrody!

W oku Moskala zabłysły pochodnie
Dzikiej radości — tak patrzy złoczyńca,
Kiedy bezkarnie może spełnić zbrodnię,
Wilk musi patrzeć, kiedy wśród gościńca
Ujrzy za końmi opóźnione żrebie.
Połknął dym z fajki, rozśmiał się do siebie...

— Chcesz się poświęcić za chłopów, ty sztuka
Harda — rzekł — mnie twój wybieg nie oszuka.
Żeś w siole nie był, wierzę, ale wiedział,
Bratku, ktoś z sioła, co ty w boru siedział.
Ja rozkaz spełniam, sioła nie wybawię,
Na popiół spalę, zamęczone gromadę...
Słuchaj — rzekł ciszej — wiem jedyną radę:
Chyba, że zechcą przejść na prawosławie.
Ty nie, bo ty masz serce niezachwiane,
Ale wpłyni na nich, gdy przysięgę złożą,
Przygasim pożar, pletni zaprzestane,
I może tobie — za pomocą Bożą —
Los twój osłodzę — czestne słowo — księżu!
Ksiądz żywo odparł:

— Gromada przysięże!

I wraz do ludu po żmudzku zaczyna:

— Słyszycie, bracia, tego poganina,
Jak na niedolę naszą plwa bluźnierca,
Jak bluzga błotem w Zamajtysów serca?

— Wszak przysięgacie, że choćby katuszy
Przestali wrogi, sypali wam dary,
Nie odstąpicie ojców waszych wiary,
Plugawym popom nie sprzedacie duszy?

— Wszak przysięgacie, że w mękach nad siły
Tak się przed katem z trwogi nie poniżym,
Abyśmy gardząc naszemi mogiły
Mieli się modlić przed moskiewskim krzyżem?
Wszak przysięgacie? —

Słysząc ciche szmery,

Lecz wraz przy ognia skwierczącym hałasie
Zabrzniał głos ludu zbolący lecz szczery:

— Tak przysięgamy, ojcze Kunigasio!

— Co, księżu, szczekasz czartowskiem narzeczem?

Wrzasnął porucznik, co nieco po żmudzku

Wkońcu zrozumiał. — Gdy nie chcesz po ludzku

To ciebie, zwierzę, z chłopami zawlecze

Do Murawjewa, on dobrze zapłaci

Za to kazanie do Żmudzinów braci.

I ja też trzymam się jego zwyczajów:

Rebiata! Sypnąć mu pięćset nahajów!

A ksiądz się modlił cicho:

— Przez dni cztery

W ustach nie miałem nic prócz wody z strugi;

Jak wątle drewno pod cięciem siekiery,

Jeśli osłabnie ciało twego sługi —

I będę błagał miłosierdzia katów....

Panie! Twym duchem ożyw słabość ciała! —

Nagle wyrywa się z pośród żołdatów,

Siły w rozpaczne łącząc wysilenie;

Gdzie blisko chata płomieniem buchała,

Pobiegł mdlejący i skoczył w płomienie,

I jeszcze z sykiem poruszonych węgli

Brzniał głos: Pomnijcie, żeście mi przysięgli!

Za pożegnanie z czynem kapitańskim,

Gratyfikacją i Anną w petlicy,¹⁾

Porucznik, krzywiąc twarz śmiechem szatańskim,

Wrzasnął: — Zapłacę ja wam buntownicy!

¹⁾ order rosyjski.

Hulać rebiata, — na cześć Murawjewa —
Hurra Murawjew, świętej Rusi słońce!

Przerażający płacz niewiast się zlewa
Z ponurym jękiem ludzi, których dońce
W płomień rzucają, z płaczliwymi krzyki
Dzieciątek, które wdzierają na piki.

... W dalekie strony zagnali gromadę,
Wicher szczątkami zgorzelisk pomiata;
Gdzie gwarne sioło, dziś pustkowie blade.
Gdzie żyzne pola, stepu łysa szmata,
Blizna jałowa wśród borów zieleni —
Straszna, kiedy ją słońce opromieni,
Straszna, gdy kruków i wron stada całe
Kraczą dziękczynną cześć Murawjewowi
Za świeże trupy, gdy wilki zgłodniałe
Wyjść po nocy, krążą wśród pustkowi;
Straszniejsza, kiedy lud z pobliskich włości
Patrzy na zgłiszczą ze łzami wściekłości...

Przypowieść wschodnia.

Roman Zmorski,

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czcią przystąpił młodzian nieśmiały:
— »Pomarli — rzeczy — rodzice moi.
Chciej mię pouczyć, czy nie ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?«

— »O nie! zostały cztery i wielkie:
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi:
We czci zachować co szanowali;
Strzedz od ruiny, co zbudowali!«

Karliński.

Adam Paigert.

Pod Olsztynem obozem wkół leżą
Księcia Maksa wojenne szeregi,
Raz i drugi do szturm uderzą,
Lecz się łamą, jak fala o brzegi:
Zdobyć twierdzy obronnej nie mogą,
W niej Karliński dowodzi załogą.

Więc na sioło poblizkie napadli,
Na dom wodza załogi fortecznej.
Ach, spalili ci dom i wykradli
Twoje dziecię, o wodzu waleczny!
Twego synka, niemowlę w pieluchach,
O złocistych na główce swej puchach.

Twoje dziecię z piastunką, co płacze,
Zapędzili pod mury Olsztyna,
I mówiły te dusze żołdackie:
— Olsztyn w ręce da nam ta dziecina.
Więcej zdziała od naszych oręży,
Tylko ojciec w nim wodza zwycięży.

Przypadł goniec pod okop zamkowy
I zatrafił pokoju sygnałem;
Z dzielnym wodzem zażądał rozmowy
I odezwał się słowem zuchwałem:
— Otwórz bramy przed armią niemiecką,
Oddaj Olsztyn, lub zginie twe dziecko.

Skroń starcowi oblała się potem,
Zbladnął, zgrzytnął, boleścią rozdarty,
Serce biło o pancerz jak młotem;
Długo milczał, na szabli oparty.

Nagle cały się wstrząsnął gwałtownie
I zawołał: — Nie oddam warowni!

Ho, do szturm tam biegną ich rotę!
A jak biała chorągiew na przedzie
Świeci dziecię, aniołek ten złoty.
Czyż do boju szatanów tych wiecie?
A głos w dzikim rozlega się gwarze:
— Przecież strzelać do syna nie każe?

Długo rycerz stał niemy na wałach,
Oko żarem straszliwym mu świeci,
Bombardjerzy na hasło przy działach
Oczekują... Wódz nagle lont chwyci,
Błysnął płomień, padł wystrzał armatni,
Padł pod strzałem syn jego — ostatni!

Wszystkie działa ryknęły wystrzałem,
Huczą pieśnią pożogi straszliwą,
Dymy gęstym rozsiadły się wałem,
Napastnicy nie ujdą stąd żywo!
Pod czarnymi fortecy murami
Całe błonie zasłane trupami.

I jak oko daleko zasięże,
Pod Olsztynem nie widać już wroga...
Wojownicy otarli oręż,
Ale milczy zwycięska załoga:
Dziś nie pora okrzyków wesela,
Wojsko wodza żałobę podziela.

On milczący wciąż stał przy armacie,
Długo patrzył na krwawy plac bitwy.
Czy skamieniał po ciężkiej swej stracie?
Czyli w ciche utonął modlitwy?

Spojrzał w niebo, potem głowę skłonił
I twarz sobie rękami zasłonił...

Stoi orszak rycerzy szlachetny,
Lecz nikt nie śmie przerywać tej ciszy;
Wtem się ozwie on ojciec bezdzietny
I do swoich tak rzekł towarzyszy:
— Wyście świadkiem, mężowie olsztyńscy,
Że tak poległ, jak wszyscy Karlińscy!

Idźmy dalej.

Seweryna Duchńska.

Czy nas zima mrozi lodem,
Czy skwar letni pierś przepali,
Z dzielną wolą — z duchem młodym
Idźmy dalej! idźmy dalej!

Choć nam nieraz bratnie słowo
Utkwi w sercu ostrzem stali,
W Bogu czerpiąc siłę nową
Idźmy dalej! idźmy dalej!

Niechaj piorun błyska w górze,
Niech stuletnie dęby wali,
My przez gromy i przez burze
Idźmy dalej! idźmy dalej!

Czy świat gorzkim jadem bryźnie,
Czy wyszydzi — czy pochwali,
Służąc Bogu i Ojczyźnie
Idźmy dalej! idźmy dalej!

Gdy nad Dnieprem i nad Wisłą,
Bracia z bolu skamieniali,
Choćby słońce nam nie błysło,
Idźmy dalej, idźmy dalej!

Bóg od wieków mnożył plony
Tym, co wiernie w służbie trwali,
Niech On będzie pochwਾਲony,
Idźmy dalej, idźmy dalej!

Dziaduś.

Mieczysław Romanowski.

Kibitki stoją przed dworem,
We dworze światła goreją,
Tam stary dziaduś wieczorem
Dziatwie i wnukom koleją
O bojach za Polskę prawi
I przyszłość ich błogosławi.

„Służcie Ojczyźnie! — tak woła,
Zgubion, kto Polsce nie służy.
Ani przy śmierci anioła,
Ni ciszy serca wśród burzy,
Nie będzie dusza mieć taka,
Hańbiąca imię Polaka.

Upadlim, ale powstaniam!
Nikczemni tylko znikają;
Pan blizki ze zmiłowaniem,
Gdy serca w dzielność wzrastają,

Służcie Ojczyźnie wytrwale!...«
Wtem we drzwiach stają Moskale!

Przelekła wnucząt gromada
Do dziadka ciśnie się drżąca;
Jak kłósie do nóg mu pada,
W oczy się patrzy milcząca,
Jęknąć słoweczka się boi...
Moskale stoją — dziad stoi.

„Miateżnik! — sprawnik doń rzecze,
Na ciebie Sybir jest w prawie!
Tyś krzyż postawił, człowiecze,
Za postrzelanych w Warszawie!
Ty kochasz plemię to wraże,
Car w Sybir odwieźć cię każe!»

I skinał, by mu okuli
Łańcuchem ręce i nogi...
Do dziadka dziatwa się tuli,
Mimo żołdaków batogi:
»O dziadku! — woła ze łzami,
Obroń się, pozostań z nami.«

«Bóg z wami! — dziaduś odpowie,
Ojczyźnie służcie wytrwale!
Ja na sybirskie pustkowie,
Gdzieś moje kości powale,
Lecz duch mój będzie nad wami,
W niebiosach, między gwiazdami.»

Ku ojcom.

Mieczysław Romanowski.

Przebaczcie ojce, mężowie zbrojni,
Wyście już w grobach spali spokojni,
Minione boje wam się i nie śnią,
A ja was moją rozbudzam pieśnią.

Sercem kopałem groby aż do dna!
Aby was zbudzić mogła dłoń godna,
I nim podniosłem mogilne sochy,
Łzami ja wasze zlewałem prochy.

Budzę was, bo mi tęskno za wami!
Chciałbym pogonić w cwał z husarzami,
Na karkach wrogów strzaskać bułaty
I pełną piersią spełniać wiwaty:

Cześć tym, co pierwsi na wroga biegli,
Cześć tym, co w boju mężnie polegli,
Cześć towarzyszom w pancernej rocie,
Bojowym orłom w stali i złocie!

Budzę was, ojce! powstańcie razem,
Zbrojni sercami, zbrojni żelazem,
Z dumą na czole, kopiją w toku,
Na dzielnych koniach i z gromem w oku!

I polecimy jak świat szeroki,
Przed nami pomkną orły, obłoki,
Zagrają wichrem stepy i morza
I zejdzie w chwale poranna zorza.

A gdy nad pola wzbije się słońce,
Zdziwi się, co to za nowi gońce,
Na jakie kraje skrzydlaci lecą,
I komu w oczy gromem zaświecą?

Lecz nie przekroczym naszej granicy!
My tylko jako wierni strażnicy,
Wkoło po własnej przelecim ziemi,
Czy się gdzie zdrada u nas nie plemi.

Bo czarnych duchów pełno na świecie...
Więc w pańskie dwory, pomiędzy kmiecie,
Pójdziemy z pieśnią i dźwiękiem stali,
Lackiej krainy stróżowie biali.

Spytamy panów, czy pamiętają?...
Chłopków, czy hojny dobytek mają?
A gdy nawiedzim serca i domy,
Znowu nam w drogę zanucą gromy.

Wy polecicie na nasze słońca,
W krainę bożą bez dna, bez końca...
A ja z mą lutnią zostaniem sami,
Ponad grobami, tęskni za wami.

Aż mi znów skrzydła porosną w pierze,
I dusza hartu stali nabierze,
Wtedy uleczę, ojce, za wami,
I znów was tutaj zaklnę pieśniami.

Polska mowa.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska.)

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś świątynią marmurową,
Kędy przeszłość w pełnej zbroi
Na ołtarzu wspomnień stoi.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś mądrością jest ludową;
Na niej wije się myśl kmiotka,
Jakoby nić kołowrotka.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jest czarą brylantową,
Gdzie młódź usty spragnionemi
Pije miłość polskiej ziemi.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jutrzenką purpurową;
Póki nie zagaśnie ona,
Dusza twoja nie zgaszona.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyżeś lutnią jest spiżową,
Na której myśl, wiecznie żywa,
Hymny prześliczne wygrywa.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jest trumną kryształową,
Gdzie uśpiony naród święty,
Zamknął swych pamiątek szczęty.

Dwa anioły.

Adam Asnyk.

Dwa anioły spotkały się w locie
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie,
Miał wejrzenie jakby rannych zórz;

Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Łez brylantem świecił jego wzrok,
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok...

»Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów,
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

Tam widziałem w ciemnej nieszczęść nocy,
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój,
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą...
I miłości owiałem je tchem...
A z dwóch smutków, nad dawną żałobą,
Szczęście rajskim wykwitnęło snem!»

»Ja — rzekł drugi w gwiazdzistej koronie,
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie
I na zawsze kołem ich ból.

Tam spotkałem pomiędzy innemi,
Jedną duszę szlachetną bez plam, —
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknnością dorównywał nam.

Lecz dojrzałem, że w żywota męce
Zaczął chwiać się... rdzy dostrzegłem ślad
I strwożony wyciągnąłem ręce,
By padając, nie poplamiał szat.

I miłością prowadzony czystą,
Jak najciszej zbliżyłem się doń:
Zarzuciłem zasłonę gwiazdzistą
I na sercu położyłem dłoń.

W mych objęciach on teraz bezpieczny,
Bo już władzy nie ma nad nim czas —
I zostanie w swej piękności wiecznej,
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz.«

S ł o n k o .

Adam Asnyk.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: »Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoje.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.«

Słońko na to: »Biedne dziecię,
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myśle świecie
I o ludzi ciężkich losach;

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną;
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść i — świecić!«

Siedzi ptaszek na drzewie.

Adam Asnyk.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa.
Pot się leje im z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

Do młodych.

Adam Asnyk.

Szukajcie prawdy jasnego promienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśnięcie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzenie z błękitów —
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwyków,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele,
I nowy udział bierzcie w wieków dziele —
Przyszłości podnoście gmach.

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść:
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów.

Credo.

Marya Konopnicka.

W Mądrość Przedwieczną, która światy tworzy,
Słońce zapala, sieje blaski zorzy,
Morze napełnia i gwiazd drogi strzeże,
W Boga i w Ojca wszechistnienia wierzę!

W Miłość Najwyższą, co wzgardziła niebem,
Z ludźmi się dzieląc gorzkim życia chlebem,
W Miłość, co krew Swą dała nam w ofierze,
W Zbawcę ludzkości, w Krzyż Chrystusa — wierzę!

W serc czystych Twórcę i Pocieszyciela,
W Światło, co wieki i ludy obdziela,
W Bóstwa z człowiekiem wieczyste przymierze
W Ducha Świętego, w Świętą Trójcę wierzę,

Wiara tą znaczę pierś i czoło moje,
O spraw to, Panie, niech przy niej dostoję,
Ukarz, gdy lud Twój zasłuży na karę,
Lecz nam pozostaw ojców naszych wiare!

Bogarodzica.

Marya Konopnicka.

Głos: ...Nigdy ja ciebie, ludu, nie rzuciła,
Nigdy ci mego nie odjęła lica,
Ja — po dawnemu — moc twoja i siła!

Lud: Bogarodzica...

Głos: Rzeszom twym dzisiaj skroś zmierzchów het-
Jako w zaranie. [manię

Przed tobą idę i przy tobie stoję,
Z bojowem hasłem, z piór orlich szelestem,
A kiedy ducha bierzesz na pierś zbroję,
Tarczą ci jestem...
w klęsce nawet w blask odziewam złoty
Poległe rotę.

Sztandar ja niosę ponad ziemię wzbity,
Żeby go oazy gasnące widziały,
A iżby znak mój powiewał w błękity,
Jak za dni chwały...

Sztandar ci niosę, a nie puszczam z ręki,
Mimo wiek męki.

A choć go dzisiaj wiatr nie żenie chyży,
Co orły moje porywał na boje,
Choć poczerniały u mogił, u krzyży
Proporce moje,
Lecz żołnierzowi sztandar i zwinięty
Drogi i święty.

Żołnierze sąście zawołania mego
I mej chorągwi towarzysze wierne,
A poprzez wieki rubieży mych strzegą
Duchy pancerne...
Żołnierze sąście, sąście kość orłowa
Rycerzy słowa!

A ja was wiodę i stawiam, gdzie trwoga,
Przez sioła, grody, a przez ziemie rolne,
I tak sprawuję zdane mi przez Boga
Hetmaństwo polne...
Od mej buławy idzie rozkazanie
Szumem po łanie.

A ja was wiodę, niewiasty i męże,
Na mury fortec i za twierdzy bramy,
Bo choć dziś inne bronie i orężę,
Lecz bój ten samy...
A przebojowan być musi i będzie
W mojej komendzie!

Ten tylko bowiem lud upada w cienie,
Który sam sobie nie dochował wiary —
Temu, co stracił sztandaru widzenie,
Na nic — sztandary!

Mocnym i wiernym duchom ja hetmanię,
Jako w zaranie!

A wy się czujcie nie jak luza marna,
Co krzykiem trwogi przed bojem wybucha,
Lecz jako zwarta chorągiew i karna
Na żołdzie ducha...

I jak rycerstwo, któremu hetmani
Niebieska Pani!

Tak odnowione jest zaprzysiężenie
Hetmaństwa mego i rycerskiej wiary,
A wy zatknijcie nad groby i cienie,
Światła sztandary...
Scheda wy moja i moja dzielnica...

Lud: Bogarodzica!...

Pieśń Pracy.

Marya Konopnicka.

Na dział! na dział!
Na ornej ziemi dział!
Tam więdźmy pług słonecznych dróg,
Tam płacmy wielki ojców dług,
Dziedzice klęsk i chwał!
A nasze klęski — to tych pól
Martwota stara, stary ból,
Krzywd starych zmierzch i noc...
A nasza chwała — światło, ruch,
A nasze hasło — bratni duch,
A miłość nasza — moc.
Na łan! na łan!
Na ornej ziemi łan!

Tam ducha wiew, tam jutra siew,
Tam poty nasze, nasza krew,
Tam tryumf nam jest dan!

A wrogi nasze — nędza, cień,
A bronie nasze — chleb i dzień,
A sztandar — żywy trud...
A pole nasze — duchów bój,
A szańce nasze — pracy znój,
A tryumf — bratni lud!

Poszłabym ja...

Marya Konopnicka.

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną, mroczną dal...
Tylko mi cię żal,

Ty ziemio,
Gdzie kurhany cicho drzemią,
Gdzie się w stepach biela kości,
Gdzie kwiat mdleje od żalości,
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,
Do szumiących fal...
Tylko mi cię żal,

Ty chato,
Pod tą lipą rosochata,

Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie,
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...
Tylko mi cię żal,
Sokole,

Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

Na gody.

Marya Konopnicka.

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę...

Dali łapcie z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba:
— »Idźże, Jaśku, w świat szeroki,
Na wschód słońka, na wschód nieba...

Jeszczećbym ci w chacie rada,
Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody,
Ano kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie na gody?...

A gódź-że się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę...

A gódź-że się u bogacza,
W dobre słowo, w dobrą wiarę,
Jak przesłuszysz, co się patrzy,
Da ci może buty stare...

A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Siaki taki szmat kozucha.«

— »A i długoż mi, matusiu,
Na te buty służyć w świecie?« —
— »Aż cię, synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca w dół przygniecie.« —

— »A i długoż mi, mateńko,
Na ten kozuch służyć trzeba?« —
— »Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
Z wysokiego swego nieba.« —

Idzie Jasiek po ścieżynie,
Co się spojrzy, to ją minie,
Co się spojrzy to się smuci —
Albo pójdzie, albo wróci..

Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa,
Czegoś skrzypi, czegoś biada,
Dziw do niego nie zagada...

Oj! nie użył Jasiek w chacie,
Ani wczasu, ni swobody...
— Ano — kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie »na gody?« ...

Do granicy.

Marya Konopnicka.

Zaparli chałupę,
I »befel« gwoździem na wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek — dźwignęłam na ręce,
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy...

Patrzę: — z dachu

Jaskółka drobna za nami wyleci,
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci,
Jakby żegnając właśnie... A był ranek
Zimny i wiatr nam zawiewał do kości.
A słońce tlało jak lichy kaganek,
Tak już sam Pan Bóg uskapił jasności
Na onę drogę smętną...

— Szłyśmy razem

Kobiety z dziećmi żalosną gromadą.
Za nami pobok strażę konne jadą,
I klną i dziatwę drobną biją płazem,
Nagłąc do drogi...

— Byłaż to godzina!

Ródząca bólów swoich zapomina,
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli,

I z trzech stron słońca zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą.
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki
Z gniazd wyrzucone, albo z wody ryby.
Jezu Ty Chryste!...

Odwróć ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na ona
Chatę, obórkę, na sady wiśniowe,
Na wdowią rolę trójpotem zroszoną,
A ta mi strzecha stanęła jak złota
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra... A wszystko od płota,
Aż do żórawia, co moknie w studzience,
Wydąło mi się, jakby było żywe,
I jakby do mnie wyciągało ręce...
Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy, a choć w trawie stała,
Nie posięgała się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się, a wzdycha,
Właśnie jak człowiek...

Dziw, żem tam nie padła,
Taka mnie żalność zdjęła. Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie,
Między tych matek żalnym narodem...
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kęserek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,

Z własnego ziarna, z pod własnego nieba ...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał lezko, jakby czegoś zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce ...

A bliżej koło mnie

Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa,
I drogi sobie kijem szukająca,
I jak osiki listek cała drżąca.
Więc że jej stare nie służyły nogi,
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz ... Upadła wśród drogi,
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało,
Jak w Weroniki chuście, i zostało,
Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona
Pod okiem Boga do ziemi tej łona.

Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące,
A tu ni stanąć, ni sięść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą,
Albo jak kawki w polu ...

Dalej! Dalej! ...

Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali,
A na rozstaju był krzyż. Więc się one
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły,
A gwiazdy weszły na niebo czerwone,
Jak krwawe, Boże łzy — i tak świeciły.

O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz ochronę,
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone? ...
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu,
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu? ...
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze ...
Myż tylko sami pomiędzy wszystkimi
Mamy być wieczni tułacze? ...

.

Ustał płacz niewiast, i tylko się z cicha
Tu, owdzie, łkanie stłumione zaniesie,
A las w oddali to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie ...
W mchu utuliłam zziębnięte dziecińcy,
W nieboszczykową odziewszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny.
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał i o coś się pytał ...
A już od rana plątało się przy mnie,
Drżące w chuście nędznej na tem zimnie,
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzeknę do niej: A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś — odrzecz mi na to.
— A ojciec? — Tato? pomarli i tato...

— Cóż ty robisz? — A mnie wypędzili,
Precz mi kazali biec za innemi...
I jak to kurczę, głowinę pochyli
Na bok i do snu skuli się na ziemi.
Więc ją fartuchem okryłam, i wstałam,
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

.
Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce,
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci
Jedno po drugim przez dwa dni i trzeci.
A było już ich jako w konieczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie...

.
Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,

Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie strażę,
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś zczernieją od łez i tak zmieniają
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą,
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby...

.

A teraz choć dzień, jest mi w oczach ciemno,
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem.
A jestem dzisiaj porażona gromem,
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swoim cieszyła mi duszę...

.

A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę.

.

Bez dachu.

Marya Konopnicka

Noc się podniosła, cała w mgłach i bieli,
I srebrnem tchnieniem owiała stolicę.
[brylantowych iskier błyskawice
Roztliła w śniegów pościeli.

Kto miał ognisko własne i ramiona,
Co go czekały jak pieśzcot ponęta,
Mówił do nocy tej: »błogosławiona!«

Kto nie miał, mówił: »przekłeta!«

A takich głosów było, ach! tysiące...
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...
O gwiazdy! czy Bóg je słyszy?

Patrzycie blade i ja patrzę blada,
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...
O gwiazdy! jeżeli która odpowiada,
Ja was dosłyszeć nie mogę!...

* * *

O nocy srebrna! o nocy królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...
A mglistą szronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą.

O nocy! czyliż gwiazd twych jasnych z nieba
Pragnie ta ciżba wybladła i skrzepla?
Przez litość, słuchaj, wszak oni chcą chleba
I tylko troszeczkę ciepła!

Ach, gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant, co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tę zamieć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci...

I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jedną tę gwiazdkę w błękicie,
Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze.

O nocy! idziesz cicha, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona,
A twoja srebrna, ciężka, długa szata
Całunem jest — dla miliona.

* * *

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stała chłopczyna w tę mroźną zawieję...
Biedny! on myślał, że mur go przygarnie,
Że go ten kamień ogrzeje...

Lecz stróż drzwi zamknął na rygle i naraz...
Łzy się dziecięce jak perły rozsnuły...
»Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras,
Policya... śledztwo... cyrkuły«...

Chłopczyna odszedł, płacząc. Tam w oddali,
Widać świątyni granitowe mury...
A ponad nimi mgła białych opali,
A wyżej — lodowe chmury

I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem.
W powietrzu szronów latały dyamenty...
Chciał wejść, lecz kościół był szczelnie zamknięty
Razem z litością — i z Bogiem.

Ach, gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby chodził ciemnymi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy,
I tulił u swych ołtarzy...

* * *

Skostniałe dziecko szklanemi oczyma,
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna łśni droga;
Chciał się skarżyć, lecz matki już nie ma,
Mówił zatem do Boga:

»Ojcie nasz«!... Boże, czy słyszysz to dziecko,
Co usta z nędzy zbielałe otwiera?

Ach, ono wierzy, żeś mu Ojcem przecie,

I z wiarą taką umiera!

Dziecię mówiło pacierz... mgła srebrzysta

Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,

Z razu gorętsza i błękitno-biała,

Później — dziwnie przezroczysta,

Wreszcie zanikła... W pół otwarte wargi

Przystały szeptać modlitwy i skargi...

Wobec ciemnego milczącego gmachu,

Dziecię skonało — bez dachu.

List Jana Grudy do rodziców.

(Pan Balcer w Brazylii). **Marya Konopnicka.**

...»Piszę ja do was, Rodzicie! moi,

Z struchlałem sercem, z mokremi oczyma,

A między nami morze wielkie stoi,

Nie daje do was i przez moc mnie trzyma,

Iż srogie puszcze są i góry straszą

Między mną tutaj, a hań, chatą waszą.

...Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,

Ranie i wieczór patrzący w tę stronę,

Gdzie jest kłosa! nasz zagon nakryty,

Gdzie łąki nasze o rosie koszone...

I radbym ptakiem przelecieć tę drogę,

I wiatrem radbym przez nią — a nie mogę.

I tak mi w oczach stoi tu, jak żywa,

Ta nasza strzecha snopami poszyta,

I kalenica wysoka, a krzywa,

I dusza o niej zamyśla i pyta...

Ale jej słówka nikt stamtąd nie poda,
Taki szmat ziemi je, i taka woda.

I widzę prawie chruściane te płoty,
Studnię, żurawia widzę, cembrowinę...
I rady sobie nie wiem od żoroty,
I od tęskności — o kęs, że nie ginę...
Przez góry czuję, i przez wielkie morze,
Jak mięta pachnie tam i drzewko boże...

...Chorość mnie tutaj przygniotła, jak brzemię,
Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły.
I prędko pewnie przyjdzie mi iść w ziemię,
Na oceanśkie dno i bez mogiły.
Bo tu moc ludu ginie z tej choroby,
Których rzucają w morze, a nie w groby.

...Tak z onych bogactw wielkich, z majątności
Obiecywanych przez cudze te kraje,
Dla moich, w ogniu trzęsących się kości,
Trzech łokci piasku siwego nie staje,
Co u nas żebrak ma... I nie porośnie
Brzoza nademną baškami o wiośnie.

...Więcbym tu wpisał te smutki, te żale,
I tę śmierć czarną, co na mnie już kracze,
I tę gorącość, co w piersiach mam, ale
Szkoda mi oto matusi, że płacze,
Łzami sypiąca na papier ten biały,
Co go jej morza dalekie oddały.

..Bogdajżeś pierwszej stradała mnie płodem,
Matko, niż na świat, na dolę tę padłem,
Bom jest chorobą ściśniony i głodem,
I jak zwierz węszyć po ziemi za jadłem.
Jak ptak bez gniazda skrzydłami tu bije,
I nocą zrywam się i — jak pies — wyję!

.

..Prosiłbym ja was, byście mi za morze
Odkazowali, jaka była zima?
Czy tatuś pod siew nowiznę już orze?
I czy tam wiosna już, czyli mróz trzyma?
Ale że dusza we mnie nie doczeka,
Niż pismo przyjdzie z takiego daleka...

..Oj leciałbych ja, by gołąb ten siwy,
Alibo żuraw kruczący o wschodzie...
Bo mi się zdaje, że znów byłbym żywy
Po naszym chlebie i po naszej wodzie,
Ale że srodze struchlałe mam kości
Od wielkich żarów tych i od żalości...

..Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się stąd dostać przemógł za żywota.
Ale jak pomrę, to przez bory ciemne,
Przez morze pójdę, co się wichrem miota.
Pójdę i trafię pod chaty okienko...
Tak mi dopomóż Bóg i święta Meko!

.

..A teraz żegnam i kłaniam się pięknie,
Ojczy i Matko, do samych wam kolan;
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie,
I z niedogasłych skry rzuca się polan,

Albo jak dzwierzę kto nocą zarusza,
To będę, matuś, ja i moja dusza.

...Żegnam już wszystkie życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę i pole,
Żegnam i grusze na miedzy, i sady,
I żytnie brogi, i zasiek w stodole,
I całą wioskę od płota do płota,
I kosę moją żegnam już i wrota.

...Teraz mi dajcie bić z wieży we dzwony,
Od wschodu słońca do zachodu słońca.
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
I ostaj z Bogiem, moja kochająca
Matuchno droga! I ty, Ojczyźnie miły!
I kłaniam wam się od mojej mogiły.«

Hymn Polski.

Władysław Belza.

O polski kraju święty!
Warowny domie nasz!
O! jakież niepojęty
Ty dla nas urok masz!
Potężna w tobie siła,
Żywota wieczny źródło:
O Polsko moja miła,
O drogi kraju mój!
Z nad murów Częstochowy,
Boga-Rodzię wzrok,
Twój Pani i Królowej,
Twój każdy śledził krok.
I Jej puklerzem zbrojna,
W Jej upowita czar,

Szłaś wielka i dostojna,
Pod Chocim, Wiedeń, Bar!
Gdzie wstęga Wisły płynie,
Aż po Bałtyku brzeg:
Tam imię twoje słynie,
Tam dziejów twoich bieg.
O! wznies się Orle biały!
O! Boże spraw ten cud:
Niech słońce dawnej chwały,
Ogląda polski lud!
Ojczyzno moja miła,
O Polsko! kraju mój!
Potężna w tobie siła,
Żywota wieczny źródło!
Za wolność twą i chwałę,
Radosny wznosząc śpiew:
Oddamy życie całe,
Przelejem wszystką krew!

Kobiecie.

Władysław Bełza.

Kobieto! tyś aniołem, gdy nad męską głową,
Nad czołem utrudzonem od walki i znoju,
Oczy twoje jutrzeńką zabłysną różową,
A usta niosą słowa miłości, pokoju.

Kobieto! tyś aniołem, gdy na skroń młodzieńca,
Biała dłoń twa opadnie i ogień ochłodzi,
Gdy słowo twe natchnione do trudów zachęca,
Gdyś jest gwiazdą przewodnią i patronką młodzi.

Kobieto! tyś aniołem, gdy wdzięcznie schylona,
Nad kołyską dziecięcia złote gonisz mary,

I synka otulając w matczyne ramiona,
Wcześniej uczysz go wielkiej modlitwy — ofiary.

Kobieto! tyś aniołem... w łunie bojowiska,
Na tle nieba krwawego wśród gwiazd zbladłych z trwogi,
Twój welon, niby gwiazda odkupienia błyska,
Gwiazda, co ma ludzkości nowe wskazać drogi.

Kobieto! tyś aniołem domowego progu!
Wokół ciebie czeladki brzmia gwary, szczebioty,
A ty ją wieszysz cicha ku twojemu Bogu,
Po drodze poświęcenia, obowiązków, cnoty.

Kobieto! tyś aniołem! O bądź dla ludzkości
Zawsze tym ideałem, czynów jej koroną,
Wsparciem męskich porywów, skarbnicą miłości,
Gwiazdą tak, zda się, bliską a niedoścignioną!

O! niech ją ciebie zawsze widzę taką jasną,
Niech wiem, żeś ty mi stróżem, do czynu podniętą:
A choć gwiazdy dokoła na niebie pogasną,
Po twej drodze niebiosa odnajdę — kobieto!

Do młodej Polki.

Władysław Bełza.

Kochaj, dziewczyno! o kochaj szczerze
Prababek twoich święte pacierze!
Czcij pamięć ojców, — bo ojce twoi
Biali orłowie w skrzydlatej zbroi:
To męczennicy prześwieatnej sprawy,
Lub bohaterzy z szanów Warszawy!

A potem kmiece ukochaj chaty,
Boś córą ludu, dziewczę liliowe!
Bo przed ich niską strzechą przed laty
Król — ojciec chłopków pochylał głowę.

Ukochaj lud twój dzielny — pocziwy,
O złotem sercu, w siermiedze siwej —
Co na głos wodza pod Racławice,
Na miecz przekował lśniące kosice!

Kochaj wrzeciono — bo przy wrzecionie
Siedziała nieraz pani w koronie,
I srebrne pasma snuła bez sromu,
Na przyozdobę Bożego domu!
A nadewszystko miłością czystą
Kochaj — o! kochaj ziemię ojczystą,
I kiedy padnie godzina czarna,
Dla niej — jak gołąb, stań się ofiarna!

Mogiła Wandy.

Władysław Bełza.

Pod Krakowem trzy mogiły,
Niby trzy strażnice:
Dwóch wojaków przytuliły,
A trzecią dziewicę.
Grób dziewicy lud własnemi
Usypał rękami:
»Wanda leży w naszej ziemi!«
Śpiewają ze łzami.

Skoro tylko z pierwszą wiosną
Słonko się wychyli:
Na mogile kwiaty rosna,
I ptaszyna kwili.

Kwiaty wieńczą ją dokoła,
Niby ślubnym wiankiem,
A ptaszyna ciągle woła,
Jakby za kochankiem.

Próżno kwiaty wy rośnięcie,
Dla cudnej dziewoi —
Nigdy ona was nie wplecie
Już do kosy swojej

Próżno ptaszku z zorzy błyskiem,
Brzmi piosenka twoja:
Przed kochanka to uściskiem
Uciekła dziewoja!

Bo on hardy, kraj chciał zgubić,
Mieczem i płomieniem;
Bo on Polskę chciał zaślubić
Żelaznym pierścieniem.

Chociaż głosił wciąż najwierniej
Miłosne zapąły —
Zbrojne tłumy jego czerni
Po kraju szalały!

Oj, nie z takim to orszakiem
Idzie się na gody —
I nie droga takim szlakiem
Do królewny młodej!

I nie takie to ofiary
Lubej się przynosi!
I nie z takiej krwawej czary
Wiwaty się wznosi!

Purpurowym łuny pasem
Niebo się pokryło —
A lud płakał już tymczasem
Nad Wandy mogiłą.

Bo nim horda po zagonie
Rycząc, przeszła gniewna:

Już w srebrzyste Wisły tonie,
Skryła się królewna! —

I zapłakał — łzy krwawemi
Naród u mogiły:

»Wanda leży w naszej ziemi!«
Echa mu wtórzyły!

— Kozieł i wilk.

Henryk Sienkiewicz.

Raz basiur,*) napotkawszy kozła, rzekł mu: »Bracie,
Litość mnie szczera bierze, kiedy patrzę na cię;
Chciałbym cię wspomódz, wzmocnić, zwilczyć jednym
[słowem:

Sierść masz lichą, wytartą, a tak — futrem płowem
I puszystem porośniesz, — będzie ciepło w zimie,
Spokojnie i bezpiecznie; — już ci się nie imie
Lada kurta do łydek, bo wilczy ród znany!

Dla nas przecie Bóg stworzył kozły i barany.

Mamy prawo zjeść wszystko, co jest do zjedzenia,
Lub mówiąc krócej — siłę. Więc gdy do plemienia
Naszego będziesz liczon — twój będzie świat cały!«

Na to kozieł odrzecz: »Zaszczyt to niemały.

Lecz nie widzę sposobu. Kozłem mnie stworzono,
Kozłem był dziad mój, ojciec — kozłem mlekiem łono
Matki mnie wykarmiło, — jakaż na to rada?«

— »Znajdziem sposób — wilk rzecze — więc na-
[przód wypada,

Bym cię zasymilował, to znaczy zadławił,
Następnie schrustał, połknął, a w ostatku strawił;
Wówczas wsiąkniesz w krew moją, zmienisz się
[w me kości

I w mych dzieciach do późnej przejdiesz potomności.«

(*) Łowiecka nazwa wilka.

A na to znowu koziel: »Uważ, panie drogi,
Że Pan Bóg dał mi na łbie strasznie twarde rogi.
Więc nim mnie strawić zdołasz, to przed tą od-
[miana,
Sam się nimi zadławisz, gdy ci w gardle staną.«

Do tych, którzy śpiewać zapominają.

— Zygmunt Gloger.

Bóg miłościwy i szczodry bez miary
Opatrzył ludzi w rozmaite dary,
By, kiedy mają troskę albo szkodę,
Mieli osłode.

Więc by złagodzić smutki i katusze,
Dał im uczucia, kojące ich dusze!
Dał im wesołość, gdy czyste sumienie,
Dał pieśń, gędzenie.

I różne pieśni ludzie poskładali,
By się modlili lub rozweselali:
W kościele, w boju, wśród pola i w domu,
Jak trzeba komu.

A Bóg, co pragnie szczęścia prawdziwego,
Zawsze i wszędzie dla ludu Swojego,
Rad słucha z nieba, gdy tu wdzięcznie śpiewa
Chłop albo dziewa.

A więc gdy pójdziesz, bracie, do świątyni,
Niech duch twój pieśnią modlitwę uczyni,
Niech zjednoczone całej rzeszy głosy
Biją w niebiosy.

A gdy pracujesz u siana lub żniwa,
W sadzie, w stodole, w lesie, u przedziwa,

Śpiewaj, dziewczyno, matek twoich wzorem,
W dzień i wieczorem.

Pieśń o Jasieńku czas ci skróci mile,
Przy pieśni płyną łącniej znojne chwile,
Głos twój srebrzysty niech echo w dal niesie
W polu i w lesie.

Jeśli, mateńko, nad kołyską siądziesz
I skarb najmilszy do snu tulić będziesz,
Niech go pieśń słodka ukołysze we śnie,
By kochał pieśnię.

A gdy, molojczy, podkręciwszy wasów
Skrzeszesz podkówką ognia podczas płasów,
Za każdym razem, gdy nawrócisz wkoło,
Grzmij pieśń wesoło.

Lecz, gdy, dziewczyno, dostrzeżesz w młodzianie
Że jego duszy nie wzrusza śpiewanie,
Mów mu, że cymbał prostemi słowami
Nad cymbałami.

Kulig.

Kazimierz Gliński.

Skrzy się, śnieży step w brylantach,
Rozciągniony w dal,
Sunie kulig strojnie, hucznie,
Wśród śnieżystych fal,
Gwar wesela
W grzmot wystrzela
Przy odgłosie ech,
W nieskończoną
Dal omgloną
Płyne pieśń i śmiech.

Za parami suną pary;
Złoto, czerwień łśni;
Arlekiny i maszkary
Zapomnianych dni.
Grzmią wystrzały,
Aż step cały
Odzywa się wraz,
Brzmi piosenka
W takt bębenka:
— »A witajcie nas!«

Świeci miesiąc, gwiazdy-zorze
Z tajemniczycych sfer...
Śnieg jak fala, step jak morze,
Biją w szum i szmer.
We sto koni
Kulig goni,
Wiże się jak sznur...
W oddaleniu,
W mgły odzieniu
Widać stary dwór.

— »Hej! rozszerzaj, gospodarzu,
Kąty swoich ścian —
Skrzypiciele z nami jadą,
Z nimi jedzie — tan!«
Drgnie pobudki
Okrzyk krótki —
I Mazury w lot,
Jak rzek fale
Poprzez sale
Pomkną w barwny splot...

Grzmia już pieśni strun pieszczotą,
Szumi dom, jak ul —
Mija czerwień, bławat, złoto,
Rycerz, paź i król...
W mazurowy
Rytm miarowy
Sunie się sto par —
Bez pamięci
Tan się kręci
Przy pobrzęku czar.

Sunie barwny pas bez końca,
Utula się w mgły —
Gasną gwiazdy, tęcze, słońca,
Ziemia cicho drży.
Jak z za świata
Szmer dolata,
Okrzyk — pieśń i śmiech —
Ledwo w ciszy
Ucho słyszy
Odgłos smętnych ech.

Naprzód!

Julian Ochrowicz.

Nie ten zna burzę, kto miotan wichrami
Na pełnem morzu napotykał gromy;
Nie ten zna walki, kto zbratan z działami
I z hukiem boju znajomy!
Lecz kto bez chleba i bez łyzy bratniej
Przez tłumy ludów sam, siłą własną,
Szedł i zdobywał z życiowej matni
Każdy kęs chleba, każdą myśl jasną;

Kto bez promienia rodzinnej wiary
Rzucony w otchłań, przeszedł przez piekło
I nie spalony ogniem ofiary,
Szedł wciąż, choć szczęście przed nim uciekło

O, ten zna walkę... Bracia! przed nami
Taka dziś walka stoi otworem:
Naprzód! Kto padnie, wspomnim ze łzami,
Kto wytrwa — będzie nam wzorem!
Naprzód! Przed nami świat do zdobycia,
Nadziei tysiąc, zawodów tysiąc;
Lecz nim przebędziem pierwszy próg życia,
Pierwej z nas każdy musi tu przysiądź,
Przysiądź na wszystkie świętości ziemi,
Że póki serce w piersiach bić będzie,
Do walki życia pójdzie z innymi
I chwałę siłą zdobędzie!

My chcemy walki — lecz nie tej krwawej,
Co świat napęlnia zwierzęcym wrzaskiem,
Co w liczbie morderstw szuka swej sławy
I krwawym dumna oklaskiem...
Nie tej, co pośród dzikiej zamieci
Ogniem i mieczem burzy i straszy...
My chcemy walki, co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy!
Co kraj oświeci wiary światłością,
Walki, dla której świat jest miłością,
Zimna rozwaga — nadzieją!
Chcemy los własną kierować dłonią
W walce, wśród której wodzem jest stałość,
W walce, dla której praca jest bronią
A sprzymierzeńcem — wytrwałość!

O, bo pieśń nasza to nie ta łzawa,
Słodka melodya niebiańskich ptaszyn;
O, bo pieśń nasza to fabryk wrzawa,
Stuk młotów i turkot maszyn!
Nasza modlitwa — to nie te mgliste,
Tęskne, za lepszym światem wzdychanie;
Nasza modlitwa — to wiekuiste,
Łączne z miłością wiedzy działanie;
To myśl, co tęskni w ludzkości sercu
I nad znikome życie ulata,
To głos, co w bliźnim i różnowiercu
Znajdzie człowieka, druha i brata!

Więc nim się krótki sen życia prześni,
Nim drogę trudów przebędziem ślizką,
Chowajmy w duszy dźwięk bratnich pieśni
I bratnich uczuć ognisko!

A gdy czas, spieszmy zagnani wiedzą,
Sokolim lotem do pragnień szczytu,
Niech o nas przyszłe wieki powiedzą,
Żeśmy zbliżyli promienie świtu!
Żeśmy nad ludów zburzone fale,
Łódź naszych losów kierując myślą,
Wznieśli i wiedli w dłoni zuchwale
Tam, gdzie w oddali, ponad głów tłumem,
Na wielkim drzewcu z wszechwiedzy drzewa,
Okryty chwałą, z tajemnym szumem,
Sztandar postępu powiewa!
Lecz nim go nasze dłonie pochwyca
I wzniosą w górę u snów zenitu,
Bądźmy dla wieków złotą skarbnicą,
Dla gromów — skałą z granitu.

Pobudka.

Wiktor Gomulicki.

Do czynu! hej do czynu!
Pobudkę Miłość gra...
Wstań, nowych haseł synu!
Niech pierzcha fałszu ćma!
Niech giną wrogi nasze:
Nędza, choroba, złość!
Ławą na tego smoka,
Co się ciemnotą zwie!
Choć popłynie posoka!
Niech każdy żga i rwie!
Skruszmy bałwana z lodu,
Co drży u naszych bram:
Niech szczerźnie widmo głodu,
Niech nie wygraża nam!
Tu epidemia błada
Przyczaja się jak zbój —
W łeb ją! niechaj przepada,
A z nią mar czarnych rój.
O pokoju marzenie,
Nim wyśni się jak sen,
Przedtem przez walk płomienie
Przebrnąć świat musi ten.
Lecz walka nowa, śmiała,
Z innych się toczy kart.
Tu armią — ludzkość cała,
Wrogami — noc i czart.
Wszyscy ilu nas w świecie,
Huf złożmy z dusz i ciał!
Bez mieczów, spis i dział.
Wstań nowych haseł synu;

Niech pierzcha fałszu ćma!
Do czynu! hej do czynu!
Pobudkę miłość gra.

Księżyc jegomość.

Maryan Gawalewicz.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat z okładem,
Znał się z mym ojcem, matką,
Znał nawet z moim dziadem.

Z tych względów nasz stosunek
Jest wielce poufały, —
Nazywam go: »jegomość,«
On do mnie mówi: »mały.«

— »Jegomość taki blady —
Mówię mu — wielka szkoda,
Czy to tak z niewyspania,
Czy taka już uroda?«

— »Mój mały — rzecze do mnie—
To widzisz z innej racyi:
Patrzac na świat wasz w dole,
Pobladłem z irytacyi.

Gdybym się nie odwracał
I wrażeń nie odmieniał,
Byłbym już miał żółtaczkę
Lub dawno pozieleniał.«

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat, a przecie
Tak źle jegomość nigdy
Nie mówił mi o świecie!

Coś jest, co mu tak humor
Psuje i chmurzy lica,
Lecz co?... Skąd ja mam wiedzieć...
Spytajcie się księżycu.

G ł ó d.

Edward Słoiński

W chłopskiej chacie głód usiadł przy stole,
Żółte zęby wyszczerzył i zgrzyta...
Wszystkie ziarna wygrzebał w stodole —
Niemasz w śpichrze pszenicy ni żyta,
A w gospodzie głód siedzi przy stole.

Siedzi głuchy na ludzką niedolę,
W oczy patrzy i patrzy i pyta —
Czemu bydła nie wygnano w pole,
Wszak na dworze już biały dzień świta,
Już dzień biały patrzy na niedolę...

Izba pusta... Na sosnowym stole
Stoi trumna z białych desek zbita —
W trumnie chłopskie spoczywa pachole,
Żółte ręce i twarz nieumyta —
Wielka żalność zastygła na czole
A przy stole głód siedzi i zgrzyta

W noc wigilijną.

Jan Kasprawicz.

Powie Chrystus Pan nasz miłościwy:

— Posłuchajcie, aniołowie moi,
Tak mi dzisiaj na duszy radośnie,
Niechaj każdy swe skrzypki nastroi.

Miedzy ludzi pójdziemy z muzyką,
Chcę im huczne wyprawić wesele:
Jednych wiarą zratuję, a drugich
Białym chlebem miłości obdzielę.

Kto zaś z pośród mieszkańców tej ziemi
Najgodniejszym mych łask się okaże,
Temu rzeknę — słuchajcie: Zbawionyś,
Bo nadzieję przynoszę ci w darze.

Aniołowie na skrzypkach zagrali,
Idą przodem z muzyką a pieniem,
Wielceć radzi, że Chrystus z opłatkiem
Miedzy ludzkim zasiądzie stworzeniem.

Przyszli w kraje bogate i plenne:
Snać nad nimi rozwarły się nieba;
— Wszystko macie — Król światów zawoła —
Tylko jeszcze miłości wam trzeba.

Przepłynęli i rzeki i morza,
Dumni mędrce zabiegli im drogę:
— Nad przepaścią stoicie — rzekł Chrystus,
Jedno wiarą ocalić was mogę.

Nie poskapił miłości i wiary —
Aniołowie zagrali radośnie:
— Plon obfity dla nieba — śpiewają —
Z Twoich darów, o Panie, wyrośnie!

Zaszli w ziemię od losów przeklętą —
Podścieliły się szare sukmany
Pod ich stopy: — Ni króla, ni władcę
Widzim w Tobie, nasz Jezu kochany!

Na te oczy, od łez już oślepłe, —
Tylko Bożą widzimy Dziecinę:
Nie żądamy już więcej niczego,
Zbaw nas grzechu i przebacz nam winę.

Zmilkły skrzypki i pieśni aniołów,
Z Chrystusowych źrenic łza się leje:
— Czem opłacę wasz ból i pokorę?
Dam wam świętą i zbawczą nadzieję...

Nie wydrzecie!

Kazimierz Laskowski (El).

Myśmy prawie wrośli w ziemię
Od lemiesza do pałasza!
Wszystko szczęście, wszystko brzemie
To ta polska ziemia nasza!
Ona matką od zarania,
Ona zbroją przez stulecie!
I dziś tego ukochania
Nawet z życiem nie wydrzecie!

Myśmy wszyscy z Piasta sochy
Szli tą ziemią krwią i potem!
Nam te skiby, szare prochy
Ponad zorze, tkane złotem,
Nam w tych prochach: chleb... piosenki...
Przeszłe... przyszłe... starzec... dziecię!...
I tych prochów z naszej ręki
Po wiek wieków nie wydrzecie!

Nam w tych prochach... wszystkie echa!
Wszystkie barwy, wszystkie tony!
Stary hetman się uśmiecha...
Zygmuntowe biją dzwony!
Kościuszkowska świtka biała...
Książę-junak na dzianecie!
Blaski... chmury... bóle... chwała!
Nie wydrzecie, nie wydrzecie!

Nam w tych prochach... dziadów kości!
I mogiła przy mogile!
I sto tęczy z dni wolności!
I łez tyle, i łez tyle!
Dąbrowskiego gra pobudka...
Kona czwartak przy bagnecie
I powstańcza, cicha grudka...
Nie wydrzecie, nie wydrzecie!

Nie wydrzecie z serc i dłoni!
Jak ta ziemia wszerek i długa!
Póki jeden pacierz dzwoni!
Póki jeden chłop u pług!
Póki jedna polska matka!

Póki jedno polskie dziecię!
Bronić będziem do ostatka!
Nie wydrzecie, nie wydrzecie!

Nie chcę...

Kazimierz Laskowski (El.)

Nie chcę innego piękna nad ten zagon złoty,
Kłos polski, polskie kwiecie na łącznym kobiercu!
Nie chcę innego dobra, ani innej cnoty,
Nad te, co w polskiej duszy zrodzone i sercu!

Nie chcę innego szczęścia, jak na polskim chlebie,
Nie chcę innej zaciszy, jak wśród polskiej chaty —
Ani innego światła od słońca na niebie,
Kiedy nad polską ziemią rozjaśni bławaty!

Ale nie chcę nikogo zakuwać w obrożę,
By szedł po mojej drodze, czcić moje świętości!
Niech każdy na mej ziemi ma swe własne zorze
I własny swój relikwiarz z pogrzebanych kości!

Niech się własnem raduje, nad własnem zaszlocha
Niech mego nie tykając, swego nie naruszy —
A jeśli, idąc społem, moje pokocha —
I ja jego pokocham głębią polskiej duszy.

Z notatnika.

Kazimierz Laskowski (El.)

Gdyby mi tak los w nagrodę
Chociaż chłopską dał zagrodę,
Chociaż chłopską dał!

Porałbym się z biedą, porał!
Świątą ziemię płużył, orał,
Swojski zagon siał!

Pojałbym se jaką Zochę...
Ona w izbie, ja za sochę —
Byle z dolą iść.

Ona w izbie czy komorze,
A ja w polu w ranne zorze
Między zbożną kiść!

W dzień robotny z sierpem, kosa,
Ona boso i ja boso,
Na zagonków sznur!

Ona w kiece, ja w sukmanie,
Żur na obiad, na śniadanie,
Na odwieczarz żur!

Nie brakłoby nigdy chleba,
Ani wody, ani nieba,
Byłby własny kąt!

Chałupina na węgielkach,
Podmurówka na cegielkach,
We dwa okna front!

Byłby sadek pod oknami
Z słonecznikiem, z nagietkami,
Całe rzędy śliw!

A za sadem, od podwórka,
Stodolina i obórka,
Na gadzinę chlew!

W środku studnia, żuraw, wiadro,
Wszystko blisko, pod zanadrą!
Jeno sięgnąć tuż!

Wszystko w gębie i na oku!
Od złych ludzi, czy uroku —
Człek sam sobie stróż!

A jakbym się podpanoszył —
Nową strzechą chatę poszył,
Miał dobytku dość —

To postarałbym się zara,
By zleciała boćków para,
Bo to dobry gość!

Ptak na dachu, — ja w chałupie,
Na kolebkę deski łupię
Co rdzenniejszy słój!

Niechby człeku się nie cniło,
Trocha krzyku w izbie było,
Jaki drobiazg swój!

Wieprzka zakłułbym na chrzciny,
Dał napitku i gęsiny,
Chleba, sera w bród!!

Chłopak — Bartek! A dziewczyna —
Albo Kaśka — lub Maryna...
Ale chłopak wprzód!

Wodziłbym go z sobą w pole
Na oraną świeżo rolę!
Na pożęty snop!

Niechby wiedział z maleńkości,
Że tu wyrósł, że kość z kości,
Krew z krwi polskiej chłop!

Gdyby mi tak los w nagrodę
Choćby polską dał zagrodę,
Choćby kmiecy łan!

Żyłbym sobie po szlachecku,
Niby w niebie na zapiecku, —
Niczem wielki pan!

Miałbym wszystko, co potrzeba,
Szmatek ziemi, skrawek nieba —
Miałbym komu dać!

Ostałyby dzieci, żona —
Bartek ustrzegłby zagona,
Niechby kto chciał brać.

Baba.

Kazimierz Laskowski (El)

Choć od wieków się zowie
Płeć nadobna płcią słabą,
Herkulesy, Samsony
Kark zginali przed babą.
Niech chłop będzie jak dębczak,
Rzekłbyś: sama moc w drabie...
Skoro przyjdzie do czego,
Stuli uszy przy babie!
Najuczeńszy zgłupieje,
Najzdrowszego osłabi,
Najzuchwalszy zamilknie,

Niech się tylko obabi;
I zaledwie czasami
Mina wraca mu chrobra,
Gdy spostrzeże, że baba
Wyjątkowo coś dobra!
Cóż powiedzieć dopiero,
Gdy mizerny chłopczysko
Zwiąże los swój z niewiastą,
Niby brelok z dewizką!
Lub Wielkanoc nadejdzie,
A małżonka zaśpiewa,
Że się teraz zajmuje
Feminizmem... pieczywa!
Choćbyś nerwy miał grube,
Jak stalowe antaby,
To je wkońcu zrujnujesz,
Mając babę i baby!

Wobec tego — przypuszczam —
Uratuję ród męski,
Wyłuszczając sposoby,
Jak umniejszyć cios klęski,
Jak rozpoznać na zewnątrz,
W jakim baba jest stanie:
Czyli w dobrym humorze?
Czy też ma się na »łanie«?
Jak rozróżnić na oko,
Jaki której gatunek,
By stosowny zawczasu
Przygotować rynsztunek —
Słowem, jak się to czyni
W czas wojenny po sztabach,
Zrobię piórem — uprzedzam —

Rekonesans po babach!

Różne »bab« są gatunki
I rozliczne odmiany:
Wcale dobre »puchowe«,
Nieźle z »bitej śmietany«,
Ujdą czasem »podolskie«,
Lub tak zwane »miarowe«,
Smaczne, jeśli na mleku —
Rozcierane »żółtkowe«,
Gdyż wogóle przy babie
Ten miej szczegół na względzie,
Że im więcej jaj wbijesz,
Bardziej lekka ci będzie!
Jeśli jednak się która
Mimo tego »nie zdarzy«,
Nieomylnie pomaga,
Gdy się babę »zaparzy«.
Ale środkiem najlepszym,
Gdy zakalec jest w babie,
Wziąć na kredyt kapelusz,
Nowy żakiet, jedwabie —
Niech się stroi babina,
Niech się bawi, niech bywa...
Wtedy słodka, jak cukier,
Aż się w ustach rozplywa!

Wiara, Nadzieja i Miłość.

Artur Oppmann (Or-Ot)

Wiara — to gwiazda przewodnia,
Co świeci w mrokach żywota;
Ona wśród troski codziennej
W sercu jak jasność lśni złota.

I choćbyś codzień wypijał
Goryczy i żółci czarę, —
Nic cię nie złamie, nie zęglie,
Dopóki w piersiach masz — wiarę!

Nadzieja — gwiazda druga,
Dziwnie promienna i wzniosła;
Życie, jak łódka jest krucha,
Ster — wiara, nadzieja — wiosła.
Przejdą cierpienia i smutki,
Jak mgły się wkońcu rozwieja,
Jeśli masz prawdę za godło,
A naprzód idziesz — z nadzieją.

Zaś trzecią gwiazdą — to miłość,
Wierna dwóch pierwszych siostrzyca;
W niej czynów wielkich podnieta
I czystych uczuć skarbnica.
Więc piastuj miłość w swem łonie
I kochaj ludzi jak braci,
O szczęście innych się staraj,
Bóg ci twem własnem odpłaci.

O! trzy największe to cnoty!
Nadzieja — miłość — i wiara!
Z niemi trud każdy rozkoszą
I lekką każda ofiara.
Bóg je zaszczepił w człowieku,
By mu dać szczęście na ziemi —
Te trzy siostrzyce byt ludzki
Przeplotły niemi złotemi!

O, żyjmy, bracia, pobożnie
W nadziei — wierze — miłości!

Niech każda z gwiazd tych świetlanych
Do końca świata nam gości!
Niech nikt się życia nie lęka
I nie drży przed śmierci marą,
Bo błogo żyć i umierać
Z nadzieją — miłością — wiarą!

Krzyżyk z Olszynki.

Artur Oppmann (Or-Ot)

Do starej babci szarą godziną,
Gdy krwawe słońce na niebie gaśnie,
Jakieś dalekie wspomnienia płyną,
I szepczą cicho baśnie — nie baśnie.
Zamglone oczy patrzą z tęsknotą
Do z pamiątkami otwartej skrzynki,
Gdzie leży mały, oprawny w złoto,
Krzyżyk z Olszynki.

Maleńki krzyżyk, z gałązki wiotkiej,
Na złotych skówkach napis i data —
Z ust bladych uśmiech zakwita słodki,
Z wyblakłych oczu łza srebrna złata;
Z tą się pamiątką dla babci starej
Rzewne i miłe wiążą wspominki:
Ma niepojęte dla obcych czary
Krzyżyk z Olszynki.

Stara babunia, taka schyłona,
Była przed laty dziewczką młodą;
Wiośniane serce rwało się z łona,
Różowa buzia lśniła pogodą;

Z drugiego pułku ułan uroczy
Wdarł się przebojem w serce dziewczynki...
I wypłakane urzeka oczy
Krzyżyk z Olszynki.

Ach, śliczny chłopiec jak malowanie,
W ułańskiej kurtce z białym rabatem!
Światłość wieczystą racz mu dać, Panie!
I grób nieznany zasiewaj kwiatem
Temu, co kochał, służył tak wiernie,
Śmiercią rycerskie zamknął uczynki...
I pierś babuni kłuje jak ciernie.
Krzyżyk z Olszynki.

Zagrały trąbki i tarabany,
Piosnka legionów w niebo powiała,
Szarżują cwałem białe ułany
Z pogardą zgonu lecą na działa!
Grom armat głuszą słowa piosenki,
Furkoczą lance — grzmia karabinki!
Ach, on to widział — widział maleńki
Krzyżyk z Olszynki.

I lecą — lecą kule złowieszcze,
I śliczny ułan z siwka się toczy,
I czyjeś imię wyszeptał jeszcze,
Nim śmierć mu piękne zawarła oczy.
Z kwiatu miłości — proch listków szary,
Z ziarna nadziei zeschłe łupinki...
I został tylko dla babci starej
Krzyżyk z Olszynki.

Powrót wygnańca.

Artur Oppman (Or-Ot).

Gdzieś w śnieżnym, w dalekim dziś świecie,
Snuł przedzę tęsknoty i troski —
Dziś ukląkł pod krzyżem jak dziecko,
Na skraju rodzinnej swej wioski;
Przylgnąwszy do ziemi-macierzy,
— Gdzie słońko twe? — pytał ze łzami.
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
— Za mgłami... za mgłami... za mgłami!

Wędrowiec wzrok podniósł od ziemi
Ku niebios ginącej w mgle toni
I szeptał ustami drżącemi:
— Gdzież moi najmilsi? gdzie oni?
Ach, tylem ja za nich pacierzy
I modlitw do Boga słał tyle! —
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
— W mogile... w mogile... w mogile...

Ból serce tułacza wziął w klęsce,
Na strzepy je targa, krwi chciwy.
— Ach, jednak zostały mi jeszcze
Te nasze, te łąki i niwy.
W nich hufce skrzydlatych rycerzy
Śpia, krwawe złożywszy pałasze...
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
— Nie nasze... nie nasze... nie nasze.

Ze źrenic chmurnego wygnańca
Łez gorzkich bryznęły potoki.
— Ach, na toż ze świata ja krańca

Wiódł tutaj sieroce me kroki?
Któż smutek, kto ból mój uśmierzy,
Co pierś mi rozdziera na ćwierci? —
I dzwonek zaśpiewał na wieży:
— Sen śmierci... sen śmierci... sen śmierci!

Chrystus cudowny.

Artur Oppmann (Or-Ot).

Na tłum prostaczków, co się doń zniża,
Na dostojniki starej Warszawy
Smutnem wejrzeniem z swojego krzyża
Spogląda Chrystus cichy i krwawy.
On najlichszemu skargi nie zabrania,
Boski opiekun nad sierotami...
Dawco zbawienia i zmartwychwstania,
Chryste, o Chryste! czuwaj nad nami!

Ludzkiego fałszu rzucając maski,
Balsamem wiary łagodząc dusze,
Po słońce prawdy, po gwiazdę łaski,
Szli patrycyusze i plebejusze.
I nieraz postać w złotej koronie
Myła mu stopy kornemi łzami...
Królu błękitów! świata Patronie!
Chryste, o Chryste! czuwaj nad nami!

Płynie duch ludzki na łasce fali,
Jakoby żeglarz na morskiej toni,
A życie woła: »Dalej a dalej!«
A wiedźma-troska, jak upiór goni!

Niechże pątnikom po cierniach wielu,
Jedna ścieżynka błysnie różami...
Baranku Boży! Odkupicielu!
Chryste, o Chryste! czuwaj nad nami!

Przerób łązy ciche na jasną przedzę,
I uczynź z onej zasłony złote
Na ludzkie smutki i na ludzką nędzę,
Na wiekuistą ludzką tęsknotę!
Ta krew, co cieknie z Twojego boku,
Niech świat oczyści, jak przed wiekami
Szafarzu światła! Zwycięzco mroku!
Chryste, o Chryste! czuwaj nad nami!

A kiedy konać będziemy żałośnie,
Na trwożnym duchu chwiejni i chorzy,
Niech nam Twój anioł mówi o wiosnie,
Niech nam Twój anioł mówi o zorzy!
Jak złoty pomnik dla naszych kości,
Zapal promyczek nad mogiłami...
Źródło nadziei! Tęczo miłości!
Chryste, o Chryste! czuwaj nad nami!

Pogrzeb Kazimierza Wielkiego.

(Urywek.)

Stanisław Wyspiański.

Idą posępni
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów,
A grają im dzwony
Żałobne.

Idą posepni
A niosą korony
Ozdobne,
Misterne a dla nich
Ciężące jak ołów,
Korony czerniałe
Pogroźne.

A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
A szumią, łopocą
Szarfami przyczółów
Chorągwie, proporce
Pogrzebne.

A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
Ogromne, tętniące,
Podniebne.

A śpiewy nad nimi
Jak skrzydła Aniołów,
Kołyszą się górne,
Wróżebne.

A idą posepni
Ze wszystkich kościołów
Z cechami, wieńcami.
Co kwietne, pachnące,
W tysiące były liczone.

I chłopcy sukmanne
I pany strojone
W ponsowe żupany, delije.

I dziewczki przekrasne,
Panięta przejasne,
Jaśniejsze niż białe lelije.

A idą żałobni,
A idą posepni,
Przez długie ulice podgrodne;
A idą żałobni,
A idą posepni,
Choć niebo błękitem pogodne.

Wiatr chmury przegania,
To skrywa, odsłania
Orszaki pochodne, stokrotne.

A cienie się wiją,
To jaśnia, to kryją,
To w biegu znikają przelotne.

A oni posepni,
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów zawodne.

.

Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
Czyli kwiaty wycięte się skarżą,
Czyli łąki i łany się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonia.

Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonia.

Za orszakiem, — czy to łąki szarzeją...
Za orszakiem, czy to łąny już gwarzą,
Za orszakiem, czy to bory się chwieją,
Za orszakiem, czy to lasy już idą...
Czyli pszczelne roje tak brzęczą
Za orszakiem — czyli ziemie tak jęczą.

A idą żałobne
Posepne, pogrzebne
I łąki pachnące
I lasy podniebne
Wnuczęta moje pogrobne.

A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
Ógromne, tętniące,
Wróźebne.

.
.

Przed Krucyfiksem.

(Modlitwa Królowej Jadwigi.)

Lucyan Rydel

Wejrzyj Ty na mnie miłosiernie z krzyża,
Królu boleści!... We łzach tu przychodzę,
Bo kielich męki mojej się przybliża;
A ja truchleję i omdlewam w trwodze.
Odwróć go, Boże, spełnić mi go nie każ,
Miej litość, iżem udręczona srodze...

Lękam się cierpieć!... Ty, który ociekasz
Krwia Przenajświętszą na krzyżowem drzewie,

Bolesny duchów bolejących lekarz,
Ty mnie od nóg Swych nie odtrącisz w gniewie,
Że ja tak swojej niemocy się trwożę,
I że się we mnie jeszcze tli zarzewie
Pragnień dziewczęcych, co jak złote zorze
Ranek żywota mego różowiły,
I wzrok oderwać od nich się nie może.
Ani ja ducha ani dość mam siły,
Bym się wyrzekła szczęścia i pod brzemię
Ciężkie nieznośne dała kark pochyły...

.

Nie słuchajże mych słów! Nie karajże mię
Za taką mowę, Chryste Gospodynie,
Ty mi nieść dajesz na pogańską ziemię
Swoją krzyż, mnie lichą za Swych łask naczynie
Zwolić raczyłeś, a ja z bólu krzyczę,
Iż moje biedne, ziemskie szczęście ginie!

Przed oczy Twoje, przed Twoje oblicze,
Żalością wszystkich ludzkich smutków czarne,
Kładę łzy moje i serce dziewicze.
Pragnienia błahe i tęsknoty marne
I to co trwoży mnie, i co mnie boli,
I do przebitych nóg Twoich się garnę...
Otom jak martwa rzecz bez własnej woli,
Na Twoje tylko posłuszna skinienie:
Rzuć mnie, jak siewca ziarno do swej roli,
A kłosem wznijdzie; tchnij — w ptaka się zmienię
I szlakiem woli Twej rozpuszczę loty;
Każ, bym zgorzała — jarzące płomienie
Wystrzela ze mnie i w jasności złotej

Będę Ci płonąć, aż się w ogniu strawię:
Każ — łez potokiem popłynę z Golgoty!

.

Przemówił do mnie... przemówił na jawie!
Patrzył... ustami poruszał widomie
I głos słyszałam, konająca prawie
W tym przerażenia i szczęścia ogromie...
— I nie jak ongi na Synaju górze
W błyskawic blasku przemówił i w gromie,
W czerwieniejącej żywym ogniem chmurze...
Lecz raj był cały w każdym jego słowie:
Jak srebrne gwiazdy, jak niebiańskie róże
Pały słowa — i jak aniołowie
W otwartą moją wstępowały duszę...
I żał mi jeno, że po tej rozmowie
Z moim Chrystusem, żyć tu jeszcze muszę
W ciału glinianem więzieniu zamkniona...
Lecz jakoś kazał — w puszczy litewskich głąszyć
Krzyż Twój poniosę... Oto na ramiona
Biorę go, Panie, całym sercem biorę...
Już mnie cierniowa nie rani korona,
Bo żar miłości Twojej we mnie płonie!

.

Kmotr królewski.

(W skróceniu.)

Leon Rygier.

W noc pochmurną i wietrzną,
Po jesiennej szarudze,
Szedł wsią dziadek ubogi
I kołatał w drzwi cudze.

— »Dobrzy ludzie, otwórzcie,
Dajcie spocząć na chwilę,
Niech się nieco ogrzeję,
Kęsem chleba posilę.«

Ale stuka daremnie,
Brnąc omackiem po błocie,
Nikt się jakoś nie kwapi
Dać przytułek sierocie.

Wreszcie stanął przed chatą
Niepozorną i małą,
Gdzie w okienku niepewnie
Wątle światło jaśniało.

Zakołatał raz jeszcze,
Korną prośbę powtarza,
I zlitował się kmiotek
Smutnej doli nędzarza.

— »Wejdźcie, dobry człowiecze —
Rzekł gospodarz łaskawie —
Został jeszcze kęs chleba,
Kąt się znajdzie na ławie.«

Tejże nocy, tak dziwnie
Już Opatrzność zrządziła,
Rolnikowi małżonka
Ósme dziecko powiła.

Żebrak, wstawszy o świcie
I ujrzawszy dziecinę:
— »Widzę, rzecz, że Pan Bóg
Zwiększył waszą rodzinę.

Jeśli wstyd wam nie będzie
Mieć za kmotra żebraka,
To do chrztu wam potrzynam
Najmłodszego chłopaka.«

A gospodarz: — »Mój dziadku,
Dobry człowiek z was, widzę,
Ja sam biedny — i biedy
Też się swojej nie wstydzę.

Za dni siedem od dzisiaj
Chrzcziny dziecku wyprawię,
Przyjdźcie z Bogiem do chaty,
Gdy tak chcecie łaskawie.«

.

Minał tydzień, gospodarz
Kmotra czeka i czeka...
Ten wędrowiec się spóźnia,
Widać droga daleka.

Nagle w dali na drodze,
Coś błysnęło jak słońce,
Warczą koła po grudzie,
Budzą echa tętniące.

Pozłocista karoca
Wali prosto przed chatę,
A w niej pan znakomity,
Strojny w suknie bogate.

Spojrzy kmiotek zdumiony,
Oczom własnym nie wierzy;
A tymczasem na tętent
Z całej wioski tłum bieży.

— »No i cóż się dziwicie? —

Gość z karocy zawoła —

Toć przybywam na chrzciny,

Pewno czas do kościoła!«

A lud wita się z panem

I pokłony mu bije,

Leci okrzyk wesoły:

»Król Kazimierz niech żyje!«

Chrzciny były nielada —

Wśród kołaczy i miodu

Sam król kmiotków ucztował

Wśród swojego narodu.

Szewczyk na wysłudze.

Ignacy Danielewski.

Jestem ci ja szewczyk sobie,

Na wysługę pięć lat robię;

Jeszcze w łóżku leżę z rana,

Już traktament mam od pana.

A gdy wstanę — na śniadanie

Od pani się coś dostanie,

Dostanie się i w warsztacie,

Jak to wszyscy dobrze znacie.

Zaś wieczorem na czas dobry

Poczęstuje kto tam szczodry,

Poczęstuje raz, dwa szczerze,

Wszyscy dają, człowiek bierze.

Lecz to fraszka, mości panie,
Boć to tylko na rozgrzanie,
Gdyby nie ten przyodziewek,
Zapomniałbym nawet śpiewek:

A tak oto śpiewam sobie,
Kiedy patrzą, to i robię,
Boć to tylko pożyczane —
Niechno majstrem ja zostanę,

Lub choć tylko czeladnikiem,
Oj, pomacham pocięglikiem
I odpłacę to, co cudze,
Wszystkim chłopcom na wysłudze.

Dzisiaj skóra już odbita,
Więc się śmieję — ha! i kwita,
A że krzyczę, kiedy biją —
No, — bo lubię melodyą.

O, nie odchódź...

Paula Węzyk.

— »Czas mi już w drogę, czas wiązać manatki,
Przeciem nie dzieciak, aby mnie łyzy matki
Od mych zamiarów odwiodły i drogi,
Toć nie na zawsze porzucam te progi,
A, że pożegniam na krótko te ściany,
Ażby poznać szmat świata nieznany,
Toć nic znów złego i nie sam też przecie
Pójdę w obczyznę, jużem też nie dziecią,
Co się matczynej trzyma wciąż spódnicy...
No, dosyć matko, dosyć już tęsknicy,

Otrzyjcie oczy, żegnajcie mnie, proszę,
Za to, gdy wrócę, przywiozę wam grosze.«

— »O tak, wiem, synku, przywieziesz talary;
Ale się Boga pozbędziesz i wiary,
I obca mowa popłacze ci twoją
I w sercu grzechy chwastem się zaroją,
I z sił wyzuty, sam sobie niemiły,
Powrócisz żywy, lecz blizki mogiły. —

Czyż ci niemiłą już ta ziemia nasza,
Że za srebrniki, ty, na wzór Judasza,
Idziesz ją zdradzić tym, co płacą drożej,
Choć wiesz, że złość ich przeciw nam się sroży?

Słuchaj, ostatni raz już mówię do cie,
Synu, mój synu, w czoła swego pocie
Ty chcesz im służyć, jeść kęsy ich chleba,
A tu, wśród swoich, rąk braknie; i gleba,
Co ją Bóg kłosem dojrzałym użyźni,
Będzie cię wołać: »Tu kraj twój, tu bliźni,
Gdzieżeś to poszedł odemnie na długo,
Najmito obcych, niewdzięczny mój sługo?«

I kiedy wrócisz o pobladłej twarzy,
Ziemia swym żarem stopy ci poparzy,
Wietrzyk od ciebie odwróci się zdala,
Wstrętem ci w oczy bluźnie rzeki fala...
A ja, twa matka, co u niebios progu,
Rachunek kiedyś za ciebie zdam Bogu,
Z wyrzutem ciężkim, co dnia, co godzina,
Z trwogą, bojaźnią czekać będę syna...
Idź, gdy tak pragniesz, lecz powiem ci tyle,
Gdy wrócisz, może będę już w mogile!«

Przebrzmiały słowa, chłopak pełen lęku
I ze łzą w oku kręcił czapkę w rękę,
Wreszcie zgiął nogi i padł na kolana:
»Zostanę z wami, matusiu kochana!«
Został i z śpiewką, co echem drży długiem
Chodzi ochoczo za własnym swym pługiem.

Z dobrych rad.

Ignacy Baliński.

Chcesz być czemś w życiu, to się ucz,
Abyś nie zgiął w tłumie:
Nauka — to potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.

Bo wiedz, — nie popchną tego wstecz
Ani pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale.

W obce nie pójdę ja kraje.

Felicya Szamowska.

W obce ja z wami nie pójdę kraje,
Doma ostanę,
Kaj zieloniuśkie, szumiące gaje —
Pola orane.

Choćbyście złota mi namierzyli
Całe trzy ćwierci,
Nikaj mi w świecie nie będzie milej
Do samej śmierci.

W dalekich stronach inna muzyka,
Nie ta grajkowa,

Co to aż serce całkiem przenika
W nockę, w majową. —

W dalekim kraju naród bogaty,
Ale nie miły;
Tam ja nie najdę ojcowej chaty,
Ani mogiły.

Nie chcę ja trumny, ino sosnowej
Z naszego drzewa —
Niechże nasz księżyk u mojej głowy
Ślicznie zaśpiewa.

Niech mnie poniesie kara fornalka
Tą samą stroną,
Kędy matulę i mego Walka
W grobie złożono.

Niech potem duszki wezmą mnie kołem
I w górę wzleca,
Kaj ponad naszym polem i siołem
W gwiazdkach zaświecą...

Hartuj wolę!

Ferdynand Kuraś.

Uwijają się kowale, z lic im spływa pot,
Co się jeden młot podniesie, spada drugi młot;
Młot po młocie naprzemiany na kowadło wali,
Skry przyskają z żelaziwa dokoła kowali.

A kowala od kowadła nie odstrasza skwar,
Bo żelazo kuć potrzeba, dopóki w nim żar;
Gdy żelazo w zaniedbaniu gorąco straciło,
Już zimnego nie przekujesz na stal żadną siłą.

Jak z żelazem — tak i z życiem; a więc, druhu mój,
Póki młodość cię rozgrzewa, wolę ducha kuj;
Woli silnej a hartownej każdemu potrzeba,
Bez niej próżno będzie człowiek zebrał łaski nieba.

Lecz żelazo, choć ochłodnie, nie przepada wraz,
Bo się jeszcze da rozżarzyć i kuć drugi raz —
Ale młodość raz stracona, przepada na wieki,
Już nie wróci, jak nie wróci się wstecz fala rzeki!

Więc dopóki w ogniu wiosny wiek się żarzy twój,
Wyteż ramię, nie dbaj o to, czy cię zmoże znój;
Kuj swą wolę, póki hartu stali nie nabierze,
A od wielu cię to później przeciwieństw ustrzeże.

Przykry sen.

Przykry miałam sen — czy wiecie?
Dziś nad ranem mi się śniło,
Że na całym Bożym świecie,
Mężczyzn ani krzty nie było.
Skutkiem jakiejś dziwnej klęski
Zginął cały rodzaj męski.
I wasate znikło plemię,
Jakby z mężczyzn wymiótł ziemię.
Chłopca ani odrobiny,
Na lekarstwo nigdzie męża:
Raj był — Boże mój jedyńy!
Istny raj — i raj bez węża.
Żadnych pokus, zrad, niewiary,
Spokojniutko było w świecie,
Odkąd znikły te poczwary,
Co wiązały świat kobiecie,

Co nam tyle łez wylały,
Męki powód nieustanny!
Odtąd światem rządzić miały
Same panny, panny, panny.

No, i radość głośna była
W tem panieńskim społeczeństwie,
Bo się ludzkość zniewieściła,
Mając ideał w panieństwie.

Tylko każda — ukryć trudno —
Powiadała sobie cicho,
Że na świecie jakoś nudno,
Bardzo nudno...

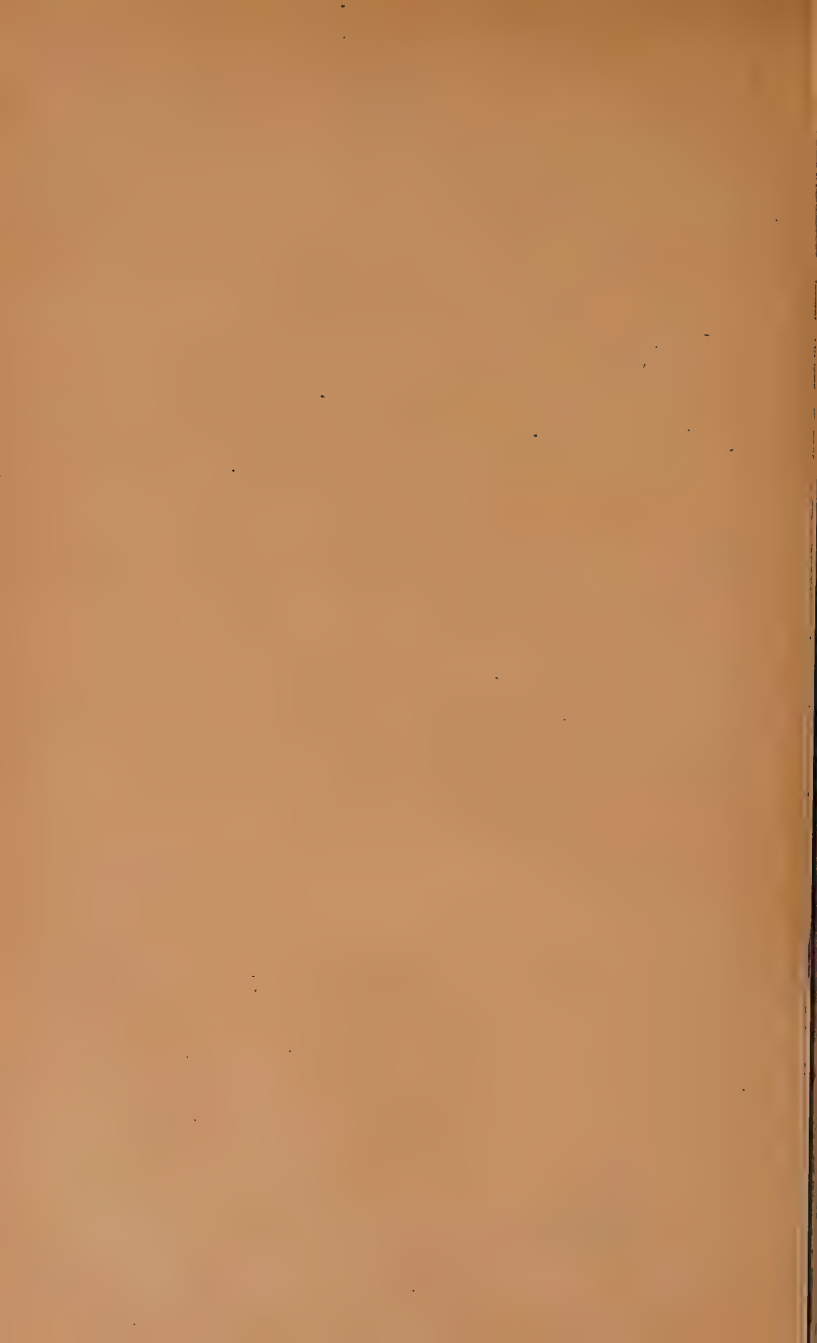
Co za lichy?!!

Nie bawiły stroje, mody,
Fatałaszkę, tańce, plotki,
Zobojętniał urok słodki,
Smutno było jak w klasztorze,
Świat był cały nie w humorze.

Przez ambicję, chwalcąc losy,
Miałyśmy, ot, takie nosy!
Do północy — od poranku
Świat poziewał bez ustanku;
Więc stuliwszy każda uszy,
Powiadała sobie w duszy:
»Z mężczyznami wielka bieda,
Lecz bez mężczyzn żyć się nie da!«

Apatyczne i znudzone,
Ociężałe, senne, smutne,
Schnąc, jak trawy niekoszone,
Życie wiodłyśmy pokutne;

I w tej drzemce nieustannej
Wciąż wzdychały wszystkie panny,
I przez sen szeptały skrycie:
»Przyjdź mój luby — moje życie!...«
Blizki był już koniec świata
Z epidemii poziewania:
W tem, jak piorun wieść przylata,
Że się dziwny cud odsłania:
Bo daleko przez lunety
Obaczono gdzieś... wąsiki
Schodzącego z nieb komety,
Co w mężczyzny szedł postaci...
Gwałtu! — rwetes, piski, krzyki,
Świat kobiecy głowę traci,
I ze wszystkich stron niewieście
Głosy zabrzmiały w chór: »Nareszcie!«
Przyznać muszę choć spłoniona,
Że i mnie się wyrwał z łona
Taki krzyk — i żem zbudzona
Pocichutku powtórzyła:
»Z mężczyznami wielka bieda,
Lecz bez mężczyzn — żyć się nie da!«



KWIATY I KŁOSY

II

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA.

Dzień święty.

Jan Kochanowski

Bracia, rady mej słuchajcie:
Ojców zwyczaj zachowajcie!
Święto niechaj świętem będzie:
Tak bywało przedtem wszędzie.

Święta przedtem ludzie czcili,
A przecież wszystko zrobili,
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem,
I dniom świętym nie folgujem;
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przecie nic nie mamy.

Albo nas grady poraża,
Albo zbyt ciepła karzą;
Co rok słabsze urodzaje,
A zadrogość za tem wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy:
Próżno bez Pańskiej pomocy;
Boga, bracia, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szczep winny.

Ignacy Krasicki.

Mówią Arabcy, że gdy szczep winny
Adam posadził, djabeł złoczywny
Podlał krwią pawia, co Adam szczepił.
A gdy się w wzroście krzew coraz krzepił

I listki wydał,

Djabeł krew małpią do pierwszej przydał,
Zeszły jagody — skropił lwia juchą.
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystkie posoką świnia...

Cóż teraz czynią?

Ot: kiedy wina szklanekę kto łyknie,
Jak paw się nadmie; po drugiej — krzyknie;
Skacze jak małpa, gdy szklanki mnoży;
Po piątej, szóstej — jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcej przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy staje się... świnia.

Czapla, ryby i rak.

Ignacy Krasicki.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się concept wzmogła.
Rzekła rybom: — Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie.
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.

Wczora

Z wieczora,

Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: »Wiele pracy

Łowić wędką i węcierzem;
Spuścimy staw, wszystkie zabierzem;
Nie będą miały otuchy,
Skoro staw będzie suchy.«

Ryby w płacz; a czapla na to:

— Boleję nad waszą stratą.

Lecz można złemu zaradzić,

I gdzieindziej was osadzić.

Jest tu drugi staw blisko:

Tam obierzcie siedlisko;

Chociaż pierwszy wysuszą,

Z drugiego was nie ruszą.

— Więc nas przenieś! rzekły ryby.

Wzdrygała się czapla niby,

Dała się na koniec użyć,

I zaczęła służyć.

Brała jedną po drugiej w pysk, niby nieść mając,

I tak pomału zjadając.

Zachciało się nakonec skosztować i raki.

Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,

Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił:

Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.

Padła nieżywa:

Tak zdrajcom bywa!

Leszek Biały.

Julian Ursyn Niemcewicz.

Od dworaków opuszczona

Helena w stroju niedbałym,

Gdy syna trzyma u łona,

Co go zwano Leszkiem Białym,

Tak szerzy skargi płaczliwe

Na swe losy nieszczęśliwe:

»Ty się śmiejesz, dziecię lube,
Bo nie znasz twojej niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę:
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, ty sierota.

Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał,
Tułasz się, biedna dziecino;
Ja cię przytulę do łona,
Lecz skądże inna obrona?»

»Powściągnij łzy twe, królowo,
Zawołał Goworek stary,
Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary;
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie spadnie.«

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały,
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały,
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszką podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków
»Oddał Goworka, — korona
Nazad ci będzie wrócona!«

Królowa w modrzewim dworze
W skromnej siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze:
Nie miała złota na szacie;
Przy niej, poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary
Tak ich dumanie przerywa:
»Przyjm, książę, ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa!
Niech kraj nad tem nie szkodzi,
Że mnie zawiść prześladowie.

Ja stary, władzy nie chciwy,
Do skromnej ojców zagrody
Wrócę wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie uśmierz niezgody;
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

Jeśli za to, żem pracował,
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród polski błogosławi,
Nie umrę w cieniu mej strzechy
Bez słodkiej sercu pociechy.«

Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
»Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi:

Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał;
Nie chcę państwa ni korony;
Nad blask, co berło udziela,
Wyżej cenię przyjaciela.«

Nagrodziły nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męstwa:
Leszek zwycięzca na wojnie,
Odzyskał wydarte księstwa.
Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

Święty Izydor.

Franciszek Morawski.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej Góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojej wierze
Za pocziwy grosz nabywał. —

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał:

»O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnej tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam, gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie stąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim jak wy, był on chłopkiem,
Tak się, jak wy męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do tacek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały;
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem.
Zaprzagł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze
I gorąco błagał, prosił. —

Głowę w świętej schylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swej niedoli;
Gdy wtem wkoło okiem rzucił:
Jakaś jasność, woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda, dziwne!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy!

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie;
Nie ma bicia rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtem anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:
»Kto o Bogu swym pamięta,
Temu pomoc Bóg przynosi«.

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tem samym miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem mnóstwo zlało ludu.

Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście,
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa«.

Wybór żony.

Franciszek Morawski.

Sławetny Bartosz gdzieś tam w małym mieście,
W średnim już wieku i nawpół siwawy,
Lecz jeszcze czerstwy i żwawy,
Chciał się ożenić nareszcie.
Miał on swój domek na rynku,
Kawał roli, sklep do szynku,
Przytem grosz obfity,
Więc na męża wyśmienity.

Szukał małżonki, a że, jak to bywa,
Nigdy na takim towarze nie zbywa,
W bliskości siebie, bez łamania głowy,
Wynalazł sobie dwie wdowy...

Jedna z nich była młoda, czuła, rzewna,
Druga dojrzała, lecz na żonę pewna:
Trudny więc wybór i wielkie kłopoty...
Tymczasem wdówki, z przymiloną minką,
Ciągłe się niby z żartu i pustoty

Bawiły jego czuprynką.

Młodsza go chciała mieć młodszy, nadobnym,
A starsza więcej do siebie podobnym:
Wciąż mu więc z głowy włos po włosie rwały —
Jedna — czarny, druga — biały.

Aż go na koniec ten żart zesześcił,
Że łysą głową jakby dynią świecił...

— »Ho, ho! — tak z gniewnym ozwie się zapalem —
Jeszcze bez żony, a już wyłysiałem!

Cóż będzie, gdy się ożenię!

Nie, nie bądź dudkiem, Bartoszu!

Bądźcie mi zdrowe, kłaniam uniżenie!

Baby zostawił na koszu.

Wyżeł i pszczoły.

Franciszek Morawski.

Jest to cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami —
Stare powiada przysłowie.

Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka...

Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
Wielki bajarz, wielki plotka,

Przytem lizuś doskonały,
Proszony czy nieproszony,
Latał na wszystkie strony;
Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
Wszelkich skrytości dociekał:
Słowem — u wszystkich ogryzał kosteczki,
A potem wszystkich oszczeakał.

Suczki z suczkami,
Psiarnie z psiarniami
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił,
Cały porządek przewrócił.

Wtem raz szczególna ciekawość go wzięła:
Jakaś pokusa go bodzie

Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie...

Naprzód ostrożnie bierze się do dzieła,

Obchodzi, wącha, skrada się, przemyka;

Ale zaledwie nos wtyka,

Cała pszczoł gromada

Z straszhliwym brzękiem wypada...

Wyżół w nogi! — lecz te w złości

Tak go cięły bez litości

To po brzuchu,

To po uchu,

To po pysku, to po grzbiecie,

Że już nie wiedział o świetcie!

Wtem mu jedna w nozdrze wpadła,

I tem dojadła.

Szarpie się, rzuca i wyje, nosem ziemię ryje,

Jęczy, na wszystkie strony wykręca się i wywija,

Wreszcie leci jak szalony i łeb o kamień rozbija.

I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,

Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,

A wszystkich czerni szkaradnie:
Prędzej czy później w taką łapkę wpadnie,
Że będzie wżgardą i pośmiechem świata.
Taka to Wścibskich zapłata.

Oda do młodości.

Adam Mickiewicz.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapal tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmętym:

To ziemia!...

Patrz, jak nad jej wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem żeglarzem okrętem.

Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to wgłęb wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota,

Razem, młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szaleń,
Razem, młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu!
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze
Ten młody — zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęgą,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Sklóconych żywiołów waśnią,
Jednem: »stań się« z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia!

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesady światło ćmiące...
Witaj, jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Trybunał tajemny.

(Z »Konrada Wallenroda«.)

Adam Mickiewicz.

Stój, dumny władco! Jest sąd i na ciebie.
W Marienburgu wiem ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień i w nocy się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na stole ustaw księga tajemnicza;
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi;
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu;
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w rękę, rapiery u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed księgą Zakonu,
Rzekł: »Strasliwi sędziowie!

Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest? nie wiadomo. Przed dwunastu laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,

Z Palestyny uszedł skrycie

I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,

I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynał.

Przyjął na koniec zakonnika śluby

I został mistrzem — dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy.
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą;
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,
Lecz, sędziowie! on mówił językiem Litwinów.

Zważywszy, co nam tajnych sądów posły

Niedawno o tym człowieku doniosły,

I o czym świeżo mój szpieg donosi,

I wieść już ledwie nie publiczna głosi:

Sędziowie! ja na mistrza oskarżenie kładę

O fałsz, zabójstwo, herezyę, zdradę.«

Tu oskarżyciel przed Zakonu księgą
Ukląkł, i wsparłszy na krucyfiks rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą
Na Boga i na Zbawiciela mekę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
Lecz niema głosów, ni cichej rozmowy;
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakaś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu na księdze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykładając,
I wszyscy zgodnie zawołali: »biada!«

I trzykroć echem powtórzyły mury:
»Biada!« W tem jednym, jednym tylko słowie
Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie:
Dwanaście mieczów podnieśli do góry:
Wszystkie zmierzone — w jedną pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — »biada!...«

Powieść o Domejce i Dowejce.

(Z »Pana Tadeusza«.)

Adam Mickiewicz.

Pamiętam, za mych czasów żyło dwóch sąsiadów.
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów.
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę;
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Ja byłem sekundantem; jak wszystko się działo,
Opowiem od początku historję całą.

Domejki i Dowejki wszystkie przeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce!
A ten, niedosłyszawszy dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wzniosł zdrowie marszałek Rupejko:
»Wiwał Dowejko!« drudzy krzyknęli: »Domejko!«
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu

Gorzej było. Raz w Wilnie jakiś szlachcic pijany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany;
Potem ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada: Kto on? — odpowie: — Dowejko —
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki:
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.

Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie obaj imiennicy
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez ducha,
Ale już pierwszej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób;
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: »Dosyć! trzeba raz rzecz
skończyć,

Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć:
Dwóch nas jak dwóch słońc pono zanadto na świecie.«
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;
Stają; krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się: śmierć niechybna, prawie rura w rurę;
Oba tego strzelali. — »Sekunduj, Hreczecha!«
»Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczem;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym:«

Dosyć już mety zbliżać, widzę, żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę; zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej ani bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzia. Ja rękami memi
Jako sekundant skórę rozciągnę na ziemi,
I sam was ustawię. Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a waść na ogonie.»
»Zgoda!« wrzaśli. »Czas?« — »Jutro.« — »Miejsce?«
Rozjechali się. [»Karczma Usza.«

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.
»Pukajcie teraz — rzekłem — choć przez całe życie
Lecz póty was nie puszczę, aż się pogodzicie«.
Oni w złość; a tu szlachta kładzie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewanielii, z statutów dowodzić!
Niema rady! — śmiali się i musieli zgodzić.

Spór ich potem w dozogonną przyjaźń się zamienił
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przy-
[padek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali: Niedźwiadek.

Alpuhara.

Adam Mickiewicz.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy;
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rrwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szablę i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kapie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż odźwierna wozom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Był to Almanzor, król muzułmanów:
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

»Hiszpanie, woła, na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony!«

Hiszpanie męstwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni kolejną
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wódza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwycił,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwia mu nabiegły żrenice.

»Patrzcie, o giaury, jam siny, blady:
Zgadnijcie czyim ja posłem?
Jam was oszukał: wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem!

Pocałowaniem wszczepilem w dusze
Jad, co was będzie pożerać;
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać!«

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona...
Śmieje się śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła:
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Śmierć pułkownika.

Adam Mickiewicz.

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika;
Tam, w izdebce pułkownik ich kona.

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze:
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia, w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby — do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki:
Stary żołnierz — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze —
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali,
I mówili wraz z księdzem pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Nieprzyjaciół był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży —
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica!

Jaka pierś! — Ach, to była dziewczica,
To Litwinka, dziewczica-bohater
Wódz powstańców — Emilia Plater.

Bitwa z Tatarami.

(Z Maryi). Antoni Malczewski.

Szli — w milczeniu — w porządku — konie koniom
Krzyżujących nóg stawiać migające stopy — [w tropy.
Kędy ich długim sznurem, wedle swojej chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci:
Przez niezmierzone niwy — tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina —
Dochodząc — naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak rycerze powietrzni wydali się oku.

.
Lecz cóż widać na wzgórku? z blizkiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchały pospołu;
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie — czarne — skrwawione — rozchodzą się
chmury.

Lecz cóż słyszać na wzgórku? w przyległej nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy w słomianej dziedzinie.
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwym brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną, podnoszą — westchnie-
niem.

»Bacność — do broni wiara — chorągiew rozwinać —
»Tatarzy wieś rabują — zwyciężyć lub zginać!«
I nagle jak wodoskok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.

.

Dzielne było natarcie; tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wasy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasepione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały —
Pożar — stepy wokoło — świszczące już strzały —
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z blizka,
Ludziom ostrza się dotknąć — koniom pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali — wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
»Ałła hu!« wrzasły hordy, i tysiączne roty,
Na opasanych — strute wyrzuciły groty.
»Hura!« krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała — w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą — zbitym w rzędy tłumem —
Lasem dzid najeżonych — z hukiem, z trzaskiem,
z szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz,
a ściana

Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Iratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Koła pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął, stał błyska, krew broczy;
Śmierć trzusi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało — bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginać hufcom polskim; młody wódz je zbiera —
Zachęca ich — szykuje — obraca — naciera —

Dopiero mieszanina — każdy obskoczony.
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają —
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają.
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski.
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwają z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestraczem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica, opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłem męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy —
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecko, w radości topnieje —
Z takim mieszanem czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlekłym oczom gdyby jakiej mary
Obok swojego zięcia — Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy naprzód, napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie — Polacy, Tatarzy,
W beczynnem zachwyceniu patrzą, co się zdarzy —
Jakiś czas Miecznik zmudził, uderzy — odskoczy —
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem.
W kark niewierny święconem utopił żelazem.

Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie — z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców, grzmiały trąby — rzeź
grają —
Nowi rycerze goniają — dawni się zbiegają —
Trzask, iskry — świst z połyskiem — huk —
wrzask — jęki — rzenie —
A zapyłona sława upieknie zniszczenie.

Napad tatarski.

(Podole.)

Maurycy Gosławski.

Było właśnie naówczas w Załuczu wesele.
Ozwał się dzwon niedzielny w czerczeckim kościele,
Do ślubu wyjeżdżali w weselnych okrzykach
Druźbowie, i pan młody przodem — na konikach;
Dalej cała drużyna; — dalej, panna młoda
Śród drużek, w ślubnym wieńcu, piękna jak pogoda!
Tylko co przed ołtarzem stali oblubieńce,
I ksiądz stułą miał związać złączone już ręce:
Gdy wtem: »Turcy, Turcy!« wieść jak piorun padła,
I każda twarz żyjąca przestraczem pobladła.

Gdzie kto stał, tam osłupiał. — Żony, starce, dzieci,
Wszystko to bez pamięci obłąkane leci.
Co tu robić? Co począć? — »Ukryć się w pieczary!«
Krzyknął — z dawna świadom napadów — Sotski
stary.

»Co młodszy — do strzemiona ze spisą i mieczem,
Pójdziem i w imię Boże ten motłoch przesieczem.
A choćby na jednego było pięćdziesięciu,
Nie w liczbie nasza wiara, ale w naszym cięciu!
A choć i przyjdzie zginać, to zginiemy z chwałą,
Za wolność z mieczem w rękę, jak mężom przystało.«

Skończył Sotski — i wkrótce na głos jego mowy
Trzysta chłopów stanęło gdyby las dębowy,
I w gminie ucichł popłoch na głos dobrej rady,
I zbierać się poczęły różnych siół gromady...

Przyszła chwila rozstania, i pieczary gardło,
Chętne wsparciu tułaczów, szerzej się rozwarło;
A każdy łzą boleści oblewając lice,
Zostałym pożegnania wyciągnął prawicę.

Jak las stoją rycerze — dołem — na opoce,
A wiatr im od południa kitkami migoce;
I podolskiej równiny wychowaniec dziki,
Rwie się rumak, gotowy na miecze i piki.
Stary Sotski na czele — choć włos bieli zima,
Bije się za dziesięciu — i żartów z nim niema:
»Dalej dzieci w boży czas! Bóg nam stanie tarczą,
A podolskie ramiona za resztę wystarczą;
Pokażemy pohancom, co to polskie ostrze!« ...
Poszli ...

Lecz jakież jeszcze rycerz wyjazd swój odwleka?
Młody a z niewiastami pozostał jak starzy? — —
Nie! — on ich nieodrodny — on taki jak oni,
Raz świesnie na konika i wnet ich dogoni.
Lecz patrz, tam jego luba stoi na uboczu
I łamie białe rączki i łzami ćmi oczy,
I zawodzi żałośnie i pierś targa biedną —
Nieszczęśliwa! i świata z za łąz jej nie widno...

... »Nie płacz luba! ja wrócę, jeśli zła godzina
Nie zagubi zawiśnie podolskiego syna:
Wrócę, i ty barwinkiem przystroisz mi kitkę,
A ja ci z pohańskich branek
Złotą lamę na namitkę
Wzamian dam za wianek.«

»Gdy już taka wola nieba,
Że iść musisz nieodbicie,
Że rozłączyć się potrzeba:
Idź, mój luby, w imię Boże,
Niech Bóg oręż twój wspomóż.
Walcz, lecz pomnij, że moje na sztych niesiesz życie.

Walcz, lecz pomnij w mieczów szczęku,
Że oddychasz tchnieniem Zosi,
Że jej szczęście w twoim ręku:
Ocal je, ona cię prosi.«

»Bywaj zdrowa, moja luba!
Ja na wieki wierny tobie,
Co Bóg sądzi: życie — zguba,
Wierny w życiu, wierny w grobie.«

Jak wiatr lekki wpadł na konia,
Spojrzał, świsnął, krzyknął —
Zatętniły dolne błonia,
Jak wiatr lekki zniknął.

Zniknął, a ona biedna, wydarta pociesze
Sama jedna została, jak jaskółka w strzesze.

Sześć dni już upływało, a lasy okolne,
Spały cicho, jak pierwiej od napaści wolne.

Nie było żadnej wieści, tylko głos puhaczy,
Wtórował po jaskiniach wygnańców rozpaczy:
I tęskna jakaś trwoga za tym jego śpiewem
Wpiła się w każde serce przeczucia powiewem;
Bo zawsze, moje dzieci, nocny jęk puhacza
Złą jest wróżbą przyszłości — nieszczęście oznacza.

Smutniej i coraz straszniej było z każdą chwilką,
Zatrwożone spojrzenia, ciche jęki tylko.
Niewyraźne modlitwy, tłumione westchnienia
Odbijały pieczary i niebios sklepienia,
Lecz odbite nie doszły przed tron wybawienia!

Raz w niedzielę z południa trzy dziewczęta młode,
Zbiegły na dół z dzbankami do rzeki po wodę:
Była tam piękna Zosia — w tej weselnej szacie,
W tym samym ślubnym wianku, jak ją pamiętacie:
(Bo do czasu powrotu swego oblubieńca,
Przysięgła nie zdjąć z głowy weselnego wieńca.)
Wpatrzyła tedy oko, gdzie przed sześciu dniami
Westchnieniem go bolesnem odwiodła i łzami,
Jakby tam w samej rzeczy zaoczyła kogo.
— „Basiu! czy przywidzenie? lecz patrz tam daleko,
Pędzą czterej rycerze końmi ponad rzeką.«
Toż samo wzrok Nastusi, toż stwierdził i Basi;
Krzyknęły z uniesieniem: — »To nasi, to nasi!
Przecież Bóg ich nam wrócił, dzięki Jemu, dzięki!«
Lecz jakże nagle radość zmieniła się w jęki,
Których echem odbiły okoliczne wzgórki:
»Przez Boga uciekajmy! to Turki, to Turki!«

...I szybsze od uczuć trwogi, co w pierś się cisły,
Zalęknione dziewczęta nagle się rozprysły,

I zaledwie przebiegło jedno mgnienie oka,
Już je pod cień obronny przyjęła opoka...

Tymczasem nasi ciągnąc w niezłomnym szeregu,
Zdybali nieprzyjaciół na dniestrowym brzegu.
Krwawe było spotkanie; — pohańców nawala
Garstkę naszych wokoło jak powódź zalała:
Sypnęły się pociski, rozpacz parła cięcia, —
Zginać! — jeden cel naszym, jedno przedsięwzięcia;
Aż gdy ramię — nie ducha — osłabiły siecze,
I na karkach niewiernych stąpiły się miecze:
Własnych cnót męczennicy pośród tej pożogi,
Godni siebie, szczęśliwi, padli co do nogi.

Lubor.

Bohdan Zaleski.

Dawszy czas wytchnąć hufcom znużonym
Lubor, wódz stary, waleczny,
Sam w ciemnej nocy, na koniu wronym
Wjeżdża w bór czarny, odwieczny.

Zdała chorągwie, w bojach zdobyte,
Utkwione świszczą z mogiły;
Wojennych pieśni echa rozbite
Przełękłe zwierza płoszyły.

Jadąc wódz dumał, jak wiek mu młody
Zbiegł na rycerskich zabawach;
Rachował blizny, liczył przygody,
Marzył o nowych wyprawach.

Umilkło... jedzie, jedzie, nie słyszy,
Jak tuż coś pierzcha w gęstwinie:
Przy starym dębie, wśród głuchoj ciszy
Zeszły się boru boginie.

Było to grono srogich Rusałek;
Jedna z nich groźnie zawoła:
„I kiedyż Lubor, kiedyż ten śmiałek,
Poniechać krwawych walk zdoła?”

Tylu rycerzy w rannych lat dobie
Śmierć uprzątnęła ze szranków,
Matki, kochanki płaczą w żalobie
Poległych synów, kochanków.

On od pół wieku prowadzi boje,
Pławi się we krwi nieczuły...
Czyliż to bogi w niezłomną zbroję
Lubora piersi zakuły?

Dość ci już chwały — czas spocząć, starcze!
Czas zmrużyć czujne powieki;
Wkrótce porzucisz włóczęgę i tarczę,
Zaśniesz — lecz zaśniesz na wieki.«

Rzekły i znikły w mroku omglonym;
Szumi bór czarny, odwieczny;
Nic nie wie — jedzie na koniu wronym
Lubor, wódz stary waleczny.

Wtem słyszy potok, szumiący w dali,
Drze się przez ciemną gęstwinę,
Niechcąc jakieś pragnienie pali:
Wiechał do źródła, — w dolinę;

I gdy się napił, zmienił się wcale,
Sen poczał kleić powieki,
Puścił rumaka, usnął na skale —
Usnął — lecz usnął na wieki.

Poczuł to, pędzi jak wiatr koń skory,
Tętent uśpionych przestrasza,
Między walecznych wpada tabory,
Rżeniem zgon wodza ogłasza.

W całym obozie wrzawa się wszeczyna,
Strach miesza mężne szeregi,
Rozpierzchła wodza szuka drużyna,
Lecz płonne wszystkie zabiegi.

Zaświtał ranek — rycerzy tłumy
Ciagną na pole znów chwały,
Zabrzmiały w okrag wojenne dумы;
Żałobne pieśni zabrzmiały.

Wódz zaś od wieków w jednej postawie
Skamieniał, leżąc w ustroni;
U nóg hełm, włócznia, zarosła w trawie,
Nawpół dobyty miecz w dłoni.

A gdy z północy burza straszliwa
Grzmi przez bór czarny, odwieczny,
Ockniony, rdzawy oręż dobywa
Lubor, wódz stary, waleczny.

Ladaco.

Bohdan Zaleski

Kogut, krzykliwe lichy,
Nie siedziałby to cicho:
Mała bo nocka, mała,
Jeszcze się nie wyspała.

Nie wstanę taki z rana,
Doprawdym spracowana;
A mnie do pracy szkoda,
Bom sobie hoża, młoda.

Gnała mnie matka wczora:
»Pleć żyto, póki pora.«
A jam nie pleła żyta;
W brózdzie leżała skryta.

Do rąk się buja kwiecie,
Wianeczek sam się plecie
I wracam w samą porę,
Bo liczko mi ogore.

Matka się w chacie krząta:
Z tego, to z tego kąta
Wynosi wciąż łakocie
Dla dziecka — po robocie.

Wylegam się na ławie;
Z kotkiem się swoim bawię;
A stoi kądziel z przędzą,
I robić znowu pędzą.

Nudzę oj! u kądzieli;
A w nudach — pieśń weseli,
Pieśnią też zabawiona,
Naprzędłam — pół wrzeciona.

Słońce upada z nieba:
Po wodę hej! potrzeba.
Lecęż co tchu poskocznie,
Zanim się zmierzchać pocznie.

Na kładce — nuż w swawole,
Płasać, to mrugać w pole,
Włot z dala młódź się zrywa,
Bom taka czarnobrewa.

Przy cudzej dobrej woli
Oj, głowa nie zaboli;
U chłopców jest ochota:
Niosą mój dzban we wrota.

I łaje o to matka,
Łaje na młode latka;
I nie wiem — nie wiem, za co
Ludzie mnie zwą: ladaco!

Nie wstanę taki z rana,
Doprawdym spracowana;
Mała bo nocka, mała,
Jeszcze się nie wyspała.

Wyjście z Ojczyzny.

Seweryn Goszczyński.

Wysoko pod niebem żórawie leciały,
Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
Polami, lasami wojacy szli w tłumach,
Bez pieśni, bez grania w milczących szli dumach.

Ich dumy posępne, ich lica w kurzawie,
— »A dokąd, wojacy? — pytają żórawie;
Wasz pochód, jak pogrzeb, choć bronią błyskacie,
Choć broń wam przygrywa, wy w oczach łzy macie«. —

— »Choć broń nam przygrywa, nam śpiewać nie sporo.
Bo wrogi dziś jeszcze, dziś ją nam zabiorą.
My z dłońmi gołymi pójdziemy w świat dalej
I chleba u obcych będziemy zebrali
Gorzkiego, drogiego — i droższej Ojczyzny
Będziemy zebrali na sławę i blizny.

Żórawie, co w nasze leciecie krainy,
Zalećcie po drodze do naszej rodziny.
Na skrzydła, na szybkie, żołnierskie łzy weźcie
I matkom i żonom i siostróm je nieście:
Niech matki wymodlą, wypłaczą niech żony,
By Bóg nam dał rychło powrócić w te strony.

Napoi was Wisła, krwią naszą opita,
Nakarmi was rola, trupami okryta.
Bo my tu nieprędko pić i jeść będziemy!
Nieprędko, nie wszyscy my tutaj wrócimy...
Hej, ptaki do Polski, a my — w świat daleki!«

Z Głosy św. Teresy.

Zygmunt Krasiński.

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żałobą,
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.
Jedynej ulgi na moje męczarnie
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O bardzom, Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie —
— Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej Łaski zezwolenie

Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam, na ziemi i w niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niema.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
Wszystkom widziałam i słyszała — duchem! —
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przede mną
Jakby słońce słońce, w którym kształt człowieka!
Ach światło dzienne, nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu, co z Twych skroni ścieka.
— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało,
Dźwiękiem dźwięczniejszym niż dźwięk ssan przez uszy,
Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w Przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami Cudu —
Lecz jakim bywasz wśród Aniołów ludu,
Tam gdzie nad światem królujesz z Świętymi!
Takim Cię — takim — tu miałam na ziemi!
— Lepiej od Świętych widziałam Cię, Panie!
Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpacz —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
Im więcej męki, tem miłości więcej,

W tem piekle bożem Bożego kochania,
 Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
 Bo chwilę później Tyś znowu daleki,
 I nim powracasz, upływają wieki!
 Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
 Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
 A pod tym głazem mej niewzruszoności,
 Smutek przejada do szpiku me kości!
 Żądam bez miary — miłuję bez granic —
 Miłość i żądza nie zdały się na nic —
 Zmienionam cała w jedno upragnienie,
 Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię!
 Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
 Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi!
 I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
 Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
 Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
 Za obiecane w królestwie Twem gody,
 Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
 Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
 Którabyś spłacił mi dni mych utratę?
 Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
 Że przebolełeś tu wszystko, co boli,
 Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
 Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
 Ty Bóg, przez katów prowadzon do krzyża!
 Ja Ciebie kocham — że Cię w tej chwili
 Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
 Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
 Wołać do Ojca: »O Jam opuszczony« —

Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za Zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;
Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały —
Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam gdzieś wprzód to wzgórze
I krzyż ten zboczony w Krwi Twojej purpurze!
Że Magdalena, ta święta, ta miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojem, jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łyzy jej oka,
I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —
Że być nie mogą dwie takie rozpaczę!
Nie — Ona Ciebie więcej nie kochała —
Ja wiem, że Ona wielka a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała Ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość, między te dwa łona? —
Bo dwóch miłości być takich nie może!

Nie — Ciebie więcej nie kochała Ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, Krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza
I z poza wieków upłynionych tyła

Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi tej Krzyż Twój męczenny
I na tem drzewie oglądam Twe ciało
Ostatkiem światła jeszcze tłące białe
Gdy wszystko wokół, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nade mną, w tej strasznej przestrzeni;
Do kłód tych z cedru przybito gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelazca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I choć tam w dole, takem z Tobą złana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

Ojciec zadżumionych.

(Wstęp.)

Juliusz Słowacki.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona.
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów,

A w wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się uśmiecha, —
Wszystko to leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! O! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się dzisiaj w sercu mem zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu;
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki!
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: Starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje. Wszystko pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha.
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać mię będą. Cóż ja im odpowiem?

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły.
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie...

Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci.
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: »Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.«
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem: — nie czas już było ratować!...
Siostry go chciały martwego całować.
Krzyknąłem wściekły: Niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Testament.

Juliusz Słowacki.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami.
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień z duchami --
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło jako błyskawica
I będzie jak dźwięk pusty -- trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mię znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonał, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej Ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszczy na moim duchu był niewyżebrany,
Ale świetnościami moich dawnych przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą,
I biedne serce moje spala w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siedą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja maleńką zostawiam tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Isć?... taką obojętność, jak ja mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mnie żywemu na nic... tylko czoło zdoła,
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

Grobowiec na granicach Syberyi.

Stefan Garczyński.

Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima mrozem ścina duszę,
Gdzie gwałt i hańba — męczarnie — katusze
Prawem narodu — godłem obyczajów;
Obyście nigdy nie znali tych krajów!

Miedzy wiecznością i życiem doczesnem,
Jeżeli wiara i nadzieja nie snem,
Zbawienia chwila jest w skonu godzinie;
Ale kto na wschód z zachodu popłynie,
Ten niech nadziei powrotu zaniecha!
Ach, kto raz nogą dotknął tej granicy,
Temu zgasła nadzieja — pociecha!

Dziś nowy tysiąc prowadzą z zachodu.
Są to ostatnie pamiątki narodu,
Który żył chwilę i zginął śród życia;
Są to ostatki okrętu rozbicia
Płynące — kędy — żagiel burzy spycha.
Każdy w kajdanach wiedziony przez kata;
Ubiór ich — płachta podarta i licha,
Gospodą — w śniegach zakopana chata.

Młodzi są wszyscy — a przecież już godłem
Starości każdy dotknięty na twarzy;

Oko bez ognia — twarz blada i cicha —
Myśl, widać z oczu, o przeszłości marzy,
Pamięć jedynem serca, ducha źródłem.

Upływał trzeci tydzień ich podróży.
Połowa w drodze zasypała śniegiem
Zmarła na zawsze — a reszta najdłużej
Jutro w Syberyi! — Nad Uralu brzegiem
Stanęli dzisiaj ostatnim noclegiem!

Noc była mroźna. — Na ziemi szeroko,
Jak tylko może sięgnąć ludzkie oko,
Błado — okropnie — i na niebie blado.
Gwiazdy w mgle nocnej wisiały bez blasku;
Wokoło śpiących przy ogniska trzasku
Sterczały piki — tu znużone stado
Tatarskich koni, grzebiąc mech kopytem,
Błądzi po polu — dalej straż kozacka —
Księżyc się czasem za Uralu szczytem
Pokaże nagle, to ginie znienacka. —
Jutro znów pochód za najbliższym świtem.

Zasnęli — cicho — szczęk kajdan i broni
Czasami tylko niewyraźnie dzwoni;
Albo przez usta senne niewolnika
Imię się jakieś na wiatry wymyka.

.

Dwóch przecież nie śpi — na starszego łonie
Młodszy — brat może — głową swą oparty
Leżał i milczał. — Starszy łyż na stronie
Długo ocierał — wkońcu płaszcz podarty
Z siebie zdjął nagle — drżącego ciało
Okrywa — tuli — lecz milczeli oba.

Jednemu pewnie na słowo nie stało,
Drugiemu usta zamyka żaloba.
Usta milczały — lecz usta milczące
Język uczucia mają na rozmowę,
Tkliwszą nad zimnych wyrazów tysiące!
Tak więc na głowę swego przyjaciela
Przyjaciół starszy opuszcza głowę,
Tchnieniem gorącym tchnienia mu udziela,
Usta przycisnął słodkimi całowaniami,
Rękę uściśnął ręką swoją drżącą; —
Onby chciał ducha — życie i gorąco
Wyciągnąć z siebie i rozesłać na nim!

»Ty mnie nie kochasz — umierasz beze mnie!«
Rzekł wreszcie z płaczem ów starszy młodzieniec —
»Gdy cię rodzicom wydierał tajemnie,
Ze mną męczeński chciałaś dzielić wieniec,
Ze mną przysięgałaś żyć, umierać razem! —
Uciesz kochanka jedynym wyrazem,
Powiedz, że żyjesz — że kochasz — żeś moją! — «
Próżno! — Przelotny na licach rumieniec
Błysnął na twarzy, jak w nieba przezroczy
Zachodniem słońcem chmury się ustroją,
I znowu czarne — w słup zbłądzone oczy,
Skryły się nagle w powiece otwartej;
Usta jej sine — przestała oddychać — — —
Ale i żalów kochanka nie słysząc. —

I cicho znowu — aż zrana, gdy warty
Znak do pochodu dały obozowi,
Gdy niewolnicy stanęli gotowi,
Dwóch tylko z miejsca swego się nie ruszy:
Przybiegli — patrzą — oboje bez duszy.

Zakrzepłe ręce trzymały się silnie,
Usta spojone w całowaniu stygły,
Oczy na siebie wyteżone zgasły,
I tak są razem — jako nieomylnie
Żelazo leci do magnesu igły,
Albo w bój hufce, znajomemi hasły! —

Śród dzikich stepów grób im wykopano.
Grób ich granicznym zostanie kamieniem;
Może i kiedyś zbawcami zostaną!
Bo słońce swobód, wiecznem przeznaczeniem,
Miłości ofiar wygrzane płomieniem.

Prostak wiejski.

Stefan Witwicki.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdy panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.
Nie ciekawym, co tam podą
Zagraniczna miastom moda!
Sieję sobie swe zagony:

Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat.. Otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju,
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczyźnie
Własnej wiernym być Ojczyźnie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli, że świat przeinaczy!
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt — wolę ja stare,
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jaki zysk w tem zoczy,
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.
U mnie — znam się na oszustach —
Prawda w sercu, prawda w ustach;
Do prostotym wzwyczajony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy i tak dalej...
Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mnie w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz przy spowiedzi.
Tom już całkiem nasycony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Somo-Sierra.

Antoni Górecki.

Gdzie wawóz Somo skałami się jeży,
Jest ciasne przejście jak na szyk rycerzy;
Tam dumny Hiszpan, siadłszy na gór szczycie,
Czekał z pioruny na wrogów przybycie.

Z jakim łoskotem w Alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturmów Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudną dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Dumne Hiszpany z gór wierzcha szydziły:
»Chodźcie tu, chodźcie, dawno was czekamy,
»Wam tu Kastylki robią uśmiech miły,
»Wam stary Madryt otwiera swe bramy.«

Wtenczas bohater, co wiódł nasze męży,
Przybiegł, gdzie polskie lśniły się oręży;
W cichym milczeniu zwarte hufce stały.
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

»Wy, co z waszemi znajome szeregi
»Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
»Ty ze lwim sercem młodzieży nietrwożna,
»Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można.«

Rzekł, huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,
Przez grad kartaczy las proporców leci.
Grzmi grom po gromie, i razem ustały — —
Na wierzchu szanów osiadł orzeł biały.

Branka Litwina.

Antoni Edw. Odyniec

»No, no, Laszko, dość jęku!
Nie płacz, nie mdlej w mem ręku,
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli;
Ja mam z tobą czas trwonić?
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczem wrócił do Litwy? —

Nie, nie! prosisz daremno,
Żywa musisz iść ze mną.
Dalej! śmiało! siądz podle
Na słomianem mem siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi
Swym cię biegiem nie strudzi;
A przed wiatrem na łonie
Wilczą burką osłonie.

Dalej, sercem ochoczem!
Nie masz płakać tu po czem,
Patrz, twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.

A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody
Chciał się unieść przede mną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie
Nie zateśni po tobie.

Patrzno, patrzno! jak zbladła!
Jak nieżywa upadła.

Żal jej brać mię zaczyna,
Taka piękna dziewczyna!

No, przyjdź tylko do siebie,
Sam dbać będę o ciebie,
Ponad brzegiem Zejmiany
Mam ja zamek drewniany;
Pełne gumna i pełny
Spichrz kądzieli i wełny.
Tam nie będzie ci smutno:
Przez dzień będziesz tkać płótno,
W wieczór w gronie mych dziewczek
Przedąc, słuchać ich śpiewek.

A gdy syn mój jedyny
Wróci z pruskiej krainy,
Kto wie, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.
Mało równych mu w Litwie,
I na ucztach i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu, wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zgine, gdy kłamie,
W ręku sztabę rozłamie!

Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała.
Czy dziękujesz, czy prosisz,
Że tak w niebo wzrok wznosisz?

Skąd z tak nagłym pośpiechem
Siadasz na koń z uśmiechem?

No, no, przytul się do mnie.
Ręce zarzuć koło mnie,
Tak, tak, — teraz już mogę
Ptakiem puścić się w drogę.
Skądże znowu to drżenie?
Co tam patrzysz w płomienie?
Cóż, że jedziem koło nich?
Wszak nie wepchnę cię do nich.

Ha! ha! stój, stój, zuchwała!
Z konia mi się zerwała;
Lecz nie ujdiesz pogoni,
Lub cię strzała dogoni!

Ale gdzie ją strach żenie?
Czekaj, nie leć w płomienie!
Przez Perkuna! nic tobie
Za to złego nie zrobię!

Ani słucha szalona!
Leci, wzniosłszy ramiona,
Prędej koniu, już blisko,
Spiesz, nim wskoczy w ognisko!
Spiesz! lecz gdzież się podziała?

Ha, to suknia jej biała —
W pośród gruzów zwalonych
Miga w ogniach czerwonych!

Jakem Litwin, dziewczyna
Warta była Litwina.
Spaliła się, a szkoda!
Była piękna i młoda«.

Miłość i praca.

Antoni Edward Odyniec.

I gniew mnie burzy i żal mię wzrusza,
Ilekroć widzieć mi trzeba,
Jak się anielska piękność i dusza
Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym gniewie i bólu,
Jak gdybym Świętą, com czcił w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

I w tem uczuciu zda się odsłania
Tajna przeznaczeń zawilość:
Czem tu, z Boskiego snąć powołania,
Winny być: praca i miłość!

Praca na ziemi jest ze sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju:
Lecz mu na ulgę miłość zesłana,
By nie zapomniał o raju.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba,
Krewkość utrzymać w pokorze,
Lecz się przez miłość tylko do nieba
Duch oczyszczony wznieść może.

I tylko miłość pracę uświęca,
Jak w pracy dla niej opieka.
Na to Bóg siłę tchnie w pierś młodzieńca,
Dziewicę w piękność obleka.

Wstyd więc młodziana trwodzi próżniaczej,
Co się jej zrzeka opieki!
I drżąc przed pracą, woli się raczej
Miłości wyrzec na wieki.

Żal was i za was, córki Adama! .
Że wasza miłość i krasa
Zamiast być pracy pobudką, — sama
W ziemskich jej znojach zagasa!
Lecz jest Kto widzi i Kto zapłaci,
Ku niemu tylko myśl wznieście!
I kto wie — żali win męskich braci
Bóg nie odkupi w niewieście!?

Męczennik.

Konstanty Gaszyński.

Straszny dzień sądu na rynku Warszawy!
Każda z przybocznych rojna w tłum ulica:
Tłum przerażony, mileżący i łzawy;
Przodem piechota, po bokach konnica,
A w samym środku stoi szubienica.

Oh! nie złoczyńcę przywiodą tu kaci!
Lecz wielki sercem, duchem nieskalany,
Żołnierz bez trwogi, wódz walczących braci —
Za to, że kraju chciał skruszyć kajdany,
Carskim wyrokiem dziś będzie karany!

Przybył męczennik — w oczach wzrok niezłękły —
A rajski spokój twarz mu rozaniela;
Zebrane tłumy, szlochając, przyklękły:
On je żegnaniem wejrzeniem obdziela —
I do ust ciśnie godło Zbawiciela!

Sam wszedł na szafot, co świętych nie plami —
Lecz gdy kat powrót mu wkładał na szyję,
Wykrzyknął głosem, co wstrząsnął sercami
I gdzieś aż niebios sklepienia przebiję —
»Niech żyje Polska! Ojczyzna niech żyje!«

Męczennik skonał — w tem, z bocznej ulicy
Nagle wybiega niewiasta sędziwa,
Przez strażę, pędzi wprost do szubienicy —
I choć łez potok po licach jej spływa,
Jednak się śmieje, tańczy i śpiewa:

»Kraj ten niewdzięczny łaską cara żyje —
»Car znów dziś uczcił Polaka zasługi,
»Orderową dał mu wstęgę na szyję,
»I wojska swoje mu przysłał na sługi —
»Wiwat Car! wiwat Aleksander Drugi!«

Wnet oprawcy za niewiastą skoczyli,
A lud z przestrachem zawołał: »waryatka!«
Tak! — waryatka, lecz dopiero od chwili,
Gdy car ją odarł z rozumu ostatka —
To była biedna męczennika matka!

Litwa.

(Z Pieśni o ziemi naszej.)

Wincenty Pol.

Tam na północ, hen, daleko!
. Szumią puszcze ponad rzeką;
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Niebo bledsze, trawy rzadsze,
Roją grzązkie, groble wązkie,
Ryby, grzyby i wędliny,
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie,
A na pański stół łakocie:

Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcza i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedymina.

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszcze,
A za drogą gdzieś w postronne
Ciagną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych.
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać go chęć zbiera:
— Co ci to, Litwinie?
Ale Litwin nie wygada,
Bo w tej duszy hart nielada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczerzy — jak воск topnie, —
Ale gdy go kto zahaczy —
To i w grobie nie przebaczy
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego nie bogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.

Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie —
I dobytek w dom gromadzi,
I »o jutrze« wiecznie radzi.

W polskim domu.

(Z Pieśni o ziemi naszej.)

Wincenty Pol.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człękby czasem wierzył:
Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież blizka
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa, w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban nie pusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne..
Przed Świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie
Ponad łóżem karabela...

Gdy zawczasie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marysza przy kominku:
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje..
Wszystko cicho — nic nie szańsie,
Czasem tylko warta wrzańsie,
Albo kotki załopoca,
Lub panienki zachichoca...

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda;
Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i w szczerocie
W wiejskim domku uchowane,
Wypieszczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...

Gdy wesołe, istne trzpiotki
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jej nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wypowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije,
To cię dojmie tak do żywa
Iż to cudne, cudne dziwa,

Że się serce nie rozplynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskim dzieckiem, czy z aniołem
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i łez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która poda
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie,
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyziębi:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciadle się odbije;
Bo w tem łonie przyszłość żyje.

A czy chcecie wiedzieć, jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta, jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

Dziadek.

Wincenty Pol.

Już noc zapadła; po dziennem igrzysku
Wytchnął świat sobie, jak człowiek z westchnieniem.
Pod wielkim bukiem przy małym ognisku
Siedział staruszek na starym kamieniu.

— »Skąd dziadku w górach? pewnie że z daleka.«

A starzec na to: »Ot z całego świata,
Nędza na świecie, a Wielki Bóg w niebie!«
I zmierzył okiem obcego człowieka.

»Idę, mój Panie, o proszonym chlebie.«

— »A gdzieś to strawił, ojczy, młode lata?«

»Dużoby o tem mówić, Panie miły,
Nie jam je strawił, one mnie strawiły;
Ja jestem synem szlacheckiego rodu,
Ojciec niebożczyk był dziedzicem w Rajskim,
A jam służywał wojskowo za młodu.«

— »Gdzieś stracił rękę?«

— »W bitwie pod Możajskim.«

— »I prosisz chleba?«

— »A proszę, bom głodzien;

Znać, żem innego losu nie był godzien,
Gdy mi tak padło Boże zmiłowanie.

Gdziem strawił lata? trawiłem, mój Panie,
Młodość na wojnie, średni wiek w niewoli,
Starość na żebrach. — To się łatwo prawi,
Lecz taki żywot gorzej śmierci boli.

Świat mi dokuczył, a śmierć gdzieś się bawi.«

»I nie narzekasz?« — »A czegoż narzekać?

Tyle też w życiu mem miałem pociechy,
Żem nie narzekał; lecz mi trudno czekać

Już dłużej śmierci. Więc myślałem sobie,
Że idąc w drogę, czy spotkam niebogę.
A życie moje, to stanie za grzechy.«
— »Stanie, mój Ojczy, jak Bóg w niebie, stanie,
Życzę ci śmierci.« — »Bóg ci zapłaci, Panie,« —
Odrzekł staruszek, spokojny w sumieniu,
I czekał śmierci na wielkim kamieniu.

O Kilińskim.

Wincenty Pol

Posłuchajcie historyi!
Lat czterdzieści temu prawie,
Jak Kiliński żył w Warszawie,
A był szewskiej profesyi.

Był to dobrze człek osiadły,
Miał dom własny, nań przypadły.
Wziął też z żoną coś gotowych,
Przytem dziesięć palców zdrowych.

Że był majstrem, więc miał wreszcie
Warsztat w domu, a sklep w mieście.
A że był też ~~czyłk~~ serdeczny,
Sławny, trzeźwy i dostatni,
I bezpieczny i stateczny,
Więc był w mieście nie ostatni.

Jakoż czy to kogo zgodzić,
Czy zmiarkować, czy uchodzić,
Czy podźwignąć, czy pobratać,
Czy potrzymać, czy poswatać,
Czy ubóstwem ród podzielić,
Czy pogrzebać, poweselić —

Nigdy Jan się nie usunął,
Ani skrewił ani skrecił;
Zawsze prawdę w oczy lunął,
Co miał w sercu, w mowie święcił;
A że zawsze prawdą chodził,
Więc rej w całym mieście wodził.

Prym miał między sławetnymi
Na gospodzie w dniu godowym,
Starszy w bractwie różańcowem
Siedział w ławie przed wszystkimi.

Furda wszystkie kasztelany —
Jemu to szedł pokłon z koła,
Kiedy suto rznął przybrany
W dzień świąteczny do kościoła.
Boć też djabła była mina!
Wąs do góry, w tył wyloty,
W rękę srebrem kuta trzcina,
But chędogi — a pas złoty.

Dobre były tamte czasy,
Gdy szewc nosił złote pasy!
Kto był czysty, miał prym wszędzie,
Kto pracował, miał do syta,
Człek uczciwy był w urzędzie.
Bo była rzeczpospolita!

Więc był radnym Jan w stolicy,
I na miejskiej ławie siedział;
Zawsze wypił, co w szklanicy,
A co w sercu, wypowiedział.

Garnek popiołu.

Ks. Ign. Hołowiński.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłym skonaniu
Ani przed żoną ni dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do tej chaty
Biedny, zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni wpośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Żebak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjawszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.

Westchnienie za Polskę.

Lucyan Siemieński

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako zżętemu kłosowi na łanie

Ziarno skradziono, na proch słomę starto,
I wiejąc na wiatr, wołano po świetle:
Przekłętą ziemią, rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć się o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako łotrowi, co na rusztowanie
Wskazan, policzek dostaje od kata, —
Herby mu łamią, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na miecza męczeństwo,
Popioły wicher rozmiata!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jakbyśmy wpadli w piekielne otchłanie;
Słyszac ich, — słońce świeci tu inaczej,
I ludzi niema, tylko dzika tłuszcza,
I kraju niema, tylko ciemna puszcza,
Wyjąca rykiem rozpacz!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
I Tyś Jobowi na wypróbowanie
Brał syny, zboża wybijał i stada:
Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
Przeto litości ich nic już nie wzbudzi.
Biada sądzonym, o! biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Zostało jedno twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku...
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
Ile dziś nisko, o tyle wysoko
Staniem w narodów świeczniku!

Beduin i wąż.

Lucyan Słemieński.

Beduin zbrojny kopją, jechał sobie piaskiem.
Noc była — wtem na stepie mignęło coś blaskiem —
Więc pocisnąwszy konia, dotarł w oka mgnieniu,
I ujrzał, jak wąż srogi zwijał się w płomieniu;
Chciałby wyleźć, nie może, bo zewsząd go piecze.
— Ratuń mię, Beduinie! dam co chcesz — wąż rzecze.
Na to Arab: złośnika ratować się boję;
Nuż ukąsisz?

— Przenigdy, na sumienie moje!
Wzruszony Arab uzdeczkę zwiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień — wąż do góry idzie,
A sunąc się po drzewcu, przypelzał nieznacznie,
I skoczywszy na szyję, jeźdźca dusić zaczyna.
— Co robisz? krzyknął Arab.

— Duszę.

— Och! i za co?

— Taki zwyczaj; tu zawsze za dobre złem płacą.
— Pofolguj! — rzeknie Arab — zwłoka nie zaszkodzi,
Póki się na to zdanie trzech sędziów nie zgodzi.
— Mniejsza o to, gad rzecze, sfolguję na razie. —
I jechali pustynią, póki na oazie
Nie ujrzeni wiatrami palmy kołysanej.
— Słuchaj, palmo! rzekł Arab — ten gad, uwiązany
Na mej szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! I gdzież tu sumienie
Utrzymywać, że dobre zawsze złem się płaci?! —
Palma na to: — ma słusność, a ty nie masz racyi.
Mój los niech ci dowiedzie; wszak co dzień przez wieki
Pielgrzyma liściem mojem zasłaniam od spieki,

Grzeję w zimno, owocem karmię go obficie,
A jednak on toporem odbiera mi życie!

Na te słowa wąż silniej pocisnął za szyję:
Jadą dalej, gdzie źródło z pod opoki bije;
Arab rzecz opowiedział — a źródło po chwili
Odmruknęło: — mój człeczko! ten wąż się nie myli.
Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój szklany,
Pragnienie tu przychodzą gasić karawany;
A kiedy się napiją i ludzie i stada,
Wiesz co robią? ot, każdy brud swój we mnie składa!

Dwóch sędziów się zgodziło; wąż z radości bryknął
I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął.
Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku. —

Wtem spostrzegają lisa: myszkował na boku
I już, już się wynosił, gdy oni: Stój, bracie!
Na pół słówka prosimy!

— Z daleka, co macie,
Mówcie do mnie; nie głuchym! — rzekł i stanął w dali,
A oni mu o sprawie swej opowiadali.
Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
I rzekł: — Oczom nie wierzę, dlatego się dziwię;
Więc, ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecie
Jak to było? —

A oni: Rzecz najprostsza w świecie! —
I Arab znów przywiązał uzdę do kopii,
A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi.
— Łap zdrajcę! krzyknął lisek. I wąż siedział w matni.
Gdzie niewdzięcznik był zduszon. Szkoda! nie ostatni

Powrót wiosny.

Gustaw Zieliński.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur,
Z dolin i gór —
Zimowe, śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody
Wre życie.

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna:
Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki,
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szalak;
Miły to ptak —
Gdy na skrzydełkach zawieszon, śpiewa
I cały urok rozkwitłej wiosny
W swój śpiew miłosny
Przelewa.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko snić...
Z uwiedłych marzeń, z uczuć zawodu,
Po burzach życia znów się ocucić,
Kochać i nucić —
Jak z młodu!

Stół marmurowy.

Stanisław Koźmian.

Wszystkie do grodu spuszczone mosty,
Nikt bram rozwartych nie strzeże;
Ciśnie się szlachta, ciśnie lud prosty,
Konno wjeżdżają rycerze.

W szańcach czekają na znak pancerni,
By z wieścią pomknąć nawalnie;
Przy każdym dziale puszkarz się czerni,
Tylko lont spuścić — a palnie.

Jeden po drugim kapłan wychodzi
W jasnej kaplicy z mszą świętą;
A taka cisza z tłumów powodzi,
Jakby głos ludziom odjęto.

Cisza — wśród dworca wszystek lud stoi
Z wlepionym w okno to wzrokiem,
Co nad zamkowych herbem podwoi
Wklęsło sklepieniem wysokiem.

A i tam wewnątrz, tylko szmer cichy
Wpółśród szerokiej komnaty,
Niestrojnej w żadne zbytku przepychy,
Jeno w rynsztunek bogaty.

W środku ogromny stół marmurowy,
Po bokach dębowe sprzęty,
W głębi alkowa, a łuk alkowy
Ciężką makatą opięty.

Patrz, stoi w oknie od dworca strony
Mąż wzniosły, jasnej tak twarzy,
Że, zda się, na szkłe Święty złożony,
Kiedy szkło słońce rozżarzy.

Wsparty na mieczu — różaniec trzyma,
Cisnąc pobożnie do łona,
I tylko wodzi ciągle oczyma
Tam, gdzie drga czasem zasłona.

Cisza — wtem nagle dźwięk tam coś wieści,
Jak gdy zakwili dziecina,
I za kotary wnet głos niewieści
Ozwie się: »Bóg ci dał syna!«

Wraz mąż na ziemię padłszy jak długi,
Takie śle w niebo orędzie:
»Przyjm go, o Maryo, między Twe sługi,
Niech niewolnikiem Twym będzie.«

Żegna się, wstaje, idzie w alkowę —
Wynosi dziecię na tarczy;
Unieść je — takie ciężkie i zdrowe —
Nielada siła wystarczy.

Składa je na stół w środku komnaty.
Lecz ledwie spuści je ręką —
Gdy grzmia armaty, huczą wiwaty —
Stół się na dwoje rozpęka.

»Cóż to mu wróży? — jęknie — na Boga!
Nieszczęście czy niecne dzieła?«
Nikt się nie ozwał długo, bo trwoga
Wszystkim duch w piersiach zatknęła.

Aż wreszcie kapłan, który z daleka
Przedarł się przez tłum struchlały:
Żaden« — zawoła — srom go nie czeka,
Lecz owszem chwała nad chwały.

»Tylko, że dzieła, które to dziecko
Drogą tryumfów powioda,
Wnet niewdzięcznością obcych zdradziecką,
A ziomeków zginą niezgodą.

Zginą, jak stół ten wskroś się rozpadną;
I kraj się cały rozboli;
Co miało zbawić, straci go na dno
Ciężkiej i długiej niedoli.

Niemniejszą przeto ten syn zasługą
W zwycięzców stawi się rzedzie,
Bo całe życie Maryi on sługa
I niewolnikiem jej będzie.«

Gdzie się to stało? W jakim narodzie?
Powieм wam, jeśli nie wiecie:
Działo się w wielkim Oleska grodzie,
A Jan Sobieski — to dziecko.

Policzek.

Jan Nep Jaśkowski.

Kto za wielkością, kto za blaskiem goni,
Kto drży przy pieniu okazałej treści,
A łyż przed cichą cnotą nie uroni:
Niechaj nie słucha tej skromnej powieści.

Nawet w twe błogie, poezyo, kwiaty
Stroić nie będę szlachetnego czynu;
Pokornej cnocie skromnej trzeba szaty,
Gmin mnie zrozumie, ja śpiewam dla gminu.

»Gdy pił król August, naród był pijany,«
Brodził w rozpuście, zbytku i swawoli;
Pan się weselił, a jęczał poddany,
I nikt nie ulżył nędzy i niedoli.

Stolicę państwa, jak Sodomę drugą,
Owiała zewsząd pijana pomroka;
Wszystko wróżyło noc ciemną, noc długą...
Próżne przestrogi! nie było proroka.

W onym to czasie przyszedł do Warszawy
Sługa Chrystusa z nadsekwańskiej ziemi;
Zwał się Boduin; a był człowiek prawy,
Co umiał uczuć litość nad bliźnimi.

I widział w państwa możnego stolicy,
Z bólem dla serca, hańbą dla ludzkości,
Widział, o zgrozo, jak się na ulicy
Psy ujadały o dziecięcia kości.

Gdy otarł^o oczy napętnione łzami,
Wzniósł je w niebiosa i wyrzekł w pokorze:
Ty, co opiekę masz nad sierotami,
Myśl moją czystą pobłogosław, Boże!

Od tej godziny starca i kalekę,
Dziecię, rzucone na łup ponieważ,
Choć skarbów nie miał, w silną wziął opiekę:
Bo umiał wmówić litość w każde serce.

Razu jednego gdy swoim sierotom
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Anioł, co jego przewodniczył cnotom,
Zawiódł go w domu wspaniałego progi.

Był to dom graczy. O ty! co w podziale
Oddajesz nędzy grosz wdowi wesoło,
I chleb z nią łamiesz pieczony w popiele,
Słuchaj i z dumą wznies ku niebu czoło.

W bogatej sali, przy zielonym stole,
Dwunastu graczy zasiadło w milczeniu;
Trzynasty z piętnem Judasza na czole,
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.

Gdyby to złoto, co błyszczy przed nimi,
Rozdał ludzkości ginącej w potrzebie,
Ileżby jęków, łez oszczędził ziemi!...
Litości! gdzieżto śmiałem wspomnieć ciebie.

Na tej zapadłej, trupio-bladej twarzy,
W oku, co mało z głowy nie wyleci,
Litość-że ogniem tak dzikim się żarzy?...
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.

Patrzcie, to młode, szlachetne oblicze
Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina:
Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
A matko! matko! płakać będziesz syna.

Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najhojniej miotał kruszec złoty,
Głos do pokornej, cichej prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.

W tej właśnie chwili odwiecznym wyrokiem,
Co ludzkim sprawom pewien cel zamierzył,
Gracz przegrał kartę; więc z iskrzącem okiem
Skoczył, kapłana w policzek uderzył.

Rozszedł się odgłos po obszernej sali,
A potem cisza, potem zimna trwoga;
Gracze zadrżeli, pobledli powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.

Choć stał spokojny, cichy, niewzruszony,
Tylko blask chwały, łza w oku zaświeci,
Tylko natrętniej potrząsnął skarbony
I rzekł: »To dla mnie, Panie! cóż dla dzieci!

Cnota tak wzniosła godny tryumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczule;
A złoto, czartu niesione w ofierze,
Idzie w ubóstwa i nędzy szkatułę.

O! jeźlim kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży
Dzieciątka Jezus w Warszawie budowy,
A uczei męża i w cnotę uwierzy.

Wiosna zwodnica.

Józef Ign. Kraszewski

Czy to wiosna? czy zwodnicza
Zima twarzy jej pożyczca?
Ptak szczebioce — słońko grzeje?
Czekać, czy już mieć nadzieję?

Czy to wiosna? a! to ona...
Umajona... ukwiecona...
Okiem fiołków już się śmieje.
Czekać, czy już mieć nadzieję?
Czy to wiosna? wszak skowronek
Na mszę ranną bije w dzwonek.
Radosną nowinę sieje...
Czekać, czy już mieć nadzieję?
Czy to wiosna? wszak dokoła...
Zwierzę, ptaki, niebo, zioła...
Wszystko nową szatę wdzieje.
Czekać, czy już mieć nadzieję?
Czy to wiosna? a! zwodnica!!
W sinych chmurach bladolica
Zima znowu chłodem wieje!
Wiosny poszły z nią nadzieje.

Hymn orłów.

Edm. Wasilewski.

Hej! bracia orły, do lotu!
Na świata brudnego końce!
Przed nami góry — olbrzymy,
Przed nami czernią chmur dymy,
Hej! bracia orły, do lotu!
Przed nami pali się słońce!

Kto ulągł się u skał szczytów,
Temu świat cały jest droga,
Kolebką — morze błękitów,
Łozem — posłanie z granitów,
Temu świat cały jest droga,
Kto ulągł się u skał szczytów!

Hej! skrzydła roztoczmy obie
Na świata czworakie wiatry!
Z odważną piersią w zasobie,
Odbądźmy przegląd po globie!
Kolebką były nam Tatry,
Z nich skrzydła roztoczmy obie!

Oczami — jak błyskawicą,
Ścigajmy zdobycz z wysoka,
A co wypatrzym żrenicą,
Niechaj wnet szpony pochwycą;
Od wagą bystrego oka
Przestraszmy jak błyskawicą.

Jastrzębi, sokołów stada
W naszej ojczyźnie plądrują;
Wiatr, zanim skona noc blada,
Z szumem się skrzydeł rozgada.
I nasze szpony poczuja
Jastrzębi, sokołów stada!

Tam kruków czernie przekłete
Na trupy żerować biegną;
Lecz tych wspomnienie jest święte,
Ciała szanowne nietknięte,
Co walcząc za kraj, polegna;
Rozpedźmy czernie przekłete!

Ha! jeszcze burza szalona
Piorunem w oczy nam błyszczy,
Sił popróbujmy — niech ona,
Choć straszna grzmotami, skona,
Swej piersi żarem się niszczy!
I pierzcha burza szalona!

Hej! bracia orły do lotu!
Choć czyste już świata końce,
Chociaż go podłość nie gniece,
Lecz jeszcze zimno na świecie.
Hej! bracia orły, do lotu,
Przed nami pali się słońce!...

Wiarę ojców czcic należy.

Ryszard Berwiński

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła przygoda
Będzie temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

Zwierz drapieżny do obory,
Między stada czarne mory
Wejda temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

Chorobą się rozniemoże,
I boleści twarde łoże
Zwiąże tego, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

A gdy skona, garści ziemi,
Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
Nie dostanie, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

Marnie zginie! świat rozmicie
Prochy jego po wszym świecie;
Marnie zginie! ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

Na przesilenie wiosenne.

Karol Brzozowski

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wichr marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór
Twój, zimo, strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone gromem biją,
Zawitaj nam, Dziewico,
Zawitaj nam, Maryo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Two państwo już się rodzi;
Że w grozie tej jest pączek róż!
Lecz, Matko, świeć tej łodzi —
Co z mórz się szaleł grzmiącym łamie;
O, gwiazdo mórz, Ty święta!
Wierzącym daj Two ramie,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Nawpół wygląda z pąków!

I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków.
O, Maryo! Ty miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje.
Niech Twoje nań w pokoju
Błogosławieństwo wieje.

I ptaszkom daj na gniazdko cień,
W rozkwitłem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień,
I rozkosz daj wywczasu;

Gdy przyjdzie maj, krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce;
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz — że wichler ten
Jest innej wiosny zwiastun:
Że kości ich, na wieczny sen —
Grób, zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryo! Matko święta:
Z dusz w Ciebie ufających,
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez,
Na mogił smutnem polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilię, bez,
Posadzon ręką bólu.
Siej, Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiośniane!

Słup soli.

Kornel Ujejski.

Wstał rano Abraham i wstąpił na wzgórze —
A poschły tam cedry, powiedły tam róże,
A z dolin siarczane wznosiły się kurze.
I z ręką na sercu i z ręką na czole
Napróżno coś szukał — wciąż pole i pole,
Ni drzewa ni kwiatu nie było tam w dole.

I tylko obaczył tło czarne jeziora;
Więc smutno zadumał: Sodoma! Gomora!
Ach! jakaż to straszna w twej śmierci pokora!

Gdzie twoje okrzyki, gdzie twoje biesiady,
Gdzie gmachy złożone, kwieciste twe sady,
Gdzie piękność twej ziemi a ludzi szkarady?

Rozkoszą zmęczona gdyś wczoraj się kładła
Czy też ci mówiły to senne widziadła,
Że dziś cię zakryją jeziora zwierciadła?

I kedy popatrzę, i pusto i głucho,
Nie widzi nic oko, nie słyszy nic ucho,
Aż w piersiach nie lekko i w oczach nie sucho.

Mówilem do Pana: Jeśli pięćdziesięciu
Jest prawych, to nie trwaj w swoim przedsięwzięciu;
A Pan rzekł: Mój sługo! tam niema i pięciu!

Sodomo! Gomoro! chodziłaś w swawoli,
To Pan cię nawiedził — i zamiast niewoli,
Śmierć zesłał na ciebie: — błogosław swej doli!

I umilkł Abraham, bo gałąź zwieszona
Odkryła mu nagle słup, co miał ramiona
I głowę — ta była ku miastu zwrócona.

Więc lepiej odchylił spalone cyprysy
I długo spoglądał na słupa zarysy,
Na głowę, co miała znajome mu rysy.

Ze strachem się podniósł i poszedł ku drodze,
I poznał twarz oną, skamieniałą w trwodze,
I głośno zapłakał i zmartwił się srodze!

I usiadł pod słupem zemdlony mozołą,
I w dłonie drgające zaciągnął swe czoło,
A płacz swój serdeczny i oczy skrył połą.

Za służbą.

Kornel Ujejski.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.

— Co chcesz, dziecię moje?

— Sława Bogu!

— Na wiek wieków — co chcesz, dziecię moje?

— Ta, za służbą... o pies! ja się boję!...

— Pies ten złego nie robi nikomu —

Chodź tu bliżej, bliżej, — a czyja ty?

— Ta, niczyja.

— A gdzież matka?

— Zmarła maty.

— A twój ojciec?

— Ojciec w karczmie siedzi.

— Cóż ty robisz?

— Żywią mnie sąsiedzi.

Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;

W zimie często do pierza posadzą,

Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje

Jagodami... ot! człowiek bieduje...

— Jaki człowiek?

— Ta ja, pani miła —

Źle na wierzchu ziemi być sierotą —

Cieężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka...

— O moje ty złoto!

Takie małe! Tak mówi rozumnie —
To ty dziecię, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?

— Ta, chatę zamiatać,

Wodę przynieść...

— Figle umiesz płatać?

(Ono myśli długo) — Także umiem

A i gęsi ludzkie paść rozumiem...

— Czy ty głodna?

— O, o bardzo głodna...

* * *

O! ty ziemio polska! ty zawodna!
O ty ziemio polska! tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!...
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny ach! bo nieszczęśliwy.

O ty ziemio polska! ty zawodna,
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko ledwie nie z kołyski
Smutne patrzy na twoje połycki,
Już dojrzałe, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży,
I o grobie niby starzec marzy.
O ty ziemio! ty macochu gminu!...

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź, mój synu,
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem ośłódźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą!
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze białem jest jej ciało;
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!!

Do pieśni.

Kornel Ujejski.

Niech wstanie pieśń!
Zdeptana i pogardzona,
Niech wstanie pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błysnie w słońcu jej korona,
Kapłańską przewita wstęgą.
Tyś jest, ty trwasz, o! potęgo!
Napróżno tobie wróżą koniec,
Cieszą się twym pogrzebem;
Tyś jak nieśmiertelny goniec
Pomiędzy ziemią a niebem.

Dopókać czułe biją serca,
Cierpi duch ludzki potyran,
Nie spłoszy cię szyderca,
Nie spęta żaden tyran.

Wszystko od ziemi rwie się w górę:
Niegdyś, gdy ścichły już płomienie,
Popopotowe leżało błoto,
Natenczas twory milczące, ponure,
Uczuwszy słońca promienie
I wiatru łagodny wiew,
Wielką ku niebu zawrzały tęsknota.
Tęsknota daje skrzydło,
Od skrzydeł wyszedł śpiew,
I tak, i tak
Z tęsknoty pierwowzorów
Zrodził się ptak!

Czy chcemy, czy nie chcemy,
Czem kazał Bóg — będziemy!
Od doskonalszych my wyszli wzorów,
Niżeli ptaki i bydło;
Wyżej tęsknota rwie nas w górę,
Ponad tej ziemi naturę.
Duch nasz, duch lotny, to nasze skrzydło,
Od skrzydła ducha wyszła pieśń.
Niech wstaje pieśń!
Niech strząsa proch i pleśń,
Niech błysnie w słońcu jej korona,
Kapłańską przewita wstęgą!
Tyś jest, — ty trwasz, o! potęgo!

Hetman polny.

Władysław Syrokomla.

Poza pagórką, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
— »Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
Z poza pagórka wypaść znienacka,
I broniąc niskie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!«
Tak już uradził plan całej sprawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Nie zawżdy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszcza;
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze;
Robocze woły rżnie na wieczerzę;
Znieważa kraśne dziewy wieśniacze —
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

A wtem, pod wioską, nocną zaciszą,
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:
— »Ej! nie masz Boga jak Allah w niebie!«
Po bisurmańsku rzekli do siebie;
»Snać tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniej straży;
Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdżać już niema po co;
Dziś spalim zamek — gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnej buławy«.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore łuna obszerna;
Hetman na niebo spojrział w oddali:
— »Na koń! rycerstwo, mój dwór się pali!«
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
Zamek spalony... służba wyrżnięta...
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta...
Na zgliszczach domu modli się łzawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

Pocztalion.

Wład. Syrokomla.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli, —
Weź czarękę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie
I powiedz, co ciebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół jak wprzód.

— »O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Nie miło na świecie, nie miło,
Daj czarękę! przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszcze był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie, wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Wozilem pakiety i pany, —
Dostałem złotówkę — o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem, jak z równym, i kwita.
I konie mię znały; jak gwizdnę, jak zaciął, —
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieść pocztę! zatrabię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode imoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka.

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wioseczce o milę;
Bywało wracając nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz, w północnej coś porze,
Budzę się natychmiast, przychodzę, —
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

— »Powieziesz sztafetę!« — Oj лихо przywiodło! —
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem. —

A tutaj wiatr świszczę, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże;
Dwa słupy wiorstowe minęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichrów, poświstów, głos z płaczem zmieszany
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza — pomogę! Ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtem jakby mi zda się
Ktoś szepnął: »a tobie co po tem?
Ej lepiej godzinę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić twą dziewczę z powrotem.»

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzył kroplami nad czołem;
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie — trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty:
Duch zamarł, a serce szepcąc po kryjomu,
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń czmychnął — zjeżyła się grzywa —
Na drodze pod płachtą powiewną,
Pod warstwą sumiotu — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnałem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica — to była... ach! bracie,
Daj czarke, dokończyć nie mogę.

Wlazł kotek na płotek.

Wład. Syrokomla.

»Wlazł kotek na płotek i mruga,
Piękna to piosenka, niedługa;«
My temu chytremu kotkowi
I sami odmrugnąć gotowi, —
A żaden nie zgadnie, nie zoczy,
Co sobie powiemy przez oczy:
Tak mrugniem figlarnie i zdradnie,
Że człowiek sam siebie nie zgadnie;
Wtem sekret, w tem cała zasługa:
»Wlazł kotek na płotek i mruga.«

Ej, kotku, ty kotku filucie!
Czy mruga w twych oczkach uczucie?
Czy zdrada głęboka a słodka
Zwyczajnie jak w oczach u kotka?
Czy mrugasz nieszczerze, czy szczerze,
Ja zawsze kotkowi uwierzę,
I wzajem odmrugnę tak ładnie,
Że kotek nic a nic nie zgadnie;
W tem sekret, w tem cała zasługa:
»Wlazł kotek na płotek i mruga.«

A kiedy kotkowym zwyczajem
Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
Niech żadne się na to nie żali,
Bo myśmy oboje mrugali.
Na zręczne mruganie z ukradka
Nikogo nie znajdziem na świadka;
Kto widział, nie zgadnie: co znaczy?
Bo coraz mrugamy inaczej!

W tem sekret, w tem cała zasługa
»Wlazł kotek na płotek i mruga.«

W y r o k i.

Teofil Lenartowicz.

Czy to tak woda szemrze w strumieniu?
Czy ptactwo śpiewa ukryte w cieniu?
Ani to chłodne strumienie grają,
Ani w gaiku ptacy śpiewają, —
Lecz święci Pańscy w rajskiej ustroni,
Gwarzą ze sobą w cieniu jabłoni.

Święty Mikołaj, staruszek siwy,
O ludzką nędzę wielce troskliwy,
Co ma w opiece nasze bydłęta,
O każdej wiejskiej krowie pamięta,
Wraca do trzody zbłąkaną w boru,
Chroni od wilka i od pomoru,
Wsparty na krzywym kiju pastucha
Pod gałęziami siedzi i słucha;
Łagodny wietrzyk rajskiej dąbrowy,
Rozwiął mu brodę na dwie połowy,
A wonne zioła perłową rosę
Strzęsły dziadkowi na nogi bose.

Przy nim Piotr święty przyrządza sieci,
W którą gdy złotych rybek naleci,
Zaniesie Panu przez jasne pole
I złoży w niebie na srebrnym stole!

Obadwaj siwi — gołąbki prawe,
Obudwu serca wielce łaskawe,
Gorliwi stróże około ludzi;
Lecz się i święty na świecie strudzi:

Trzy dni powraca Piotr bez połowu,
Co sieć wyciągnie to spuszcza znowu;
Posnęły rybki w tym świata stawie,
Więc się okropnie staruszek smuci:
Co powie Panu, jak próżno wróci?

Może mu Jezus sieci odbierze,
I sam założy srebrne więcierze,
A jak nie znajdzie nic w mętnej fali,
To spuści ogień i wody spali.

I drugi święty ma swoje troski:
Do nieba skargi przychodzą z wioski,
Że wilcy krówki z pod chaty biorą,
Że wczoraj zdechło jagniąt kilkoro,
Że spiekłej ziemi deszczyk nie rosi,
Że święty pasterz Boga nie prosi:
Niby to prawda... lecz na tej ziemi
Trudnoć się spierać z ludźmi grzesznymi —

Gdy tak biadają schyliwszy czoła,
Słyszą z daleka skrzypki anioła.
Oj, to nie była anielska skrzypka,
Jeno wieść dobra, co leci szybka,
Że tam na ziemi, na chmurnym świecie,
Powiła matka ubogie dziecko.

»A dziękiz Tobie, łaskawy Boże!
Toż mi zakładać niewód pomoże.«
A drugi rzecze: »Chwała na niebie,
Ja go do trzody wezmę dla siebie.«

Na święte głosy, matka królowa,
Gdy usłyszała dalekie słowa,
Z brylantowego zamku wychodzi,
I miłościwem spojrzeniem godzi,

I rzecze do nich: »Dla tej sieroty,
Nie miecz skrwawiony, ani laur złoty,
Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
Jeno uboga skrzypka tułacka;
W odwiecznej księdze ona wyryta,
Cieniem żałobnym cała pokryta,
A na niej będzie pod niebem brzmiała,
Wiernego ludu cicha pochwała;
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami spłyną...«

„Niechże więc idzie — rzekli miłośnie —
Niechaj mu serce w boleściach rośnie,
Niech mu na oczy w cichem uśpieniu
Przychodzą męże w stałnem odzieniu,
Niewiasty święte w śnieżnej białiznie,
Wszystko co wielkie w jego ojczyźnie,
I niech mu czasem w noc lazuruwają,
Twoje oblicze błysnie, królowo!“
I wyciągnęli swe dłonie drżące
Trzy święte duchy, potrójne słońce...

A w biednej chatce wtedy schylona
Pieściła matka dziecię u łona,
Pełna miłości, sercem bogata
Patrzała w dziecię, w swe skarby świata.

O Baśce, co jej krowę zajęli.

Teofil Lenartowicz.

Miała Basia płową krowę,
Pognała ją na dąbrowę.
Jak pognała tak pognała,
Złoty wianek przewijała;

Przewijała w cichy ranek,
Komu wianek? sobie wianek.

A czy ją też, dziewczę młode!
Kiedy krowa poszła w szkodę.
Podeptała dwa zagony,
Od tej strony do tej strony.
Albo za nią albo w nogi,
Jeno co jej widać rogi,
Krowa płowa, płowe zboże
Toć się w zbożu skryje może.

— Bodajże cię, cóż ja zrobię?
Ot i ludzie — maszci tobie...
Bodajże cię, wianku złoty,
Narobiłżeś Baśce psoty.
Oj! wyleciał dziad za krową,
Pogonił mi krówkę płową.
Aleć moja płowa skora,
Będziesz latał do wieczora.

Nim ją chwycisz za dwa rogi
Połamiesz se, dziadu, nogi.
Oj! wybiegła matka z chaty
Co skakała przed stu laty.
Nie chodź matko, miła Ewo
Stare nogi, stare drzewo;
Zostań, babuś, w chaty progu,
Oddaj żytko Panu Bogu.

Oj! wyleciał chłopiec sokół,
Pogonił się za nią wokół;

Już tu ona, już tu ony,
W edzie krówkę przez zagony;
A ja cicho ani słówka.
— Czyja krówka? — Baški krówka.
— Zapłaćże mi za tę szkodę,
Albo płową sobie wiodę.

Krowa patrzy mokronosa,
Nadeptała tego kłosa,
Nadeptała niegodziwa,
Cóż ja pocznę, nieszczęśliwa!
— Mój Wawrzynie, dam ci płatek,
Albo płatek, albo kwiatek.
— A ja nie chcę to ni owo,
Jeno daj mi jedno słowo:
Będiesz moją? — A matula?
— Jak nie zechce to do króla.
Zawołamy! Królu Mości,
Kochamy się od dawności.
— A jak król ci nie uwierzy,
Jeszcze złapie do żołnierzy ...
— To pójdziemy do plebana,
Niechże będzie dana, dana.
Moje słowo, twoja krowa,
Baška biała, krówka płowa.

Duma o Samuelu Koreckim.

Felicyan Faleński.

Wśród czarnych wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystymi
Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach grzmieniem niesłychanem
Drętwił dziech, stare grabiąc jej zabory...
Cóż — kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Lecz u Cecory.

Raz z ośmset braćmi w krąg go obegnano,
Pięć dni go siekli groźni najeźdźnicy,
Aż zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną
Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
— Nikt, odrzekł Samuel, sam tak chciałem. U mnie
Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...
— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień, omyliwszy strażę
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę, uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z poza świata, co choć rad, a przecie
Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora!... wstrząsł się, i o dziwo!
Zadrżał mąż groźny!... On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczni zatknęto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszałały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mdławne brzaski?
Chrzęsły wrzeczadze. — Kto tam? — Czausz sułtana
Wchodzi zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:
To co rzekł zwiastun, snąć złe jakieś knowa...
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alic tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły,
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrząści,
Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie,
Pierwszego z brzegu ścιάwszy młotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi:
Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne dragi garść rozwściekła imie,
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany,
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią, zlany

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża.
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany, ale nieugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszałały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibadź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

Prośba.

Mieczysław Romanowski.

Błogosław, Boże, rolnika dłoni,
Nie dopuść nigdy nań głodu.
Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;
Gdy zbiera, użycz mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy Twą wolę
Spełniają w bratniej miłości.
Jasną im ciszą opromień dolę;
Twój anioł niech u nich gości.

Nam budzicieli wielkich, o! Panie,
Harfiarzy daj miłujących —
A kiedy naród zbudzon powstanie,
Daj wodzów w naród wierzących!

Zgon konfederata.

Mieczysław Romanowski.

Obozem hufce stanęły na błoniach
Spocząć; Pułaski poglądał na morze:
Złote się gwiazdy migotały w toniach
I rubinowe kąpało się zorze;
Fala za falą wstawiała z zwierciadła
I szła i do nóg wodzowi się kładła.

Jeden z nim tylko druh konfederacki
Poszedł za morza, na wspomnienia smętne.
Na bojach żywot leci mu tułacki;
Szkaplerz położył na serce namiętne,
A w rękę szablą, grom na wrogów głowy,
Szablą z Najświętszą Panną z Częstochowy.

Już świt. Już wrzasły trąby ostre głosy,
Słońce wnet błysło na morze i błonia:
Pułaski szablę otarł z rannej rosy,
Przeżegnał piersi i wskoczył na konia;
Mgła się po ziemi rozścieliła ranna,
Wódz pomknął, za nim grzmiało: »Na Savannah!«

Lecz jechał smutny i do towarzysza

Mówił o swoim zgubionym szkaplerzu:

»Wkrótce, mój bracie, będzie w sercu cisza,

»I drobna prochu garść po twym Kaźmierzu.

»Zły znak!... Duch czuje drogę, bracie miły!...

»Jam się spodziewał w ojczyźnie mogiły.«

»Bez Sakramentów zginę!... Bądź Twa wola!...«

Rzekł — a Savannah już mu widne z dali;

Czwałem więc z jazdą kopnął się na pola,

Kędy Anglicy szeregiem stali,

I usypane reduty ze szańców

Siały kartaczów gradem na powstańców.

I w porę przypadł, bo pod jego wzrokiem

Wrzała już bitwa zacięta wśród łańców,

Już szli Anglicy wyciągniętym krokiem

Z bagnetem w rękę na Amerykanów;

Wnet jedna chwila los bitwy przeważy ...

I jemu zapal zajaśniał na twarzy.

»Naprzód!« — i w dwieście poskoczyli koni,

Za bohaterem lecieli na działa,

Wiatr ich zaledwie dościgał na błoni,

Szable migały w słońcu, ziemia drżała ...

I przełamali Anglików dwa fronty —

A wtem błysnęły na okopach lonty.

Zagrzmiało... »Jezus, Marya!« wódz krzyknął
I padł — zwycięzca padł na polu chwały
I skonał śmiercią, do której przywyknął;
I leżał z szablą swą jak posąg biały,
I Bóg mu rozlał na obliczu ciszę:
Wkoło płakali druh i towarzysze.

I usypali mu grób pod Savannah,
I krzyż na grobie zatknęli brzozywy:
Niech cię przed Boga wiedzie święta Panna
Tak jak ty w taniec wodziłeś bojowy.
A módl się za nas, niech nam Bóg obudzi
Takiego jak ty pośród wiernych ludzi!

Pielgrzym.

Mieczysław Romanowski.

— »Witaj, pielgrzymie! — pewnie z daleka?«
— »Tak! — wielką przebyłem drogę« —
— »Do snu znużona tęskni powieka —
»Odpocznij z nami«... — »Nie mogę...»

Rzekł i pożegnał zagrody w siole
I ludzi, co go witali;
Tam się drożyna wije przez pole...
On spieszy dalej i dalej.

Gwiazdki migocą i księżyc blady, —
Pielgrzym pagórek omija;
W mgle ponad rzeką widać osady...
U brzegu chatkaż tam czyja?

Wstrzymał się pielgrzym — odpocząć może,
W niebo utopił źrenicę...

»To nasza chatka!... dzięki Ci, Boże.«
I łza mu spadła na lice.

Szepnął wiaterek — promień księżyca
Na trawie chwiejąc się żarzy
I blado wiejski cmentarz oświeca,
A pielgrzym stanął i marzy.

To w cmentarz patrzy, to znów ku wodom:
»Wszak żyją jeszcze — o Panie!
»Żyją!«... i spieszyć chce ku zagrodom,
Spiesz, — to znowu ustanie...

Przybiegł, swą chatkę obejrzał wokoło,
»Pustka!«... i pies go nie witał.
Zadrzał, ku ziemi pochylił czoło,
Już się o swoich nie pytał.

I nie odpoczął, drogą znużony,
W oczach skra dzika się pali:
Pożegnał znowu rodzinne strony,
Poszedł — odpocznie — gdzieś dalej...

Święta Kinga.

Józef Szujski

Przez polskie łąny, przez zieleń niw
Cóż to ucieka, goni, aż dziw?
Czy to przed burzą, przed burzą czarną
Owieczki trwożne do dom się garną?

Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios padł;
Królowa Kinga to, biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.

A za królową, za Kingą tuż
Czy to nadciąga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta na ziemi
Z krzykami piekła, z łuny krwawemi?

Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy czarnymi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!

Miotły na niebie i szczera krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew;
A po rosistej, zielonej łące
Dzwony pływają na gwałt bijące.

Tam od Krakowa nadlata gwar,
Jęk słyhać, widać płomieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk uwiezionych
Leci po niwach, niwach zielonych.

Zewsząd się ludek przygarnia wraz:
»Królowo Kingo, ratuj ty nas!«
A biała Kinga powiada, święta:
»Za mną do Węgier, moje dziecięta!«

Wstażką jej szaty wiatr niebios wiał,
Z ust się jej uśmiech anielski śmiał,
Laseczkę białą trzymała w dłoni,
A z dyamentów wieniec u skroni.

Gonia dzień cały i całą noc
A coraz bliższa tatarska moc,
A coraz bliższe kopyt tętenta:
— »O ratuj, ratuj nas, Kingo święta!«

Świt ranny błysnął; straszliwy brzask;
Słysząc już, słysząc Tatarów wrzask!
Słońce się szybą świeciło krwawą,
Za dymem zgliszczów, kopyt kurzawą.

Ku białej Kindze, by wiatrem gnan,
Chyli się ludu szeroki łąn
I w jęk boleści pani się skarży:
»Ratuj nas, Kingo — oto Tatarzy!«

Królowa Kinga wstrzymała bieg,
Z szaty bieluchnej, jak ranny śnieg,
Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Wstążka rzucona — o! cudów cud! —
Między Tatarów i Boży lud
Wpadła szeroką, szumiącą rzeką
I gdzieś w kraj świata leci daleko.

Zawyla tłuszcza i w męty wód
Leciała wściekła, gdzie Boży lud;
A lud on Boży nogą skrzydlatą
Za białą pani pospiesza szatą.

Lecz już przez fali szumiącej toń
Leci Tatara szalony koń!
Leci, dosięga ludek ubogi:
— »O ratuj, Kingo! — tam Tatar srogi

I oto Kinga u ludu głów
Jako Stróż Anioł stanęła znów
I z drobnej dłoni laskę rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Laska z jej ręki — o! nowy cud! —
Między Tatarów a Boży lud
Stanęła lasem gęstej świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.

Zawyla znów dzicz i w lasów cień
Pędziła naprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmętem
Stąpił za śladem królowej świętym.

Lecz już się skończył świerkowy las.
— »O pani! Kingo! ratuj ty nas!
Bo krok za krokiem czarnymi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki.«

I oto Kinga, Archanioł Stróż,
Przed swoim ludkiem stanęła już;
Koronę z głowy zrzuciła miłą,
Aby nic w drodze jej nie wadziło.

Korona jasna — o! cudów cud! —
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła Tater czarną opoką
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.

Stanęła — stoi, jak wielki mur,
Świecącym szczytem dotyka chmur
I słońca promień, jak tęcza, wita
Nieprzełamana już, nieprzebita.

Za temi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew,
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dziecięta.

Lecz na pamiątkę świętych jej dróg
Niebieską rzekę zachował Bóg;
Wstęgą się sunie jasną, świetlaną,
I nosi z dawna Dunajca miano.

I na pamiątkę świętych jej dróg
Lasy świerkowe zachował Bóg;
A drzewo w lasach proste, jak świeczka,
Jako królowej Kingi laseczka.

I na pamiątkę korony jej
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni tej,
Że u jej skroni poważnej, białej,
Dyadem Tater błyszczący wspaniały.

A gdy na Tater lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranka świt,
To się rozbłyszcza, jak dyamenty
W koronie Kingi, królowej świętej.

Pan Jezus chodzi po świecie.

Adam Asnyk.

O! nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki, —
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatków wianeczki zwija;
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie zwałonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu...

I Boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę;
Niesie jej blaski i wonie,
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiąłem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia:

Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści,
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa po łąkach kwiatki.

Wątpliwości.

Adam Asnyk.

Strumień mówi: »Nie rozumiem, na co
Muszę ciągle z gór w doliny płynąć?
Mój ruch ciągły — próżną tylko pracę,
Kiedy w morzu mam bez śladu ginać...«
Na to kwiaty w dolinie rosnące:
»Ty się nie skarż, o dobry strumieniu!
Twoje wody sączą życie łące,
Są niezbędne naszemu istnieniu.«

Kwiaty mówią: »Dziwne nasze losy!
Po co wonie rozsiewać z kielicha?
Po co błyszczeć kropelkami rosy,
Gdy z nas każdy tak prędko usycha?...«
Na to dziewczę: »Dola wasza, kwiaty,
Jest podziwu godną i zazdrości:
Waszym wdziękiem ożywiacie światy,
Sercom ludzkim niosąc woń piękności.«

Dziewczę mówi: »Na co mi uroda?
Na co w sercu słodkich uczuć tyle?
Szkoda marzeń serdecznych, ach szkoda!
Wszystko zniknie jako sen za chwilę!...«
Na to młodzian: »Szczęścia nikt nie mierzył
Dnia długością, lecz tem, co mu dano:
Bóg ci skarby uczucia powierzył,
Byś kochała i była kochaną.«

Młodzian mówi: »Ach, w tym życia boju,
Co wre ciągle przede mną i we mnie,
Próżno szukam zwycięstw i spokoju!
Po co żyję — gdy walczę daremnie?...«
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami opłotła mu szyję —
Wątpliwości jako śnieg stopniały....
I nie pytał więcej: po co żyje?

Błogosławieństwo.

Marya Konopnicka.

Na życie walki i na skon,
Na pracę ducha i na trud,
Na posiew dobra i na plon,
Błogosław, Panie, wierny lud!

Bądź w sercach naszych, w myślach bądź,
Błogosław każdej chaty próg,
Jednością wzmacniaj, zgodą rządz,
Boś ty nasz Ojciec! Ty nasz Bóg!...

Modlitwa wiosenna.

Marya Konopnicka.

Modrą się wstęgą toczą jasne zdroje,
Szumi gaj młody i trawy na łanie.
Za życie ziemi i kwiatów i moje
Dzięki Ci, Panie!

Słońca my Twego czekali z tęsknotą
Przez długą zimę, przez śnieżne zawieje,
Aż nam jaskółki przyniosły wieść złotą,
Że wiosna dnieje.

I serce moje tak śpiewa jak ptaszę,
I wzrok w błękity ku Tobie ulata...
Czuje, jak wieje nad pola, nad nasze,
Chrystusa szata.

On to znów stopką najświętszą Swą chodzi
Przez nasze miasta i łąny i wioski,
A Jego śladem kwiat cudny się rodzi
I spokój boski!

W powiewach ranka, w piosence słowika,
W rozkwitłych lasów szumiącej zieleni
Słyszę głos Jego, co ziemię przenika:
— Błogosławieni!

Błogosławieni, co w każdą tu wiosnę
Świat obsiewają czynami pięknymi.
Błogosławione i dzieci, co rosną,
Jak kwiaty na ziemi!

Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi.

Marya Konopnicka.

Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi,
Przed pradawnemi laty,
To się za Jego stopki jasnymi
Garnęły wszystkie kwiaty.

Szły polne lilie, niosąc kielichy
Przeczyste, wonne, białe,
A tuż za niemi powój szedł cichy
I te fijołki małe.

Bratki Mu do stóp rzucały liście,
Puszyste aksamity,
A mak ku Niemu płonął ognicie
W najporanniejsze świty.

Szły za Nim polem, szły za Nim miedzą
Te rzesze bławatkowe,
I niezabudki, co w rowach siedzą,
Wznosiły modrą głowę.

Stulistnej róży przejasne paki
Woń Mu roniły swoją,
Kobierzec słały te nasze łąki,
Co pod rosami stoją.

Biała konwalia wybiegła z boru,
Zwołuje leśne kwiaty,
W sto srebrnych dzwonek do Jego dworu,
Za wiewem Jego szaty.

Otwarły oczy stokrocie drobne,
W miękkiej zieleni śpiące,
I te narcyzy gwiazdom podobne,
Co je wybiela słońce.

Szły za Nim kwiaty, szły za Nim zioła,
Płynęły falą tęczy,
A złoty jaskier pochyla czoła,
I macierzanka klęczy...

A nasz Pan Jezus patrzył żałośnie
Oczyma przesmutnemi,
I błogosławił wszystko, co rośnie
I kwitnie na tej ziemi.

I takim tłumem szło owo kwiecie,
Łakami, polem, lasem,
Kiedy Pan Jezus chodził po świecie
Przed najdawniejszym czasem

Więc dotąd jeszcze, gdy w letniej dobie
Kwiat gęsto kryje grzedy,
To starzy ludzie gadają sobie:
Pan Jezus przeszedł tędy!

Mojesz.

(Urywek.)

Marya Konopnicka.

Litości, Panie!...

Jam zwątpił na chwilę;
Lecz kiedyż tacy, co ludy swe wiedli
Do celów mglistych, jak kraj ten daleki,
Nie upadali w swej wierze i sile —

I patrząc w przyszłość nie bledli?
Od brzemion cegły, od taczek, od młotów,
Szli za mną bracia moi niewolnicy,
I ocierali twarz swą z krwawych potów
A łzy z żrenicy!

Szli za mną, smętni, posepni, zmęczeni,
Wśród spustoszenia krainy niewoli...
Hufiec wybladłych szkieletów i cieni,
Przez pól wierzący tylko lepszej doli.
Jam musiał jako matka swego syna —
Na rękę nosić duszę ich omdlałą...

A teraz, teraz, gdy przyszła godzina,
Tutaj mam złożyć me ciało?
Litości, Panie!...

Hołd królowej Jadwidze.

Marya Konopnicka.

Na grób Twój pójdziem i na miejsce Boże,
Z którego dzwon nam Twą chwałę ogłasza.
O, zapal w sercach naszych nowe zorze,
O, daj nam światło, co moc starą zmoże,
Królowo nasza!

Zapłomień zimne piersi iskrą ducha!
Oczyść nam usta węglem Izajasza!
Gdzie nędza cierpi, gdzie siedzi noc głucha,
Miłość z serc naszych niech ogniem wybucha,
Królowo nasza!

Pokaż nam drogę do bratnich dusz ludu,
Gdzie chaty ciemne, gdzie mroczne poddasza!
Daj czołom naszym najświętszy chrzest trudu
I tęczę Twego opromień je cudu,
Królowo nasza!

Daj zgodę myśli i jedność daj czynu,
Daj karność — niech się chów Twój nie rozprasza!
O, rozpal wpośród niewiast polskich gminu
Żar pożądania zasługi wawrzynu,
Królowo nasza!

Daj ziemi służyć! Daj bronić nam ziemi,
Gdy ją dłoń niecna sprzedawa Judasza
Razem z prochami ojców, razem z temi
Piastowych kmieci strzechami siwemi,
Królowo nasza!

Daj stać niewieścim duchom w tej świątyni,
Co dziś cześć Twoją skroś wieków roznasza
I niech się światło nad nami uczyni,
O, pierwsza chramu tego Hospodyni,
Królowo nasza!

Zwiąż nas imieniem Twojem w zwarte rotty!
Daj męstwo! niech nas walka nie przestrasza —
Daj zburzyć twierdze krzywd, nędzy, ciemnoty,
Rozwiń nad nami proporzec Twój złoty,
Królowo nasza!

Ojczyzna.

Marya Konopnicka

Ojczyzna moja — to ta ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdzieś poznał Boga,
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól lechickich sadzone od Piasta;
To rzeki, lasy i niwy i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.

Ojczyzna moja — to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, te smętne mogiły —
Co jej swobody obrońców przykryły.

Ojczyzna moja — to ten duch narodu,
Co żyje trudem wśród głodu i chłodu,
To ta nadzieja, co się w sercach kwieci,
Pracą u ojców, a piosnką u dzieci!

Ave Patria!

Marya Konopnicka

Ojczyzno moja, bądź błogosławiona!
I błogosławion owoc twego ducha!
Oto w błękity wyciągam ramiona,
Gdzie Bóg mię słucha.

Majowe słońce promieni się w niebie:
O! Polsko moja! błogosławię ciebie!

Nie iżeś kłosem pole me okryła,
Skowronki moje żywiła za morzem;
Nie iżeś, ziemio, chleby mi rodziła,
Szumiała zbożem,
Ale iż duch twój rośnie mi w tym chlebie:
Ojczyzno moja! błogosławię ciebie!

Nie iżeś orły chowała mi białe,
Gniazda mojego prastare obrońce:
Lecz, że te orły na wolność i chwałę
Latały w słońce,
I nie zniżyły lotu, i w błękity
Ostatni powiał, jak sztandar przebity.

Nie iżeś miecze dała mi i zbroje,
I jasnym hełmem nakryłaś mi głowę,
I między ludy wiodłaś hufce moje,
Błyskawicowe:
Lecz, że miecz dźwigał w wolności potrzebie:
Ojczyzno moja! błogosławię ciebie!

Nie za to, ziemio, iżem rosnać w siły,
Rozparł ramiona pomiędzy dwa morza,
Lecz, że nad moje wejść musi mogiły
Zmartwychwstań zorza...
Za to, żeś posiew narodów wolności
Siała na polach z praoców mych kości!

Nie przeto, Polsko, ciebie błogosławię,
Żeś zamki moje dźwignęła i grody,
Gdzie, jak ciągnące za słońcem żorawie,

Obce szły rody:

Lecz, żeś przybysze tuliła do ziemi,
Braćmi ich czyniąc i syny swojemi.

Nie iżeś mocne berłem miała króle,
Lecz duchem proste i sercem naczelne,
Co gromadziły w swą pieczę, jak w ule,

Drużyny pszczelne

Prostaczków, które miód swej pracy niosą,
Pod troistego znoju ciężką rosą.

Nie iżeś wzniosła z modrzewiu me dwory
I osrebrzyła je w jaśminów kwiaty,
Lecz, że o miedzę legły twe ugory

I czarne chaty...

I jednej lipy nakryłaś mię szumem,
Z ludem oraczów i z siermiężnym tłumem.

Za to, żeś w takie wodziła mię boje,
W których przed szable miesięczne szły kosy;
Za te w lnach siwych bohaterzy twoje,

Za twój huf bosy,

Za twe rycerstwo o polnej buławie
Zbóż, — trzykroć, Polsko, ciebie błogosławię!

Nie iżeś lutnię ostrunęła swoją,
W blask nieśmiertelny i w promienie chwały,
Iż pieśni twoje wpośród ludów stoja,

Jak posąg biały...

Lecz, że pieśniarzom mówią u nas »bracie«
W zapadłem siole i w piastowej chacie.

Za to, żeś ślepe lirniki wodziła
Wskroś po kurhanach, po zetlałych polach,
Że nam ze słowa duch rosnął i siła
 We łzach i bolach,
Że pieśń wolności dzieci nam kolebie
Do snów o tobie, — błogosławię ciebie!

Nie za to ziemio, że pod armat paszczą,
Gdzie tylko widne Orły i Pogonie,
Gdzie Polak walczy, tam narody klaszczą
 W spętane dłonie;

Lecz, że do ludów pijem dziejów czasą:
»Za naszą wolność — i za wolność waszą!

Bo nie nastanie chwila jutrenkowa,
Ni dnia przed słońcem otworzy się brama,
Aż plon swój wyda rola ta grobowa,
 Ta Chaceldama...

A oto ludy, co dziś ducha kuszą,
Na hasło z mogił moich czekać muszą!

Po bitwie.

(List z 1794 roku.)

Marya Konopnicka.

Obywatelu, i mój Generale!
Doszedł mnie list twój przez pana Koryznę,
Na obozowym pisany gdzieś wale,
Że syn mój miły poległ za Ojczyznę.
— List twój z pod Chełma, dziesiątego daty,
Pieczętowany przy huku armaty.

W dwojakim względzie wiadomość tę biorę,
Którym sierotą został i tułaczem...
Oczy się moje, zamierzchłe i chore,
Zrosiły zrazu rześzystych łez płaczem,
A potem — z dumą wzniosłem czoło stare,
Żem dał Ojczyźnie tak drogą ofiarę!

Więc chociaż — rodzic — przebitą mam duszę
Chociaż dni moje powlokły się cieniem,
— Polak i żołnierz — unosić się muszę
Męską zazdrością, męskiem uwielbieniem,
Jakie dziś całą porusza krainą
Dla bohaterów, za wolność co giną.

O, wy rycerze, którzy dziś walczyście,
By Polskę miłą wyrwać z mocy wroga!
Za wasze rany i za wasze życie
Piękną wam sławę da ta ziemia droga.
Imię się wasze na wieki uświęci
W narodowego kościoła pamięci!

Potomne czasy zazdrościć nam będą,
Że jednej z wami żyliśmy godziny...
W zimowy wieczór rodacy zasięda,
By opowiadać i wasze czcić czyny,
Męczeńskiej chwały obrazy wy żywe
Obywatele tej ziemi prawdziwe!

I ja żołnierzem byłem w młode lata,
I jam niósł w boje za wolność me życie.
Wiem, jak redutę dym z armat oblata,
Jak świszczą kule, jak grzmi działobicie....
I krew mi dotąd w uwiedłych gra żyłach,
Gdy wspomnę szaniec w błyskaniach i w pyłach

Dziś, gdy mi dola uciekła z pod strzechy,
Gdym niezgojoną w pierś starą wziął bliznę,
Nie sarkam, bowiem dożyłem pociechy,
Że syn, jedyny mój, legł za Ojczyznę.
Żem krwią krwi mojej i kością mej kości
Obywatelskie spłacił powinności.

Hej! Gdzie te lata!... Wyzuty dziś z domu,
Starzec, na progu wiecznego spokoju,
Nie zazdrościłem niczego nikomu,
Prócz jednej śmierci w narodowym boju.
A oto Bóg mi wyrównał te szale,
Obywatelu i mój Generale!

Piszesz, że syn mój w pierś z kuli wziął ranę
I poległ, sztandar wznoszący ku niebu...
O moje dziecko najmilsze, kochane,
Tak-żeś pięknego doczekał pogrzebu!
Tak-że ci requiem granaty tam grały!
Tak cię całunem owinał dym biały!

O gdybym choć raz umarłą twą głowę
Mógł ucałować ustami drżącemi,
Dałbym dni moich ostatka — połowę,
I łzami zmyłbym, gdzieś padł, krew twą z ziemi..
Nie z żalu! — Czegoż żałować Ojczyźnie?
Lecz z chluby, którąś mojej dał siwiźnie!

Tak więc spokojnie, bez łez i bez sromu,
Wyglądać będę rychłego mi końca,
Gdy z rodu mego, z imienia i domu,
Wyszedł wolności żołnierz i obrońca,
A gdy mi szablę uczynił czas rdzawą,
Na syna zdałem — za kraj poledz — prawo.

Często ja u tej najdroższej mogiły
Stawać tam będę myślami smutnemi...
I rzekę prochom: O synu mój miły,
Pierwej niż moim, tejs synem był ziemi!
A oto wzięłeś w młodzińcze twe rano
Dole, przez wszystkich pocziwych żadaną.

A teraz, gdy mi już dogasa słońce,
I pień już jestem na poły struchlały,
Przyjmcie, Rycerze, me chęci gorące
Dla waszych bojów, i zwycięstw i chwały.
I chciej darować starcowi te żale,
Obywatelu i mój Generale!

Z zamierzchłym wzrokiem, u spodu tej karty
Kładę mój podpis palcami drżącemi:
— Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt czwarty
Rok — śmierci syna — i wskrzeszenia ziemi
Polskiej... A jakiś świt mi złoci zgłoski,
Bowiem jest wielki rok — rok Kościuszkowski!

Dziaduś.

Marya Konopnicka

Nowe słońko w niebie stoi,
Nowe słońko, nowe lato.
Wyszedł na próg dziaduś siwy:
— Bóg cię trzymaj, moja chato!

I obrócił się na strony,
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.

— Bóg was trzymaj, krzywe płoty
Suchym chróstem zaplecione!
Chodziły tu różne wichry,
Ale poszły w swoją stronę.

Bóg cię żegnaj ręką swoją,
Ty studzienko z żytnią wiechą!
Napoilaś ty mnie łzami,
Napoilaś i pociechą!

I obrócił się na zachód,
Na to pólko, na te łany:
— Bóg cię trzymaj, ziemio moja,
Mój zagonie przeorany!

Siedmiorakim ja cię potem,
Jako drobnym dżdżem, polewał,
I za pługiem chodząc miedzą,
Jak skowronek tobiem śpiewał.

Razem z ziarnem — krople potu,
Razem z potem — pieśnie padły,
Na ten chleb naszego jutra,
Żeby kruki go nie jadły!...

I obrócił się na słońce,
Gdzie się łąka rozzielenia,
I zamachnął się ogniście,
Jakby kosą od ramienia.

— Bóg cię trzymaj, moja łąko,
Przesieczona ostrą kosą,
Świeciłaś ty znojem naszym,
Świeciłaś ty bujną rosą!

U proga.

Marya Konopnicka.

W okienku chaty zmierzch stoi siny.

— Umiera matce Jasiek jedyny...

Umiera Jasiek pod obrazami,

...Święta Panienco, módl się za nami!...

Nim pierwsza gwiazda w niebie zaświeci

Już ci ta dusza z niego uleci...

Nim pierwsza rosa łzami ukanie,

Już ci mu w piersiach serdeczko stanie.

Już mu się znaczą śmiertelne zorze,

Już po nim łuny latają boże,

Latają łuny razem z cieniami...

...Święta Panienco, módl się za nami!

Skroś izby słyhać głosy szepące,

Za czarnym borem ugasa słońce,

Za czarnym borem śmierć trawę kosi...

Coś jakby wzdycha... Żaleje cosi...

.

— A skąd, mateńko, to granie płynie? —

— Cichoj, synaczku! To świerszcz w kominie.

To świerszcz, Jasieńku, między belkami...

— Święta Panienco, módl się za nami!

— Oj, nie, mateńko! Nie świerszcz to woła!

To są skrzypczki rajske anioła...

To anioł gra tak na onej drodze,

Co ja nią idę... co nią odchodzę...

— Jeszczeć się skrajem dopala boru

Ognisty rąbek łuny wieczoru.

Jeszcze się modrzy ten pomierzech siny,
Jeszcze ci pożyć, Jaśku jedyny!

Skroś izby lecą szepcące głosy,
Za czarnym borem zgrzyt słychać kosy,
Za czarnym borem trawa się chyli...
Cości łka w izbie, wzdycha, a kwili.

— Co to, mateńko, za oknem płacze?

— To wierzba, synku, w szybę kołacze..

Wierzba, Jasieńku, trzęsie listkami...

...Święta Panienko, módl się za nami!

— Oj nie, mateńko, to płacze chata,

Że mi już od niej... Że mi ze świata...

To strzecha płacze nad głową moją,

Że domowinę inszą mi stroją...

— Jeszcze różowość mieni się w niebie,
Jeszcze, Jasieńku, pora na ciebie...

Jeszcze się rosy nie biela w łące,

Jeszcze serdeczko bije mdlejące!

— Co tak, mateńko, huczy z daleka?

— Cichoj, synaczku, to płynie rzeka.

Rzeka bystremi płynie wodami...

...Święta Panienko, módl się za nami!

— Oj nie, mateńko, nie rzeka płynie,

Siekiera oto rąbie w dębinie...

Siekiera rąbie deski wycina,

Będą tu matce chowali syna...

— Jeszcze te łuny zachodnie grają,

Jeszcze się gwiazdy po mgiełkach tają,

Jeszcze się miedze nie urosiły,

Jeszcze ci pora, Jasieńku miły!

Chwilka za chwilą cichutko bieży.
Izba anielskich pełna pacierzy...
Za czarnym borem bliższy chrzest kosy,
Noc idzie z dzbanem nabierać rosy.

— Co to, mateńko, tak szumi, huczy?
— To wiater, synku, polem się włóczy.
Włóczy się wiater, targa kłosami...
„Święta Panienko, módl się za nami!

— Oj nie, mateńko! Nie wiatr to gędzie..
To szumią srebrne pióra łabędzie,
Srebrzyste pióra, co mnie obtulą
Z sukmanką siwą, z zgrzebną koszulą..

— Gaśnie na niebie zorzeńka sina...
Za czarnym borem śmierć traw docina...
Niesie już nocka rosę we dzbanie...
Już ci umierać, moje kochanie!

— Co to, mateńko, u drzwi się bieli?
— To len, synaczku! Len na kądzieli,
Wrzecziono oto srebrzy nitkami...
„Święta Panienko, módl się za nami!

— Oj nie, mateńko! Nie len to biały,
To rajskie lilie ku mnie powiały...
To mi się mleczna otwarła droga...
To dusza moja stoi u proga...

Za czarnym borem ucichł chrzest kosy,
Śmierć ją ociera z gryzącej rosy,
Z gryzącej rosy, z gorzkiej łez ziemi,
Co nad trawami płacze polnemi.

W okienku chaty miesięczek siny...
Leży na ławie Jasiak jedyny,
Umarły leży pod obrazami...
„Święta Panienko, módl się za nami!

A jak poszedł...

Marya Konopnick.

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zbroje,
Zaszumiało kłósów pole,
Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najęściej giną chłopcy.

Szumia orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy,
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

Ziemia ty nasza!

(Pan Balcer w Brazylii.)

Marya Konopnicka.

Ziemia ty nasza! Cóż nam się ostało,
Jeno ty sama i twe miłowanie!
Choćbym cię ojcem nazwał, — jeszcze mało...
I choćby matką, jeszcze mi nie stanie.
Boś ty jest wszystko! I dusza i ciało,
I ród, i życie, — wszystko w twojem mianie.
Że kto przerzecz cię, jakoby siebie
Zbogacił skarbem na ziemi i w niebie.

Gdyś jest, a co mi? Powietrze mnie samo
Nosi, by ptaka nad gniazdem usłanem.
Jak król słoneczną odziewam się łamą,
W polu, na łące, w kuźni — jestem panem!
Lecz gdy cię braknie, kiedy czarną bramą
Wyszedłem z ciebie, staje się łachmanem
Poniewieranym wśród ludzkiego roja,
Że pyta lada kiep: — Gdzie ziemia twoja?

I w bok cię zeprze, i gęby napuszy,
Iż sam się czuje, jak w domu u matki.
A ty się wtedy dierz twarzą swej duszy,
I serca w sobie podpalaj ostatki.
A choć ci oko łza żrąca zaproszy,
Nie dbaj, łba podnieś, bo też cię do szmatki
Ni kto nie zwiąże! Zdierz górnie psubrata,
Rzekąc: — A gdzieżby? W samym środku świata!

Chcesz? mierzaj! Nie chcesz? Wolna przed się droga!
Gdzieżeś ją mniemał być? Kędyś na stronie?
Na szarym końcu? Za piecem? U proga?
My z pod ogona nie wypadli wronie!

My, Polska, zawsze stalim bliżej Boga,
W borowych szumach, w pól żytnich pokłonie
A wy, — za nami dopiż — ziemie obce,
Jako do dzisiaj jest widać to w szopce,

Na trzykrólowy czas! Przy żłóbkku Pana
Nie ujrysz Niemca tam, ani Francuza,
Jeno Macieja, Kube, Stacha, Jana,
Abo Balcera w czerwieni, jak tuza!
Któż ofiarował Dzieciatku barana?
Kto na ligawce grał mu, jak nie luza
Nasza pastusza, co w pieśni i wszędzie
Pierwsza je, o czem więc stoi w kolędzie.

Może tam i wy macie przywileje
Swoje, i swoje obrachunki z niebem.
Alić to powiem, że do nas się śmieje
Chrystus, gdy idzie polem, albo żlebem
Górskim, abo więc przez borowe knieje,
Bo mu tam wszystko pachnie kwieciem, chlebem,
Miodem, żywicą, i wszystko mu miłe:
Lud, sady, łąki, i chaty pochyłe.

Prawda jest, sypnął złota na te kraje,
I morze rozlał od nieba do ziemi.
Alić uśmiechu jego tu nie staje,
Nie chodzi on tu nocami cichemi...
Jako pan sługom — płaci wam. Nam. — daje,
Jak ojciec dzieciom, rękoma własnemi.
Pomniej-ci, prawda, ale że z miłości,
Nie z łaski, to wam Polak nie zazdrości.

Wy kraje swoje macie, jak kopalnie.
Dopóki jasna świeci wam z nich ruda,
Póty się sami dmiecie tryumfalnie,
Jak nie, — obcego napędzacie luda...
My do ziem naszych bierzemy się mszalnie.
Krzyżem znaczone jest wiosenna gruda,
A zaś wychodzi z pod tej chłopskiej ręki.
Przypodniesiona, jak kielich ów męki.

Wtedy się staje cichość nad polami,
Co są obsiane i ziarnem i duchem...
Oboje żrą. Oboje runiami
Nadziei wschodzą, za ciepłym podmuchem.
Ziem nasza czuje! Ziem nasza jest z nami,
Czyli we kwieciach, czyli pod obuchem.
A kiedyś, człeku, we łzach się położył
Na własny zagon, już duch w tobie ożył.

A my by pewno tutaj, — Podlasiaki, —
Nie szli korabiem, przez to wielkie morze,
Pewno nie padliby tu jak te ptaki,
Odlatujące w zachodnich łun zorze,
Pewno chleb suchy jadłby jaki taki,
Na szczerym piachu, na dzikim ugorze,
By nad swą ziemią ubogą i polną,
Mogli zachować w ciele duszę wolną!

W nas tej chytrości, co wyteża ślepie
Za zyskiem, — niemasz! W nas jest rzewność cicha,
Co nawet w grubym i twardym czerepie
Żywie, jak płomień, i w niebo oddycha.

Anielskie pióra są u nas w polepie
Chaty, co choćby nie wiedzieć jak licha,
Coś ma górnego w sobie, coś z zaświata.
Coś co w niej śpiewa, jarzy się, ulata!

... Więc to na dziwo było ludom onym
Postronnym, które bacząc naszej nędzy,
Tym naszym grzbietom u taczek schylonym,
Mniemały, iż to czynim dla pieniędzy.
A my tym ogniem paleni czerwonym,
Tchem własnym gnali czas! A prędzej! prędzej!
A pieniądz dla nas co? Jenó to wiosło,
Coby nas do dom przez morze poniosło.

Cóż wie Portugal o tem, czy Hiszpany?
Byle na głowie miał myckę z kutasem,
Na mycce wielki kapeluch słomiany,
Na hajdawerach pas, a nóż za pasem,
Byle bez zęby pluł i ćmił kabany,
A pobrząkiwał na gitarze czasem,
Już zdrów, już wesół, i ani się pyta:
Gdzie mu zachodzi słońce i skąd świta.

Jako więc oracz, kiedy na uwrocie
Zagrzezi pługą, a pojrzy po niwie,
I oną czarną ziem już widzi w złocie
Pszenicznych kłosów, szumiących chrzęstliwie,
Tak my, w trojakim prażący się pocie,
Już oglądali, jak Polska tam żywie,
Jako nas woła, jak pilno nas czeka,
I jak nam do niej trza, z tego daleka.

Legenda o garści ziemi polskiej.

Władysław Bełza

Ojców naszych ziemio święta,
Ziemio wielkich cnót i czynów,
Tyś na wskroś jest przesiąknięta,
Krwia ofiarną swoich synów.

I niedawno w twoje rano,
O spuścizno przodków droga,
Ziemią świętą ciebie zwano,
Boś najbliżej stała Boga.

Byłaś ziemią poświęcenia,
Przytuliskiem licznych gości,
Dziwny ciebie opromienia
Czar męczeństwa i świętości.

Niegdyś ze stron tych patnicy,
Z wiarą w sercu niewymowną,
Do Piotrowej szli stolicy
Po relikwii kość cudowną.

I gdy o ten dar nieśmiało
Dla ojczyzny swej prosili,
Papież skłonił głowę białą,
I tak odrzekł im po chwili:

»O, Polacy! o, pielgrzymi!
Na cóż wam relikwia nowa?
Wasza ziemia krwią się dymi
I dość świętych kości chowa.

Wszakże jeszcze do tej pory,
Jako przykład waszej wiary,
Świeci w blaskach krew Cecory,
Kędy legł wasz hetman stary.«

I wziął w rękę swą sędziwą
Polskiej ziemi grudkę małą,
I na dłoń mu się — o dziwo,
Kilka kropli krwi polało.

»Weźcie, rzeczce, proch ten z sobą
I cud Boży głoście wszędzie;
Niech ta ziemia wam ozdoba
I relikwią świątyń będzie.

Niechaj proch ten z waszych progów,
Wciąż wam świadczy przed oczyma:
Jak nad Boga niema bogów,
Nad tę ziemię świętszej niema!«

Disce puer.

Władysław Betza.

Siadł król Batory na swej stolicy,
W sławy i blasku potędzie;
Miecz mu połyskał w dzielnej prawicy,
Dłoń drugą oparł na księdzie.

Przed królem stało małe pacholę;
Uśmiech miał w oczach swywolny,
Ale myśl jakąś jasną na czole,
A był to biedny żak szkolny.

Choć ubiór jego nie lśnił szkarłatem,
Bo nosił świtkę siermiężną,
Nie drżał on trwożnie przed majestatem,
Choć stał z pokorą należną.

A król i mędrzec w jednej osobie,
Los chłopca mając na względzie:
»Ucz się! — doń rzecze — a ja to zrobię,
Że będziesz w pierwszych stał rzędzie!«

Bo wiedział król ten, że nie garść złota.
Darzy znaczeniem i władzą,
Ale nauka, prawość i cnota,
Na szczyty sławy prowadzą.

I choć król dawno spoczął już w grobie,
Dotąd brzmi jego orędzie:
»Ucz się pachole! a mówię tobie,
Że będziesz w pierwszych stał rzędzie!«

Sztandar.

Władysław Betza.

Za nasz proporzec! druhowie młodzi,
Niech młody zapal nam służy!
Niech on nam w walce z życiem przewodzi,
Rozpierzchłych skupia, zwaśnionych godzi,
Kotwicą stanie się w burzy!

Niechaj on dla nas jak jutrznia świeci,
Gołębiem będzie pożaru —
Pod jego godło niechaj się zleci
Ta rozproszona drużyna dzieci,
Co dotąd nie ma sztandaru!

Niech on nad skronią naszą powieje
Jak orzeł skrzydły srebrnemi!
W sercach wąpiących zbudzi nadzieję,
Iskry wykrzesze z lodu i wleje
W pierś błędnej dziatwy tej ziemi.

Niechaj on garnie co zacne, prawe,
Niech prawdy strzeże i broni —
Z nim poczynajmy codzienną sprawę,
Miejmy w nim tarczę, miejmy w nim nawę,
Co nas z rozbicia uchroni.

Nieśmy go górą! Niech on nam wieści
O dawnym duchu ofiary —
Nieśmy go wiernie w łzach i boleści,
Lecz go ratujmy z krwi i bezcześci,
Jako Rzymianin swe lary!

W nim czerpmy siłę, on nas podeprze,
On cel da wszelkim zamiarom —
Z nim pójdziem w czasy jaśniejsze, lepsze,
A głos tysięcy eter rozepcze,
Cześć bijąc takim sztandarom.

Cieężkie czasy.

Mikołaj Rodoć Biernacki.

- Witam, witam, panie Janie!
- Witam, witam, panie Procie!
- Jakże się miewacie?
- Jak to zwykle w chudym stanie...
- I ja nie opływam w złocie...
- Cieężko, panie bracie!
- Dokąd tak rano? — Do biura.
- A i ja! — przekłęta dziura!

— Dziś mi coś jakoś dolega,
Możebyśmy gdzie wstąpili

Na gorzkie kropelki?

— Jak tam uważasz kolega,
Mnie do biurka nic nie pili..

— Tak na dwa kufelki,
Ot tu czasem nieźle bywa.

— Ha dobrze! — Chłopce, dwa piwa!

— Bo to, proszę pana Prota,
Żoneczka, pięcioro dzieci,

Że aż pęka głowa!

— I u mnie tak, niedziwota,
Prawie się dziurami świeci,

Niechaj Bóg uchwota!

— Już to komu los doskwiera
To... chłopiec, dwie porce sera!

— Bo to, proszę pana Jana,
Ledwo człowiek się obudzi,

Zaraz — daj talara!

— A i mnie żonka kochana
Wiecznie o pieniądze nudzi.

Istna Boża kara!

A tu fundusik niewielki...

Chłopiec! jeszcze dwa kufelki!

— Dzisiaj, proszę pana Prota,
Dziewięć złotych woła żona

Na same trzewiki!

— A moja znowu hołota

Wzięła na kiel, że uczona,

Daj na gramatyki!

A nie daj — to zaraz płacze...
Chłopiec! hola! dwa sandacze!

— Ja bo, proszę pana Jana,
Moją zagadam słodziutko
I w nogi do miasta!

— A ja, chociaż zapłakana,
Moją zawsze trzymam krótko,
Nie dam nic i basta!

Daję wam słowo honoru...
Chłopiec, ćwierć funta kawioru!

— Najgorsze to te procenta,
Z niemi najstraszniejsza bieda.
Tegó to nie lubię.

— Prawda, oj lichwa przekłeta.
I ja mam być dziś u Żyda,
Znowu mnie oskubie!

— Dość, że gdzie dotkniesz, to rana...
Chłopiec! butelkę szampana!

— Tak, kochany panie Procie!

— Tak, kochany panie Janie!

— Zdrowie! w wasze dłonie!

— Niechże was obsypią krocie!

— Niech wam się milion dostanie!

— Nie mówcie nic żonie!...

— Szampanik choć pocałować!

— Trzeba firmę zanotować.

Idylla maleńka taka.

Mikołaj Rodoć Biernacki.

Idylla maleńka taka:
Wróbel połyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa — człowiek; a sam po śmierci
Staje się łupem robaka.
Idylla maleńka taka...

Samarytanka.

Franciszek Waligórski.

Już dzień strudzone mruży powieki,
Umilknął boju gwar gdzieś daleki,
I pole bitwy — co śmierć zorała —
Cmentarna cisza owiała.

Ale cóż jeszcze głośzę przerywa?
Czy anioł śmierci nie skończył żniwa?
Czy dziec zwycięska zbierając łupy
Oprawia rannych i trupy? —

To opuszczony w dzikim ustroniu,
Umiera Krakus przy swoim koniu,
I twarz płonąca tuląc do ziemi
Skarży się usta spiekłemi:

»O Panie! ogień pierś moją pali;
Niech się nade mną niebo użali!
Daj skończyć mękę, lub dla ochłody
Choć kroplę ześlij mi wody!

Jam wiernie służył w twoim zakonie;
Wszystko oddaję w jego obronie;
I krew serdeczną, i raj młodości —
Litości, Panie, litości!«

Ledwie ostatnie wyjęknął słowo,
Budzi go jakiś szelest nad głową,
I biała postać jawi się w zmroku —
Jak anioł Boży w obłoku.

— »Ktoś ty?« — »Ach cicho! Jestem cyganka;
Czerpiąc u źródła wody do dzbanka,
Słyszałam skargę waszą i jęki
I przyszłam ulżyć wam męki.

Pijcie! lecz cicho! bo tam jak katy
Czyhają wokoło moskiewskie czaty...
Gdyby spostrzegli — za litość moje
Zginęlibyśmy oboje.«

Krakus pochwycił dzban w obie dłonie,
Ugasił pożar śmiertelny w łonie,
I łzą wdzięczności płacąc za leki
Usnął spokojnie — na wieki.

Dziewczyna kornie zgięła kolana,
Zmówiła pacierz u nóg młodziana;
A Bóg — co widział ten czyn dziewiczy —
Pewnie go w niebie policzy.

Z pamiętnika więźnia.

(Urywek.)

Michał Bałucki.

Warta przechadza się przez korytarze,
Miarowym chodem w kamienie uderza,
Jak cykające wahadło w zegarze...
Czasem łańcuchy brzękną, czasem wieża.

Godzinę powie — i znów cisza spora...
Tak będzie jutro i tak było wczora,
Dzień za dniem... A! nie, prawda, wczoraj rano
Krzyk przeraźliwy przerwał ciszę głuchą:
Podobno drobnym dzieciom matkę brano...
Do drzwi okutych przyłożyłem ucho,
Słyszałem matki krzyki przeraźliwe,
Słyszałem piskłat płacz taki, że w drzewie-m
Uczułem, jak gdyby drżenie litościwe.
Czy serca ludzi tych zadrżały? Nie wiem.

* * *

I wymodliła u nich tyle przecie,
Że zostawili jej najmłodsze dziecko.
Żal ścisnął serce patrzącym na ona
Dziecinę u krat rączką zaczepioną,
Jak się oczkami smutnemi, nieśmiała,
Po tych posępnych murach rozglądała.
Może szukała kwiatków i zieleni,
A zobaczyła pod oknami strażę,
I za kratami zwiędłe więźniów twarze
I nic, nic więcej wkoło, prócz kamieni.

* * *

Nieraz gdy patrzę z okna na to dziecko,
Zda mi się, widzę obłoczek o świetle;
Twarz tak bieluchna, delikatna cera,
A ciemny błękit oczkami przeziera.
A kiedy główkę na brzeg kraty składa,
I sploty włosów rozrzuci bogate,
Tobys przysięgał, że tam, gdzie włos pada,
Najczystsze złoto ktoś pozłocił kratę.

* * *

Raz, gdy motyla zobaczyła, który
Zbłąkany wleciał między nasze mury,
Rączki jak listki bluszczowe wychyla,
I woła: — »Mamo! chodź! złap mi motyla!«
Nie wiem, jak matka dziecku tłumaczyła,
Co to niewola, co przemocy siła,
Lecz dziecko dziwnie sposepniało z tego:
Żywe kolorki bladły jak na kwiecie,
Gdy słońce zdejmie złote blaski z niego,
I zamyśliło się pierwszy raz dziecie,
I na tem liczku jego pobielalem,
Już więcej potem śmiechu nie widziałem.

*

*

*

Boże! jaką Ty dziwną wieszysz drogą
Dzieje onego ludu w przeznaczenie,
Którego dzieciom zabawką być mogą
Więzienne kraty i kajdan brzęczenie.
A czoło matki, gdzie boleść wyryta,
To pierwsza książka, z której boleść czyta,
I strój świąteczny jego — strój żałoby,
A pierwszy spacer z piastunką — na groby...

Stary rybak

Kazimierz Gliński.

— Na morze! — Ja syna wam daję — słyszycie?
Pod wodzą mojego junaka
Spokojny z was każdy być może o życie,
Bezpieczna łódź każda rybaka! —

Tak mówił Jan stary. Wschód w barwach stał róży —
Rybacy ruszyli na połów...
Wtem wicher uderzył i morze się wzburzy,
Łódź ciężką się stała, jak ołów.

To skała podwodna dno łodzi rozdarła,
Od spodu bryznęła fal piana:
Struchleli rybacy, pierś w tchu się zaparła,
Nie strwożył się tylko syn Jana.

Lecz próżny wysiłek i dłoni i wiosła,
Potworny fal wzmaga się taniec —
Grom błysnął... uderzył. Zniszczenia to poseł,
Burz morskich ognisty wysłaniec.

Popłynął szum głuchy, huragan się zrywa,
Przepaści w głębinach wód wierci,
Do łodzi za falą wciąż fala napływa
I bliższe wciąż widmo jest śmierci.

Nadeszła noc ciemna i niebo zczerniało.
Wichr tylko i morze grzmi kołem,
Ramionom rybackim już mocy nie stało
Do walki z okrutnym żywiołem.

Wtem nagle wódz młody wiatr krzykiem rozporze:
— Blask widzę — mnie oko nie zwodzi!
Brzeg blisko, kóź tylko już płynąć nie może,
Więc ulżę ciężaru tej łodzi.

Do wiosła z sił wszystkich! — I skoczył w głębinę.
Rybacy z przestrachu pobladną.
— Z sił wszystkich! — w głos krzyknął. — Ja płynę!
[fala porwała go na dno. [Ja płynę!

Przybili do brzegu... Strach patrzył im z czoła...
Co mówić im w onej godzinie?
— Gdzie syn mój? Gdzie syn mój? — Jan stary za-
Strwożeni odrzekli mu: — Płynie! — [woła.

Lecz pieśnią zagłady gra morska głębina,
Daremna tu wszelka rąk praca.

— O morze! — zawoła. — Wróć syna, wróć syna! —
Lecz morze swych ofiar nie wraca.

Grzmi tylko i huczy, w gwar wichrów szeleszcze,
Bezdenną przeraża głębiną.

— Ha! — szepnął po chwili — mam synów dwu
I oni na morze popłyną! [jeszcze,

Gęsiarz.

(Urywek).

Kazimierz Gliński.

Urodził się na twardym tapczanie;
Kiedy podrósł, pasł gąski na łanie —
A że matuś prędko jakoś zmarli,
I rodzica prawie nie znał całkiem:
Żli ludziska z chaty go wyparli,
Grzbiet nakrywszy sukmany kawałkiem.

Wnęć pociechą były mu jedyną
Gąski i staw pokryty łoziną,
I nad stawem wierzbina rosnąca,
Z której kręcił fujarki nielada —
Puchy kwiatów, które wiatr potrąca,
I to echo, które w borze gada.

Pasąc gęsi wiejskich gospodarzy,
Myślał nieraz, o czym łąka gwarzy
Takim szumem długim, uroczystym,
Gdy wiatr wionie, czubki traw poruszy;
Skąd to niebo, co w stawie przejrzystym
Łśni błękitem i jasnością prószy.

Nikt nie spytał, czy ten kij pastuszy
Według jego myśli jest i duszy?
Jeno Magda przybiegała czasem,
Coś szeptała każdego wieczora,
Że aż ciarki uczuwał za pasem,
I uważniej patrzył na gąsiora.

Lat nie liczył, a te niespodzianie
Szybko zbiegły przy gąskach na łanie —
Więc zamarzył... ot! jak marzy wielu...
Ale inną widać Bóg miał wolę:
Brzękły skrzypki na Magdy weselu,
Gdy on szare pędził gąski w pole.

Znały gąski swojego pastucha:
Gdy się zdrzemnął, gęgały do ucha —
Gdy się budził, na obszernym łanie —
Choć dzwoniły świerszcze i koniki —
Nieustanne gąsiora gęganie
Zagłuszało śpiew innej muzyki.

Włos mu zbielał — bo bieli niedola!
Wreszcie umarł przy gąskach wśród pola,
Nikt nie widział, jak czoła uniżył,
Jak się z ciałem duch marny rozprzegał,
Tylko gąsior ostrożnie się zbliżył,
I żałosnym lamentem zagegał.

N a s z e.

Wiktor Gomulicki.

Tego, cośmy zgromadzili
Wieków i pokoleń trudem,
Niech się nam brać nikt nie sili!
Bo nie zginie nawet z ludem,
Co lud zdziałał w natchnień chwili.

I któż ręką świętokradzką
Kopernika geniusz zgasi?
Komu wojną lub zasadzką
Wziąć się dadzą wieszczę nasi,
Co wsławili ziemię lacką?

Nasz Mickiewicz, słup z granitu,
Co roztrąca czasu fale,
A krzyż złoty ma u szczytu;
Nasz Sobieski łśni wspaniale
Konstelacją gwiazd z błękitu.

Nasi króle, nasi wodze,
Niewzruszonym wzrosli wałem
Na tureckich lawin drodze;
Naszych ojców dzielnych ciałem
Postawiony mur pożodze.

Jest powszechny skarbiec świata,
Gdzie lud każdy składa myta,
By uznany był za brata.
Wiecznotrwała i obfita
Była tam i nasza wpłata.

Już tę wpłatę dzieje chronią,
W szczerozłotej zasług skrzyni;
Więc kto rękę ściąga po nią,
Ten na świętość zamach czyni,
Której prawa ludów bronią.

Wierzę.

Stanisław Grudziński.

Przeciwko burzom i wichrom żywota,
Co gaszą w ludziach święte ognie ducha,
Przeciw zwątpieniu, które myślą miota,
Jak wiotką brzoza śnieżna zawierucha,
Przeciw szyderstwu, co tchnieniem lodowem
Przenika dusze w mroźnej atmosferze,
Bronię się jednym uczuciem i słowem:
Wierzę!

Wierzę: — talizman niezłamanej mocy,
Którym mnie matka uzbroiła święta,
Gwiazdą mi świecił w najciemniejszej nocy,
I dawał siłę zrywać z duszy pęta.
Ilekroć fale wątlą łodzią chwieją,
Od skał mnie bronił grożących rozbiciem,
Był moją siłą, miłością, nadzieją —
Życiem!

Lecz słyszę śmiechy... jak pogrzebne dzwony,
Jak śpiew puszczyków huczą naokoło:
Chlubić się wiarą — o! to czyn szalony!
Czapkę z dzwonekami włożyć mu na czoło!
Niewolnik, wolny wraca do łańcucha
[kocha wiary zardzewiałe kleszcze!
Dziś, kiedy przyszła błoga wolność ducha,
W cóż wierzysz jeszcze?

W co? — świat mej wiary wielki i szeroki:
Dobro i piękno, i prawda i wieczność,
A szczytem jego — błękitne obłoki,
A jego cechą — pogodna słoneczność.

Wszystko co pięknem, czystem jest i białem,
Co technie miłością, słodyczą, ofiarą,
Wszystko to duszy mojej ideałem,
Wiara!

Wierzę w te światła, co ręką matczyną
W dni mych zaraniu w sercu zapalone
W pomroku życia wciąż błyszczą, nie giną,
Błyszczą i grzeją, a wciąż w ową stronę
Kierują myśli, gdzie w lazurach świeci
Milion gwiazd wiecznych, a ich mleczna droga
Wiedzie do Ojca wszystkich ziemskich dzieci:
Do Boga!

Wierzę, że wieki przemina jak mary
I pokolenia całe w proch się zwieją;
Sto razy świat się przeobrazi stary,
I tyle razy zwyczajną koleją
Mądrość zawiedzie — i śmierć hojną dłonią
Miliony mogił porozwiewa wszędzie,
Światy się znużą wieczystą pogonią,
A On wciąż będzie!

Wierzę, że dobra, piękna świat wspaniały,
W Nim ma przedwieczny istnienia początek,
I że ludzkości wszystkie ideały
To jego myśli szczeroloty wątek.
Że jest ogniskiem, do którego płyną
Duchy strudzone żywota ogrojcem,
A ludzkość cała jest jedną rodziną
A On jej ojcem!

Wierzę i w ludzi, że na dnie ich duszy,
Jak na dnie morza czyste perły drzemią,
Że, gdy je ręka miłości poruszy,
Odblaskiem nieba zaświecą nad ziemią;
Że więcej słabych, chorych, niż zbrodniarzy;
Że choć najmocniej szaleństwo opęta,
Jeszcze gdzieś w głębi duszy się rozżarzy
Iskierka święta.

Wierzę więc w przyszłość tej wielkiej rodziny,
Bo chociaż niebo skryje burz nawała,
Choć grom szaleństwa rozwali w ruiny
Wszystko, co ludzkość czciła i kochała.
Znowu na niebie błysnie jutrznia złota
I tem piękniejsze po nocy świtanie;
Przeminie burza, która światem miota,
Prawda zostanie!

Wierzę, że idziem po postępu drodze,
Chociaż ta droga wiedzie nad otchłanią...
A czem jest krwawy cień w pielgrzyma nodze.
Tem doświadczenia, co nam dusze rania.
W mrokach błądzimy, czując strach i żal,
Co krok — to rany i zawody świeże,
Lecz, że w błękitach czeka doskonałość:
Wierzę!

Sierotka.

Jan Kasprowicz

W świat idzie biedna sierotka
Z oczkami zapłakanemi —
Wiatr wieje i sypie śniegiem
Po zamarzniętej ziemi.

W świat idzie biedna sierotka,
W pustkowie zatapia oczy,
Wtem przed nią pałac ogromny
Z gęstej wychylił się mroczy.

W oknach goreją światła,
Zamek, jak płomień, czerwony,
Łuna złocista bije
Na mury i bastiony.

W komnatach głośno rozbrzmiewa
Przesłodka »W żłobie leży,«
Sierotka zdumiona staje
U pałacowych dzwierzy.

Chce dzwonić, nie sięgnie dzwonka,
Chce pukać, za słabe dłonie:
Nikt jej nie słyszy w zamku,
Co w świetle i pieśni tonie.

Gdzie? w którą stronę się udać?
W mgłach przed nią świat daleki
Pod murem zamkowym spocznie
I zaśnie — może na wieki!? ...

Wiatr wieje i śniegiem sypie —
Sierotka wyteża oczy:
U stóp zamkowych chatynka
Gubi się w gęstej mroczy

W okienku światło przygasa,
Przemilkła kołęda słodka:
»Otwórzcie mi, dobrzy ludzie,
Jać biedna jestem sierotka!«

Otwarli jej drzwi sośnowe,
Wpuścili do niskiej chaty.
»Ogrzej się, dziecię, przy ogniu,
Zjedz kasek niebogaty!«

Sierotka siadła przy ogniu.
O, jaki los szczęśliwy!
I kromkę ma, a w oku
Dzieją się cuda i dziwne:

W izbie, gdzie knotek przygasa,
Gdzie głosu na pieśń nie stanie,
Światłość się wielka rozlewa
I setne słyszać granie.

W białych, jak śnieg, sukienkach
Wkraczają aniołowie,
Skrzypczki im błyszczą w dłoni,
Korony jasne na głowie.

Kolędy przecudne
W nadziemskie płyną raje
A w środku tego orszaku
Sam Chrystus biały wstaje.

Rzucił niebieskie progi,
Kościoły rzucił złote,
By podziękować biedakom,
Że w dom przyjęli sierotę.

Pieśń na dzisiaj.

Józef Kościelski

My niegdyś lud od sochy
I pługów my dziedzice
Wraz z ziemią — ojców prochy
Orali pod pszenicę.
Gdy ziemię przemoc wzięła,
Do innej pracy pójdź;
Bo nam, by »nie zginęła«
Nowego jąć się dzieła
I kuć, i kuć i kuć!

My niegdyś lud od miecza,
Co karci, nie frymarczy —
A świat się ubezpiecza
Pod cieniem naszej tarczy.
Gdy miecz nam wypadł złoty,
W bezbronne dłonie pluć!
Do innej się roboty
Zabierać, w górę młoty!
I kuć, i kuć i kuć!

Choć przeszłość się rozpadła,
Nie nam w przepaście runąć;
Od młota i kowadła
Nie damy się usunąć.
Nieznane nam grabieże,
Nieprawnych łupów chuć!
My chcemy w siły świeże
Wlać hasło: kocham, wierzę,
I kuć, i kuć i kuć.

Na nic się nie oglądać,
Nie świecić — ale pałać,
Nie błagać — ale żądać,
Nie marzyć — ale działać.
Odzienie zewlec sutsze,
Robocze suknie wzuć,
Choć dni do pracy krótsze,
Nam myśleć wciąż o jutrze
I kuć, i kuć i kuć!

Po śmierci.

Maryan Gawalewicz

Kiedy ja umrę, matulu droga,
To mi uproście łaskę u Boga,
Abym ja wyrósł wierzbą przy drodze
Tam, gdzie na kopcu zwykle siadywał,
Piosenki śpiewał, dumki wygrywał
Mojej niebodze...

Kiedy ja umrę, niech wierzbą wzrosnę,
Niech z niej ligawki kręcą na wiosnę
I grają na niej ludziom do duszy —
A ludzie będą w polu stawali,
Łzy ocierali, piosnki słuchali
Fletni pastuszej...

Kiedy ja umrę, niechaj nie wiedzą,
Żem ja to wierzbą wyrósł nad miedzą,
I że to moje po polach granie.
Tylko niech po mnie, chociażby jedna
Smutna i łzawa, smutna i biedna
Piosnka zostanie.

Kto silniejszy?

Bolesław Czerwieński.

Hej! na górze wyniosłej
Zamek sterczy wysoki,
Stopy myją mu fale,
Głowę czeszą obłoki.

Nad nim złota chorągiew
Igra z wiatrem powiewna —
A w tym zamku król wielki,
A w tym zamku królowna.

»Hej rycerze! kto siłę
Z was największą okaże,
Temu konia bachmata
I rynsztunek dam w darze.

I sokoła z kapturem,
I puhary złożone,
I połowę królestwa,
I mą córkę za żonę!«

A więc jeden podskoczy
I ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła,
Wyrwał z twardym korzeniem.

Za nim drugi podskoczył
I nie długo się bawił,
I na miejscu wyrwanej
Drugą skałę postawił...

Król sędziwy wyrzeczę:
»Siła w obu was równa,
Więc którego z was zechce,
Niech rozsądzi królowna!«

Jak malina dzieweczka
Schyla modre oczęta:
»Burzyć, ojcie, rzecz wielka,
Lecz budować — rzecz święta.

Komu oddać mą rękę,
Ja nie waham się chwili,
Lecz twe słowo monarsze,
Niechaj szalę przechyli!«

Król z łzą w oku spogląda
Na obydwu rycerzy:
»Który skałę postawił,
Temu dank mój należy...

Tyś witeziu silniejszy,
Niż najwięksi mocarze,
A więc tobie bachmata
I rynsztunek dam w darze...

I sokoła z kapturem,
I puhary złoczone,
I połowę królestwa,
I mą córkę za żonę.«

Kocham cię, Ziemio!

Kazimierz Laskowski (El

Kocham cię, Ziemio!

Za twą nędzę,
Za ciężkiej doli zgrzebną przedzę,

Za łzy, co płyną wciąż po tobie,
Za to, żeś smutna i w żałobie!
Żeś cała jednym wielkim płaczem!
Za to, co w sobie masz tułaczem,
Za byłe wiosny, zgasłe blaski,
Za szare skiby, płowe piaski,
Za kęs twardego w pocie chleba,
Kocham cię, Ziemi! bardziej nieba!

Za to, żeś więcej, niżli inna,
Bogata bólem, choć mniej winna,
Żeś mniej błękitem, więcej mrokiem,
Że krzyż cię wiedzie krok za krokiem,
Że każdy świt się smętkiem snuje,
Że silniej krzywdę swoją czuje,
Patrząc na biedne i bezdomne,
I że tej krzywdy nie zapomnę!
Ale z nią zejść do mogiły...
Kocham cię, Ziemi! z wszystkiej siły!

Z „Saksów“.

Kazimierz Laskowski

Bardzo zdala, aż z niemieckiej strony,
Pisze do Was, żebyście wiedzieli...
»Niechże będzie Chrystus pochwalony!«
I pozdrawiam od siebie, od Grzeli,
I od Jantka, i ręce całuje
Wasze Matus! i łzą popłakuje...

Pisze do Was i pytam o zdrowie
Wasze matko, jako i Jagnine,
I kłaniam się Wojciechowej wdowie
I pozdrawiam Kubów i Józwinę,
I Walentych i Pietra z nad stoku,
I wieś całą ze szczyrą łzą w oku!

Pisze do Was aże z onych Sasów,
Pisze sercem tęskliwem i duszą,
Bo mi dziwno przez tych naszych lasów.
Przez stajanek popod polną gruszą,
Przez Jagusi, Matko i przez Ciebie!
Przez wszyckiego na ziemi i niebie!

My tu, Matuś, ja, Jantek i Grzela
Przy gorzelni... Bajki i robotę!
Ale skoro się nocka rościela,
Skoro gwiazdy wychyną się złote,
Tak coś wtedy przed oczyma lata,
Żebym gonił za tem na skraj świata!

Tak się cosik do duszy przeciska,
Tak dobiera do serca, pamięci,
Nikiej u nas, kiej na żytnie rzyska
Wiater piasku z cmentarka wykręci
I rozsieję echem od mogiły...
Tak mi w duszy: kieby dzwony biły!

I już nie śpię, nie śpiam... Nie mogę..
Ni mi warza miła, ni napitek,
Jeno zara rwałbym co tchu w droge,
Żeby nie on podpisany kwitek —
Niby kontrakt... Ale mało wiele
Muszą zwolnić mnie, Jantka i Grzelę.

Moiściewy! Jeszcze Wam donoszę,
Że był taki jeden z Ameryki
Z katolików, choć miemiec potrosze,
I powiadał, jakie tam fabryki!
Jakie miasta i ładny zarobek,
Na ten przykład, ma choćby parobek.

I namawiał: — Byle ludzi kupa,
To się zara roli przysposobi;
Swój obrządek będzie i chałupa,
Kto chce — nawet swoją Polskę zrobi...
A nasz Grzela do onego: — Łżecie!
Swego kraju nikaj nie znajdziecie!

Swoja ziemia, kiej matka rodzona —
Bóg dał jedną i nikt nie miał drugi!...
Zróbcież takie krzyże u zagona!
Takie ziela! takie srebrne strugi...
Choćby mgiełke, co się srebłem mieni,
Jaka u nas we wsi o jesieni!

Pleć, pleciugo! ziemia zajednaka...
Może miemcom.« — I brał się do bicia —
»Ale dla mnie, dla chłopca, polaka,
Tylko jedna matka od powicia!
Jedna!« — Stali przeciw sobie kłótni,
A mnie w duszy było jeszcze smutni!

Jakbym przeczuł, że znów coś zaboli...
Bo wnet miemce zrobili pisanie,
Żeby naszych wykupywać z roli,
Chcom czy nie chcom... Chryste Jezu, Panie!
Pod przymusem pono... narody!
Dzieci wyzuć chcom z ojców zagrody!

Moiściewy! żebyście wiedzieli,
Że w nas wszystko zakipiało wrzątkiem!
Zara wszyscy najbliższej niedzieli
Poprzysięgli przed Świętem Dzieciątkiem,
Że choćby tu był zarobek złoty,
Nikt u Prusa nie tknie się roboty!

I ja, Matusz, jeśli będzie trzeba,
To do swoich pójde, nie na Sasy...
Dość my Śwabom dorabiali chleba,
Jak przypomnieć — tyła, tyła czasy!
Ale tera... Zobaczymy wnetki,
Czy ten nasz chleb będzie dla nich letki!

Teraz kończe moje pozdrowienie
Dla Was, Matko, jako i Jagosi...
Niechże czasem wyźry na podsienie
I Panienki Najświętszej poprosi,
Żebym w zdrowiu wrócił w swoje progi
To ta kogoś ścisne... popod nogi!

Święta.

Kazimierz Laskowski (El.)

U Błażejowej, na Tamce
Przeszły święta aż miło:
Były śledzie, pierniki
I napitków w bród było.

Błażej w mieście nakupił
Słodkiej wódki i piwa,
Błażejowa przez tydzień
Piekła różne pieczywa.

Były strucle dwoiste
I z powidłem i z makiem,
I karaski smażone
I półmisek z szczupakiem.

I kapusta i grzyby,
I miód przasny, orzechy...
Słowem, taka wieczerza,
Że choć karaj za grzechy!

To też przeszły Błażejom
Godnie święta, aż miło,
Dwóch się jeno z czeladzi
Przy kieliszku popiło.

Potem dzieciak zachorzał,
Zawołali doktora;
Potem samej Błażejce
Nocą śniła się zmora.

Potem jeno się jeszcze
Krew zapiekła w Błażeju,
Ale mu się ulżyło
Po kwaterce oleju.

No, i Boruch wziął warsztat,
Za zaległe procenta,
Ale zresztą szczęśliwie
Przeminęły im święta.

List z Sybiru.

Artur Oppmann (Or-Ot).

Mamo! Piszę do ciebie list! Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! czy dojdzie? Nie wiem? Chciał-
bym spytać

Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem,
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe! duszę! ach całego siebie!
A nie wiem, czy tak chociaż powrócę do ciebie!

Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym cię żegnał! Ta chwila, jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś, z bólu obłąkana
Przed potworem dymiącym runąć na kolana!
I ten wieczór i słońce, gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce »Pamiętaj!« ostatnie!

»Pamiętaj!« Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! gdyby wyryć słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać, z żalu gładzby spękał!
Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając: »Pamiętaj!« straszne jak przekleństwo!
O, matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając »Zapomnij!«

Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę jak głos dzwonn!...

Co tu robie? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patząc — nie chcę widzieć! — myśląc, nie chcę
myśleć!

Że pomiędzy tem wszystkim, co mnie tu otacza
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość — i sprawia, że znudzony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami
I dzień po dniu przeżywam i chwilkę za chwilką
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam tem
tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! jest w nich jakaś szczerą
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera.
Jak ja patrzałem kiedyś na pisklę bezdomne!
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba, —
Na progu pieniądz srebrny albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewidoma ręka! —
Jem ten chleb, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój »Złoty Ołtarzyk«,
Tyś go włożyła, mamó! To mój relikwiarzyk!
Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak ty przeczułaś, mamó! czem mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą!
I codzień na te pustki drętwe, nieskończone
Idzie moja modlitwa: »Pod Twoją obronę!«

Mamó! Napisz mi wszystko! Czy tak samo z raną
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala

Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam jak dziecko małe... Odpowiedz jak dziecku!

Ach mamó! jak mi tęskno! A śnię co noc prawie,
Żem w kraju; nasz pokoik widzę, jak na jawie!!
Staś kłusuje na krzesle z pałasikiem w rękę,
Ty mamó, jak to zwykle, szyjesz przy okienku
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję.
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal. mamó!

Zosia!... Nie mogę o tem... Mamó! Powiedz Zosi:
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć inaczej!
Stasia ucałuj, mamó! Mów z nim często o mnie!
Mów jak jest! choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on niech pamięta.

Mamó! Bądź zdrowa, mamó! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy! wszystkich! wszystko! Pozdrów jak od
brata!

Mamó! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo, jak stamtąd — nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być
spokojny!

Ale, kiedy pomyśle: Nigdy! nigdy! nigdy!
O, mamó!...

Pożegnanie.

Artur Oppman.

Bądź zdrów, o luby kraju mój!
Rodzinna moja ziemio,
Gdziem ujrzał pierwszy światła blask,
Gdzie prochy ojców drzemia!

Bądź zdrów, o luby kraju mój,
Żegnać się z tobą trzeba:
Z twych drogich progów idę w dal,
Pod obce idę nieba.

Drzewa i kwiaty, żegnam was!
Żegnam cię, moja rzeko:
Niechaj twój znany, słodki szmer
Dobiega tam daleko!

Ptaki! uroczą wasza pieśń
Wieczorną snów godziną
Będzie mi znowu w sercu brzmieć,
I z oczu łzy popłyną.

Już nie zaszumi ciemny las,
Gdy nim mój koń przelata,
Lecz pamięć pójdzie ze mną wraz,
Choćby na krańce świata.

I będzie chmurne moje dni
Wyzłacać wspomnień smugą...
Bądź zdrów, o luby kraju mój,
Na długo, ach, na długo!

Kościółek wiejski.

Artur Oppman.

Na wzgórzu się bieli kościółek wioskowy,
W lip starych zieleni ukryty,
A nad nim w słoneczny poranek majowy
Pogodne jaśnieją błękity.

Wystrzela wieżyczka zśród gęstych konarów,
Uciekać chcąc, zda się od ziemi,
A niżej zielony rozłożył się parów
Z wieśniaków chatami cichemi.

I patrzy kościółek, jak kwieci się łąka,
Jak zbożem kołysze się niwa,
I dzwoni mu piosnka szarego skowronka
I ptaszat kapela przygrywa.

I patrzy kościółek na wioskę tę lichą,
Na każdą lepiankę i chatkę,
I »Boże błogosław!« powtarza on cicho,
»Błogosław wieśniaczą gromadkę!«

A w jasny odwieczerz rozbrzmiewa dźwięk srebrny.
Odzywa się dzwonek na wieży —
I spływa na ziemię z sfery podniebnej
Na łąki, na pola hen! bieży.

A kiedy na »Anioł« dźwięk dzwonu powonie
Przez łąny stojące w łzach rosy,
To wilżą się oczy i chylą się skronie,
I leci modlitwa w niebiosy...

Śpiewak-zwycięzca.

Artur Oppman.

Siadł król na tronie, siadł orszak dam,
Wśród nich królewna jaśnieje,
Stały straże u zamku bram,
A na podwórku — turnieje.

Rycerską walkę zwiastują już
Heroldów trąby złożone:
Ten, kto zwycięży — milszą od róż
Królewne weźmie za żonę.

Z wędrowną lutnią od zamku bram
Trubadur zbliża się młody —
»Cześć tobie, królu! Piękne! cześć wam!
Otom ja przybył na gody.

Niech zmilkną trąby na rozkaz mój!
Rycerze! zniźcie orężę!
Ja z wami wstąpię w bezkrwawy bój,
Ja was bez miecza zwyciężę!«

Zdumiał się władca, dziwi się straż,
Drwią z barda gniewni rycerze —
A on wpatrzony w królewny twarz,
Do ręki lutnię swą bierze.

I targnął struny... I pieśni dźwięk
W powietrzne płynie przestworza —
To dziwnie smętny, jak serca jęk,
To groźny, jak łoskot morza.

Wojennej trąby słyhać w niej ton,
Słyhać piosenkę prostaczą...
Pieśń cichnie... leci do rajskich stron...
O, dziwy! rycerze płaczą...

O, dziwy! władca ukrywa łzy:
Wspomniał swą młodość minioną...
W dali gra echo... Królowna drży,
A damy bledną i płoną...

A kiedy przebrzmiał echowy prąd,
Lutnista do króla rzecze:

»Wydać, o władco! wydać swój sąd:
Czy pieśń silniejsza, czy miecze?

Nie mógł się zmierzyć rycerzów rój
Z wędrowną lutnią śpiewaczą,
Jam ich zwyciężył! Na rozkaz mój
Potężni rycerze płaczą....«

I rzekł monarcha: »Kędyż jest broń
Równa tej lutni czarownej?...«
Pieśń zwyciężyła... Królowny dłoń
Zdobył lutnista wędrowny...

Szewc Onufer.

Artur Oppman.

Szewc Onufer, tęgi majster
Z ojca, dziada i pradziada,
Od małego pacholecia
Tajemnice kunsztu bada.

Wedle igły, wedle dratwy,
Jak niewielu jest on świadom,
Zaś ma warsztat w kamienicy,
Co współczesna jego dziadom.

Przy kościele Augustyanów
Stoi chata Onufrowa —
Wniej po szewcku i Bożemu
Konsolacyę¹⁾ liczną chowa.
Dobry sąsiad z Onufrego
Dla plebanii i świątyni —
Nie opuszcza nabożeństwa
I fundacye hojne czyni...

II.

Ma Onufer Onufrową,
Urodzeniem sobie równą,
Bo powiadał jego rodzic:
»Niech się żeni szewc z szewcówną!...«
Jejmość pani Onufrowa,
Córa majstra Jana Szczygła,
Parantelą²⁾ i posagiem
Ród mężowski w górę dźwigła.
Jak przystało na majstrową
W korpulencyę³⁾ jest zasobna,
Głos jej gruby, gest wspaniały,
Pulchna rączka niezbyt drobna.
Z roku na rok jest przybytek
W starych mieszczan cnej rodzinie,
Więc raduje się Onufer,
Że ród szewców nie zaginie...

III.

W czterech izbach Onufrostwa
Nie ubogo i chędogo,
Wszak mieszczenie z prapradziada
Iść w paragon⁴⁾ z szlachtą mogą!

¹⁾ pociecha tj. potomstwo

⁴⁾ ubiegać się o równość.

²⁾ pokrewieństwo

³⁾ tusza

Garnitury juta¹⁾ kryte,
Wielkie szafy, zydle drobne,
Simlerowskiej smać roboty,
Bo masywne i ozdobne.

Zaś na ścianach konterfekty:²⁾
Cały zacny świat mieszczański,
A »serwantka«³⁾ w rogu salki,
A kantorek w drugim gdański.

Nie od dzisiaj ród Onufra
Słynne w świecie szyje buty,
Nie od dzisiaj zbija grosze
W skrzyni krzepkiej i okutej...

IV.

Gdy kolegów majster zbierze
Od kufelka i od dratwy,
Spędza z nimi błogie chwile,
Wśród krewniaków i wśród dziatwy.

Przewodniczy stary Szczygieł
Z gęstym wąsem, z głową siwą —
Płynie ciurkiem anyżówka
I marcowe szumi piwo.

Radby majster żyć przez wieki
Z towarzystwem swem cechowem,
Rad ich zalać spirytusem,
Skapać w piwie dubeltowem.

Więc węgryzna na stół stawia
Przy kompanii hucznych śpiewach —
»Niechaj żyje cech szewiecki!
Znajcie pana po cholewach!...«

¹⁾ juta — rodzaj tkaniny ²⁾ portret ³⁾ szafka ozdobna.

V.

Choć ma grosze szewc Onufer
W skrzyni krzepkiej i okutej,
Chce, by jego Onufrzeta
Tak jak ojciec szyły buty.

Nauczyła ich majstrowa
Kochać igłę, cenić dratwę,
Zaś szacunek dla pociągła
Sam pan majster wpaja w dziatwę.

Nieraz prawi najstarszemu
Z głębi serca morał snuty:
»Grunt są, chłopcze, dobre nogi!
Grunt na nogach dobre buty!

Ty z tradycyi jesteś szewcem,
Szewcem z dziada i pradziada —
Godność rodu cenić, chłopcze,
I należy i wypada...«

VI.

Płyną lata niby fale,
Nie wracają nigdy więcej —
Już wyrosły Onufrzeta
Z doby życia pacholecej.

Już wyrosły Onufrzeta,
Szyją »juchty«, szyją »saki« —
Łeb posiwał Onufremu,
Nos mu zgrubiał od tabaki.
Do kościoła Augustyanów
Codzień z rana chodzi stary,
Zaś pod wieczór regularnie,
Na nieszpórach jest u Fary

Klepie pacierz szewc Onufer
I za dzieci i za siebie
I rozmyśla, że szyć buty
Będzie wkrótce chyba... w niebie...

Zgon Barbary Radziwiłłówny.

(Urywek.)

Stanisław Wyspiański.

Już ledwo mogę chwytać dechu,
Małżonku, o mój królu.
Pierś wszędy, łono wszędy w bólu;
Snać idzie śmierć w pospiechu.
Jakowaś światłość się rozlewa, —
A tutaj kole jak noże,
Tu targa, szarpie trzewa.
Ulituj się, Ty Boże.
Już może słowa te ostatnie,
Ostatnia nasza przymówka.
Zda mi się, że słówka,
Które mówię do cię, jedyny,
Fruwają pod oponą, jak ptaki,
Że rozlatują się spłoszone
W coraz inną wokół stronę,
Że nie mogę ich ułować,
Abym mogła co wysłować.
Tak się męczę, bólu tyle,
To ostatnie widno chwile,
To ostatni dzień, Zygmuncie.
Dzięki ci za szczęścia tyle,
Za kochanie, za koronę.
Wybacz życie twe stracone.
Tak się serce zrywa w buncie.
Lepiej żebym nie mówiła,

Bom się z Bogiem pogodziła.
Ogień mi piersi żre straszliwy,
Gorąco pali usta.
O patrzcie, we krwi chusta.
Anioł mnie woła niecierpliwy.
Dobranoc, — królu Auguście.

— Dobranoc, moja ty luteńko,
Różany zwiędły wianku.
Byłaś mi, jakby kwiat, mileńką;
Kosa cię ostra miecie;
Jako ten kwiat w gorącym lecie
Kwitnący na ogrodzie.
Ogrodnik po cię sięgnął Boży
I mnie zgasaniem twojem trwoży,
Głuche ostawia mi królestwo,
Samiuteńskiego w mym narodzie,
Samiuteńskiego w głuchym zamku,
Na tym wawelskim grodzie.
Zda się twe usta coś szeptają?
Twe serce bije zeicha.
Jeszcze — o jeszcze pierś oddycha;
Anielskie śpiewy wnet mi grają,
Jeszcze nadzieja, — prośba licha.
O prośby, wy ją zmuście.

Ave Maria, — Panno z nieba
Nic mi na świecie już nie trzeba.
O Matko Boga, pełna łaski,
Ostatnie zgasły dla mnie blaski.
Matko Jezusa, Pan Bóg z Tobą,
Wieczystą dla mnie dom żałobą.

Pośrodku niewiast błogosławiona
I błogosławion owoc żywota; —
Ostaje biedak, król—sierota —
Królowa moja — dusza — żona.

Boże, dałeś mi wiarę
W te siły moje młode,
Że w przyszłość naród powiodę,
Że mojej dotrzymam przysięgi.
A dzisiaj łamiesz, drzewo
Zbite gradem a ulewą,
Szarpane wichrem a burzą.
Szczęście moje mi wydzierasz;
Przepaść, czeluście otwierasz;
Zabijasz żonę Barbarę.

Za jakież winy a grzechy
Odwołujesz te pociechy,
Na ciężką skazujesz karę?
Jako gradem ścięte zboże,
Rzuciłeś ją w śmierci łożę,
A mnie żywot zachowujesz,
Nic się, straszny, nie litujesz.
Powołujesz swą ofiarę
Na Twe sądy, przed Twe trony. —
Nie mam żony, nie mam żony;
Zabijasz żonę, Barbarę.

Królu niebieski, o Chryste,
Nic mi po blasku korony,
Światom ja już król stracony;
Na cóż mi tronów wspaniałość,
Jeno ze mną mrok i żałość.

O gołąbku zaginiony,
Niech światłości wiekuiste — — —
Nie mam żony, nie mam żony.
Łzy okrutne, — łzy wieczyste.
Na litewskie puszcze, bory
Precz uciekę od tych ścian;
Precz zabiorę cię, niebogo,
Coś mi była lubym kwiatem.
Rozbrat biorę z żywym światem.
Zmilkło ptaszę urodziwe.
Kędyś pójdę, pójdą ze mną
Łzy gorące, łzy upiory
Z jedną żalów smutną śpiewką
Za Barbarą, za Litewką.
Pójdę pieszo długą drogą
Od Krakowa, aż po Wilno,
Aż do Niemna, aż do Niemna.
Z tobą, z tobą dola silna,
Dola skula mnie tajemna.
Wszystko życie nieszczęśliwe:
Jadów piję pełny dzban.
Próżno się cieszysz, kto w tym świecie;
Kryj twe radoście, twoje gody;
Wnet żywe szczęście śmierć precz zmiecie
Jak oto kwiat ten ścięła młody.

Ballada z ostatnich czasów.

Ludwik Orpiszewski.

Car się dowiedział, że jeszcze na Litwie,
W odległym jednym powiecie,
Żyje, dni pędząc w płaczu i modlitwie,
Wygnańca żona i dziecko.

»Śmierć! krzyknął w gniewie: ktokolwiek się waży
Igrać z rozkazy mojemu;
Jam przeklął Lachów, a syny zbrodniarzy
Śpią spokojnie w Lackiej ziemi?

Porwać natychmiast z krainy litewskiej,
Oduczyć wiary, języka,
By jeszcze kiedyś wraził miecz moskiewski,
W serce ojca buntownika!«

Rzekł. W Moskwie rozkaz jako piorun leci,
I jako piorun uderza.
Przed wiejskim dworem broń kozacka świeci,
We dworze pełno żołnierza.

Mówiąc z moskiewska służalec — rubacha,
Uklonem matkę obdarza:
»Przyszedłem zabrać z rozkazu cesarza,
W naukę młodego Lacha!«

I ręką wprawną do grabieży, sięga
Na łono matki, po dziecię;
»Słuchaj! daj syna, bo carska potęga,
Jak drugiej nie masz na świecie!«

I ciągnie chłopca i woła na strażę:
Ten krzyczy w matki objęciu:
On ścisnął rękę małemu dziecięciu:
»Puszczaj natychmiast! car każe!«

Zbliży się do lwicy, kiedy szczenię strzeże,
A w paszczy strzaska tve kości!
Tak płód swój kocha bezrozumne zwierzę,
Bo to część jej wnętrzości...

A tu kobieta, Polka, chrześcijanka,

Jedyną pociechę dziecię!

Jedyny obraz męża i kochanka,

Co gdzieś się tuła po świecie!

Oddać pierwszemu z tyranów w ofierze.

By się jak Moskal wychował;

Jak plaga ludzi, sługa, w obcej wierze,

By potem braci mordował...

O! tutaj rozpacz i sam Bóg przebaczy!

Już dziecko w ręku Moskala —

Nóż w ręku matki... Uderza w rozpacz,

Syna od czarta ocala!

I kozak pobladł i wypuścił z dłoni

Zbroczone ciało anioła!...

Co powiesz, carze? gdy śmierć w tron zadzwoni,

A Bóg przed sąd swój zawoła?!

Anioł Pański.

Kazimierz Przerwa Tetmajer

Na Anioł Pański biją dzwony,

Niech będzie Marya pozdrowiona,

Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,

W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,

Idzie przez łąki i moczary,

Po trzęsawiskach i rozłogach,

Po zapomnianych dawno drogach,

Zaduma polna, Osmętnica...

Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżycy...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone, śpiące gaje,
Cień zasępienia od niej wieje.
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen na cmentarzu ciemnym staje.
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej skarży, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinnie,
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleka,
Nad ciemne dachy skryte słoma;
Wleka się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dala
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonał ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swoim złem i bolem.
Po zbożnym łanie i po lesie.
Wszędy zło swoje i ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z ogromną skargą i rozpaczą,
Przez zasepioną idzie niwę...
Idzie jak widmo potępione,
Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy,
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy...

Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...
Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Chryste, o Chryste!

Lucyan Rydel.

Z barłogu mego, z czarnej nędzy otchłani,
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem;
Jak ci żeglarze wichrami chłostani,
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiazdziste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:

Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmaczone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilja wodna,
Co łodygami grzęznąc w mętnej bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,

Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie, niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Więc, jak ptak błędny z podartemi skrzydły
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bólem mgliste.
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,

Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przybitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie —
Znekany jestem: — w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ściągałem ziemskich złud ogniki mgliste...
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mię nie strząsaj z bieli szatswych śnieżnych —
Stwórz we wnętrzościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łądydze,
Weź mnie do siebie, bom już pójść stąd gotów:
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,
Weź mię na ciszy łono wiekuiste,
Weź mię do siebie, bom już pójść stąd gotów,
Chryste, o Chryste!

Antyfona.

Lucyan Rydel.

Słońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie
Owiała mgła różowa.

A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej,
Powiewna jakaś postać wychodzi
Na szmaragdowe łąny.

Białą się zdala śnieżne jej szaty
Po łąkach i po lesie,
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat jej niesie.

Na piersi drobne złożyła ręce
I płynie po przezroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką,
Na łąkach widzi w dali,
Albo rybaków, zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrzy za nimi rzewnie i długo
Uśmiechniętemi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią kłonią,
Kwiatów u nóg Jej klękają rzesze,
Modląc się do Niej — wonią.

Grają koników polnych kapele,
Z chórami żab złączone,
Echo rozwiejne do nóg jej ściele
Tę dziwną antyfonę.

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanie te olbrzymie...
Płynię po świecie z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię!

Kochajcie waszą pieśń!

(W skróceniu.)

Leon Rygier.

Kochajcie waszą pieśń,
O przyjaciele młodzi!...
Ona się rodzi z łez,
Ona się z bólu rodzi...

Kochajcie waszą pieśń,
Bo choć treść życia w czynie,
Bez pieśni każdy czyn
W powodzi wieków zginie.

Kochajcie waszą pieśń,
Co zapal w serca leje,
Bowiem w jej dziejach tkwią
Narodu całe dzieje!...

Gdy Czarnolaski wieszcz
Pierwszy raz szarpnął struny,
Nad ziemią naszą świt
Rozpostarł swoje luny...

Jak struga żywej krwi
Kochana nasza mowa
Rozniosła miłość wkrąg,
Zakłęta w cudne słowa.

Wzniósł w górę skrzydła duch,
Popłynął po błękicie,
Zwiastował wieczny byt,
Nad ziemskie wyższy życie.

Wszystko czem naród żył,
W co wierzył duszą całą,
Wszystko to w złoty dzwon
Poezyi się odlało...

Za wiekiem płynął wiek,
Tryumfy szły i klęski —
Ale nad wszystkim lśnił
Duch młody, duch zwycięski...

Oto na wojnę król
Zastępy liczne wiedzie:
Przed zastępami pieśń
Jak orzeł mknie na przedzie.

Z pieśnią się leje krew,
Z pieśnią bohater pada,
Nad bojowiskiem pieśń
Jak mara staje blada.

.

Z narodu świętych kart
Pieśń wdzięczna się wysuwa;
Pamiętki dawnych lat
W posągu głązy wkuwa...

A kto się wsłucha w głos
Tej czarodziejskiej pieśni —
Ten nowe widzi dni,
O grobach próżno nie śni...

Ten wie, że żywy duch
Przetrwa dzisiejsze klęski —
I pójdzie w nowy świt,
Niezlomny i zwycięski!

Kochajcie waszą pieśń,
O przyjaciele młodzi!
Ona się rodzi z łez,
Ona się z bólu rodzi!...

Kochajcie waszą pieśń,
Bo choć treść życia w czynie,
Bez pieśni, każdy czyn
W powodzi wieków zginie!

Burza.

Antoni Lange

Wicher i mrok.
W całej naturze dreszcz —
Chmury po niebie rozlały ciężki ołów —
I na groźny połów
Zimnych strumieni wyrzuciły stok
I rześisty zesłały deszcz.
Przez niebios całun pochmurny
Wyją wichry straszliwemi nokturny —
W krzyżujących się, dzikich skowytach
Rozpętane pędzą po błękitach —
I świszczą, świszczą, świszczą swe boleści.
Coraz inaczej się kłębi ich treść bez formy i for-
Idmą w kierunkach coraz innych.[ma bez treści,
Podobne szaleńców snom!
Siekana biczów tysiącami płynnych
Ziemia zajęła!
Zeszły się dwie chmury
W taniec ponury
I w uścisku pierś im pękła!
Z tego umarłego uścisku,

W purpurowym błysku,
Wybiegła żmija z płomienną żrenicą,
A za żmiją błyskawica —
Zahuczał grom!

Zahuczał — wstrząsnął przestworza ogromy,
Zahuczał — wstrząsnął niebiosą i glob
I tak pędził przez błękitów strop,
Jakby chciał go zmiażdżyć na atomy!
Rozerwawszy milczenia łańcuchy,
Ryczał swym najpotężniejszym głosem —
I wśród wichrów dzikiej zawieruchy,
Jakby piekiel wiódł za sobą duchy,
Pędzi ziemi grozić swym chaosem.

Gęźbą piekielnych

Sił

W igrzyskach weselnych

Się wił,

I błyskał purpurą

Ogniowych żył,

I ponuro, ponuro, ponuro —

Wył!

W drgnieniach elektrycznych,

W ogniach błyskawicznych,

Po lazurach bezgranicznych

Z tajemniczych sfer —

Od złotych skier

Pędzi ku złotym skrom!

Chmur całuny —

Wichrów tabuny —

Błyskawic łuny —

To jego struny!

I na tej lutni swe tajemne runy,

Za gromem grom,

Iluczają pioruny!

Gną się, kołyszą się, jęczą drzew rozłożyste konary
W wichrów szalonym podmuchu i w ryku pio-
[runów ognistym!

Drży każda sosna od tej straszliwej muzyki,
Aż ku ziemi się chyli. Ramionami rzucają modrzewie,
Niby ptak, który skrzydłem rannem boleśnie trzepocze;
Srebrzystymi wieńcami swych rozplakanych gałęzi
Brzoza się modli do ziemi i łzami się macierz zalewa,
Łzami, co w mokrych strugach obłoki jej z deszczem
[posłały.

Olcha potrząsa liściem, strwożona o kruchy swój pień,
Grab się kryje przezornie pod rozłożysty dąb;
Grochem łez purpurowych płacze kalina serdeczna,
Dąb tylko, niby kolumna, stoi niezłomny i cichy,
Zła czy dobra mu dola przypadnie, on czeka spokojnie:
Niczem dlań wichry, ni deszczu strumienie ulewne,
[ni gromy.

Δ wokół drzewa gną się, kołyszą się, jęczą,
Liście gwizdzą w tańcu śmiertelnym.
Dzikie róże, dzwonki, lebiodki,
Złote jaskry, liliowe stokrotki —
Wszystko kwiecie, co ozdabia lasy,
Powalone wije się w wagonii
I, straciwszy czystość swojej krasy,
Leży w błota czarnej toni.

Grunt się przemienia w błoto gliniaste, brudne
[i czarne,
Ptaki się skryły w dziuple drzew tajemne,

Zwierzęta w nory uciekły podziemne
I nie śmia spojrzeć na to widmo cmentarne,
Co leci
W wichrów zamieci,
W drzew trzaskających rozłomach —
W błyskawic sieci,
I gromach!

Prorok miłości.

(Z Eros i Psyche.)

Jerzy Żulawski.

Zjawił się prorok tej wielkiej miłości,
Której ty szukasz. Idzie przez doliny,
Idzie przez góry — tam — nad Jordan siny,
I błogosławiąc światu i ludzkości,
Odpuszcza wszystkie grzechy, gładzi winy.
A idą za Nim maluczcy i prości...

Pono mu Boża jasność bije z czoła,
Pono lilije, kędy stąpi, rosną,
Pono On smutnym niesie wieść radosną,
Pono umarli wstają, gdy zawoła,
I wszystko nową w krąg zakwita wiosną:
On błogosławi wszystkiemu dokoła!

Kobiety idą za Nim, idą dzieci —
I stada za nim biegną białorune,
A on je wiedzie z sobą w złotą lunę,
Co tam jak uśmiech na bękitech świeci —
I tak ma serce w rękę jakby strunę,
Z której, gdy zechce, budzi pieśń, co leci...

.

Niema już bólu, ani zła, ni pychy!
Dzieją się pono niepojęte dziwy:
Nikt nie jest smutny ani nieszczęśliwy.
Nikt nie jest mały, i nikt nie jest lichy,
Odkąd na łąki, na wzgórza i niwy
Z dobrą nowiną zszedł On! jasny, cichy...

Miłość On niesie na światy, jak zorzę;
W imię miłości przekona, pociesza, —
A kiedy mówi, to słucha Go rzesza,
I świat Go słucha, i szumiące morze,
Pasterz od stada, rolnik od lemiesza,
A kędy wnijdzie, witają Go: — »Boże!«

Bo On tam pono niebiosą otwiera,
Pokój i życie daje wiekuiste;
A które serce przeżegna — jest czyste,
A którą duszę wezwie — nie umiera!
Chrystus Go zowią...

Za chlebem.

Jerzy Żuławski.

Droga ziemio ojczysta! ukochany kraju!
Góry moje rodzinne! — ja wśród was zrodzony,
Czemuż muszę porzucać złotych marzeń strony,
Czemuż ptakiem przelotnym ciągnąć do wyraju?
W cudze kraje mi lecieć między obce ludy,
Drogich sercu opuścić na długo, na długo,
Płynąć trzeba pod wodę bystrą losów strugą,
Walczyć z życiem i gonić marne szczęścia złudy!
Serce pragnie tu zostać pośród własnej braci, —
Gnane w światy przemocą oprzeć się nie zdoła,
Rozłączenie jednakże krwawa łza oplaci...

Ty się pytasz, dlaczego w świat mi lecieć trzeba,
Rzucać ojców cmentarze, góry, lasy, sioła? ·
Krótko powiem: dla chleba, bracie mój, dla chleba!

Spowiedź starca.

Antoni Pilecki.

O spójrz, młodzieńcze, na mą siwą głowę
Na poorane bólem blade czoło!
Słuchaj! jam niegdyś spoglądał wesoło,
Świat mi się w barwy oblekał tęczowe;
Dziś grobu tchnienie z piersi moich wieje;
Duch mój, nim w lepszą uleci krainę,
Chce wyspowiadać smutne życia dzieje.

Bracie! jam jedną tylko spełnił winę:
Na kwiatach marzeń spędziłem wiek długi,
Przespałem życie czynu i zasługi,
I jak cień marny przebiegłszy tę ziemię,
Spocznę na wieki w zapomnienia grobie.

Sławo! w młodości jam marzył o tobie!
Dziś własnej wzdgardy przygniata mnie brzemię;
Bo zamiast wybiedz w świetne szranki owe,
Gdzie walczyć trzeba myślą, sercem, dłonią,
Nim tve wawrzyny czoło nam osłonią,
Jam zwiedzał marzeń pustynie jałowe,
I zamiast spojrzeć śmiało ci w oblicze,
Ścigałem tylko tve widmo zwodnicze.

Ha! próżno serce sieroce się żali;
Nie wrócą złotych dni młodzieńcze chwile;
Na popielisku, gdzie śpi wspomnień tyle,
Żadna się jasna iskra nie zapali!

Jam dziecię marzeń! — o! pamiętaj bracie,
Żeś znał człowieka, co w purpury szaty
Przyoblekł ducha, uczuciem bogaty,
A później... płakał po czczych złudzeń stracie!
Pomnij, że człowiek ten, gdy głowę siwą
Na pierś zboląłą pochylił z rozpaczą,
Żebrakiem kończąc pielgrzymkę tułaczą,
Daremnie dolę przyzywał szczęśliwą;
Nigdy rozkoszy nie zaznał na ziemi,
I był sierotą pomiędzy swojemi.

A jeśli kiedy zechcesz moim śladem
Bujać w krainie złotych marzeń pustej
I szczęścia błagać żebraczemi usty, —
Stanę przed tobą, stanę z czołem bladym
I rany ducha mojego ci wskażę,
Twą wrzającą głowę swym cierniem uwienczę
I głosem wielkim zawołam: „Młodzieńcze,
Widzisz! tam czynu są święte ołtarze!

Czyż na głos prawdy twoja pierś już głucha?!
Wstań! w siłę woli jak w stal oblecz ducha,
Od ust twych odtrać słodką złudzeń czarę
I spełnij życia prawdziwą ofiarę!«

Pożegnanie.

Karol Hoffman.

Więc odjeżdżacie za lądy i morza,
Rzucając ziemię ojczystą na wieki?...
Nie straszno wam to puszczać się w bezdroża?...
Do obcych ludzi, w kraj dziki, daleki?..

Więc odjeżdżacie od ojców i braci,
Zrywając węzły z rodziną i krajem?
Myśląc, że obcy kraj za to zapłaci,
Że nowa ziemia stanie wam się rajem?...

I nie żał wam to waszej czarnej ziemi,
Co was lat tyle żywiła, jak matka?
Nie żał tej wiosny z nocami cichemi,
Z pieniem słowiczem i zapachem kwiatka?...

I nie żał wam to ukochanej wioski,
Cmentarza, co się krzyżykami jeży,
Kościółka, gdzieście nieśli wasze troski,
Kiedy się dzwony ozwały na wieży?...

Rzucacie wszystko?... Jedźcież, zaślepieni,
Gdy rada szczerą wstrzymać was nie może...
Przejrzyście kiedyś, duch wyrwie się z ziemi...
Wtedy — ojczyźnie powróć ich, o Boże!...

Powitanie.

Karol Hofman.

I powrócili przez morza i lądy,
Ojczystej ziemi ujrzeli zagony,
Z serca im spadły naleciałe trądy,
Z pierwszym okrzykiem tutaj: »Pochwalony!«

I powrócili w wybitym szeregu,
Ci bez żon swoich, a tamci bez dzieci;
Jedne porwało morze w wiecznym biegu,
Drugie w obczyźnie uschnęły jak kwiatek!...

I powrócili — na niepewną dołę,
Bez gwiazd i jutra, wśród swoich tułacze;
I powrócili na nędzę i bole,
Na nowe trudy i na nowe płacze!...

Witajcie, bracia, marnotrawne syny!

Dziś wy już wiecie, co znaczy Rodzona,
Ona wróconych z dalekiej krainy,
Przytuli zawsze do swojego łona!...

Trzy Budryski.

Franciszek Konarski.

Pani Klara trzy córki, jak sarneczki, wiewiórki,
Do salonu przyzywa i rzecze:

»Hej walizy i kufry niech spakuje Onufry,
A Jan z lamusa kocz niech wywlecze!

Bo musicie, me dziatki, z rodzinnej precz chatki
W świat wyruszyć dziś jeszcze z wieczora:
Wam szesnastej już wiosny minął dzionek radosny,
O przyszłości pomyśleć więc pora!

Dziś, me córki, na świecie los się śmieje kobiecie —
A jej droga różami wysłana;
Sama istnieć już może, nie zakuta w obroże
Przez mężczyznę, drapieżcę-tyrana!

Nowym świat dziś mknie torem, zerwał z szyschem,
Jedno prawo ma mąż i niewiasta! [pozorem,
Więc w zapasy i boje, was pieśzczołki słę moje —
Sił udzieli wam wiosna... szesnasta.

O, w tej walce ze światem kwiat opadnie za kwiatem
Snów, niesionych za chatki tej progi!
W fałsz jedziecie i zdradę, więc jadącym dam radę,
Trzy jesteście i macie trzy drogi.

Jednej drogi szlak łzawy, lecz dostatków i sławy
Na nim stoją podwoje otworem,
Pierwsza pomknie z was zatem owym szlakiem
[w bój z światem,
Niech się uczy, — zostanie doktorem.

Niech zaciągnie się druga w ciężkie jarzmo u pług,
Co siew nauk na serc szczepi grzędzie —
Siejba zmudna, wiem o tem, lecz zakwitnie siew złotem,
Profesorką więc druga z was będzie.

Tobie, Zosiu, me dziecię, inne śmieje się życie,
Wiem, twa częśćka nie z tego jest świata —
Od kolebki do Boga życia wiedzie cię droga,
Tobie szczęście klasztorna da krata!

Wszystkim trzem zaś na drogę jedną dać chcę prze-
By was ustrzedz od łez i zawodu; [strogę,
Więc pomnijcie, me dziatki, klnę na miłość was matki,
Jaszczurczego się mężczyzn strzedz rodu!

Bo nad węże i żmije zdradniej czołga się, wije,
Najzjadliwsza ta ludzka gadzina!
Słodki, gładki, pieszczony, lecz gdy chwyci w swe
Ach, zgubiona nieszczęsna dziewczyna!« [szpony,

Takie dawszy wskazówki, błogosławi im główki
I o listy ze łzami je prosi.

Jan zajechał, Onufry wziął walizy i kufry —
Kocz wyruszył i w świat je unosi.

Idzie jesień i zima, listów niema i niema,
Matka ręce zaciera radośnie:

»To wzorowe dziewczęta! jak z nich każda zajęta!«
A z nadziei aż serce jej rośnie!

Po śnieżystej zamieci poseł do wsi w cwał leci,
Z telegramem on pędzi do domu!

Matka widzi z daleka, drży z radości i czeka
Doktorskiego Anielci dyplomu!

Czyta, jęka, upadła, posiniała, pobladła,
A pierś szarpie z rozpaczey jej zmora,
Bo Anielcia — niestety! nie doktorskie birety,
Lecz znalazła całego doktora!

Po śnieżystej zamieci poseł do wsi w cwał leci,
Z telegramem on pędzi do dworu!
Pewnie Zosia cnotliwa rady matki zawżywa,
Chcąc na wieki w mur wstąpić klasztoru!

Matka czyta, upadła, posiniała, pobladła,
Tonie w smutków bezbrzeżnym rozłogu:
Zosia, dobre to dziecic, chce poświęcić swe życie,
Lecz poświęcić — Jasiowi, nie Bogu!

Matka rwie się, szamocę, płacze dzionki i nocę —
Aż w tem myślą natchnioną szczęśliwą,
Pędzi w lot do stolicy i dla trzeciej dziewicy —
Pedagoga znajduje co żywo.

Pobudka.

Józef Jankowski.

Do cnoty, młódzieży, do cnoty!
Na szczytny, promienny idź bój!
Ze skarbca anielskiej tęsknoty
Natchnienia bierz w serca siew złoty,
W trud życia go wszczepiaj i w znój.
Do cnoty, młódzieży, do cnoty!
Białości przystoi ci strój.

Niech ginie przewstrętna zasada,
Co prochów jedynie zna ruch:
Gdzie przemoc, gdzie walka, gdzie zdrada,
Gdzie byt swój człek-zwierzę zakłada,

Ku ziemi wzrok tęży i słuch!
Do cnoty, młodzieży, do cnoty!
Niech wskrześnie człek-aniół, człek-duch!
Niech wskrześnie, niech szuka roztropnie
Najbielszych w sumieniu swem kart;
A pozna, że w ducha tu stopnie
Wstępując, błękitów swych dopnie
Przez natchnień i pieczę i hart!
Do cnoty, młodzieży, do cnoty!
Duchowy byt jeno coś wart!

Więc z żądzę, trującej szkaradnie,
Ty ciało, młodzieży, swe czyść!
Niech zacna myśl gości przykładnie,
Niech zdrożna chuć piekła odpadnie,
Jak zeschły, kruszący się liść!
Do cnoty, młodzieży, do cnoty!
Rojenie ludzkości ty ziść!

Choć cały w doczesnej powłoce
Nie dany anielstwa nam dział;
Choć zdradne czyhają w krąg moce,
A dusze tak w ciałach sieroce,
Że bluźnią więzieniom swych ciał —
Do cnoty, młodzieży, do cnoty!
Wart próby, kto lepszym się stał.

Z twych pragnień, z bojowych puklerzy,
Z białości promiennej twych szat,
Świt nowy się wiekom sprzymierzy
I mrokom bój wyda, i w świeżej
Jutrzenki zestrzeli się kwiat.
Do cnoty, młodzieży, do cnoty!
Przez ciebie rozwidni się świat!

I wszędy rodzące się zorze
Na poblask różowszy już dróg;
I światło duchowe się wzmoże
Na bliższe królestwo tu Boże,
Co niski nawiedzi nasz próg.
Do cnoty, młódzieży, do cnoty!
Trwaj w mocnem! Niech wspiera cię Bóg!

Hetman Żółkiewski.

Adam Dobrowolski.

I.

Cecorskie pole!... Gromów hukami grzmia strzały!...
Jęk rannych!... wała działa!... tętnią hufce w pędzie!..
Jeszcze chwila — na szali rozstrzygać się będzie
Kto odzierży bitewny... krwawy tryumf chwały?...

W wichrowym szumie kraśnych... podartych sztan-
[darów,
Morderczy piorun wieści leci: — Szlachta tchórzy!
— Szyk łamiał!... — Obóz pusty! — Nie walczyć
[już dłużej!... —
Nieszczęsny niekarności bierze górę narów!...

Żółkiewski, na szablcy krwią ociekłej wsparty,
Nie zachwiał się od gromu... nie poniżył głowy.
— Stać! Tu umrzem! — zawołał. — Nie złożymy
[broni!... —

— Szaleństwo! — szlachta woła. — Jam zginać
[gotowy! —
Odpowie starzec — lecz szabli wrogom nie dam
[z dłoni,
Nie zejść z posterunku powierzonej warty!...

II.

Krwawi się w zachodzącem... złotem słońcu pole...
Śmiertelna cichość posiew chwalnej śmierci sieje,
Którą wiekom potomnym rozpowszechni dzieje,
Rozpalając ją w jasną glorię aureolę.

Cichną warczące bębny... kotły... i waltornie..
Czerń się tłoczy tatarska!... — Tam hetman! —
[Garść przy nim!..
Wziąć hetmana!... Dar cenny szachowi uczynim!... —
Lecz cóż to?... czerń stanęła... jak wryta... tak kornie!...

Hetman kona.. śmiertelnie trafion... W jednej dłoni,
Gasnącym ściskiem zegna garść z pod swego znaku,
A w drugiej szablę trzyma... jakby do ataku —

Nad nim sztandar rozwiany Orła i Pogoni
Chyboce się w powiewie... gdzieś dzwon bije w dali...
I jękiem modlitewnym, pogrzebnie się żali...

.

Śmierć przysła!... Ale jeszcze w konania agonii
Westchnął... patrząc na pola, krwią poległych żyzne:
— Słodko jest i zaszczytnie umrzeć za ojczyznę!...

Betleem w Polsce.

Wacław Wolski.

..A ja wam powiadam, matulu,
Że tak mi coś w duszy się klei,
Że nam się Pan Jezus narodził
Tu, w Polsce, nie w żadnej Judei...

Obląpił Jezusek za szyję
Ojczaszka rączkami małemi,
Przymilał się, by mu pozwolił
Przyjść na świat na smutnej tej ziemi...

Matulu, gdzież, jak nie w Polsce,
Biedniejsze te chłopskie strzechy?
Gdzież bardziej na świecie, niż u nas,
Potrzeba osłody, pociechy!...

Powiedzcie, gdzież indziej na świecie
Tęskniejsze są łąki i pola?
Gdzie mgławią się krwawsze wspomnienia?
Gdzie bardziej przesiąkła krwią rola?

Gdzie więcej na ziemskim padole,
Spłynęło łez, krzywdy i bólu?...
Gdzie dola narodu smutniejsza?
Powiedzcież sumiennie, matulu!?

...I kiedy se tak poplakuje,
Coś w duszy mi ciągiem się klei,
Że u nas jest w Polsce Betleem —
Nie gdzieś tam w zaświatach, w Judei...

Modlitwa Jagiełły.

Władysław Karoli.

Skoro lipcowe, piękne błysły zorze,
Mężny Jagiełło na Grunwaldu polu,
Ukląkł, wzrok wznosząc do niebios w pokorze,
I słał swe modły, z sercem pełnem bólu:

»Wszechmocny Boże, przebacz nam, o Panie,
Że miecz dziś z pochew dobyć nam wypada,
Grabiąc na Litwie i na Polski łanie,
Krzyżak krwi chciwy dobytek napada!
Podstępem dziełem krzywdzi nasze męże,
Nie szczędzi starców, dzieciny uwodzi,
Zuchwalstwem swoim wszędzie dziś dosięże,
W bezbronnych ofiar krwi szyderczo brodzi!
Pozwól, o Boże, że wzniosę prawicę
I lud mój pierwszy do boju powiodę,
Ażeby smętną obronić dzielnicę,
Rodzinnym chatom powrócić pogodę!
Słyszałeś, Boże, że opamiętania
Stały na zawsze me słowa spokojne,
A oto dzisiaj w Malborgu podzwania
Hasło zuchwałe na morderczą wojnę!
Błagam, o Boże, mocą Twojej chwały
Wesprzyj me ramię, by bój stoczyć snadnie,
A krew przelana niech na ród zuchwały,
Łupieski zakon, z karą Twoją spadnie!«

.
Kiedy po bitwie zbite w masy cielska
Knechtów zuchwałych pola zaścielały,
Na ziemię Słowian szła jasność anielska,
Słońca się dziwnie jasne blaski słały.
W podzięcie Bogu, szepcąc modłów słowa
Za wsparcie dłoni, dokonane dzieło,
Z pod Niepołomic, pieszo, do Krakowa
Kroczył do fary, mężny król Jagiełło.

W zimowy wieczór.

Zofia Zacharkiewiczówna.

W zimowy wieczór na kamiennym schodzie
W progu kościoła siedział chłopiec mały.
Na przejmującym zbladło liczko chłódzie,
I biedne, drobne usta posiniały.
Długo się błakał między zaułkami,
Wreszcie już siły maleństwu nie stało —
Usiadł i patrzy smutnemi oczami...
Lecz biedak tłumy obchodził tak mało...
Czy raz to jeden w wielkim miasta gwarze
Widzi się dzieci obdarte i smutne?
Pobladłe z głodu albo zimna twarze?
Więc serca nie są litością rozrzutne.
Znalazł się wreszcie ktoś, co zwrócił oczy
Na biedne dziecko, siedzące u proga —
Podchodzi, ciepło spoglądając w oczy,
Pyta: »Na kogo czekasz tu?« — »Na Boga«.
— »Jakto na Boga? nie rozumiem ciebie...«
— »Czekam na Niego, On tu przyjdzie do mnie,
Głód uspokoi lub wezwie do Siebie,
Bo On dla biednych dobry jest ogromnie:
Zabrał już ojca mego i brata,
A wczoraj matka, umierając, rzekła,
Że Bóg sieroty prowadzi wśród świata«.
I łza perlista z ócz dziecka pociekła.
— »A więc Bóg przyjdzie, prawda, dobry panie?
On mnie nakarmi, da ubranie ciepłe...
O ja napewno wiem, że się to stanie«.
I dziecię dłonie rozciera zakrzepłe.

— »Tak — rzecze cicho wzruszony przechodzień —
Nikt wsparcia Boga daremnie nie czeka:
Chodź, będziem modlić się do Niego codzień,
By dała biednym chleb Jego opieka.
Chodź ze mną, zimno nie będzie ci więcej,
Nie będziesz głodny, dam ci matkę drugą«.
A chłopię mówi w prostocie dziecięcej:
— »Więc Bóg cię przysłał? Czemuś szedł tak długo?«...

Mowa ojczysta.

Z. Morawska.

Siła to wielka, — siła niespożyta
Z serca narodu i z ducha zrodzona, —
Siła, co nigdy w narodzie nie skona
W mowę spowita.

Mowa — to świętość, dla której ołtarze
Miłość ojczyzny z ran i krwi buduje,
Nią modły wznosi, nią myśli i czuje
Z duchem swym w parze.

Mowa — to macierz, co nas w swem objęciu
Do snu kołysze i do życia budzi,
Z nami łączy leje i z nami się trudzi
W słowa zaklęciu.

A kiedy...

Zofia Fertner-Korczyńska

A kiedy mnie kłaść będziecie
Już w ten cichy grób...
Nie kładźcie mnie pod kamienie,
Gdzie wieczysty chłód i cienie,

Lecz u brzózki stóp,
Matulu...

Lecz u brzózki stóp.

A nie kładźcie na kurhanie
Marmurowych płyt,
Bo przygnictą mnie do ziemi,
Że nie ujrzę już pod niemi,
Kiedy wstanie świt
Różowy...
Kiedy wstanie świt.

A nie sadźcie na mogile
Kwiecia obcego,
Cyprys — mirty niech nie stają,
Korzeniami nie sięgają
Do serca mego,
Matulu...
Do serca mego.

Ale siejcie na mogile
Ojczyste kwiaty,
Naszej polskiej ziemi kwiecie,
Najpiękniejsze w całym świecie
Fiołki... bławaty...
Stokrocie...
Fiołki... bławaty...

I postawcie na kurhanie
Krzyżyk drewniany,
Z gruba jeno ociosany,
Biały krzyżyk modrzewiany,
Skarb mój kochany
Na wieki...
Skarb mój kochany.

A choć umrę gdzieś daleko
Na obcej ziemi...
To cichutko będę śniła,
Żeś mnie do snu ułożyła
Między swojemi,
Matulu...
Między swojemi.

KWIATY I KŁOSY

III



KWIATY I KŁOSY

UTWORY DO DEKLAMACJI

ZEBRAŁ

KS. MIECZYŚLAW BRODOWSKI

WYDANIE TRZECIE POWIĘKSZONE

CZĘŚĆ III



NAKŁAD KSIĘGARNI SW. WOJCIECHA
POZNAN ————— WARSZAWA

UZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA.

Pogrzeb Józefa Poniatowskiego.

Julian Ursyn Niemcewicz.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami
Biało-czerwone proporce migają,
Wstrząsło się miasto radości głosami:
»Nasi wracają!«

Niedługa radość; każdy pyta chciwie,
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był niegdyś duszą i ozdobą;
Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą.

Już go nie widać pośród hufców dzielnych...
Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj — złożone na marach śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciagną go wierni towarzysze boju
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;
Idź, koniu, smutnie, już twój pan bezpieczny
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy, flety płaczliwe,
Wy, chwiejących się orków srebrne dźwięki,
Umilczcie, ranią piersi moje tkliwe
Te smutne jęki.

Patrz: przed świątynią przy światłach gasnących,
Porywa z wozu młodzież ciężar drogi
I wnosi wpośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny.

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I, zamiast słodkiej nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze — już jesteś szczęśliwy.
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów,
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni,
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi.
Ten napis twarde zachowają głązy:
Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź tej tarczy,
Pewien, że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

Pozwól się spodziewać.

Franciszek Morawski.

Zbił grad na łanie całą zniw nadzieje,
Niema i kłosa na niwie żniwiarzy,
Cóż czyni rolnik? na nowo ją sieje
I przyszłość lepszą znów marzy!
O nie broń, nie broń urojeń mych pola
Ziarnem nadziei obsiewać!
Wzrosła ku niebu już Polski niedola:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Zasnął sierota po cierniu boleści,
Roi nadzieję, matki swej życzenia;
Z młodą się myślą promyk szczęścia pieści,
Senne mu złoci marzenia,
Czy chcesz z omamień wypędzić go kraju,
Czy chcesz sen złoty rozsiewać?
Nie budź go, przebóg! nie wypędzaj z raju,
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Spartański szkielet przebył lat tysiące,
Zbudził się, powstał, odział blaskiem chwały
A prochy polskie, jeszcze tak gorące,
Jużżeby ożyć nie miały?
Będą je, będą wszystkie syny dzielne,
Ogniem serc swoich rozgrzewać;
Błyszczą z popiołów iskry nieśmiertelne:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Jeszcze Bóg dobry dawnych zdolny cudów,
Jęk go nasz w górnej krainie dolata;
Słysząc jak huczy wielka burza ludów,
Wre, grzmi, tętni wulkan świata.
Kończą już, kończą tych-ław groźne wary
Na piorun zemsty dojrzewać;
Nie, nie zawodzi niebo silnej wiary:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Pozwól się patrzeć w gwiazdy marzeń tkliwych,
W kwiaty nadziei grób Polski przybierać;
Nadzieja wsparciem, życiem nieszcześliwych,
O! nie dajmy jej umierać!
Póty lud żyje, póki nie przestaje,
Pieśni nadziei swej śpiewać;

Nia się on zbudzi, przez nią zmartwychwstaje:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Giermek.

Franciszek Morawski.

Smutno w polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Pobił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojownicy.

Gdy wtem, siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił lutnię i tak śpiewał:

Mile gadka dawnej treści
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
W starych czasów to powieści
Stara dzielność się ukrywa.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;
Był czas, gdyśmy wschodnie burze
Piersią naszą odpierali.

Lasem polskich dzid narody
Zasłaniane od podboju,
Wynucały pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju.

Naszym hymnem był szcęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łąn Podola,
Ciagną wojska, tabor, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne, dwa obozy:

Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy:
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bój to będzie straszny, krwawy.

Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada
I objężdża czaty nasze.

Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru — rżenia koni,
Pyta — zważa — ognie liczy,
I już w myśli łamie, goni.

O, nie ciesz się, wodzu stary,
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary! —
Słuchaj, patrzaj, co się dzieje!

Hura, hura! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci.
Giermek za broń, wódz do korda,
Na koń! woła, na koń, dzieci!

Spieszą, biegną do swych szyków,
Wpółśród nocnych pędzą cieni;
Gdy wtem z grzmotem nowych krzyków
Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie,
Rąbie hetman, giermek łamie;
Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara;
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.

Wzięty giermek, hetman wzięty;
Krzyczy, huczy motłoch dziki;
Bucha gniewem han zacięty,
Patrzac na swe niewolniki.

Wre i zemstą ryczy sroga,
Każe jednem skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą,
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?

O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojej łzą nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy;

Kto w półdzikim, podłym tłumie
Nie włókł ciężkich lat niedoli,
Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

I na chwilę marząc smutnie
Wieszcz ucicha... łzy wylewa...
I znów nagle trąca w lutnię
I tak dalej gra i śpiewa:

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody.
Długo o swej duma ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie.

I podnosi ręką śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie — odcina nogę całą
I hetmańa swego cuci.

Wolnyś! rzeczce, straż zaspana,
Uchodź, ocal twą krainę;
Spiesz i pobij wojsko hana,
Ja z radością tutaj zgine.

Powstał hetman i wzniosł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiej zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wkrótce han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie stráže,
Onota dzikość zwyciężyła;
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła. —

W świetnem dworzan, wodzów gronie,
Szkarałatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczuła,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezgłowa szczerbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtem wpośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą;
Oto herb twój! król zawoła,
Wysłużony twoją cnotą.

I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz Pański zmierza,
I sam klęka z nim na przedzie

O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosi,
I o więcej takich mężów
Dla ojczyzny swojej prosi.

Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
Coraz głuchszem cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach, śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem.

Osieł i Jacek.

Franciszek Morawski.

Biedził się Jacek od dobrej godziny,
Nie mógł osłowi poradzić;
Nie wiedzieć z jakiej przyczyny,
Nie dał się przez most prowadzić.
„Nie pójdę«, rzecze, »dość tych dziwactw znoszę,
Męcę się, niszczę, i już ledwo łążę;

Ja mam iść naprzód, i dlaczego, proszę?
Wielka przyczyna, że tak Jacek każe!
Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciągnie za uszy, kijem, drągiem ćwiczę,
Osieł nie tylko że naprzód nie rusza,
Zawsze się cofa i ryczy.

»Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!
Gniewny Jacek wrzaśnie,

»Nie ja tu z tobą nie zrobię«.

Gdy mu w tem nagle błysnie myśl szczęśliwa,
Leci w tył, osła za ogon porywa,
I silnie ciągnie ku sobie.

»Ho! ho! rozumiem, Jacek plan swój zmienia«,
Domyślny osieł zawoła:

»Widząc, że naprzód znaglić mię nie zdoła,
Chce mnie zmusić do cofnienia.

Otoż nie zmusi: w tej chwili zobaczy,
Co to osieł znaczy«.

Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,

Myśląc, iż cudów dokona,

Zrywa się, rusza się i przez most galopem

Leci z Jackiem u ogona. —

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,

Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci;

Lecz udaj zdaniu twojemu przeciwne,

A osieł przez most poleci.

Gęsi.

Franciszek Morawski.

Ni stąd ni zowąd, nagłą zdjęte trwoga,
Gęsi pod blizkim zerwały się lasem,
I wielką przez wieś uciekając drogą,

Z strasznym leciały hałasem.

— »Cóż to za głupstwo z takim wrzaskiem wpadać?«

Tak zlekły kogut z wzniosłej woła tyki:

— »Nikt was nie myśli ni gonić, ni zjadać —

Poco więc, poco te krzyki?«

— »Alboż my wiemy, co się dzieje z nami? —

Tak rzeczce jedna, pędząca w odwodzie,

— My tylko lecim za temi gęsiami,

Które tam krzyczą na przodzie« ...

Podobno gęsi takie — ludzie bają —

I na naszych naradach często się zdarzają...

Osieł szlachcicem.

Franciszek Morawski.

Tak się raz osieł dąsał,

Tak się z zwierząt natrząsał,

Taki był dumny, wspaniały —

Że go inne nie poznały.

Pojać nie można było,

Co mu się zrobiło!

Koniecznien wszystkım dowodził,

Że się szlachcicem urodził...

Dwie godziny o tem gadał!

Powiadał,

Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,

Jak niezmiernie dawnych;

Wyliczał lata za lata,

Jak się ciągnęły jego antenaty, *)

*) antenaty = przodkowie.

Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były rozumne figury,
Co to były za osły!...
A lis mu na to: Jakżeś nierozsądny!
Zawsze swoich chwalisz przodków:
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!...

Śmierć Konrada Wallenroda.

(Z »Konrada Wallenroda«.)

Adam Mickiewicz.

»Kto idzie?« trzykroć odzwierny zawołał.
»Biada!« krzyknęło kilka dzikich głosów;
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgiej nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krążganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega;
Alf zawaliwszy wrzeczadzem podwoje,
Dobrywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu, — »stało się!« zawoła,
Nalał i wypił: — »Starcze! w ręce twoje!«

Halban pobladnął, chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słysząc za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę, — to oni — już przyszli.

»Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czego myślisz? masz nalaną czasę,
Moja wypita; starcze! w ręce wasze!«
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy.

»Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu! —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć, — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obieję Litwy wsi, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci;
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci!
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!«
Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana, westchnienia zmieszali
W ostatniem, cichem... długiem uściśnieniu.
Już u wrzeczadźków słyszać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:
»Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
Oto jest starzec, kapelan Zakonu,
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie.«

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:
»Oto są grzechy mojego żywota!

Gotówem umrzeć — czegoż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?

Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierzawy.
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów, —
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczatki biesiady.
Ja to sprawilem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Zak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny
Jburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem!«

Rzekł, spojrzął w okno i bez czucia pada,
Ale nim upadł, lampę z okna ciska;
Ta trzykroć kołem obiegając błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej toczy się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy,
Już pobielają — i światło zagasło.

Koncert nad koncertami.

(Z Pana Tadeusza)

Adam Mickiewicz

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił)
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegości, w guście i talencie.

Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni,
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: »Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu!«

Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą,
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło; usiadł, cymbały przynoszą;
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą, jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany;
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i, próbując brzęczą;
Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma
Milczy i nieruchome drażki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drażki oba.

Znowu gra. Już drżą drażki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia

Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drażki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.
Brzmi Polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się
 unosły,

W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali;
Gdy przy tańcu śpiewano: »Wiwat król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!«

Mistrz coraz takty nagli i tony nateża;
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkłe; przejął wszystkich dres-
czem

I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili:
Czy instrument niestrojony? czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyę zmaca,
Coraz głośniejsze targając akord rozdasany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany;
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: »Znam! znam głos ten! to jest Targowica!«
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaca;
Porzuca prymy, bieży z drażkami do basów:
Słyszać tysiące coraz głośniejszych hałasów,
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słyszać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek. »Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalosną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu-tulaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i głodu przymierając czasem;
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy...

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Nateża, takty zmienia, coś innego głosi.
I znowu spojrział z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drażki uderzył;
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!
Marsz Dąbrowski do Polski!...« I wszyscy klasnęli
I wszyscy »Marsz Dąbrowski« chórem okrzyknęli.

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drażki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca.
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.

»Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza
Czekała, długo, jak my, Żydzi, Mesyasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o, ty nasz!...« Mówiąc ciągle szlochał:
Żyd poczeiwy Ojczyznę, jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

Nocleg.

Adam Mickiewicz.

Nasz Naczelnik*) nad Trockiem jeziorem,
Po kowgańskiej potyczce nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem:
Jeden rany swe mchem opatruje;

Drugi strzelbę przeczyszczcza, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek zasuwa:
Ten wpół senny pod głowę płaszcz zwija...
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś дума w pomroce;
Drzewo suche — lecz miało owoce;
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza:
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
Jeden Prusak z nogami długimi,
W białych, długich pończochach, — a drugi
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz, na kolanach broń trzyma.
Wzrokiem szuka pagórka znanego.
Ten za wodą: na wzgórku dom jego;
Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkim... Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę:
»O Najświętsza! o Maryo z Borun!
Ratuj ich!... ratuj dzieci!... dom gore!«...

*) Wincenty Matuszewicz, sławny wódz partyzancki na Litwie podczas wojny 1831 r.

Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu!...
Wtem słuchają... Łom trzeszczy, gwar ludzi
I »kto idzie!« głos ozwał się z boru.

Patrol wraca, i obóz się budzi.

Wodzu! wielka dla ciebie żaloba;
Wraca patrol z wieściami Hijoba.
Jeden mówi: „zarżnęli twą żonę“.
Drugi mówi: „twe dzieci spalone“.

Lecz pojмали dowódcę Moskali.

»Kto on?...« »Francuz, niestary, przystojny;
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud siecze niezbrojny!...«

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzył i milczał i słuchał.
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głuche milczenie i zgroza.
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem;
Na dom patrzył — i krzyknął »powroza!...«

Przyskoczyły dwa katy roskoły,*)
Stryczek mieli gotowy ze sznura,
Zakasali rękawy za poły,
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci... »Kto idzie?« »Lud z Bogiem
Nasze hasło: poznajcie wiarusa!«
Zrzuca płaszczy... Ach, to mundur Krakusa;
Białe surduty z czerwonym wyłogiem.

*) Roskoły znaczy odszczepieńcy; tutaj tyle co wyrzutki.

»Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rosena, Gejsmara,
Nabrał jeńców i dział co niemiara,
Idzie w Litwę... Skrzynecki niech żyje!«

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał..
Ach! kto miłej ojczyzny nie kochał,
Biedny! łzami nie płakał takimi..
A Naczelnik?... On leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza: »Idź wolny!
Precz od nóg mych — byś nóg mych nie podlił!
Jam dziś karać nikogo nie zdolny!...«

Powrót taty.

Adam Mickiewicz.

»Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze!« —

Słyszac to dziatki biegną wszystkie razem,
Za miasto pod' słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię, potem: »W Imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przynajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego«.

Potem »Ojcze nasz«, i »Zdrowaś« i »Wierzę«,
»Dziesięcioro« i koronki,
A kiedy całe zmówiły pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanie do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem —
»Najświętsza Matko, przyspiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatami!«

Wtem słysząc turkot, wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
»Tato, ach tato nasz jedzie!«

Obaczył kupiec, łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
»Ila, jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do taty?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rodzynki w koszyku!«
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

»Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu«
Idzie... aż zbójcy obkoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie:

»Ach, bierzcie wozy, ach, bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziątek
I młodej małżonki wdową!«

Nie słucha zgraja; ten już wóz wyprzega,
Zabiera konie, a drugi
»Pieniędzy!« krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: »Stójcie, stójcie!« krzyknie starszy zbójca,
I spędma bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
»Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi!«

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
»Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybyś pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziątek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupeca,
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham; z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham; — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki...

Ach, ja mam żonę! i u mojej żony
Jest synek taki maleńki.

Kupcze, jedź w miasto; ja do lasu muszę!
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciorek».

Golono, strzyżono.

Adam Mickiewicz.

U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory;
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopą albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
Potrafią i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się tydzień potem.
Ledwie poznał że to ona:
Bo była w pół ogolona.
»O zbóje! żeby ją skryli
Używając takich figli,
Że biedaczkę wygolili!...«
»Powiedz raczej, że ostrzygli
— Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie gołą lecz strzygą.«
»Ano patrzajcież bo mi go,
— Ozwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczyć nas pod wąsem,
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?...«
»A wąsiki ekonoma,
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone?...«
»Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma,
Dobrze, że suka jest doma,
Choć też szpetnie ogolona.«

»Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła,
Choć też szpetnie ostrzyżona.«
»Głupiaś z twemi nożycami!«
»I ty z twojemi brzytwami!...«
»Że golona, przypatrz-że się!«
»Że strzyżona, pokaże się...«

Tak się kłóca mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: »Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona«.
Idzie żyd: »Powiedz-no żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?«
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrała męska strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony,
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zakłeta,
U progu suka ich wita:
»Pójdź tu moja ogolona!«
Woła mąż. A kobieta:
»Pojdź tu moja ostrzyżona!«

Mazur wściekły, już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wzięwszy pod rękawki.
Wlecze ją wprost do sadzawki
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: »A no teraz:
Czy golona czy strzyżona?«
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce;
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok, uciekł z wody,
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał na żołnierza.

Śmierć miecznika.

(Z »Maryi«).

Antoni Malczewski.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże,
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze!
Biją we dzwony żaki i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny spieszą.
Wewnątrz kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
Błado się palą świece: czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać, wśród ciekawych grona,
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?

Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemie,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Błady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega;
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ach! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa:
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jej wozik lamę, żeby całun szyli...
I dziwno — tak nieczułym stał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem: ni żalu, ni skargi
Nikomui nie zwierzyły wypłowiełe wargi;
Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz — i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utracą,
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że gdy trwogi
Odgłos trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda: już spał — spał na wieki!
I cicho, gdzie trzymogół w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno — w bujnej Ukrainie.

Pielgrzym.

Bohdan Załeski.

»Puście mnie, puście w podwórzec zamkowy,
Pysznych podwojów odsuńcie wrzeciędzie;
Śnieg zimny bije, świszcze wiatr grudniowy,
Zmokły, przeziębły — i błędę i błędę.

Nie jestem wcale natrętny podróżny.
Wszystko mam z sobą, nie pragnę jałmużny;
Wszakże ktokolwiek w tak okropnej nocy
Ma prawo ludzkiej zażądać pomocy.

Śniegiem zawiana znikła z oczu droga,
Tu pokutnika zaskoczyła zima:
Puście mnie, puście! zaklinam na Boga,
Błogosławieństwo odbierzcie pielgrzyma.

Wędruję z Rzymu, wspólnej naszej matki,
Niosę odpusty i świętych ostatki,
Niechaj was o tem anieli ostrzegą;
Puście mnie, puście, przez miłość bliźniego!

Przelekły zając kryje się do nory,
Jeleń przy łani ucieka przez błonie,
Ja, biedny starzec, zwątlony i chory,
Gdzież się, ach! gdzież się przed burzą uchronię?...

Z rozgłośnym hukiem wre rzeka burzliwa,
Gniewna, wezbrana w falach się rozplywa:
Popłynę przez nią choć zimno i ciemno,
Gdybym litości nie wzbudził nade mną.

Pukam i darmo — żelazne podwoje,
Lecz twardsza od nich pana zamku dusza,
Gdy go bliźniego los, ni lata moje,
Ni prośba w imię Boga nie porusza.

Żegnam cię! niechaj Pan ziemi i nieba
Przedłuży w łasce i szczęściu twe lata;
I oby nigdy nie było ci trzeba
Żebrać na starość litości u świata.«

O mury starca rozbiły się słowa,
Ale pan zamku nie będzie miał ciszy;
Ileć burza zaszumi grudniowa,
W poświstach wiatru znowu je usłyszysz.

Bo gdy po nocy z jutrzienką rumianą
Mgły z ponad wody podniosły się rano,
Falał rzucone pomiędzy opoki
Zimne pielgrzymia znaleziono zwłoki.

Bądź mi Aniołem.

Zygmunt Krasiński.

Aniele mój, bądź mi aniołem,
Jaka Cię w pierwszym zachwycie

Na całe życie

Mym duchem pojałem...

Jasną, przeczystą, bez skazy, bez cienia.

Bądź niebiańskiego promienia

Złocistem nadę mną kołem.

Bądź moim Stróżem Aniołem!

Nie pragnę głosu, choć się moja dusza

W nieznana błogość Twym głosem porusza,

Nie chcę uśmiechu, lubo tak świetlany,

Zdolen ukoić me najgłębsze rany,

Nawet i wzroku nie chcę, choć uroczy —
Z wszystkim, co szczęsną duszę mą jednoczy.
Głos Twój, wzrok, uśmiech, niech odtąd nade mną
Dźwięczy, tchnie, płonie potęgą tajemną,
Lecz ich nie zwracaj ku mnie ni ku ziemi,
Wznoś, wznoś je w górę szlakami jasnemi,
Bądź gwiazdą, słońcem nad mych nędz padolem,
Bądź moim Stróżem Aniołem!

Bądź mi miłością, lecz miłością w Bogu,
Bądź wiarą moją, lecz wiarą w zbawienie,
Bądź mi nadzieją, tęczą w niebios progu;
I póki szat mych śmiertelnych nie zmienię,
Bądź mi Ty kwiatem, co ciernie oplata,
Bądź mi harmonią wśród rozstroju świata,
Bądź łzą litości, bądź cudem ofiary,
Tkliwością siostry i matki opieką,
Wszystkiem co wielkie, co święte bez miary,
Byś mogła, gdy się doczesności wieko
Zamknie nademną, wziąć mnie w skrzydła swoje,
I wznieść mą duszę w wieczności podwoje.
Wejdę tam, wejdę, jeśli z Tobą społem,
Bądź więc do końca mym Stróżem Aniołem!

Śmierć ostatniego dziecka i matki.

(Z »Ojca zadżumionych«).

Juliusz Słowacki.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,

Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia płacz było w kołysce słychać...
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającemu słyszał muzeina.
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym nawoływać głosem,
Krzyząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony, Allah!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić ode mnie z daleka.
Zarazę było znać na mym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże, mój Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.

Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Zem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężalem wzrok, serce i ucho
I z przerażeniem rozmyślałem sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie!

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko.
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żaloszny,
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
I tak rozumny! i taki przekłęty!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!
I nie zawiodło przeczucie żaloby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby,
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!

Śmierć mi go czarna wzięła nielitośni.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy!
I już nie wróci nigdy! — o! rozpacz!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać.
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie ata — choć tak nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpacz.
A to już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama —
Ale je matka tam zanosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną...
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa,
W pustym namiocie między mną a żoną?...
Cisza ogromna namiot nasz zaległa,
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Tak doczekaliśmy się dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się b cył i posiwił.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski:

Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści...

.....
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych;
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

Rozmowa Michała.

Stefan Witwicki.

»Cóż, Michale, tam na dworze?«
— »Deszcz, że człowiek wyjść nie może,
Brzydko, panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny, niech pan słucha.
Aż strach, jaka wciąż ulewa.«
— »Więc przyłóż na komin drzewa.«

— »Mam też suche... Niech pan siada....

Oj tak, deszcz okrutny pada.«

— »Daj-no książkę tę ze stołu.«

— »Ta co z wierzchu, czy ta z dołu?« —

— »Tę, którąś rozcinał z rana...

Ta, ta, daj ją.« — »Proszę pana,

Choć raz muszę się zapytać,

Co pan wciąż tak może czytać!

Ja to o tych książkach słyszę —

Proszę pana, co w nich pisze?

Pan musi znać doskonale.« —

— Różne rzeczy, mój Michale.

Historye, różne dzieje,

Przez jakie świat szedł koleje,

Jakie były sławne ludy,

Jakie wiary były wprzód.

Opisują różne kraje,

Wojny, prawa, obyczaje,

Jacy wielcy ludzie byli,

Jacy króle, gdzie rządzili,

Co, dlaczego tak się stało...« —

— »Na co to się, panie, zdało!

Dość kłopotu na tym świecie

Myśleć by człek wyżył przecie,

Bo to teraz zewsząd bieda;

A to na co się to przyda

Jeszcze tam dochodzić głową,

Czy naprzykład to, czy owo,

Te tam dawne wojny, straty,

Jak tam było gdzieś przed laty?

Było panie, to już było,

Tak Bóg chciał, tak się zrobiło.«

— »Popraw ogień.« — »Pan się śmieje,
A to prawda... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy... To tak właśnie
Jak dziecko, co to nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzód.
Praw' mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam, mospanie,
O trzech braciach, o sultanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek...
Jakiż, panie, w tem pożytek?
Dziecko, to tam się i bawi,
Matka głupia, to mu prawi.« —
— »Jak to, stary! Ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładniesz w równi...« — » Nie to, panie,
Cóż tam, moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi,
Pan czyta, to wie najlepiej.
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi,
Jeżeli pan ma wolną chwilę:
Bo to, panie, ksiąg jest tyle,
Że liczba nie zrachowana
Różnej formy, proszę pana.« —
— »W książkach także jest wykrycie,
Jak trzeba prowadzić życie;
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota.
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Praca jest najlepszą tamą...«
— »Proszę pana, toż to samo,

Byle na mszę pójść w niedzielę,
Można słyszeć i w kościele.

A ksiądz, człowiek też nie lada
Różnych nauk dość posiada;

Niejednego, kto zbrodniczy,
Złaje, nawet i wykrzyczy...

Lecz cóż! Panu rzecz ta znana,

Ludzie ludźmi, proszę pana,

Gdy w kościele, to to słyszą,

A z kościoła? to znów grzeszą.«

— »Więc źle robią, mój Michale.«

— »Bardzo źle. Ja też nie chwale.

Powiedz mi pan z łaski swojej,

Jak w tych różnych pismach stoi,

Co też się na przyszłość stanie?«

— »Śmieszne czynisz zapytanie!«

— »Bo to, panie, najciekawsze,

Czy już tak ma być na zawsze,

Jak jest dotąd? Czy się przecie

Raz polepszy co na świecie?«

— »A polepszy, w jakiejś porze.«

— »Kiedyż, panie, to być może?«

— »Wtedy, gdy tak jak należy

Rozum światło swe rozszerzy:

Gdy ciemnota zniknie wszędzie,

Gdy ksiąg jeszcze więcej będzie.

Kiedy nauk skarb otwarty...«

— »Proszę pana, wolne żarty!

Od kiedy-to w takim trudzie,

Od kiedy-to w takim trudzie,

Tych się nauk uczą ludzie!

Od kiedy już księgi piszą,

Co gdzie tylko widzą, słyszą,

W różnym, panie, tam języku,
To już właśnie, że bez liku!
Według tego w każdym kraju
Jużby było dziś jak w raju.
A to, panie, zawsze bieda!
Choć grosz przyjdzie, to się wyda,
Wciąż drożyzna niesłychana...
To nie warto, proszę pana.
Cośby to się ludziom snuło...«
— »No, idź już sobie, gaduło!«

Zebrak.

Antoni Górecki.

Noc była ciemna, zamieć, ślizgawica.
Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany.
Wtem, jakby na złość, gdzie wąska ulica,
Stoi staruszek okryty łachmany,
I żebrze. — »Wstydz się, czyż to żebrać pora?
Któżto jałmużny prosi wśród wieczora?«
— »Panie! po licu mojem spojrz wybladłem,
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.«
— »Ej! daj mi pokój, nic nie mam, nie mogę.«
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: »Oj! znam was, filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyrzuci;
Wziął lichą odzież, aby litość wzbudzić,
I lezie gwałtem, aby co wyłudzić.«

Idzie, znów myśli: »Można w gniewie zbłądzić.
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.
A może biedny? może ma i dzieci?
Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci,

Dam mu co...« Zaszedł, lecz coś szukał długo;
»Nie mam nic drobnych... dam mu razą drugą...
Słabość jest zbytnią unieść się szczodrota,
Nie tak to łatwo nabywa się złoto.«
Idzie, znów myśli: »Choćbym dał dukata,
Niewielka dla mnie byłaby strata!
Wszak mam ich kilka, i bez mej pomocy
Może staruszek ten i umrze w nocy.
Lecz gdzież już wracać? — spóźnię się na wiska...
Ale biednego tego głód przyciska...
Wróć się!« — Wrócił. Ledwie dał trzy kroki,
Umilkło, księżyc błysnął przez obłoki:
Bieży młodzieniec, dziwiąc się tej zmianie;
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.

Dał mu dukata. — »Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie był też litościwy.
Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie...«
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.

Zdziwiony młodzian patrzy dookoła,
Lecz nic nie widać wpośród nocnej ciszy!
»Któż jesteś, starcze?« — przelekły zawoła.
Wtem jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
»Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie;
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie.
Uważać każdy twój krok dobroczynny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny:
Zbiera, co trwonisz, rozrzucasz daremnie;
Pomnij! by więcej nie zebrał ode mnie!«

Legia Tebańska.

Antoni Edward Odyniec.

Zwycięstwo! zwycięstwo! Gall pierzcha w nieładzie,

Przed legią rzymską na polu;

I Cezar Maksymin już w myśli swej kładzie

Na czoło swe laur w Kapitolu.

I niżli sam wpędce, jak tuszy i marzy,

Cześć boską wśród Romy odbierze:

U stopni dla Marsa wzniesionych ołtarzy.

Bić sto głów rozkazał w ofierze.

Lecz cóż to? Falanga, co tryumf odniosła,

Nie łączy się sama do innych;

I stoi jak głazem do ziemi przyrosła,

Zdala od obrzędów dziękczynnych.

Obaczył Maksymin starszyznę przewodnią;

Obwieszcza: starszyzna jak głucha.

Szyk stoi bez ruchu... O! zgrozo, o! zbrodnio,

Legia Cezara nie słucha!

Gniew zawrzał w mocarzu: wtem wódz się jej zbliża

I rzecze: »Chcesz prawdy — o panie!

Tyś wódz nasz i Cezar... lecz Bóg nasz, Bóg krzyża:

My Grecyi syny — Tebanie.

Bóg dał nas w moc twoją, i wolę w tem Jego

Szanujem i znosim na ziemi;

Lecz On nam zakazał czcić Boga cudzego...

W Nim żyjem — i umrzem wolnemi.

— »Ha! śmierć więc wam wszystkim!« I na głos tyrana

Gromadzi się tłuszcza siepacza;

Zawiścią bodzona, wściekłością pijana,

Skazanych na zgubę otacza.

Lecz ostrzem ich włócznie pół pola się jeży,
Jak mury szeregi ich tarczy:
Przed ciosem zbójcekim co zewsząd w nich mierzy,
Czyż sił im na odpór nie starczy?

I tysiąc serc mężnych w szeregach pogańskich
Na hasło ich tylko drżąc czeka,
By stanąć w obronie — nie praw chrześcijańskich,
Lecz swobód i prawa człowieka.

I Wiktor, Rzymianin, na świetnym rydwanie
Przybieżał i woła: — »O! Grecy!
Kto prawy syn Romy, ten za was dziś stanie,
Więc naprzód! wy piersi — my plecy!«

A na to wódz Greków: — »Nie nasza to droga,
Nie siłą ludzkiego oręża,
Lecz czystą ofiarą za prawdę, dla Boga,
Duch Boży przez ludzi zwycięża.«

Wtem zabrzmiał znak straszny i zbójców okrzyki..
I wpadli... Tebanie w tej chwili
Zrobiwszy znak krzyża, rozwarli swe szyki,
I oręż na ziemię rzucili.

I wszyscy: czy który pierś swoją odsłania,
Czy słabszy, co w żalu i skrusze
W modlitwie sił szuka na chwilę skonania:
Wszyscy radzi oddali swe dusze.

I widział Rzymianin i poczuł sam w sobie
Moc prawdy i krzyża zwycięstwo;
Uwierzył i wyznał i dotrwał w tej próbie,
I z Greki podzielił męczeństwo.

Poganie szydzili z słabości swych wrogów,
Maksym się cieszył z ich zgonu;
Ci, widząc w nim pomstę i tryumf swych bogów,
On — pewnośc swej władzy i tronu.

Lecz w niebie Wszechmocny osądził inaczej:
Ta święta pokora ofiary,
Ta krew tylu wiernych pod mieczem siepaczy,
Mak i prób dopełnia snać miary.

I w mało lat potem, krzyż z nieba widomy,
Oświecił pogromcę cesarów:
Konstantyn go zatknął na szczycie śród Romy,
I nad świat wzniosł na ostrzu sztandarów.

P i o r u n.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Antoni Edward Odyniec.

W skromnym zaścianku wiodła szczęśliwa
Rodzina życie ciche i sielskie:
Ubogiej szlachty para sędziwa
I dwie ich córki anielskie. —

I to nie tylko krasa ich lica
Z ust im sąsiadów dała to miano:
Z cnót serca znała je okolica,
— Wzorem je dzieci w niej zwano.

Któżby rodziców śmiał o to winić,
Że, choć im samym dość na swej doli,
Dzieciom by wszakże radzi przyczynić
Szczęścia i świata też gwoli.

Ojciec i matka zdwoili pracę,
Pracę rąk własnych na swym zagonie,
By plon ich córkom starczył na płacę
Nauk w panieńskim zakonie.

I błogosławił Bóg dobrej chęci, —
Aż jak kwiat, słońca pędzony siłą,
— Im w myśli jaśniej, tem w sercu święciej —
Życie się dziewic rozwiło.

I świat je wzywał, pełne nadziei,
Że się ofiarą wzajem i pracą,
Jak Bogu, światło szerząc z kolei,
Tak i rodzicom wypłacą.

I raz ostatni do nizkiej chatki
Wróciły obie, by pokrzepione
Błogosławieństwem ojca i matki,
Iść na trud, każda w swą stronę.

I widzą matkę, — zdętą niemocą —
Za próg się domu ruszyć nie może:
I słyszą, jak się z ojcem kłopotą
O zbyt dojrzałe swe zboże.

»Kto tam je później? tyś biedna chora,
Najmu nie jestem opłacić w stanie,
A niech dzień wietrzny, — toć do wieczora
Słoma nam tylko zostanie.«

Spojrzały na się dziewczeczki obie,
Jedna myśl wzajem z ócz ich błysnęła.
Boże! Ty jeden wiesz, jak w tej dobie
Ta myśl na los ich wpłynęła!

Ledwo jutrzejsze błysło zaranie,
Już obie siostry, z sierpami w dłoni,
Stały u żniwa: a ich śpiewanie
Wesoło brzmiało po błoni.

Wieść się rozniosła na okolicę,
Tłumem się w pomoc skupili żeńcy:
Z czułością matki, z uśmiechem dziewice
Z czcią i zapalem młodzieńcy.

I nim południa nastał spoczynek,
Już naokoło dwóch sióstr z wieńcami,
Cała drużyna z pieśnią dożynek,
Stała przed starców wrotami.

O! zrozumiecie radość w tej chatce,
Zapał współczucia w świadków tych gronie,
Gdy takie dzieci ojcu i matce
Wieńce wkładały na skronie! —

Któż mógł nie życzyć, kto śmiał nie wróżyć
Z błogosławieństwa starców nad niemi,
Że dzieci takie muszą zasłużyć
Najwyższe dobro na ziemi.

I nikt nie baczył, jak z poza domu
Burzliwy obłok wzniósł się, rozszerzył.
Nagle wiatr świsnął, — błysk, łoskot gromu,
Piorun wśród izby uderzył! —

Jak stali, padli: ściany zadrżały.
Lecz bez płomienia przeszedł dym siarki,
Powstali wszyscy, tylko nie wstały
Obiedwie siostry żniwiarki.

U stóp rodziców, w chwili zabłyску,
Snać jedna w drugiej szukać opieki,
Padły w objęcia, i w tym uścisku
Klęcząc, spoczęły na wieki.

Niewiadomo co.

A. E. Odyniec i J. Słowacki.

Sło dwóch w nocy z wielką arwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzeczże jeden do drugiego:

»Czy ty widzisz psa czarnego?«

Czy to pies?

Czy to bies?

Żaden nic nie odpowiedział,

Żaden bowiem nic nie wiedział:

Czy to pies?

Czy to bies?

Lecz obadwa tak się zlekli,

Że w rów weszli i przyklekli;

Czy to pies?

Czy to bies?

Drżą, potnieją, włos się jeży:

A pies bieży, a pies bieży...

Czy to pies?

Czy to bies?

Bieży, bieży, już ich mija,

Podniósł ogon i wywija:

Czy to pies?

Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej.

Oni wstali i patrz i:

Czy to pies?

Czy to bies?

Wtem, o dziwy! w oddaleniu
Na zakręcie znikł im w cieniu:
Czy to pies?
Czy to bies?

Długo stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli:
Czy to pies?
Czy to bies?

Smierć Jenerała Sowińskiego.

Konstanty Gąszyński.

Gdy trzechset dział gromy grzmiące
Dały hasło na bój krwawy,
A moskiewskich rot tysiące
Biegły na szanice Warszawy;

Garstka naszych, za wałami,
Przy Wolskim skryta kościele,
Witając wrogów strzałami,
Z ich trupów wał drugi ściele.

Wódz o szczudle im przywodzi —
Włos jego kryje siwizna;
Lecz młodzieńczą siłę rodzi
Honor, wolność i ojczyzna!

To Sowiński — krwią okryty
Próżno wygląda pomocy,
Szaniec przez wrogów zdobyty;
Męstwo uległo przemocy!

Na kilku żołnierzy czele,
Co z nim przysięgli umierać,
Szablą drogę sobie ściele,
Tysiącom chce się opierać.

W święcone mury kościoła
Cofa się wódz ze swoimi,
I na szczupły hufiec woła:
»Gińmy, lecz gińmy wolnymi.« —

I zdumieni niewolnicy
»Zdaj się, mówią, nie walcz z nami.«
A on im z okien świątnicy
Odpowiada — wystrzałami.

Biegną tłumy rozsrózone,
Nowa wściekłość je zagrzała —
Już drzwi kościoła skruszone,
Ale walka nie ustała.

Bronią się rycerze śmieli,
Lecz co chwila ich nie staje;
Wreszcie wszyscy wyginęli
I Sowiński sam zostaje.

Sam został, lecz nieugięty
Przed przemocą się nie zniża —
Poszanowaniem przejęty
Dowódca wrogów się zbliża:

»Krzycz pardon!« zdala go wzywa,
»Szaleństwem jest śmiałość taka.«
Sowiński pierś mu przeszywa,
»Oto jest pardon Polaka! —«

Te były słowa ostatnie
Zsiwiałego bohatera,
Zginał za swobody bratnie:
Tak syn wolności umiera!

Już nie żył — a dzikie wrogi
W milczeniu wstrzymali kroki,
Okiem szacunku i trwogi
Patrzac na rycerza zwłoki! —

Takich Polska miała synów,
Takich wodzów sprawa święta!
I w nagrodę takich czynów
Dziś znów hydne dźwiga pęta!

Obraz cudowny.

Wincenty Pol

Pośród tatarskiej bitwy znaleziony,
Dziwnym trafunkiem przed dawnemi laty,
Stał obraz święty w framudze złoconej,
W rogu sypialnej komnaty.

Stary pan miecznik dostał go w spuściźnie,
Po swoich przodkach pogłowia męskiego —
A tak go cenił, że już po ojczyźnie
Nadeń nic nie miał świętszego.

Ale nie dziwno — ile bowiem razy
Dom lub ojczyznę klęska dojąc miała,
Twarz Matki Boskiej, twarz Panny bez skazy,
Cudowne znaki wydała.

Pobladła Ona, kiedy w Targowicy
— Panie im odpuść! — zdradę uknowali,
I na łup obszar rozległej ziemicy,
A lud na mękę wydali.

Pobladła Ona, gdy na polską ziemię
Trzech nieprzyjaciół nastąpiło srodze —
Kiedy przez Pragę, kosząc polskie plemię,
Wróg tam po krwawej szedł drodze.

Lecz od lat wielu nic już nie słyszano
W domu miecznika o podobnym cudzie;
Aż wczoraj w nocy — mówią dworscy ludzie —
Nowy cud jakiś ujrzano:

Obraz rozgorzał ogniem błyskawicy,
Ze ściany szabla turecka zleciała,
Posada dworca starego zadrżała
I lampa zgasła w świetlicy.

A koń zatętnił świstem wśród wawozu —
Z listem pospieszał goniec od obozu,
I odgadnęli dworscy, co się święci,
Bo list miał czarne pieczęci...

Drżącą go ręką pan miecznik rozwinał,
Pobladł — przez rany Zbawiciela Pana!
Słuchajcie! — Kicki i Kamiński zginął!
Pod Ostrołęką przegrana...

Pol ska.

(Z »Pieśni o ziemi naszej«)

Wincenty Pol.

Od gór aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z serca, z męstwa, z gościnności,
Wielka wiarą i kochaniem
I przy wierze wiernem staniem;
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta krwi tej poświęceniem,
W której siedli duchem prości.

Bóg, choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodłą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba.
Jako ojciec Staszic prawi:
»Dał mu chleba i stał twardą,
Złota, srebra jedno w miarę!«
Serce czułe, duszę hardą,
Miękką wolę, silną wiarę,
Kraj otwarty, miłość kraju,
Ciężką pracę, ramię silne;
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomylne.

To też ludzie tam najszczerzi!
Tam to polski świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.
Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka, tylko śpiewki!
Stare baby wygadane;
A wesołe i rumiane
U matusi rosna dziewczki.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kował pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią,
I na »Anioł Pański« dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem...

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały...

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już zmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nie obłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sędzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz naga,
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —

I co pocznie za gromadą,
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na dożynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!

A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi
I pochwalić, co się godzi;
Nie zła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzkie rodzi.

Pożegnanie.

Wincenty Pol.

Panna młoda, jak jagoda,
Stojąc we drzwiach płacze:

„Kiedyż ja cię
„W naszej chacie
„Tu znowu obaczę?”

Przed dziewczyną, przed maliną,
Stoi chłopak zbrojny,
A koń wrony
Kulbaczony
Rwie się niespokojny.

Ciężka droga, bo na wroga —
Nie rwij się koniku!
W krwawem polu,
W srogim bólu
Legnie was bez liku.

„Idź gdy trzeba! Niech cię nieba,
„Niech cię Bóg prowadzi!
„Lecz ten krzyżyk
„I szkaplerzyk
„W boju nie zawadzi.

»Za wygraną zmów co rano:
»Trzy Zdrowaś i Wierzę;
»Kto pobożny
»I ostrożny
»Tego i Bóg strzeże.«

Rzekła — płacze. — Wrona kracze,
A to wrzask złowrogi.
Nie pomoże:
Święty Boże!
Kraj nad wszystko drogi.

Przyjął krzyżyk i szkaplerzyk,
Westchnął — dosiadł konia —
Skinął głową:

»Bądź mi zdrowa!«

I ruszył wzdłuż błonia.

Ale prędzej z szarej przędzy

Srebrna nie wypłynie,

Niż we swaty

Do jej chaty

Staś kiedy zawinie.

Przypowieści pana Weldysza.

Wincenty Pol.

Burka — to okrycie!

Lisy — to poszycie!

Dukat — to mi kwitek!

Miodek — to napitek!

Bigos — to potrawa!

Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą,

Kiedy z miną — to już djabłą,

Kiedy strojnie — to we złocie,

Gdy pracować — to już w pocie,

Bankietować — to już szumnie,

Sejmikować — to już tłumnie!

Gdy kto w biedzie — to zaradzić,

Gdy dać słowo — to nie zdradzić,

Stroić żarty — to niewinnie,

Przyjąć kogo — to gościnnie.

Kiedy gardzić — to podłością,

Kiedy mówić — to z szczerością.

Gdy kto oszust — to go łaj,

Gdy poczciwy — rękę daj!

Gdy się bratać — to z równymi,
Gdy mieć litość — nad biednymi,
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swej wierze,
Kiedy cierpieć — to wytrwale,
Kiedy kochać — to już stale.

Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka,
Sąsiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzać — to już hojnie,
Gdy docierać — to z obcesem,
Kiedy niszczyć — to z kretesem!

Gdy wyśmiewać — to już mody,
Gdy miłować — to swobody,
Kiedy hulać — to z drugimi,
Kiedy umrzeć — to w swej ziemi.

Do młodzieży.

Wincenty Pol.

Z małycho cząstek życie się składa —
Z chwilek na pozór bez ceny;
Lecz komu cząstka marnie przepada,
Życie rozplywa się w treny.
Więc zbieraj, bracie, te drobne karty,
Którymi żywot Bóg pisze;
Na świat i niebo miej wzrok otwarty,
Ukochaj pracę i ciszę!
Jeżeli zszyjesz karty żywota,
To księgą żywot się stanie —
I będzie miłość, pożytek, cnota
Bogu i ludziom na danie.

Zeszyj ją, bracie, oprav ją szczerwie,
Poddaj pod zakon ją Boży —
A pójdiesz prosto po ziemi, dzielnie,
I księga Bogu się złoży!...

Dobre rady.

Wincenty Pol.

Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę — jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.

Ucz się słuchać — abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie!
Ucz się pracy — byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.

Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliznie.

Nie nie pocznij bez rozwagi;
Boga wzywaj do pomocy,
To nie zbraknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.

Krówka Jaremy.

Ks. Ignacy Hołowiński.

Wieczór się przybrał w szkarłatu rumieniec,
Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
A był wesoły, wzięła go swawola
Popędzać krówkę wracającą z pola;
I tak się długo z biedną krówką bawił,
Zagnał do lasu i tam ją zostawił.
Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
Widzi, że płacze na drodze niewiasta;
Tknięty litością pyta o przyczynę. —
Ach, zwierz mi, rzekła, zjadł krówkę jedyne,
Gdy się zbłąkała w lesie nocną porą.
I mnie i dzieci żywiła pięcioro,
A teraz głodem biedna z dziećmi zginę. —
— Jakieżże maści była twoja krowa?
— Z łysiną białą sama całkiem płowa.
Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwalił,
Zamilkł westchnąwszy i opuścił wdowę.
Przeszedł czas długi, z czasem troska mija
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiej puszczy zbłąkał się Jarema:
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał człeka i gospody niema,
A las i niebo ma tylko przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.

Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiej twarzy,
Ponachylanych wokoło ogniska,
Na którym w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,
Przeto zmęczony i głodem i drogą,
Przystąpił do nich w pokornej postawie,
Prosząc, by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli; on usiadł na ziemi,
I zaproszony wziął udział w ich strawie,
A potem z trudu usnął na murawie.
Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchłą swą drużynę nocną,
A siebie wpośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno,
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawluka Watażki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony.
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;
Tylko Jarema był przyprowadzony.
Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
Bo podejrzenie potępia go z góry:
Bito, męczono, brano na tortury,
Jego niewinność uporem ochrzczona.
Tak mu upłynął rok cały w niewoli:
Wielkie ponosił nędze i katusze.
— Boże! mój Boże! wołał w swej niedoli,
Za cóż niewinnie ja tak cierpieć muszę? —

Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
I łagodnymi tak przemówił słowy:

— Za co obwiniasz o niesłuszność nieba?

Czy zapomniałeś krówkę biednej wdowy?

Wiedz, że łyzy cudze krwią odkupić trzeba;

Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.

Jużes dość cierpiał za krzywdę zdziałaną,

Wrócisz swobodny do dzieci i żony. —

Jakoż w tym czasie zbójców pochwymano,

Za ich zeznaniem został uwolniony.

I my, w nieszczęściach choć bez naszej winy,

Nim się uskarżać na Boga poczniemy,

Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,

A znajdziem pewno tam krówkę Jaremy.

Święty Jacek.

Ks. Karol Antoniewicz.

Koło Krakowa, w rozkosznej dolinie,

Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,

Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła.

Sady i niwy wieńczą ją dokoła,

Na których Mazur, kmiotek pracowity,

Owoc swej pracy zbiera, snop obfity.

Tam ludek żyje wesoły, zamożny,

Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.

Było to właśnie pod wieczór soboty:

Dojrzewał w polu kłos pszeniczki złoty,

A jęczmień, ostrym wąsem najeżony,

Na sierp czekając, pokrywał zagony.

Już gospodarze sprzątają stodoły,

Parobcy jarzma gotują na woły.

Dziewczęta hoże przy głośniej gawędzie
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie;
A w chatce, stojąc przy dymnym kominie,
Prostą wieczerzę warzą gospodynie.
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.

Lecz o, jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła:
O wiosko, dzisiaj szczęśliwa, wesola,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w tej życia pielgrzymce skazany.
Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom; niebo i ziemia zadrżała,
A grad rozdartą chmurą wysypała.
I leci z szumem, trzaskiem i hałasem
I ścina kłosa, ach! ścina przed czasem.
Zabłyśnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje.

Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.
Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta:
»Gdzież ma pszeniczka?« — »Ach, tutaj... wybita,
Bo ją moc Boska przed czasem złamała.
I sierpów naszych już czekać nie chciała.«

A gdy tak wszyscy już wkoło dumają
I łzami kłosa złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiiałym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
»Słuchajcie tylko, słuchajcie, gromada!
Tutaj już żadna nie pomoże rada;

Lecz Bóg w tej ciężkiej pocieszy nas biedzie —

Oto ksiądz Jacek wręci tu do nas idzie!«

— »Ksiądz Jacek!« wszyscy radośnie krzyknęli.

Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

»Czegoż tak smutni, pobożni wieśniacy?«

— »Ach, księżu, patrzaj, owoc naszej pracy

Oto tu leży — potłuczone zboże.

Już nikt nam więcej dopomódz nie może.

Ach, cóżto teraz dźać się będzie z nami

I co z biednemi poczniemy działkami!«

— »Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,

Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;

A gdy was ciężka dziś trapi niedola,

Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!«

I rzekł i westchnął, na kolana pada,

A z nim przyklęła i cała gromada:

„Wszechmocny Boże, wiekuisty Panie!

Daj, niech to zboże stłuczone powstanie!

Jakoś zasmucił, pociesz lud Twój wierny,

Pokaż, o Boże, żeś jest miłosierny.“

Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.

Wtem wójt z przestrachem: „Cud!“ krzyknął; wokół:

»Cudo!« — powtarza gromada zdumiała,

Jakiego jeszcze ziemia nie widziała!

Wszakże w radości nie myli nas oko?

Ach, nie, nie! Kłosa wznoszą się wysoko

I każdy kłosek ze źdźbłem swem spojony,

Piękniej niż pierwej pozłocił zagony.

Ach! księżu Jacku, wszakto prośby wasze

Gradem złamane wzniosły kłosa nasze!«

— „Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwała!
To, co widzicie, moc Jego zdziałała.“
I to wyrzekłszy, lud pobłogosławił
I do Krakowa Wisłą się przeprawił.

Opryszki.

Lucyan Siemieński.

Na rynku w Krakowie
Wesoła muzyka;
Prowadzą katowie
Herszta rozbójnika.

Na rynku w Krakowie
Ze stryczkiem kat czeka:
— Pij, kumie — na zdrowie!
Bo droga daleka. —

— Nie będę pił wina,
Choć w złotej dasz szklance;
Wysoka drabina
Zagram na multance. —

I wysłał z niej głosy
Po niwach, po wodach;
Otrząsnął lzy rosy
Na kwiatach, jagodach.

— Już szczeblów połowę,
Zadzwonię w multankę;
Nim katu dam głowę,
Pozdrowię kochankę. —

I zadał jak z rogu
Na sioła, na bory;
Na każdym grał progu
Z drzew zrywał bisiory.

— Drabina się kończy,
Niech zagram raz jeszcze:
Kto złączył, rozłączy —
Z światem się popieszcze. —

I zagrzmiął głos gruby
Jak organ grzmi farny,
Aż zrywał chmur czuby,
Aż nastał dzień czarny. —

— Gdzie stryczek? kat woła,
— Gdzie szyja? wzdy ciemno! —
Oj, strach był dokoła,
Kat wołał daremno.

Bo z borów, siół, szlaków,
Głos wrócił, a z głosem
Stu wpadło junaków
Z watażką i krzosem.

— Gdzie wódz nasz? — grzmi rzesza;
Straż broni zdobyczy —
Kat, herszta co wiesza,
Sam został na smyczy.

Przedmieścia zgorzały,
Struchleli mieszczanie;
A Tatry zagrzmiały:
Górą Podhalanie!

Powitanie.

Jan. Nep. Jaśkowski.

Był dzień niedzielny, o jesiennej porze;
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptactwo kwili w borze,
I kwiat w przedsenne otoczył się wonie.

Niewinnem szczęściem grzmi poblizkie sioło,
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie;
Młodzież wśród płasów wykrzyka wesoło,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.

Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski:
Bo praca darzy niebiańską pociechą
Serca pocziwe. W pośrodku tej wioski
Stał dom drewniany, pod słomianą strzechą.

I był jak inne poziomej prostoty;
Tylko dostatek większy go otacza,
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty,
I porządniejszy cały sprzęt oracza.

W chacie zaś ściany śnieżno ubielone
Zajęli Święci w jaskrawej odzieży;
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnej krząta się wieczerzy.

A wśród podwórka na miękkiej murawie
Dziecię starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem na dębowej ławie
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.

Czegoż on smutny?... Wszak w jego stodole
Plenny dar Boży, sad purpurą płoni,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczółka złotkiem dzwoni.

Czego on smutny?... on który w wesele,
W radę i mężne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele;
Czy miał przecucie?... Musiał mieć przecucie.

Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,
I skomląc ścieżką pobieżał na pole,
Zadrzał, jakoby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciążył mu na czole.

I słucha, jako donośne szczekanie
Nagle w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal czy powitanie.
A wtem dziewczeczka zadyszona wpada

I woła: »tato... o! tato... tam... w bramie...
O! tam... Bryś wita... o! lecę do mamy...
Jaś wrócił z wojny... o! ja powiem mamie...«
A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian prześlicznej urody,
Płaszcz nad wzniosłemi otulił ramiony;
Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znudzony.

I stoją oba — lecz stoją w milczeniu:
Synowi łzami żrenica zabiega,
A ojciec zda się szukać w tem spojrzeniu,
Co w nim ma witać, zwycięzcę czy — zbiega.

I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi, matczynemi słowy
Brzmi dookoła: »gdzie mój Jaś kochany?...
Gdzie on jest... gdzie on!... czy mi wraca zdrowy?

Czy już nie pójdzie?... a gdzież on jest przecie?...
Już mi go wszyscy witali, o Boże!
Ach!... jaki blady, co ci jest me dziecię?
Czyś ty chorował?... czyś ty chory może?

Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany?
Gdybyś ty wiedział... o! dzisiaj nic o mnie...
Wszak już zostaniesz... prawda, mój kochany?...
O! jam szczęśliwa!... pójdź do mnie, pójdź do mnie!«

I już go ściska, już tuli do łona.
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.

A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie, grobowe milczenie.

A u ramiona, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka!

Dziad i Baba.

Józef Ignacy Kraszewski.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje;
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Tak starą jak oni:
Jedno miała okienko,
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie, jak w niebie;
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiła
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

— »Razem, to być nie może!
Ktoś choć chwilę wprzód skona.«

— »Byle nie ty, nieboże!«

— »Byle tylko nie ona!«

— »Wprzód umrę, woła baba,
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba;
Zapłaczesz na pogrzebie.«

— »Ja wprzód, moja miła!
Ja kaszlę bez ustanku,
I zimna mnie mogiła
Przykryje lada ranku.«

— »Mnie wprzód — mnie, kochanie!«
— »Mnie mówię! — Dośćże tego! —
Dla ciebie płacz zostanie.« —
»A tobie nie? Dlaczego?«

I tak dalej i dalej,
Jak się zaczęli kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi — puk! powoli...
— »Kto tam?« — »Otwórzcie, proszę!
Posłuszna waszej woli,
Śmierć jestem, skon przynoszę.«

— »Idź babo drzwi otworzyć!«
— »Ot to idź sam! jam słaba,
Ja się pójdę położyć,«
Odpowiedziała baba.

— »Fi! śmierć na ślocie stoi,
I czeka tam nieboga!
»Idź, otwórz z łaski swojej!«
— »Ty otwórz, moja droga!«

Baba za piecem z cicha
Kryjówki sobie szuka
Dziad pod ławę się wpycha,
A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tak stała;
Lecz znudzona nareszcie,
Kominem wleźć musiała.

Pielgrzymi.

Edmund Wasilewski.

Szli sobie pielgrzymi przez świata manowce,
Przez Polskę nieszczęsną i biedną;
Mówili: »to cmentarz!« O, prawda, wędrowce,
Bo cmentarz a Polska to jedno.

»To Polska? jak ona dokoła szczytniała,
Czy kraj wasz rdzy wieków pokryły?«
Nie bluźnij! o, gdybyś kropelkę choć małą
Rdzy takiej mógł wsaczyć w twe żyły!

A pewno, pielgrzymie, ugiąłbyś kolana
Na zgliszczu narodu olbrzymim,
A szczątka kamienia w podróże zabrana
Byłaby szkaplerzem pielgrzymim!

»A tamto, czy perła z korony Kaźmierzy
Wśród ostu i chwastu połyska?«
O! nie, nie, pielgrzymie, nie perła to leży,
To łza jest, co Polka wyciska.

Lecz droższa nad perły, bo takiej nie złowi
W perłowych Gangesu głębinach;
O, łza ta nie spadła z korony królowi,
Ta łza jest po mężach i synach!

»Po mężach i synach tu jeszcze dziś płaczą?
I na cóż tak długiej żałoby?
Tym, którzy za kraj swój walczyli z rozpaczą,
Laur — nie łązy niewieście na groby!...«

O! milsza niekiedy jest łezka szlachetna,
Co na grób z powieki wytryska;
Bo lauru gałązka częstokroć bezdzietna,
Za łezką się zemsta przeciska.

»Płacz, młoda dziewico, łzy darmo nie płyną!«
Bywajcie mi zdrowi, wędrowcze!
I płacze dziewica. Za swoją drożyną
Pielgrzymi szli w świata manowce!

Chrystus z nami.

Antoni Czajkowski.

Łódź gibka na modrem jeziorze usiadła
I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła;
Płynęli spokojnie, wietrzykiem owiani,
Aż fala zahuczy, wełnami bałwani;
To wody się nagle podniosą, to zwina
I z łodzią igrają, jak z wątlą łupiną.

Więc ucznie się zlekli i w okropnej chwili
Uśpionego Mistrza z przestrachem budzili.
— Ach, ratuj nas, Rabbi! — wołali ze łzami.
A Chrystus: — O słabi! wszakże jestem z wami. —
I kazał się burzy uciszyć. — Opadła
I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła.

O duszo chrześcijańska! Gdy burza szalona
Roztoczy nad tobą huczące ramiona,
Ty rozpacz odepchnij świętymi piersiami
I spojrzuj spokojnie, bo — Chrystus jest z nami.

Fantazya.

(Urywek.)

Narcyza Zmichowska.

...Ludzie, słuchajcie pieśni! Ludzie, bracia moi!
Czy który z was wysoko włada i panuje,
Czy nisko pochylony wśród trudów i znoi,
Czy schodzi z tego świata, czy na świat wstępuje,

Czy złotem z matką ziemią skuty, czy żelazem,
Kocha czy nienawidzi, złe czy dobre działa, —
Wy wszyscy, bracia moi — moja wszystkich razem
Jedną, wielką miłością dusza ukochała.

Bracia, słuchajcie pieśni! Pieśń to anioł Boga!
Pieśń, to nauka wieków — przyszłości przestroga —
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,
Jasny promień nad głową prawdy apostoła!

Bracia, słuchajcie pieśni! Jak anioł odleci,
Zginą wieków pamiątki — przyszłość zaciemnieje —
Głos zwiastuna o twarde serca skamienie —
A jasny promień zgaśnie. Kto z was go roznieci?
Gdy wszystko będzie zimne i martwe i głuche,
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,
Jeśli pieśń wieszczów zamilknie? O ziemscy miesz-
kańce!

Póki Bóg jeszcze pieśnią do was się odzywa,
Póki w duszę wybranych hymn natchnienia wlewa,
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce,
Słuchajcie jego głosu! Ludzie, bracia moi!
W pokorze przed nim wasze nachylajcie czoła,
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi;
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś piorunem zawoła.

Ludzie, słuchajcie pieśni! Ja słowo pociechy,
Ja, bracia, niosę słowo przyszłego zbawienia,
Ono wasze i dawne ojców waszych grzechy
Zmyje wodą zapomnienia!

Ludzie, słuchajcie słowa! W niem świat, przyszłość cała,
W niem Bóg! słuchajcie ludzie, w niem szczęście i siła,
W niem się najpierwej ziemia nasza odezwała,
Wieżność dobrego zrodziła.

Ludzie, słuchajcie słowa! Jego to zgłoskami
Świat ku doskonałości toczy swoje kręgi,
I o nieskończoności pisze niebios księgi —
I Stwórcą łączy się z nami.

Ludzie, słuchajcie słowa! Miłość, miłość wieczna,
Nieokreślona czasem, w istnieniu konieczna;
Niechaj pochwalną pieśnią brzmi w nieskończoności.
Bóg słowo, Słowo miłości!.

O ludzie, ja was kocham; ja tak ukochałem,
Że gdyby mi na barki ciężki krzyż przykuli,
I biczem katowali i na twarz mi pluli,
I na skronie cierniową włożyli koronę —
I żółcią napawali me usta spragnione,
Ludzie! jabym nie płakał — a wtenczas płakałem.
Kiedym patrzył na lud wasz niedolą znękany,
Na ducha obłąkanie i serc ciężkie rany;
I gdym pierwszy raz wołał, a wyście nie przyszli,
Słuchać pieśni o Bogu, świętej uczuć myśli.

Ludzie, ludzie! gdzie wy dążycie,
Przez łzy i zbrodnie?
Stójcie chwilowi przechodnie,
Oh! stójcie, bo zgasicie,
W kałuży krwi i błota
Promienną iskrę żywota.

Ludzie, nie idźcie, gdzie bogacze świata
Purpurą, złotem, zbytkami,
 Uragają nędzy brata,
Żywiąc się jego ciałem, pojąc jego łzami!

Ludzie nie idźcie, gdzie głosem szyderca,
Duch piekieł kłamie Bogu i bluźni nauką,
 Żeby stokroć przeklętą sztuką
Resztki nadziei wyszarpać wam z serca,
I ciężej niżli ciała w żelazne łańcuchy,
W przewrotne fałsze okuć wasze duchy.

Oh! nie idźcie tam, ludzie! Ludzie, bracia moi
Do mnie, do mnie! ja wszystkich przytulę,
 Moja pieśń ukoj

Wszystkie troski, wszystkie bóle —
Moje ramię obejmie jednym uściśnieniem
Wszystkie ludy — o bracia! pójdę mojem pieniem
 Budzić uśpione w obojętnej nocy,
 Z południa ku północy,
 Z zachodu ku wschodowi,
 Głos mój wypowie —
 Pieśń moja wyśpiewa
Rozkaz Boga cel ludzkości,
Słowa braterskiej miłości,
I ziemia będzie szczęśliwa!«

Lirnik litewski.

Karol Brzozowski.

Śród drogi
Śmiertelne dwa wrogi
W drzemiącym się boru spotkali:
Skoczyli
Z rumaków, zrzucili
I pancierz, i szyszak ze stali;
Natarli na siebie, jak wściekłe dwa lwy —
I sieką mieczami, aż sypią się skry.

I była
Zaciekłość i siła,
I zręczność jednaka ich w boju;
Zbroczona
Krwia pierś ich zdyszona
I czoło krwi pełne i znoju;
I pół dnia szczęk mieczów rozlega się w borze —
A jeden drugiego przełamać nie może.

I drogą,
Odziany ubogo,
Szedł lirnik i w struny uderzy;
I dziką
Zawtórzy muzyką
Strasznemu bojowi rycerzy;
Z pod ręki mu tonów wytryska kaskada,
A w takt jej burzliwy za ciosem cios spada.

Jak w burzy,
Gdy słońce wynurzy
Z chmur kłębow twarz jasną, wspaniałą —
Z niw, z łąki
Wzlatują skowronki,
Hymn niebios rozlega się chwałą;

Mistrz-lirnik tak burzę akordów uśmierzył,
I z liry wspaniały hymn męski uderzył.

I toczy
Z powagą uroczej
Cudownej harmonii strumienie:
I wpływa
Do duszy, porywa
Za sobą i myśli, i tchnienie:
Dwaj wrogowie nie czują, jak sama ich ręka
Poważnie w takt hymnu i bije i szczeka.

Wtem jękiem,
Okropnym rozdźwiękiem
Czarodziej hymn święty zamaca;
Do głębi
Rozdziera i ziębi,
I na dno przepaści aż strąca:
To, zda się, z piekielnych otchłani wykrzyka
Rozpaczą, boleścią zgryzota grzesznika.

I chwiała
Się miecze w struchlałej
Szermierzy zaciekłych prawicy;
A dźwięki
Z pod starca znów ręki
Tryskają jak z żywej krynicy,
I płyną, i szumią, — to zda się anieli
Cudowny miłości chór z nieba zapieli.

Jak lody
W słonecznej pogody
Topnieją gorącym promieniu,
Tak kona,

Topnieje szalona
Zaciekłość i zemsta w tem pieniu:
I wrogie dwa miecze, iskrami przed chwilą
Sypiące, — bezładnie ku ziemi się chylą.

Przez lica
Łez długa krynica
Śmiertelnym się wrogom stoczyła;
Spojrzeli
Na starca, zdumieli;
Tak pieśni owładła ich siła,
Że miecze skruszyli — i wzajem na piersi
Upadli w uściski jak druchy najszczerzy.

— »Gęślarzu!
Ty cudów mocarzu,
Przez jakich zesłanyś ty bogów?
Weź konie
I złoto i bronie,
Żeś w braci przemienił nas — wrogów.
O, starcze lirniku! za pieśń twą to mało!
Co tylko zapragniesz, dziedzinę bierz całą!«

— »Słuchajcie!
Zapłatę schowajcie,
Mnie dosyć uścisku jest ręki;
Pan słońca
I światów bez końca
Darował mi z nieba te dźwięki.
Zapłaty nie biore, bo stokroć przekłety,
Kto Bogiem frymarezy, sprzedaje dar święty!
Ot z ziemi,
Rękami waszemi

Miecz jeden podniosę skruszony;
Anioła —
Gdy głos mnie powoła,
Przed Boskie bym stawił się trony —
Pan spyta, jak darów użyłem śpiewaka?
Miecz złaman pokażę i szatę żebraka!«

Niewidomy przewodnik.

(Z »Bitwy racławickiej«.)

Teofil Lenartowicz.

Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze;
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje,
Kraj jak malowany,
Idą nasi, w trąbki grają,
Biją w tarabany.
Opłotkami, szeregami,
Konnica, piechota,
Małe dzieci zadziwione
Patrzały z za płota;
Powłaziły na gałęzie,
W te zielone gąszcze,
I na wierzbach, na topolach
Siedziały jak chrząszcze.
Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi:
Lecz Kościuszki nie poznali,
Bo był jak i drugi.
A ci ludzie, co poznali,
To mówili sobie:

Że też taka wielka dusza
W tak małej osobie.

Kołem, kołem, ponad siołem
Kraży sokół siwy;
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.
Wyciągnięty, jak rozpięty,
To skrzydłami wzruszy...
Popatrzał się nasz Kościuszko,
Niema żywej duszy.
— »Chociaż niema żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi;
Trza mi człeka nie z daleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził a nie zdradził
Ten naród krakowski.« —

Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt, gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten, choć oczy dawno stradał
W okrutnym pożarze,
Gdzie co leży, jak należy,
Dokładnie pokaże.
Krzywym węzem się podpiera,
Ręką na wiatr maca,
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.

— »Już ja dawno słyszał o tem,
Rzekł, ścignawszy ręką,
Żeście, ojcze, pokarali
Moskwę pod Dubienką.
A pierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaju,
Żeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju;
Że wam pereł urykańskich
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczonego
Węborek w kolano.
I że za te perły drogie,
W morzu wyzbierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochaną.«

A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:

— »Serdeczny ojczuł,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bólu«...
— »Prawdać, prawda, Naczelniku,
Na mój rozum kmiecy,
Kto chce na chleb zapracować,
Musi zgarbić plecy.
Niechżeć tedy Bóg pomaga
I Matka Gidelska,
W polskiej roli wyorana
Królowa Anielska.
Niechżeć tedy«... — I przycichnął
Starzec siwowłósy,
Wbił kolana w grzązką ziemię,

Ręce wzniosł w niebiosy;
I na oczy pociemniałe,
Co nie widzą słońca,
Na te smutne oczy białe,
Wyszła łza gorąca...
I przygarniał poźółkłemi
Dłońmi wietrzyk polny
I brzęk szabli narodowej
I głos pieśni wolnej...
Madaliński i Kościuszko,
Piechota, hułani,
Stali na wpół rozrzewnieni,
Na wpół zadumani.

— »Dziadku, dziadku, wstańcie z ziemi!«
Lecz starzec nie wstaje,
Tylko ręką na powietrze
Nieme znaki daje.
— »Idźcie, idźcie prostą drogą,
Idzie z wami taki,
Co po borach, po bajorach
Prowadzi Polaki.
Niby idzie nie idący,
Ziemi nie dotyka...
A mnie dajcie ucałować
Ręce Naczelnika«...

Więc na rozkaz Naczelnika
Z wschodu do zachodu,
Przed starym się pokłoniły
Chorągwie narodu.

A gdy krasne te jedwabie
Wietrzyk zakoleba,
Prawili se gospodarze:
— »Widzisz, to tak trzeba!
Wracaj dziadku do pacierza,
Gołābeczku siwy,
Zalatuje wiosna świeża
Ode kmiecej niwy.« —

Więc dziaduszek, jakby przejrzał
Jakby Boskim cudem,
Zwrócił się za Naczelnikiem,
Za krakowskim ludem...
»Idźcie, idźcie polskie dzieci,
Ty poczciwy ludku,
A gdy dobra wieść doleci,
Zamrę pocichutku.
Bom do biedy przyuczony,
A nie do radości...
Gdzieś dalekie słychać dzwony,
Drżą we starym kości«...
I odwiedli na bok dziada,
Dziatwa na koń siada;
Mgła w dolinach się rozrzedza,
Opada, opada.
A z pode mgły rozpędzonej,
Jakby skrzydłem ptaszem,
Kraj szeroko się wynurza
Siwem polem naszym:
Krzemienisty, kamienisty,
Pełen traw i wzgórzy;

Przecinany, poszarpany,
 Jak po wielkiej burzy.
A gdzieniegdzie w ciszy złotej,
 Której nic nie budzi,
Stoją brzozy jak sieroty
 Po odejściu ludzi.
Mgła opada po nizinach,
 Leci za kraj świata.
Anioł Boży z dolin, wzgórz,
 Siwe mgły rozmiata.

N o c.

Teofil Lenartowicz.

Noc księżycowa perlami rosi, —
Mgła lazuruwa z wód się podnosi,
Srebrzy się pole, śpią chaty w dole, —
Gwiazdy migocą, w wodzie się złocą.
Tam brzoza biała włosy rozwiała,
Tu olchy błotne rosna wilgotne,
Tam bębnią baki z zielonej łąki.
Noc wonna cicha, w liściach wiatr wzdycha,
Cisza wokoło! Tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne świecą okienka,
Jakby z za świata do mnie dolata.

Tam prządki ciągną pod strzechą starą
Ze lnu konopi długą nić szarą,
A z serca ciągną nici srebrzyste:
Długie powieści, pieśni ojczyste.
Jak to Pan Jezus w ludzkiej postaci
Schodzi do chatek do biednej braci,

I między dzieci trzódkę maleńką,
Rozdziela dary najświętszą ręką.

Tak marzy wioska w świeżej dolinie,
A Matka Boska tam górą płynie
Nad schylonymi dwory i chaty,
Wiodąc aniołów orszak skrzydlaty,
Z niebios wysokich zniża się w locie
I błogosławi cichej prostocie.
Duch prosty słyszy ten głos w przestrzeni:
„Ubodzy, cisi — błogosławieni!«

Maraton.

(Urywek.)

Kornel Ujejski.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy:
Medy z Egiptem, Persy z Indyanami,
A Artafernes i Datys wodzami.
Aż wiatr się zrywa od wiania buńczuków,
I gwar powstaje od pochrzestu łuków;
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby nimi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: — Do Aten! do Aten!

.

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuściły bogi
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepczą: — Nieprzyjaciół siła!
Nacóż się przyda ofiara i męstwo?
A drudzy krzyczą: — Śmierć albo zwycięstwo!
Śród nich Milejades, jak zesłannik bogów,
Jak owa Pytja z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słuca.

— Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróż okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza,
Pan niedaleko, — niech do niego pełza!
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech, jak pies głodny, czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potęra.

A my zostaniemy! My w nieszczęściu razem,
Albo wytepim wrogów tem żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą!
Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
Lub bladeść trupia — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną,
I tą przemocą, co się zda niezłomną?
Cóż jednak znaczy taka óma motłochu,
Wylęła z prochu, czołgająca w prochu,
Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem!

Jakąż nad nami może mieć przewagę
Zgięty niewolnik, którego odwagę
Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
A którą prawo nie włada, lecz pycha!

A nas, — nas wielkich praojców posagi
Do świetnych czynów wzywają jak ongi.
Długim szeregiem otoczyły rynek,
Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
Aby nas gromić marmurową twarzą,
Jeżeli wrogi ziemię ich znieważa.

A nas, — nas wszystko do boju porywa:
Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
To jasne niebo, co niesie w obłoku
Cienie poległych, widne duszy oku,
I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,
Co w swoim łonie tyle sławy chowa!

Bogowie z nami! Jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie!
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo! —
A lud wykrzyknął: — Śmierć albo zwycięstwo!

.

Nad Maratonem.

Kornel Ujejski.

Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonym.
Nad Maratonem przeciągają sępy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy —
Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,
Rychło też ścierwo na polu obaczą.
A przeciw Persom stoi garstka ludzi;
Persom się zdaje, że ich oko łudzi; —
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech uragowiska,
Med pomrukuje: — Szaleni! szaleni!
Jeden na tysiąc! — My niezwyciężeni!

.

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i pługi;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem, lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojczyzny synem.

W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzył w trwożnym niepokoju,
Czy nie zobaczy co od strony boju.
Nie, nic nie widać. I słońce zagasło,
I gwiazdy... Cyt... cyt... coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi kroki ktoś po bruku bije
I woła: — Tchu! Tchu! Głosu! Grecya... żyje!
Cześć! cześć! Milejades!... Tchu!... Zwycięstwo z nami

Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył —
I padł, wclając: — Zwy-cięstwo! — Już nie żył.

Marsz pogrzebowy.

Kornel Ujejski.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej gło-
[wie huczą?

Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną o dwa kroki, czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! — ten wóz czarny zciemnił moje oczy

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśniej, migają pochodnie:
A prowadzą mnie pod ręce — idę tak wygodnie:
Same prawie się podnoszą zadrętwiałe nog —
Dobrze, dobrze, że mnie wiedą, nie znan żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli,
Coś zatapia w nich swe szpony — krzywe, ostre
[szpony —

A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie..
Żar mam w oczach, a po twarzy coś zimnego ciek-
[nie —

Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa —
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie okryte żałobą..
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...

Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w tej trumnie! w tej
[trumnie!

.

Na atłasie piękna, cicha,
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha —
Och! ty już nie śniesz!

Och! nie czujesz ty już woni
Z wieńca białych róż —
Całowaniem twojej skroni
Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I ja kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł?

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

* * *

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Pływały nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Geniuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebiańskich wrót.

Gdzież zawiodło mnie na końcu
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem w słońcu,
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łożo?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja pocznę tu!

*

*

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesźnie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą, ha, ha! to pocieszenie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz z drogi, ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawia —
Mego bólu żadna z waszych piersi nie pomieści...
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, wśród hałasu dzwonu.
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty, grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz, mój bracie?

A zakop mnie, a głęboko — tak mi źle na świecie
Ciężej, niżli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie..
Precz z kropidłem, i święcona woda ją popłami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami
Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka —
Dotknęła mnie! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mnie i ponieśli — gdzie oni mnie niosą?

Młodości moja!

Kornel Ujejski

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!

Prowadź do celu i drogą cierniową,

Byłem szedł zawsze z podniesioną głową,

Byłem nie zółwiem był, ale sokołem.

Młodości moja! i nad mojem czołem

Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,

Byłem narodu został ulubieńcem...

Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!

Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,

Niechaj jak magnes siłami się wzmogą,

Kiedy je cierpień ciężary obarczą.

Chociaż pioruny nademną zawarczą,

Niech jak chorąży przed moim narodem

Z sztandarem wiary postępuję przodem...

Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!

Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,

Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,

Kiedy go otchnę silnym moim duchem.

Orlą żrenicą, zaostrzonym słuchem

Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolalą,

Z której się tyle łez i krwi wylało...

Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem!

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!

Każda myśl moja niech się zazieleni

W sercach mych braci, niech się tam rozpleni;

Co ma być białem niech nie będzie czarnem.

Młodości moja, nie bądź mi snem marnym,

Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,

By z niej się późne życie uczyły syny...

Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem!

Toast.

Kornel Ujejski.

Młodzieży polskiej toast ten!

Młodzież — to przyszłość narodowa —

Nam Bóg w niewoli poddał sen,

Zbudzenie dla was chowa.

Bogata dajem wam spuściznę:

Dla Polski ludów cześć —

Toż pamiętajcie tę ojczyznę

Wysokiem skrzydłem nieść!

Toż pamiętajcie, że ta Polska

Nie liczbą wag i miar,

Ale ofiarą apostolską

Rozlewać ma swój czar.

Niedarmo ona krwią płaciła

Każdy ku niebu ruch —

Jak pod ciężarem wzrasta siła,

Tak w męce wzrósł jej duch.

Młodzieży polskiej toast ten!

Młodzież to przyszłość narodowa —
Nam Bóg ten piękny daje sen,
Spełnienie — dla was chowa.

Chleb.

Adam Gorczyński.

Każmierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męski,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia, latem zwędzona parnem,
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas Król Chłopków swemu ludowi
Królewskie spichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Tam on posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległa była,
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Bałtyku myła
Stopę oparłszy o Śląsko.

A tak powszechny był niedostatek,
I wszędzie tak równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dojść mogły chatek
Pańskie pieniądze ni chleby.

W onym to roku powszechnej nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmiecią siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego, gdy wracał z miasta
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
Z przydrożnej wybiegła chaty.

I woła: »Ratuj! jam z głodu chora,
•Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
Chleba bochenek pod szatą.

Podziel się chlebem, posil nieboge,
Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.«

»Babo!« rzekł panek, »pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mię w drodze;«

I znów litością niby przejęty

Dodał: »Zawiodłaś się srodze:

»Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty;

U nas bo kamień jest rzadki,

A mam na rzece budować mosty,

Co płynie wedle mej chatki.«

Na to niewiasta: »Człeku! tyś skłamał:

Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;

Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,

Boże, w kamienie Ty zamień.«

Ledwie co rzekła, panek spostrzega,

Że chleba bochen ocieżał;

Cieżarem swoim ramię przylega,

Na twardy kamień bo stężał.

Otruchłał, czołem na ziemię padł,

Inne prowadził już życie:

Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,

Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie w klasztorным ganku,

Wisi ten kamień na ścianie;

I głośna powieść o skąpym panku

I chleba w kamień przemianie.

Smierć Lutasa.

(Z »Margiera«.) Władysław Syrokomla

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:

Łucznik z pobojuwiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.

»Wodzu — rzecze — bojowe przynosim ci dary,
Jest to umierający bałwochwalca stary...

Przynosim go pod samy namiot Waszej Cześci!

Ależ to silny Litwin, ze sto czartów mieści,

A całą staję ziemi zawalił swem ciałem

A takiej długiej brody nigdy nie wiedziałam,

A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha,

Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha.«

Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,

A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,

I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,

Wychodzi przed swój namiot.

Tam z powisłą głową

I z przebitemi pierśmi, skępowany w sznury,

Leżał Lutas otulon szmatami wilczury;

Odarty ze przyłbicy i z miecza i z młota,

Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,

Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,

Po jego siwej brodzie płynie krew zapiekła.

Ransdorf skinął, i z ramion rycerskiego dziada

Ocięto gruby powróż, co ręce przejada;

A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,

Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny;

Tylko całą potęgę i duszy i ciała

Skupił w dzikiej źrenicy, co krwią zakipiał,

Raz spojrział na Ransdorfa tak dziko, tak hardo

Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą.

I jęknął: »W uroczystej, śmiertelnej godzinie

Witaj, młody rycerzu i chrześcijanie!

Mianowano cię wodzem... los godzin zazdrości!

Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
Witam cię i pozdrawiam przekleństwem mej ziemi,
Kóre Litwa wyrzeczce nad kośćmi mojemi.
Zawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłem, —
Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
Co jej niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała!
Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
Przekleństwo, ej, przekleństwo pozostanie po mnie!..
Tyś, zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
Tak uczy wasza wiara i wasi prorocy,
Za chleb ofiarowany, rzucić kamień z procy,
Za uścisk, płaćnąć mieczem — tyś dziecko bez-
prawi, —
Niewinien srogi tygrys, że się we krwi pławi;
Lecz ten godzien zaginać w piekielnej czeluści,
Kto zwierzę, krwi niesyte, z kagańca wypuści...
Oto krew naszych braci, płomień naszych zgłiszczy
Słyszę z dala jak huczy, przelewa się, świszczy,
I gorącym potokiem leje się do łona,
I miga przed oczami jak chusta czerwona...
Wkrótce ty sam zobaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
Ja słyszę, jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
Jak płacze każda matka i każda dziecina,
Jak jęczy biedna Egle, uwięziona w wieży,
W którą topór kapłański w tej chwili uderzy
Wzamian za twoją głowę — niechaj mnie przeklina.
I tutaj moja zbrodnia i tu moja winna.
Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
Dlaczegom jej nie zabił? jednym cięciem mojem
Obdarzyłbym i Eglę i Litwę spokojem!

Czemum ci nie dał zginać na ofiarę piekła?
Czemu ze starych oczu łąza grzeszna pociekła?...«
Tak Lutas, słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnej murawie targa się i rzuca.
I ręce to wypreża, to do prośby składa:
»Młodzieńcze! jeszcze jedna zostaje ci zdrada:
Ukazać loch tajemny. — O! rycerzu krzyża!
Patrzaj: oto się Lutas do prośby poniża,
Błagam cię, wiarołomco, w imieniu mej ziemi:
Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twoimi.
Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...
Szalony! co ja czynię? i co mi się marzy?
Że w pół drogi zbrodniczej zatrzymam zbrodniarzy?!
O nie! Ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
Jak wilki do owczarni niech podkopem wnijdą,
Niech zburzą gród Margiera wiarołomni...
Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste. —
O! przybity do krzyża chrześcijański Chryste!
Ciśnij z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
Ja się zemszczę... do łuków! do mieczów, młodzieńcze!
Brońcie wejścia do lochów! bo już wróg napada!
Powiedzcie Margierowi,... że w obozie zdrada,
Że Lutas... zdradził Litwę!...« Tu oddech się zatnie;
Ryknął lew strasznym płaczem — ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, litewskiej mowy nie rozumie,
Jednak wszyscy pobledli, każdy oddech ścina:
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,

Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:

»Oto — rzecze — poganin chrztu świętego prosi,
Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
Spieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!«

I już ze stągwią wody, z Niemna zaczerpniętej,
Chciał nad czołem Lutasa odprawić chrzest święty,
Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję —

»Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!«

Niepiśmienny.

Władysław Syrokomla

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,

Nic i nikomu na Bożym świecie,

Jednego tylko zazdroszczę może,

Że wy, panowie, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,

Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!

Tożby latało, tożby latało,

Jak błyskawica po ciemnem niebie!

Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,

Co sam obaczę, co mi kto powie,

Wszystkobym wiernie kładł na papierze,

Dumkę*) po dumce, słowo po słowie.

Spisałbym widok Bożego świata,

Każdy tak piękny, każdy odmienny,

A teraz wszystko marnie ulata:

Bom nieuczony, bom niepiśmienny!

Jakie rozkosze, jakie rozkosze

Umieć wypisać słowo po słowie;

Co marzę w myślach, co w sercu noszę,

Karta zrozumie, pióro wypowie!

*) Dumka = myśl.

Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie rozumieją, serce ci zrania,
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.

Jabym po prostu, jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie:
Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.

Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki-gołąbki, bywajcie zdrowe,
Ja was nie schwyce, jam niepiśmienny!

Niedołęga.

Wacław Szymanowski.

Niechaj-że was święci strzegą
Ludzie mili,
Byście jak ja do niczego
Kiedy byli;
Gdziebądź pójde, cobądź zrobię
Każdy gęga:
Daj tam pokój, jesteś sobie
Niedołęga.

Niedołęga... mówić łatwo,
Głupi tłumie;
Robić piórem albo dratwą
Każdy umie.

Czembadź z pracy zysk się bierze:

Butem, księga,

Furda... lepiej zostać szczerze,

Niedołęga.

Co po myśli, kiedy ona

Ledwie wzlata

Ciężkiem skrzydłem, i wraz kona

W krańcach świata.

Co po pracy... chyba w grobie

Spokój daje,

Bo gdy masz jeść, zębów tobie

Już nie staje.

Co po ludzkiej całej owej

Krętaninie,

Z której tylko zawód nowy

Ciągle płynie;

Człek obarcza głowę własną

Wciąż kłopotem,

Wkońcu jak dzień widzi jasno,

Że nic potem.

Niedołęga, choć mu w głowie

Braknie klepki,

Jest to — wierście mi panowie,

Człowiek krzepki.

On przed siebie śmiało patrzy,

W zgodzie z światem,

A jak zliczy już raz, dwa, trzy,

Dość mu na tem.

Niech się ziemskie tam półbogi
Pną w niebiosy;
On, nie szuka sobie drogi
Wyżej nosa.
Idzie, za nic wając chwałę,
Wciąż ostatni,
I wynosi kości całe,
Z ludzkiej matni.

Szczęścia kupić nikt nie w stanie
I nie kupi;
Wielkie jeszcze jest pytanie,
Kto z nas głupi?
Czy ten który z ludźmi w wojnie
Mary łapie.
Albo-li ten, co spokojnie
Śpi i chrapie.

Patrzcie, jak się ziemskie koło
Wciąż obraca,
Jak marnieje niewesoło
Ludzka praca.
Ciężkiej doli nie upiększy
Miecz ni księga...
Światem rządzi los, — największy
Niedołęga!

Dawni rycerze.

Adam Pajgert.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu
Na boje ich niosły, turnieje lub łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośnie, jak bitew fanfary;
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę
Pod krzyża białego sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczeli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel główicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach, na twarzy;
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U Pańskich składali ołtarzy.

Dziewczę polskie.

Ludwik Jabłonowski

»Panowie bracia! dalej na konie!

Daleko mamy pohasać;
Tam w owej stronie, gdzie luna płonie,
Tam, tam będziemy popasać«.

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni;
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozlegi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie dokoła plądruje siola
Zawolczyk, czartów swawola.

»Hej, bracia wiara! męstwo i wiara,
Odwaga, bracia! Bóg z nami!«
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

»Ho, ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdznika
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie, zuchwali, grom polskiej stali!«
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzieś za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

»Hej, bracia wiara! męstwo i wiara,
Odwaga, bracia! Bóg z nami!«
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

»Wiara, wesoło!« wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ująć, nie wiedzą.

Tam, tam na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
»Hej za mną dzieci!« kordem zaświeci,
»To moja córka jedyna!«

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni,
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiał konia — już na głębinię.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła
I już u ojca na łonie!

Przewodnik w puszczy.

(Urywek). Mieczysław Romanowski.

»Brnąłem cały dzień śniegami
Bez chwili odetchnienia, pokąd nóg mi stało.
Kiedym usiadł odpocząć, w puszczy już szarzało,
Mróz brał coraz silniejszy, śnieg skrzypiał pod nogą;
Wstałem, bo mi się zdało, żem się minął z drogą...

»Ha — myślę — mozem tylko obłąkał się bokiem,
Jeszcze czas. — I ruszyłem naprzód śmiałym krokiem;
Choć mróz był, pot kroplami ściekał mi po czole,
Tak śpieszyłem, na Bożą spuszczaając się wolę.
Lecz poznałem, że idąc błędzę coraz dalej,
Strach, mróz, niemoc, znużenie prawie z nóg mnie wali:
W oczach ćmi się, z za jodeł jakieś duchy, cienie
Na pół nęcąc, pół grożąc szłą ku mnie spojrzenie,
I wabią w sen. Ja duchy świętym krzyżem gonię,
Chwytam śnieg, na pierś kładę, trę nim senne skronie;
Bo kiedy już tak blisko śmierć stawia koło mnie,
To chciałbym jak katolik umierać przytomnie,
I Bogu wypowiedzieć to, czem pierś oddycha.
Stanąłem i począłem pacierz szeptać z cicha,
Pacierz, jak mi się zdało, na ziemi ostatni,
Którym duch mój świat żegnał spiesząc do wypłatni.

»A w puszczy było cicho; śmierci sen głęboki
Objął wszystko. Po chwili usłyszałem kroki,
Raz w lewo, raz na prawo wijące się śniegiem,
Jak zwierza, który strzelca chce omylić biegiem...

»Krzyknąłem i za jodłę cofnąłem się krokiem.
Krzeszę ognia, wilk stoi, patrzy na mnie wzrokiem
Takim, jakby żałował tego, że mnie strwożył.
Księżyc świecił nań z góry, on się w śnieg położył,

Podniósł mordę i wietrzył czy sam jeden stoje,
I znów we mnie utopił jasnych oczu dwoje,
Świecących jak dwa węgle, a te mnie wzywały
Jakaś niemą wymową, bym szedł i był śmiały...

»I wyznam, że gdym w oczy patrzył mu zdaleka,
Zdało mi się, że wilk ten ma oczy człowieka;
Stworzon do krwi, nie szukał we mnie świeżej strawy —
Patrzył bystro; lecz w oczach jak promyk bladawy
Przebiła się czasami jakaś niema żalność,
Od której mi do serca powracała śmiałość...
A wilk jakby rozumiał, co ja myślę w duszy,
Staął, wpatrzył się we mnie, w górę podniósł uszy
I pomiędzy jodłami krążył wkoło mnie,
Coraz ciaśniejsem kołem, coraz bliżej do mnie,
Aż przyszedł tak, że mogłem uderzyć go nożem,
I stał, a jam czuł litość z tem stworzeniem Bożem.

»Stalim tak. Ja czekałem czy na mnie nie skoczy.
On mi ciągle jednako smutnie patrzył w oczy,
Jakby mi chciał powiedzieć, że mu źle w tym boru,
Gdzie każdy go się lęka jak złego upioru,
I zabija, gdy może, oszczepem lub kulą.
A czasem mu się oczka świecące tak czuła,
Jak gdyby mi dziękował, że ja z nożem stoje,
I zaszkodzić mu nie ma złości serce moje.

— »Ha! to cud! ten wilk szuka z tułaczem przymierza
Niedola dzisiaj zbliża do człowieka zwierza.
I takie między nimi tworzy obcowanie,
Jak tam w raj, gdy z ręki Twojej wyszli, Panie.

»A po jakim czasie, któż temu uwierzy?
Wilk przystąpił, paszczką dotknął mej odzieży,

I pociągnął za połę, potem odszedł kawał,
Wrócił i znów pociągnął; tem znaki mi dawał,
Bym szedł za nim. Ha, myślę — niema co wybierać,
Czy tu czy głębiej w puszczy — jednako umierać —
A może też cudowny, wszechmogący Boże,
Z tej puszczy się wybląkać wilk mi dopomoże.
I ruszyłem. On widząc to, podskoczył żwawo,
Jak z radości, a potem szedł powoli w prawo,
Oglądając się za mną, czy idę, czy stoję?
Wiodło mnie tak godzinę to wilczysko moje,
Aż do kłody, gdzie stanął, i tem znak mi dawał,
Jakby czuł żem znużony, abym i ja stawał.
Toż widząc tę troskliwość w wilku przyjacielu,
Stanąłem jako stanął Eljasz na Karmelu,
Gdy znużonemu głodem skromne pożywienie
Przyniósł nagle kruk czarny przez Boże zrządzenie.

»Usiadłem błogosławiąc za cud niebios Pana.
Wilk stał, czasem paszczką dotknął mi kolana,
Spędzając mi sen z oczu: bo spałbym na wieki,
Gdyby mi sen — na mrozie skleił był powieki.
Ja zaś sądząc, że długo jeszcze iść mi trzeba,
Dobyłem ser z kobiałki i kawałek chleba,
Chcąc posilić się w drogę darem zacnej ręki.
Lecz mam druha, więc sera uciałem kęs miękki,
I podałem wilkowi, by pożywał ze mną.
On nie przyjął go, może przez litość nademną,
A kiedym się posilił, znów mnie wziął za nogę,
Dając znać, że noc długa i czas ruszać w drogę.

»Ruszylim, wilk szedł przodem. Długo bór jednaki
Ciągnął się. Wnet ujrzałem ośnieżone krzaki
Leszczyny i jałowcu, jak na tamtej stronie,
Kiedym, wchodząc do puszczy, zegnał jasne błonie

Więc i kres niedaleko: bo krzew tylko rośnie
Z kraju borów. Serce mi jęło bić radośnie;
Lecz pomny, że tak samo krzewiem się poczyrna
Polana, gdzieś nocował, gdzie wilków drużyna
Skakała ku mnie w górę, przestałem się cieszyć.
Wilk szedł rażno, musiałem i ja krok przyspieszyć.
Wreszcie stanął, ja staję, patrząc: wielki Boże!
Przedemną szczere pole, otwarte jak morze
Ciągnie się, że oczyma trudno mi je zmierzyć!
Patrząc na szczęście moje i nie śmiem mu wierzyć.
I jak Mojżesz stał w skrusze przed krzakiem w pło-
[mieniach,

Tak ja utkwivszy oczy w tę błoń, w nocnych cieniach
Kruszyłem się pacierzem wielbiąc wszechmoc Boga,
Któremu w puszczy była widna moja droga.

»Wilk czekał, jakby więcej nie chciał mnie porzucić.
Lecz kiedym szukał wzrokiem, gdzie kroki mam
[zwrócić,

Obejrzał się i ruszył skrajem puszczy w lewo,
Gdzie ujrzałem z daleka we mgłach nocnych drzewo,
I chatę na opłotek skłonioną pochyło,
I dwa okna, a w oknach światło się świeciło.
Tu stanął mój druh wierny, przewodnik mej drogi,
Patrzył mi długo w oczy, łasił się u nogi;
Jam go głaskał i płakał i modlił się: »Panie!
Niech się nigdy to zwierzę strzelcom nie dostanie;
Udziel mu pożywienia od ludzi zdaleka —
On jest głodny, a przecież ocalił człowieka«.

»Potem zawył żałośnie mój wilk, spuścił głowę,
I począł iść powoli w otchłanie jodłowe,

Oglądając się za mną czy idę, czy stoję.
Stałem, pokąd nie znikło w boru zwierzę moje.
I poszedłem do chaty, gdzie spędziłem dni kilka —
Lecz odtąd jużem nigdy nie strzelał do wilka.

Śmierć Levitoux. (Lewitu.)

Mieczysław Romanowski.

Był na cytadeli sąd na miatieżników,
Więc siedli jak czarci za stołem:
Jenerał, adjutant i czterech piszczyków,
Ze sercem miedzianem i czołem.

I rzecze adjutant: — Batku jenerale!
Czart chyba się z lachów co dowie;
Wziął pałki Levitoux, lecz milczy zuchwale!«
»Sto pałek! pod pałką odpowie!«

Straż stawia Levitoux skutego w kajdany,
I biorą na rozpyt go kaci;
Wnet zdjęto zeń szaty, co kryły mu rany,
A sędzie wołają: — »Zdradź braci!«

A był tam nad nimi w tej izbie szatańskiej
Krzyż z Panem Jezusem na ścianie.
Levitoux wzrok jasny utopił w krzyż Pański
I modlił: «Daj siły mi, Panie!«

I poszedł pod pałki w pół nagi bez lęku,
Wnet krwią mu opłynął grzbiet cały;
Choć bito go w rany, nie wydał i jęku,
I milczał jak zakamieniały!

A gdy go złożono na nędznej pościeli,
Rozwahał, czy ciało wytrzyma
Te męki? bo znowu tak chłostać go mieli
Sędziowie, — i poczuł: sił nie ma!

Lecz święcie dochowa tajemnice bratnie,
Bo stuby zginęło ich może.
Toż westchnął do Boga o męki ostatnie,
I ognia nasypał pod łożo.

I usiadł na łożu spokojny, bez lęku,
Gdy jasne płomienie wstawały.
Choć ogień gryzł kości, nie wydał i jęku
I milczał jak zakamieniały.

Przez kraty wnet bracia płomienie ujrzeni
Straż alarm krzyknęła w podsieniu;
Jenerał i draby wpadają do celi:
Levitoux już skonał w płomieniu!

Więc z zgrozą ten węgiel rzucili w rogoże,
I w ziemi kazali pochować.
Tą śmiercią w płomieniach pochwalon bądź Boże!
Bo żywym ją będziesz rachować.

Orły, sokoły!

Mieczysław Romanowski.

Orły, sokoły!
Dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły —
Ziemia mi zbrzydła.

Jabym chciał w górze
Pohulać z wami —
I tam na chmurze
Żyć z piorunami.

Tu mi jak w trumnie
Świat niewesoły,
Spuśćcie się ku mnie,
Orły, sokoły!

Choć duszę weźcie
Na wasze loty
I ją zanieście
W marzeń kraj złoty.

Na niebios progu,
Między gwiazdami,
Jabym tam Bogu
Modlił się z wami.

A tu żałobą
Pokryte doły:
Weźcie mnie z sobą,
Orły! sokoły!

Rozmowa pijaka z księżycem.

Włodzimierz Zagórski

— Jakiż istnienia twego cel? —
Tak mówił do księżyca,
Wracając do dom w późną noc,
Strąbiony pijanica. —
Za matką ziemią biegiesz wciąż,
Dzierżąc się jej fartuszką,
I tylko kłopot z tobą ma
Poczciwa ta staruszka ...

To słońca jej zaćmiwszy twarz,
Pograżasz nas w frasunku,
To znowu łonem wstrząsasz jej
Sromotnie bez szacunku,
Cyklony groźne na nią ślesz,
I na plag domiar jeszcze
Sprawiasz, że wyją do cię psy
I wiersze piszą wieszczę!...

Po niebie płaczesz się jak éma,
Gdzie ciebie nie posieje,
Tam wschodzisz, trupi lejąc blask,
Lecz światło twe nie grzeje...
Blachman pokrywa oczy twe,
I mordę masz zapita,
Choć pijesz — cha, cha! — tylko mgły,
Ty głupi satelito!...

W orszaku gwiazd tyś ciurą jest,
A dmiesz się wielkim panem,
Myśląc, że imponujesz mi
Twem światłem pożyczanem...
Idyoto ty — udajesz świat,
A mówią nam gwiazdciarze,
Że jednej karczmy niema tam
Na całym twym obszarze!...

Więc na co ciebie stworzył Bóg,
Ty niedołęgo srebrny?
Pożytku z ciebie ani krzty,
Tyś całkiem niepotrzebny!...
Na to z uśmiechem księżyc rzekł,
Z chmur wychyliwszy lice:

— Nie sarkaj, bratku!... wszak to ja
Pijakom do dom świecę!...

A to mi się zdarzyło!

Mikołaj Rodoć Biernacki

Wiesz co, kochana żono,
Że to wytrzymać trudno:
Nigdzie nie zamieciono,
Wszędzie nieład i brudno...
— Oho, znowu morały!
Będzie gderał dzień cały!
Jakby też o co było!
Straszne rzeczy się stały,
Że się tam raz zdarzyło!

— Ależ, moja kochana,
Przypomnij tylko sobie
Wizytę pana Jana:
W sali Staś marchew skrobie,
Na progu dwa szafliki,
Miska, trzewik Moniki,
Woda, co się w niej myto,
Na drzwiach brudne ręczniki...
— No, to się raz zdarzyło!

— A przypomnij, duszko,
Owo miłe zdarzenie,
Jak Edzio wlaźł pod łóżko,
I przy pannie Helenie
Wyciągnął stamtąd pierze,
Niepomyte talerze,
Jakaś gruszkę nadgniłą...
Doprawdy, aż wstyd bierze!
— No, to się raz zdarzyło!

Albo te nasze dzieci,
Obdarte, rozczochrane,
Brud się 'na nich aż świeci.
Toż to skonstatowane,
Że raz, nie wiem, kto taki,
Dawał im dwa trojaki;
Żal mu się ich zrobiło,
Myślał, że to żebraki..
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ, moje kochanie,
Nie to, to co innego;
Ze służbą zamieszanie,
Że aż coś okropnego.
Wiecznie cię o coś proszą,
To wnoszą, to wynoszą,
To się tam coś rozbiło..
A wypadek z broszą?
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ gdzie tam raz; — zawsze..
Zdaje mi się ktoś dzwoni..
— O, nieba najłaskawsze!
To pewnie pan Antoni!
A tam na sali pierzyna!
Nie otwieraj! — Regina!
Gdzie są klucze? — To miło!
Na biurku cielecina!
A to mi się zdarzyło!

Jeniec.

Adam Asnyk.

Stał blady, milczący, z posiekaną głową,
Krew miał na twarzy, w tył związane ręce.
Pierś mu pękała w rozpaczliwej męce,
Lecz skargi żadnej nie wyrzekło słowo.

»Kto jesteś?« — zapytał brygady generał —
»Jeniec« — odpowie blady żołnierz. —
»Twój stopień?« — »Żołdak szlify mi pozdzierał,
Odpiął krzyże i zdarł kołnierz!«

»A szabla twoja?« — »Tam w dębowym lasku,
Na twoim, generale, złamała się kasku.«
»I ty żyjesz?« — »Dziwięciu na mnie się rzuciło,
Uległem, gdy osiem trupów przy mnie było!«

»Dzielny i mężny!« — generał mu rzecze —
»Lecz powiedz, człeku nieśmiertelny,
Co masz, że cię szabla nie rozsiecze,
Żeś taki mężny i dzielny?«

»Miłość Ojczyzny!« — »O, w takim szale
Jedno powinno zabić cię słowo.«

»Jakie to słowo? Mów, generale!«
Zapytał jeniec z pochyloną głową.

Generał podniósł się na koniu,
Przyłożył rękę do czoła i spojrzał po bloniu,
Gdzie szeregi walczących widać było w dali,
I rzekł, patrząc na jeńca: »Wasi przegrali!«

Tym słowom generała śnać jeniec uwierzył,
Bo padł na ziemię — za chwilę już nie żył.

Chłopca mego mi zabrali.

Adam Asnyk.

Chłopca mego mi zabrali,

Matulu!

W świat daleki go pognali,

A ja za nim umrę z bólu. —

Dałam na mszę sznur korali,

Niechaj Pan Bóg go ocali,

Matulu!

Do szeregu poszedł z bronią,

Mój Boże!

Tam śmierć pewna — poszedł po nią:

Miłość moja nic nie może,

Ani łązy go nie zasłonią

Przed zawistnej śmierci dłonią,

Mój Boże!

Nie pytają o to wrogie,

Kto ginie?

Czy jest sercem ludzkim drogi?

Czy płacz siostry za nim płynie?

Czy umiera matka z trwogi,

Kiedy pyta śmierci srogiej:

Kto ginie?

Na kulami zaoranej

Na roli,

Ma paść we krwi mój kochany...

Czyliż na to Bóg pozwoli,

By samotnie ginął z rany

Zdała swoich — na zasianej

Krwią roli!

Pobudka.

Adam Asnyk.

Precz ze zwątpieniem, co łamię
I męskich pozbawia sił —
Niech targa skrwawione ramię
Łańcuch, co w ciało się wpił.

Precz z małoduszną rozpaczą,
Nie wolno rozpaczać nam!
Niech myśli zuchwale skaczą
Do niebios zamkniętych bram.

Niech biegną, jak hufce zbrojne,
A sztandar rozwina swój,
Niech spieszą na świętą wojnę,
Na wielki o prawdę bój.

Niechaj nas klęski nie straszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

Choć jeden za drugim pada
Z czcicieli duchowych zórz,
Choć przemoc, odstępstwo, zdrada
W ich łonie zatapia nóż,

Choć twierdza w gruzy się wali
Choć płonie nad głową dom —
Nie dajcie, zakuci w stali,
Przystępu rozpaczy łzom!

Lecz oręż dobrawszy świeży,
W obronie człowieczych praw,
Ostatnia garstko rycerzy,
Do końca swe czoło staw!

Duch ludzki wszak nie na wieki
W krwiożerczych zatonał snach,
I szydząc z jutrzni dalekiej,
Uwielbił przemoc i strach.

Niezawsze narodów pycha,
Bezmyślna władania chuć,
Przed siłą ugnie się cicha,
By w oczy ofiarom pluć.

Niezawsze na cudze chciwa,
Będzie wśród przekleństw i skarg
Kuć drugim kajdan ogniwa,
Aż własny zakuje kark.

Powoli światło się wciska
I dalej posuwa w głąb...
A jak Jerycho w zwaliska
Od dźwięku runęło trąb,

Tak runie w świetlanej zorzy
Więzienia ponury gmach...
I ludzkość oczy otworzy
Po przykrych zbudzona snach.

Więc w naszym krwawym pochodzie
Zwątpienie i rozpacz precz!
Ze szczęściem ludzkości w zgodzie
Uchwyémy duchowy miecz.

Chociaż nas wrogi opaszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą!
Za przyszłych braterstwa dni!

Dla chleba.

Michał Bałucki.

Góralu! czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych!
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych —
Góralu, czy ci nie żal?

Góral na lasy spoziera
I łzy rękawem obciera,
I rzekł: »ha, darmo kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba«.

Góralu! wróć się do hal,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal
Co z nimi stanie się — kto wie?...
Czyż ci tych starych nie żal?

A góral jak dziecko w głos płacze:
«Och, może już ich nie zobaczę. —
Ha, darmo, paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba.»

Góralu! nie odchódź, oj nie! —
Na wzgórk u męki boskiej
Tam płacze dziewczę twe —
Uśnie z tęsknoty i troski
Gdy pójdziesz; — nie odchódź, nie!

On głowę zwiesił i wzdycha:
— «Oj, dolaż moja — rzekł z cicha —
I dziewczę porzucić trzeba
Dla chleba, panie — dla chleba!

I poszedł z grabkami i kosą
W guńce starganej i boso
Precz poszedł w doliny — w dal
Góralu, żal mi cię, żal!

Sierotka.

Aureli Urbański.

— Dlaczegoś, tato, tak czarno ubrany?
Na gości czekasz dziś może?
Sukienkę wdziję nowiutką, w falbany,
I włoski w loczki ułożę.

— O, będzie dziecię, dziś gości tu wiele,
Lecz nikt ci bajki nie powie...
Ksiądz proboszcz przyjdzie, co chrzczył cię w kościele,
I przyjdą czarni panowie...

— Dlaczegoś, tato, tak smutny i blady,
A w oku twojem łza wieczna?
Czy po mnie idą ulicą te dziady?
Ach! przecież byłam tak grzeczna!

— Z bezsennej nocy mam bladość u czoła...
Nie płaczę, ptaszko ma droga...
Zaś dziadki idą do kruchty kościoła,
By prośby zanieść do Boga...

— Dlaczego, tato, u mamy tak ciemno,
I pachnie jakby w kaplicy?
Dlaczego łamiesz twe ręce nademną,
Gdy dzwon zahuczy z ulicy?

— Tam grządki twoje w ogródku, me dziecię,
Podlewać pewnie zaczęto...
Stąd zapach kwiatów, zwyczajnie jak w lecie,
A dzwonią dzisiaj... bo święto.

— Ty milczysz, tato, i służba strapiona ;
A chociaż płaczę od wczora,
Wpuścić mnie nie chcą do mamy — a ona
Samotna leży i chora !

— Więc na paluszkach pójdz ze mną powoli,
Jej bole pewnie ustały.
O tak, pieścotko... już nic ją nie boli...
Śpi cicho... skarbie mój mały...

— A więc jej nie budź... Wzbronione dziś krzyki...
A za to jutro, pieścotko,
Zawiodę ciebie, gdzie czarne krzyżyki,
Gdzie ptaszki nucą tak słodko...

— Tam, przy sosence, pagórek urośnie,
A ja cię wezmę na ramię,
Zaniosę jutro... klękniemy przy sośnie
I gwarzyć będziemy... o mamie !

Garść ziemi.

Aleksander Kraushar.

On rzucił ojców zagrody,
By w świat wyruszyć nieznany,
Pomiędzy obce narody
Ponieść niewoli kajdany.
Rzucił tłum bratniej drużyny,
I kłosy łąki kwiecistej,
Wziął tylko klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej.
I płakał łzami tęsknoty,
Rzucając pola rodzinne,
I matki tkliwe pieścoty,
Zabawy dziecka niewinne,

Wszystko, co w ziemi miał bratniej,
Znikło w przeszłości ciernistej,
Wziął tylko klejnot ostatni:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

Burze mu przeszły nad głową
I nowe czucia przez duszę,
On zawsze duszy połową
Czuł inne, głębsze katusze;
Bo kiedy w chwilach natchnienia
Biegł myślą w świat promienisty,
Czuł w sercu ciężar kamienia:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

I przebył lądy i morza,
Widział świat cudów nieznany,
Lecz siny błękit przestworza
I ciche ojców kurhany
Żalność mu w duszy budziły,
Za rajem łąki kwiecistej,
Skąd wziął z najdroższej mogiły
Garść czarnej ziemi ojczystej.

A gdy już śmierci godzina
Dni wędrownika przecięła,
I zimna, obca mogiła
W swoje go łono przyjęła:
Do grobu bratniej drużyny
Nad brzegiem góry śnieżystej
Dano mu klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

Łzy ziemi.

Marya Konopnicka

Światby już dawno przestał trwać
W łez, krwi i zła powodzi,
Tylko że w każdą cichą noc
Chrystus po ziemi chodzi.

Chodzi po ziemi wszerz i wzdłuż
Drogą świetłą, jasną,
I zbiera łzy w miesięczny kruz
Kiedy płaczący zasną.

I zbiera łzy i zbiera krew
Tych, co ponieśli rany,
I ściera z ziemi krzywdy i gniew
Okrajem swej sukmany.

I ściera z ziemi brud i znój,
Śmiertelne ściera poty
A przed nim snuje srebrny zwój
Ten księżyc blade złoty.

Nie wiedzą ludzie, co i jak
We śnie im duszę leczy,
A to w przejasny miesięczny szlak
Zstępuje syn człowieczy.

Nie wiedzą ludzie, co i jak
W pierś im balsamem spływa,
A to stóp świętych zbliży się znak,
Miesięczna jasność żywa.

Niemałość w świecie krzywd i win
Niemało jest żalości...
Uzbrojon idzie człowieczy syn
Przez czarne bolu włości.

Jest ci dzban jego po modrą głąb
Po bezdno oceanu,
Lecz nędza i krzywdy już w nim po wrąb
I coraz ciężej Panu.

Jest ci dzban jego po nieba kres
Po gwiezdnych niw okraje,
Lecz coraz pełniej ludzkich w nim łez
I w znoju Pan ustaje.

I coraz cięższy dźwiga kruz
Nocami miesięcznemi,
Maluczko a nie będzie już
W co zbierać łez tej ziemi.

Maluczko, a przez kruża brzeg
Przechluśnie się krew świata
I księżycowy zczerwieni śnieg
Chrystusa długa szata.

I ocieżeje szaty rąb
W krwi uroszonej wełny...
Po nieba szczyt, po modrą głąb
Świat będzie bolu pełny!

W Wielki Piątek.

Marya Konopnicka.

Tak mi się czasem wydaje, o Chryste,
Że nie tam kędyś daleko, za morzem,
Aleś tu, u nas, miał drogi cierniste,
I żeś tu naszym przechodził się zbożem,
Puszczając palce po harfie tych kłosów,
Co mają ludzki jęk i echa głosów.

Że tutaj, w którejs z chat naszych, o Panie,
Gdzie przez tułaczy wytarte są progi,
Był Twój wieczernik smętny, i rozstanie,
I chleb łamany z braćmi, i te trwogi,
By słów ostatnich nie wydały ściany,
I pożegnania kielich — krwią nalany.

I zdaje mi się, że te nasze sosny,
Te brzozy białe, szumiące wśród niwy,
To był ogrójec twej męki żałosny,
To były twoje miesięczne oliwy,
I że tej nocy twój pot ściekał krwawy
Na leśne zioła nasze i na trawy.

I zdaje mi się, żeś tu był pojmany,
W pęta zakuty i sieczon u słupa...
Bo tak mi, Chryste, znajome twe rany,
I siność twoja, i katów twych kupa,
I świst rzemieni, co krają jak nożem,
Że to nie mogło być gdzieś za morzem!

I wiem, że tutaj na miedzy, skroś drogi,
U jakiejś starej zapadłej mogiły,
Wyrość musiały te ciernie i głogi,
Które w twą głowę bolesną się wpiły...
Bo żadne inne tak ranić nie mogą,
Jak te, co rosną tu, nad naszą drogą.

I to wiem, o Panie, żeś tu kędyś blisko
Pod krzyżem upadł na nasze ściernisko,
I żeś krwią swoją tę ziemię zakrwawił,
I obraz na niej swej męki zostawił,
I patrzę nieraz na pola te puste,
Jako na ową z Jeruzalem chustę...

I widzę we mgle śnieżystej, zdaleka,
Z twarzą znędzniałą, z łachmanem na grzbiecie,
Pochylonego ku ziemi człowieka,
Którego wielki krzyż śmiertelnie gniecie...
I wiem że to jest Cyrynejczyk Chrysta,
A resztę mgła mi kryje... mgła śnieżysta.

I wiem, i czuję, że tu jest Golgota,
Gdzieś był przybity do krzyża, o Panie!
Bo nie jest nigdzie tak ciężka tęsknota,
I takie blasków słonecznych konanie,
I taka żalność, i tak do ostatka
Nigdzie, przy krzyżu syna, nie trwa matka.

I zdaje mi się, żeś tu wyrzekł słowa:

— »Eli, Eloi, lamma sabacthani?«*)

Że tu z ramienia zwisnęła ci głowa,
I żeś tu skonał i zszedł do otchłani,
Gdzie wszystko chwili wybawienia czeka
Od polnych głązów, do serca człowieka.

I zdaje mi się, że tu leżysz w grobie,
Który jest ciężkim zawalon kamieniem,
I że straż pilna czyni się przy tobie...
Ale ja czekam z tęsknotą i drżeniem,
Bo wiem, bo czuję, że tu też, o Panie,
W dniu trzecim — będzie twoje zmartwychwstanie!

A za tego króla Jana...

Marya Konopnicka.

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— Ratuń królu! Gini Niemce!

*) Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu,
Naszym działkom — chrzest z ołowiu!

Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy!

My — siłami niemieckimi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginie — knechty i rycerze...
Ratuj — królu — bohaterze!

Król się porwał rozgniewany:
— Wara, krzyknął, bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci.

— Miecz mi dajcie!... Hej trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech husarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w rękę,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spoczne, klę się duszą,
Aż oczyszcze dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!« —

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy:
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna, wojna!...

.....
Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szcerbi kosa śmierci,
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmiać harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzają — jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem,
Po tem polu krwią zalaniem,
Strzał tureckich błyski chwytą
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-góra we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki,
Nie do świtu — lecz na wieki.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie...
— »Hej! na obóz! Naprzód, wiara!«
Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr lecą, jak grom wala,
Dziw, że świata nie obala,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostroga...

— »Naprzód!...« Wzięli namiot wroga...

Co miecz puścił — bije trwoga...

A po świetle okrzyk leci:

— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

W racławickiem polu...

Jan Sawa. (M. Konopnicka.)

W racławickiem polu
Świecą ranne rosy,
Migają się w jasnym słońku
Kosynierskie kosy.

Migają się kosy,
Nikt nie liczy wroga.
— Choć go będzie sto tysięcy,
Pójdziem w imię Boga!

Świeconą szablą
Pan Kościuszko skinał,
Jako orzeł w dwoje skrzydeł,
Wojsko swe rozwinął.

Na tem jednym skrzydle
Parskają koniki,
Tam generał Madaliński
Sprawuje swe szyki.

Na tem drugim skrzydle
Pan Zajączek stoi.
Tam się błyszczą chorągiewki
Miga słońko w zbroi.

Runęli na Moskwę,
Jak burzy nawała,
Odparły ich kartaczami
Te moskiewskie działa.

Runęli na Moskwę,
Jeden raz i drugi,
Nakryło się pole trupem
Krwi spłynęły strugi.

Widzi pan Kościuszko
Te nieszczęsne boje,
Tak zakrzyknie: — Dalej za mną,
Kosyniery moje! —

I z pośrodku skrzydeł
Jak orzeł się wzbija,
A lud za nim z wielkim krzykiem:
— Jezus i Marya! —

Pędzi pan Kościuszko,
Za nim wiara cała;
Nakryły ich ogniem, dymem,
Te grające działa.

Aż wódz z dymów krzyknie,
— Ejże, moje chwaty!
Któryż z was tam gardziel zatka
Moskiewskiej harmaty?

Wnet skoczy na wały
Zuch Bartosz Głowacki,
Gołą ręką brać te działa,
A z nim Stach Świstacki.

Przełękła się Moskwa
Tak wielkiego męstwa,
Otrebuje odwrót sobie,
A nam pieśń zwycięstwa!

Bój pod Lipskiem.

Jan Sawa. (M. Konopnicka.)

Poczerwiały orły złote,
Orły Francyi poczerwiały,
Skrwawił jasne pióra
I nasz srebrny orzeł biały.

— »Dalej, dalej orły moje,
W nowe trudy, w nowe boje!
W słońcu chwały wam wyzłocić,
Wysłonecznić pióra swoje!«

Rzekł Napoljon, ręką skinął,
Resztę armii swej rozwinął.
A z nim swoje losy wiąże
Poniatowski Józef książę.

Pod Lipskiem się Sasy bronią,
Nad Elstery modrej tonią,
Nad Elstery modre wody
Giagnie nasz bohater młody!

Już jesienne słońce wstało,
W nurtach rzeki się przejrzało.
Poniatowski się tam bije
I Francuzów odwrót kryje!

Napoljońskie sławne roty
I konnice i piechoty
Cofają się w głuchej ciszy,
Nikt tam strzału nie dosłyszcy.

Wyczerpany w głodzie, w znoju,
Nie ma Francuz już naboju —
Tylko piersi i pałasze
Zasłaniają go tam nasze.

Tak z pod Lipska uszli cało,
Tak ich nakrył swoją chwałą,
Swojej szabli błyskawicą,
Książę Józef z swą konnicą.

Przez Elsterę idą nasi,
A w tem most zapalą Sasi.
Już odcięta dla nas droga,
Hufce polskie — w mocy wroga.

Książę Józef w nurty spojrzał,
W bok rumaka wbił ostrogę:
— »Bóg mi honor dał Polaków,
Bogu tylko zdać go mogę!«

Ściągnął uzdę, szablą błysnął,
Wzniósł ku niebu modre oczy.
— »Za mną, wiaro moja!« — krzyknie
I w spienione nurty skoczy.

Poniosły go wody sine,
W głąb śmiertelną go poniosły,
A gdzie zginął nasz bohater,
Smutne wierzby tam wyrosły.

Ku chacie.

Marya Konopnicka.

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze
Z tych dalekich dróg!

Obejdz lądy, opłyn wody,
Nie odesknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary pszczelny ul!...

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól!...

W marmurowych chodzisz grodach
Uteśkniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką
Het, przez łążny szlak...

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać na przemiany,
Co tam, gdzie i jak...

Przed sądem.

Marya Konopnicka

Drobny, wychudły, z oczyma jasnymi,
W których łąy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rżesach spuszczonej ku ziemi:

Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozplakać się i wołać: »matko!«
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka, i pusta, i ciemna, i chłodna,
I bezlitośna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich nie mająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę, —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrział i rzekł: »Gdzie rodzice?«
»Nieznani« — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją naga,
Jak gdyby nagle od jednego słowa
Zjęło go zimno i pustka grobowa..

Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: »Czy w wiosce jest szkoła?«
— »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie.
Przytem — pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokule;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po szarej bibule.
A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany!
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy,
Na drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała światła innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakimś grzmiącym i ogromnym słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świecie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona

Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
 Że chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawą chłopczyzny...

»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecko, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!«

 Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką płowej jego głowy,
I rzekł: »Pójdź dziecko! ja cię uczyć każę!«

Chłopskie serce.

Marya Konopnicka.

W tłumie, na mrozie stanęła pod ścianą
Okryta starą mężowską sukmaną.
Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.

W rękę ubogi węzelek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha...
Twarz jej wygasła, pozołkła, zmartwiała,
Jak pustka, była posepna i cicha.
I tylko usta zacięte, drgające
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny
I bić w niebiosa i wstrząsać to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.

Sąsiad przemówił do niej: »Pochwalony«!
Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym...
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzyła na drzwi zamknięte, przed siebie.

O! pochwalony! O błogosławiony
Bądź ty mi, Chryste, co przebite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bóg nędzarzy!
Ty zliczysz kędyś w błękitnem swem niebie
Wszystkie gryzące łyzy troski i bólu,
Co żłobią brózdy wśród zwiedłych tych twarzy!
O! pochwalony bądź, boleści królu!

Z trzaskiem otwarto drzwi sali; w natłoku
On jeden tylko jest widny jej oku...
Jej Jasiek!... dziwne spostrzega odmiany...
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany...
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu. Był gipszy i bladszy,

A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły ...
— »O matko! — Nie płacz! Pan Jezus przemieni«.
— »Tyś głodny; weź to, posil się na drogę« ...
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsiek i szepnął: »Nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!« ... Jak chusta zbladła,
Lecz rozłamała chleb i z synem jadła.

A wtem wydano ostatnie rozkazy,
Marsz zabrzmiął. Jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów i chaty i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty...
— Hej! ... Nie zobaczyć już tego w żołnierce! —
Powstał zgielek, lament... Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,
Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą iść miały rekruty ...
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła ...
— »Dziecko! ...« krzyknęła raz tylko i zbladła
I zatoczyła się - i martwa padła ...
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

Wolny najmita.

Marya Konopnicka.

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą
Między półkami jęczmienia i żyta
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą

Wolny najmita.

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy,
I ziemia we łzach zaledwie wydała

Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki
Wyniany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu wschód wita...
Staął i otarł łzę połą swej świty —
Wolny najmita.

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu
Gdy się podoba...

Wolny, bo nie mu nie ciąży na świecie, —
Kosa ta chyba, co zwisała z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie
I ból istnienia.

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje.

Wolny! — wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kłać zgrzytem tłumionej rozpacz;
Może oszaleć, i płakać, i śpiewać,
Bóg mu przebaczy.

Może zastygnąć, jak szrony od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni,
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej tej chatki
I mokrą łączkę, i mszary i wrzosa
Obsadził urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź, idź! opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy,
I choć nie zaznasz przez cały rok chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegoż on stoi? — wszak wolny jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita.

W kościele.

(Pan Balcer w Brazylii.) Marya Konopnicka.

Inaksza znowu moda jest w niedzielę.
Place zalega murzyństwo pstrym tłumem,
A kiedy dzwony uderzą w kościele,
Pcha się to ławą z hałasem i z szumem,
Jak stado czarnych baranów w kierdele,
Z daleka cuchnąc kozim potem, rumem;
Co drugi, trzeci — z psem, a w rękach laski.
I tak zawałą nawę po balaski.

Dopieroż taki elegant se siedzie
Na kij, fontaż czerwony, sam bosy,
I tak na strony wykreca się wszędzie,
Za uchem zaś mu sterczą papierosy.
Już ci lusterko z kieszeni dobędzie,
Plunie w garść, już ci przymusknie se włosy,
Zagwiżdże na psa i patrzy po gólkach,
A pies tymczasem węszy po ampułkach.

Wtem ksiądz z ambony huknie: — »A hultaje!
A drapichrusty jedne!« — Tu zamacha
Pięścią — »To takie wasze obyczaje?
To msza i kościół, i Bóg u was fracha?
Na Polskę patrzcie, co wam przykład daje!
Polska! Polacy! Wywodzą się z Lacha,
Czyli tam Lecha. To, panie, nie drwinki!
A słyszcie, jak to śpiewają godzinki.

Polska! Polacy! A wiecie, barany,
Co to jest? ... Dalej, złazić mi z tych lasek!...
To jest najmiłszy kraj, Bogu wybrany.
Niż tutaj srebro, tam więcej wart piasek.
— Złazicie, czy nie? Łby ośle! Bałwany!
Czekacie, aż was przemierzy ten pasek? —
— Polska! ... By nie śnieg, co drogi zagroził,
Chrystus Pan byłby w Polsce się narodził!
Ale to nie jest! Wszak stoi w kolędzie,
Że Polska w światłach betleemskich stanie
Nad narodami. Że z niej to się wszędzie
Rozniesie, ono wiosenne śpiewanie
Wolności świata. Że wyjdzie orędzie
I nowy zakon narodom się stanie,
Przez moc, co nie jest francuska, ni włoska,
Ani angielska, ale jest moc boska!

Na klęczki, durnie! Bo o czem tu mowa,
Tego na klęczkach słuchać wam, hołota!
Polska... Polnego narodu królowa,
Cała przetkana w kwiatuszki ze złota,
Cała w łez srebrze, cała rubinowa
Od krwi ofiarnej, co tam jest za wota...
Boże! Po co ja gadam? Po co płaczę?
O Polsko, Polsko, kiedyż cię obaczę!« ...

Buchnął z ambony szloch, opadła głowa
Na pierś, ksiądz klęknął jak przed sakramentem.
Co obaczywszy, gromada też owa
Runęła o ziem, z okrutnym lamentem.
Tak co niedziela grzmiała polska mowa,
Której nikt nie znał tu w tem miejscu świętem.
Krom nas, a one pocziwe kudłacze
Aże ryczały płacząc, że ksiądz płacze.

Do swoich.

Marya Konopnicka.

Ojcowie wy moi: matusiu serdeczna
I ojcie rodzony, ratujcie biedaka!
Tu kędym się dostał, niewola mi wieczna
I żalność za serce mnie chwyta, oj! taka,
Że radbym na skrzydłach stąd leciał w tej chwili
Przez morze, przez sine, do chaty, do białej...

Tam u was już zima ku wiośnie się chyli,
Choć nocą przymrozki, już śniegi stajały,
I ojciec wnet z pługiem na pole wyruszy:
Bociany wracają i klucz tam żurawi
Już pewno nad ziemią skrzypiący się pławi...
Oj, matuś! gdy wspomnę, aż rwie się coś w duszy —

Tu całkiem inaczej. Tu inne są nieba
I mowa inaksza: ot, pożal się, Boże.
Zagadasz do człeka po ludzku, jak trzeba,
A co ci odpowie, to zgaduj, kto może!

Bywało, gdy jadę na dworskie, na łany,
Czy z pługiem na ugór, czy z broną na rolę,
A huknie pan na mnie: »Cóż to, mój kochany,
Czy myślisz, że długo marudzić pozwolę?«
Lub krzyknie ekonom: »A żwawo, Macieju,
A jak to pług wiesz, a jaka to skiba,
Znać w głowie już nie masz ni za grosz oleju!«
To człowiek zrozumie — a nie wstyd bo chyba,
Gdy łaje swój swego? — Więc nawet nie gniewny.

A tutaj nie łaja, lecz wszystkim ja obcy,
I nikt mi nie swojak, i nikt mi nie krewny,
I wszyscy my tutaj rataje, parobcy
Jak owce zgubione. Są także kobiety
I dzieci u piersi. I wielkie stąd smutki.
Bo matki w głos jęczą: »O Chryste, o rety!
Gdy zamrze im z biedy robaczek malutki,
A zamrzeć jak nie ma? ni domu, ni łomu...

Bez pracy — giń z głodu, a z pracą też bieda,
Bo krzywdzą, a niema poskarżyć się komu,
I urząd tutejszy słuszności nam nie da.
Sprzedani my ludzie... za lichą zapłatą,
I znikąd pociechy i znikąd nadziei...
Matusiu wy złota! czy syna wy na to
Rodzili, głaskali, żeby w Brazylei
Przepadał wam marnie? Jest u was tam kiecka
I jedna, i druga, są sznury koralu —
Sprzedajcie! ratujcie! Uźalcie się dziecka,
Bo na tej obczyźnie kto mu się uźali?

Gdy pacierz człek mówi, to nawet sam nie wie,
Czy dojdzie do Boga... Tu wszystko opacznie i
Inaksze tu gwiazdy, ptak inny na drzewie,
A kiedy z drzewami rozhovor wiatr zacznie,
To nie tak jak u nas, co szepce lub wyje —
Tu — ryczy i szczeka, jak wściekle bestyje!
Dziewczęta — myślicie? Oj! pomnę ja Hanię...
Oczęta, jak chaber! Tu — spojrz której w oczy,
A żarem z nich sypnie, aż w głowie się zmroczy...
A ludzie tutejsi? — Po prostu cyganie.

Oj! niosło nas morze szumiące, zielone,
Oj! niosło na mękę! Już my na okręcie
Niem mało cierpieli; lecz nam ludzie one,
Co kusić nas przyszli na to przedsięwzięcie,
Mówili, że tylko przeszkadza tak morze,
Że potem, z okrętu gdy człowiek wysiedzie,
Jak w raju się znajdzie... Raj? Skaranie Boże!
W tym raju zwierz dziki i gadu moc wszędzie,
Tu żre nas tęsknica, tu zjada nas nędza,
I twardy nas ciwun do roboty pędza.

No! ziemia to zawsze jest matka łaskawa,
Lecz ziemi tej darmo nie dają, ojcowie;
Nic tutaj nie dają! nas ciżba jest mnoga;
Każdego spytajcie, a każdy wam powie,
Że w piersi się bije, a modli do Boga:
»Daj wrócić nam, Panie! Do chaty, do ziemi,
Do starych rodziców — na chleb nasz razowy,
Do wioski ojczystej, na cmentarz wioskowy,
Daj wrócić! Daj pożyć i umrzeć ze swymi!«

Nasz sztandar.

Marya Konopnicka

Nasz sztandar tkąła żywa moc,
Co śmierci się nie lęka!
Przez chmurne dni, przez głuchą noc
Tkąła go duchów ręka.
My jej drgającą snuli nieć
Z serca, co żarem bije...
Ten tylko naród godzien żyć,
Co czuje sam, — że żyje!

Nasz sztandar powiał w jasność zórz
Na drzewcu z tego drzewa,
Co korzeniami w szerz i wzdłuż —
Wrosło w tej ziemi trzewa.
I nikt i nic, przez żaden trud,
Nie zerwie węzła tego,
Co z ziemią wiąże wierny lud,
A ziemię z duchem jego.

Nasz sztandar jedno hasło ma,
I jedno zawołanie:
W jedności, w pracy życie trwa.
Jest z klęski — zmartwychwstanie;
My go z czcią niesiem w życia chram
Od ziemi, od macierzy...
Ten tylko wejdzie do jutra bram,
Kto w jutro swoje wierzy!

Ojczyzna.

Władysław Bełza.

Ojczyznę moją, o bracia mili,
To piosnka, którą skowronek kwili,
To nad rzeczulką brzoza płacząca,
Uśmiech boleści i łza gorąca!

Ojczyznę moją — to ojców dzieje!
To prawda, która w nich promienieje,
To cuda, jakie Bóg przez nie świeci,
Gdy w dzielnych mężów zolbrzymia dzieci!

Ojczyznę moją — te rozsypane,
Jakby gołąbki, strzechy słomiane!
Pastuszej dziatwy figle, zabawki
I wdzięczne tony wiejskiej ligawki!

Ojczyznę moją — ów pochylony
Ponad rozdrożem krzyżyk omszony —
Z temi szmatkami koszulki białej,
Od łez mateczynych rozpromieniałej!

Ojczyznę moją — to bratnie groby
Pełne wdowiego smętku, żałoby —
I te tak hojnie na plony cudu
Rozsiane kości mojego ludu!

Ojczyzny mojej, wielkiej, wspaniałej
Zarówno szukam na polu chwały,
Jak i na szlaku mogił cmentarnych,
Od San-Domingo — do gwiazd polarnych!

Lecz ja nie wpadam nigdy w zwątpienie!
Jak chrześcijanin wierzę w zbawienie!
Wierzę, że naród nim zmartwychwstanie,
Pierw wszystkich piekieł przejdzie otchłanie.

Pierw się po stokroć w ogniu przepali,
Aby podobien był z hartu — stali!
I póki jeszcze nam błękit nieba,
Póki do działu Bóg dał kęs chleba,

A na pociechę łzę i pacierze:
Któż mi Ojczyznę moją zabierze?
Kto się ośmieli wydrzeć mi z łona
Mych bohaterów wielkie imiona?

Kto ma wzrok taki orli, sokoli,
By w głąb mi zajrzeć, co w piersiach boli?
I co tam serce żywi miłością,
I jakie ziarno w polu tam rośnie?

Więc nie zginęłaś, Ojczyzno moja!
Ty nam, wygnańcom, świecisz jak zbroja,
A gdy blask nowej rozstrzeli zorzy,
Bóg nam tę zbroję na pierś położy.

Narodziny piosenki.

Władysław Belza

Przed wiekami, przed dawnemi,
W niskiej chatce bez okienka,
Na tej starej polskiej ziemi,
Narodziła się piosenka.

Nikt nie wiedział, jak i kiedy
Przyszła piosenka na świat Boży:
Czy się wzięła z łez i biedy,
Z blasków słońca czy też z zorzy?

Ale kto ją ujrzał zbliżka,
Już szedł w duszy z jej obrazem:
I dziwili się ludziska,
I płakali z piosnką razem...

A gdy uśmiech, gość przelotny,
Na usteczkach jej zawisnął,
To bywało jak w dzień słotny,
Kiedy promień słońca błysnął.

Z tym uśmiechem, w takt piosenki,
Niezbadanych czarów siłą,
Łzy się kryły, milkły jęki,
I otuchą serce biło.

I szukano w ziemi całej,
Aż gdzie słońca gasną łuny,
Dla dzieciny dla tej małej,
Karmicielki i piastuny.

Raz w noc bylin, u przaśnicy,
Sama piosnka ją odgadła,
I na ustach krasawicy,
Jak motylek lekko siadła.

I objęła ją rączkami,
Tuląc główkę w rąbek szaty,
To znów siejąc pod stopkami,
Słońce, wiosnę, woń i kwiaty...

Snać znalazła w niej dziecina, •
Karmicielkę natchnień słodką, —
Bo zajęła się dziewczyna,
Opuszczoną tą sierotką.

Przygarnęła ją w ramiona
Niby jej macierzy duszka;
Ogrzewała ją u łona,
Kołysała w takt serduszka.

I już odtąd, w jedną stronę,
Szły przez wieki w rękę ręką,
Niby siostry dwie rodzone:
Polskie dziewczę i piosenka.

O! niech długo, długo jeszcze,
Na tej smutnej naszej glebie,
Wszystkie pieśni, dумы wieszczę,
Polskie dziewczę tak kolebie.

Zgodnie z swoim przeznaczeniem,
Niech wciąż spełnia rolę wielką:
Wieszczów stając się natchnieniem,
A ich pieśni krzewicielką.

Chleb przeklęty.

Władysław Bełza

Jest chleb od Boga błogosławiony,
Choć ciężko zdobyć go w życiu!
Znojem oblany, łzą okraszony,
Ależ jak słodki w spożyciu!
I jest chleb drugi: nie z daru nieba,
Lecz z krzywdy ludzkiej poczęty...
Strzeżcie się, strzeżcie takiego chleba,
Bo on od Boga przeklęty!

Ty od rannego świtu, mój bracie,
Schylony w pracy pocziwej,
Czy to na roli, czy przy warsztacie,
O! jakże jesteś szczęśliwy!

Twój chleb choć w ciężkim zdobyty znoju,
Patrz, jak się w rękach twych mnoży;
To chleb twej dumy, pracy, spokoju,
Bo to prawdziwy chleb boży!

Lecz ty, coś chleb swój wydarł sierocie,
Bliźnim zagrabił ich mienie,
Co urągając Bogu i cnocie,
Zbrodnią obarczył sumienie. —
Twój chleb, choć jesz go niby bez troski,
Gorycz zawiera i męty:
Bo zawisł nad nim już wyrok Boski,
Bo on od Boga przeklęty.

W rozczyntnie jego jest kwas niezdrowy,
Jad, co go pleśnią powleka;
To nie mistyczny chleb Chrystusowy,
Co gładzi grzechy człowieka;
To chleb przeklęty!... Od tego chleba
Niech ręka broni nas Pana!
Bo on nie manna, co spada z nieba,
Ale jest darem szatana!

Wiązka drzewa.

Władysław Bełza.

Wicher smutne gra piosenki —
Śnieżne płaty lecą z nieba,
W chatce tylko łzy i jęki:
Ani drzewa, ani chleba!

Biedna matka drży i płacze —
Jak grób ciążą jej powieki!
Ojciec skończył dni tułacze,
I pod śniegiem śpi na wieki!

Chatką mroźny wiatr pomiata,
Szczelinami śnieg szeleści!
O! jak ziemia ta bogata,
I w niedolę i w boleści!

— Mamo, zimno! płaczą dzieci.
Patrz, my wszystkie pokostniały —
Lecz skąd dostać wśród zamieci,
Choćby drzewa wiązki małej?

Matka rzuca bólów łoże,
I pobiegła w bór głęboki.
O! miej litość, dobry Boże!
Nieszczęśliwej wspieraj kroki.

Staje — łza na licu świeci —
I palcami skrwawionemi —
Drewek parę dla swych dzieci,
Od zmarzłej odrywa ziemi!

Uśmiechnęła się z radości —
— Toż na ogień dzieciom stanie!
Jakżeś pełen jest litości,
Jakżeś dobry dla nas, Panie! —

Zarzuciła wiązkę drzewa
I powraca już do chatki.
Kruk grobową pieśń rozwiewa,
Jakby szydził z szczęścia matki.

Bieży — słabnie — w oczach ciemno,
Mroczniej w duszy noc zapada!
— Panie! litość miej nademną,
Nad mą dziatwą — jęczy — blada!

Jęki zmilkły — a na śnieży
Wiatr gra tylko pieśni swoje;
Patrzę: matka martwa leży!

.

W pustej chatce dziątek troje.

Pieśń litewskich borów.

Henryk Sienkiewicz.

Wyszedł raz srogi ukaz do litewskich borów,
Aby nie śmiały szumieć ni modlić się, ani
Mruczeć inaczej swoich wieczornych nieszporów,
Jak na suzdalską nutę: »Boże, cara chrani«. —

Trwoga padła na puszcze. Stoją ciche drzewa,
Jak wynurzon z wód łona bór zakamieniały.
Ani zwierz się nie ozwie, ni ptak nie zaśpiewa,
Dzięcioł boi się nawet pukać w pień spróch-
[niały. —

Dejatele zaś krzyczą, potrząsając knuty:
»Bór się boi, więc zagra wedle carskiej nuty!«

Wtem wstaje wiatr — i leci od zachodniej strony,
Już spadł na gonnych sosen wyniosłe korony.
Mrukneły dęby, trzęsie liśćiami brzezina:
Słuchajmy! pieśń się jakaś wśród puszczy po-
[czyna

I brzmi coraz potężniej między konarami:
»Święty Boże, a mocny, zmiłuj się nad nami!«

Przy kowadle.

Władysław Ordon.

Dyszą miechy — węgle świecą,
Ogień w górę słupem bije,
Iskry złotym deszczem lecą
Na zczerniałą twarz i szyję.

Czasem stal się z wodą skłóci,
Syknie — niby się oburzy,
Stary kowal piosnkę nuci,
A młot stary w takt mu wtórzy:

Krzyż na czoło, dziatwo wierna!
Boże słońko wstało wcześniej,
Oto w ciało moc niezmierna
Łaską Bożą zlane we śnie.

Więc z tą mocą, gdy tak padło,
Skłoń się Panu i młot z dłoni
Spuść, a dziarsko, na kowadło,
Aż jak wielki dzwon zadzwoni.

Z nieba świętym przykro w dole
Widzieć, jako człek się leni,
Lecz gdy stanie pot na czole,
Bóg żelazo w chleb przemieni.

Z nieba, dziatwo, patrz zachęty,
Nie daleko iść za znakiem,
Wszakże cieślą — Józef święty,
A Piotr klucznik — był rybakiem

Bóg sam — wielki król kowali,
Kiedy w grzesznym dusza harda,
To go ogniem nieszczęść pali,
Aż w nim pycha stleje twarda.

Potem kawał stali suchy
Młotem kary — bije, ciśnie,
Aż zeń tęcza łzawej skruchy,
Niby iskier snop wytryśnie.
Więc za Bogiem, gdy tak padło,
Żwawo, dziatwo, i młot z dłoni
Spuść, a dziarsko, na kowadło,
Aż jak wielki dzwon zadzwoni!

Matka Polka.

Franciszek Waligórski.

Stała u Matki Najświętszej obrazu,
Niema i blada — rzekłbyś posąg z głazu,
Gdyby nie ogień, co się w oku żarzy,
I łez strumienie ciekące po twarzy.
Oh! bo okropny cios dotknął jej serce:
Niedawno męża zabili morderce,
A dziś złowroga wieści jej nowina,
Że już drugiego traci w boju syna....
Jest jeszcze jeden... Niewiasta zadrżała,
To jej nadzieja i pociecha cała!
Cóż jej zostanie gdy i ten polegnie?
Kto wesprze biedną, gdy ją boleść zegnien?
Kto skrzepi wiarą, kiedy zwątpień zima
Omrozi duszę, — i kto ród utrzyma?
Toż straszna boleść tłoczy pierś matczyną,
A z oczu gorzkich łez potoki płyną.
Słucha... ktoś szybkim przybliży się krokiem;
To on! młodzieniec z pałajacem okiem.
»Matko, ja idę,« wyjąknął z mozołą
I na jej piersi złożył jasne czoło.

— »Muszę iść matko!«

— »O drogi mój synu,
Czyli dłoń twoja już zdolna do czynu?«
--- »Czy zdolna, matko! Alboż do ofiary
Nie dość jest męstwa, miłości i wiary?
Bo choć dziś jeszcze wątki moje dłonie,
Duch je umocni i ten żar, co płonie
W duszy Polaka, na hasła Ojczyzny,
Wiary, wolności i ojców spuścizny.
A przecież, matko, tyś sama wpajała
Miłość ofiarną w serce twego syna...
Dzisiaj wybiła już dla mnie godzina!
Wzywa mię Polska, oblana krwią całą;
Wzywają cienie i ojca i braci,
I jasny orszak męczeńskich postaci...
Matko, ja idę!« --- I padł na kolana:
A ona patrząc w niebo, zapłakana,
Krzyż położyła na głowie młodziana,
I rzekła z cicha: »Idź, mój synu, idź!
Bo lepiej zginąć, niż w niewoli żyć!«

Przy łuczywie.

Franciszek Waligórski.

Ej — matulu — ja się boję!

A czegoż to, dziecię moje?

— Bo gdym wczoraj o tej porze
Był za kwitem tam we dworze,
To słyszałem, jak panowie
Powiadali w swej rozmowie,
Że na wiosnę — to najdalej,
Przyjdą jacyś tu Moskale,

Ludożerce — wilkołaki —

Co wygubią twór wszelaki...

— Ot — strach próżny cię owłazi.

A bo Moskal ludzi zjada?

— Toć ja tego nie wiem wcale.

Ale wy, matulu, wiecie;

Więc powiedzcież mi raz przecie,

Co to właśnie są — Moskale,

I skąd biorą się na świecie?

Czy się lęgną — czy się rodzą.

Czy jak wilcy lubią jary,

Czy to wodne są poczwary,

Czy skrzydlate — o łbach wielu

Jak smok niegdyś na Wawelu?

Gdyż koniecznie mi się zdaje,

Że to przecież jakieś dziwa;

Bo i dziaduś, kiedy łaje,

To Moskałem mnie przezywa....

— Co ty pleciesz, jak w obłędzie?

Wszak to ludzie są, Wojtusi,

Tacy sami jak i wszędzie.

— E — to chyba żart, matusiu!

Bo mówili tam we dworze,

Że to jakaś dzicz — niebożę —

Co morduje — niszczy — pali -

Wzbrania mowy nam i wiary,

Nawet domy Boże wali,

A jakieś tam swoje cary

Jak samego Boga chwali.

I o takiej wy paskudzie

Powiadacie, że to ludzie?

Nie, matulu, — to poczwary!

.

Attyla.

Kazimierz Gliński.

— »Gdzie miecz mój padnie — tam znika życie,
Gdzie koń mój stąpi — trawa nie wzrośnie!«

Straszliwe słowa padły donośnie
Jak gromów dalekich bicie.

Palą się stepy krwawym płomieniem,
Dyszą rumaki wzięte od żłobu —
Upiór z krwawego podniósł się grobu
I słońce okrył swym cieniem.

Jak wichr, co pustyń piaski zamiata,
Jak grom, co błysnie, zanim uderzy,
Jak szal spienionych fal u wybrzeży,
Tak on przechodził — bicz świata!

Do bojowego pieśni akordu
Łączy się głuchy szelest pożarów —
Wśród puszczy dziewiczych, wśród pól obszarów
Straszliwy stąpa duch mordu.

Krwawą źrenicą oko się pali,
Krwawy miecz w dłoni jak słup wyrasta —
Uderza w grody i wsie i miasta,
Druzgoce — depce — i wali!

Biją pioruny, ryczą trąb gardła,
Krwí koral znaczy drogę pochodu —
I suną widma nędzy i głodu,
Aż ziemia szatę rozdarła.

Nie płacz już płynie, nie jęk już płynie,
Ale ryk jeden rozpaczy i szalu...
Ostatnia iskra gaśnie zapału,
Ostatni bohater ginie.

Pyszny zwycięzca miecz swój uchyla,
O gruzy ruin wspiera się dumnie,
Na pokonanych usiada trumnie,
A imię jego — Attyla!

»Wina w puhary! niech lśni jak rubin,
Albo złocistym błyska topazem --
Tryumfu mego dzień dzisiaj — razem
Dzień mych królewskich zaślubin!

»Głowy rycerskie wetknąć na słupy,
Łby wodzów wrażych dzidy wyróżnia —
Niech patrzą oczu wybitych próżnią
I bledną, gdy mogą — trupy!

»Oto Udyka wraz ze mną siedzie,
Podzieli twarde łoże Attyli... —
Rozkażę — do mych stóp się uchyli,
Rozkażę — zmiatać kurz będzie!

»Dziecię krainy, którą w pożodze
Zgniotły wojsk moich krwawe zastępy,
O której chyba dziś kraczą sępy,
Mogily mówią przy drodze;

»Dziecię krainy, której synowie
Świat wypełnili odgłosem chwały:
Dziewictwa swego skruszy kwiat biały,
Skróń schyli na me wezglowie.

»Zamordowałem ojca i braci,
Macierz rzuciłem w fale Dunaju —
Tryumf ostatni: za mord ten kraju
Ona miłością zapłaci«.

Warknęły bębny... Od złota, sreber
Gnie się stolisko, strugi win biją;
Goście biesiadni jedzą i piją,
Pas popuszczają u żeber.

Udyka do nóg pańskich się schyla,
Na dzidach błedną rycerskie głowy,
Zwycięzca gładzi dziewczki włos płowy,
A imię jego — Attyla!

Noc... W liść sztandaru lekki wiatr dmucha,
Księżyc po ostrzach dzid pływa węzem —
Straż u namiotu, groźna orężem,
Stoi — i patrzy — i słucha.

Wtem, postać cichym idącą krokiem,
Jak blade widmo zjawi się nagle —
Gwiazdy pobladły, wiatr zwinął żagle,
Księżyc się okrył obłokiem.

Idzie w róż wieńcach... Róż tych moc zgubna
Dla zmysłów, gdy się z uściskiem splecie —
— »Kto tam?« — straż spyta... — »Żali nie wiecie?
Dziś pana mego noc ślubna«.

Przeszła... I znowu zwarły się straże.
Izba biesiadna... księżyc twarz bledszą
Ukazał... Z ostrza dzid czaszki patrzą,
Straszliwe, okropne twarze!

— »Precz stąd!« trup każdy zębem zazgrzyta,
Grobowej woni odstrasza mdłością...
A ona: — »Idę płacić miłością —
Pokorna — cicha — zabita!...«

Idzie... szkieletów klekot nie płoszy —
Noc przeokropna, choć wonna, cicha...
Słychać westchnienie — to król oddycha,

Wije się w szale rozkoszy.

Krzyk... jeden tylko — okrutny — dziki...
Spieszą strażnicy — i stają bieli —
Z sercem przebitem król — trup w pościeli,
Nóż krwawy w ręku Udyki.

Straszliwa!... szatę męża uchyla,
Na pierś wskazuje, kędy znak siny...
— »Oto bicz ludów, pan mej krainy —
A imię jego — Attyla!«

Chata ojцова.

(W skróceniu).

Kazimierz Gliński.

Pod błękitów osłoną,
Złotą słońca powieką,
Którą rzuca zdroj ciepła
Hen — daleko, daleko —
W cienie krzewów rzucona,
Kwieciem kalin różowa,
Stoi moja rodzona,
Moja chata ojцова.

Ot, obórka tuż przy niej,
Na niej bocian klekoce,
A słowiki śpiewają
I dni całe i noce —
Z klasków, z gwizdów się składa
Ich piosenka świetlana,
Aż mi z serca wypada:
Oj, ta dana, oj dana!

Jaskółeczki u okien
Szare gniazdką swe wiją —
Płyną wkółko nad ziemią,
Z kwiatów krople ros piją.

W wieczór cichy z za siola
Dzwoni piosnka nam znana —
Echo słucha i woła:
Oj, ta dana, oj dana!

Ku błękitom, ku słońcu
Trzy się wzniosły topole —
Huczą skrzydła wiatraka,
Na las patrzą na pole —
Stoją pełne zbóż stogi,
W gumnach ziarno się chowa.
Świat mi nie jest tak drogi,
Jak ta chata ojcowa.

W sadzie wiśnie i grusze
I czeremchy kwiat biały —
Z pierwszym brzaskiem już słońca
Grają pszczołek hejnały.

W szybkę okna z ogrodu
Patrzy kwiatów królowa —
Pośród kwiecia, lip chłodu,
Śnij, o chato ojcowa!

Staw się rozlał szeroko,
Toczy fale pomału —
W srebrnych toniach królewna
Śpi na łożu z kryształu.

Nocką tysiąc lśni gwiazdek,
Mgła napływa perłowa —
W wieńcu mgieł tych i gwiazdek
Marzy chata ojcowa.

Przemarzyła już tyle
I zim długich i wiosen,
Tyle igieł upadło
I żywicznych łez sosen.
Hej! rok jeden i drugi
Przetrwa jeszcze kochana —
I brzmieć będzie czas długi:
Oj, ta dana, oj dana.

Nie tak! — nie tam!

Kazimierz Gliński.

Miał jeno kawał sukmany
I silne dłonie —
Pracował nieraz o głodzie,
Rąbał drwa w lesie — pasł konie,
Gdy księżyc świecił rumiany,
Na ziemi sypiał wznak
Nie tak jak pany,
Nie tak!

Obsiewał nie swoje łany,
Orał nie swoje —
A wczesnym rankiem brał kosę,
A nocką bydłał gnał troje
Na zarośnięte kurhany —
Szedł z długim batem sam
Nie tam gdzie pany,
Nie tam!

A gdy włos biedą stargany
Błysnął siwizną;
Gdy chude barki się zgięły,

Na żebry ruszaj, starzyzno!...

I szedł przed siebie, jak gnany

Z obwisłym skrzydłem ptak —

Nie tak jak pany,

Nie tak!

Wsunął w żebracze łachmany

Wychudłe członki,

Umarł na progu kościelnym,

Gdy w niebie grały skowronki...

Nic mu już smutki, nic rany!

Do rajskich poszedł bram —

Nie tam gdzie pany,

Nie tam!

Gdy ziemia w śnie odpoczywa...

Wiktor Gomulicki.

Gdy ziemia w śnie odpoczywa,

Chodzi Pan Jezus przez łąny,

O dusze ludzkie stroskany,

Jak pilny rolnik o żniwa.

Słuchając sumień w noc cichą,

Mleczną od blasków księżyca,

Osmętnia Pan Jezus lica,

Przelekły człowieczą pychę.

Złoczyńcy niezwarłe oko

Przeszywa senną gąszcz liści...

Spotkawszy wzrok nienawiści,

Pan Jezus wzdycha głęboko.

Z wichrem, co trawą szeleści,
Chór klątw nadpływa co chwila...
Pan Jezus głowę pochyła
Z wyrazem wielkiej boleści.

Krzyk wstrząsnął ciszą i cieniem,
Człowieka morduje człowiek...
Z pod Pana Jezusa powiek
Łzy gorzkie płyną strumieniem.

W posępnym świat szczyrniał mroku,
Zawyły wichry ponure —
Pan Jezus uniósł się w górę,
Roztopniał w srebrnym obłoku.

W noc każdą miesięczną, białą,
Schodzi Pan Jezus na ziemię
I słucha, czy ludzkie plemię
Chwast złości z serc swych wyrwało.

I zawsze grzechów otchłanie
Musi porzucić splakany...
Kiedyż odlecą szatany?
Pan Jezus z nami zostanie?

Błogosławieni!

Jan Kasprowicz.

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpacz y głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni:
Błogosławieni.

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Wielkiego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z chwałą króluje zwycięstwo —
Bez twardych kajdan i bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni...
Ten raj się tylko dla silnych zieleni —
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprząтали z ich ziaren owoce;
I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
Gdy złote słońce blaskiem zamigoce,
Będą wołali duchem podniesieni:
Za ojców sprawą świat się nam rumieni —
Błogosławieni!

Melodye wiosenne.

Jan Kasproicz.

O, witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,

O, witajże nam, wiosenko
Gorąca!

Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,

Ty białą zapalasz ręką
Blask słońca.

Jasne jak kryształ potoki
Zsyłasz na ziemię,

Jasne jak kryształ potoki
Świat poją:

Przebudź z zadumy głębokiej
I ludzkie plemię,
Przebudź z zadumy głębokiej
Brać moją.

Grudzień rozsypał swe szrony
Na senne skronie,
Grudzień rozsypał swe szrony
Na serce,
I duch, tym lodem zmrożony,
Siłą nie płonie,
I duch, tym lodem zmrożony,
W rozterce.

Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam bledną, —
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy;
Lecz spuść rzeźwiącą krynice
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynice
Co prędzej.

O, witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O, witajże nam, wiosenko
Gorąca,
I białą roztaczaj ręką
Kobierce z ziela,
I białą zapalaj ręką
Blask słońca.

Z głębi duszy.

Maryan Gawalewicz.

Pochwalony!... pochwalony
Niechaj będzie Pan nad Pany,
Że zawiesił złote dzwony
W ludzkiej duszy rozśpiewanej!...

Co odczuje serce człeka,
Co pomyśli ludzka głowa,
W znak cudowny się obleka
I rozbrzmiewa dźwiękiem słowa.

Szanuj, ludu, skarb ten święty,
Jakim język jest i mowa,
Bo w nich duch twój jest zaklęty,
Bo w nich myśli twych osnowa!...

Na rozłogach tego świata
W pomieszanym ludzi tłumie,
Po języku poznasz brata,
Co cię pojmie i zrozumie.

Czcij i kochajże go zatem,
A tym swojskim zdobny znakiem
Dasz świadectwo dziś przed światem,
Że tej ziemi syn — Polakiem!...

Stań się Polski godnym synem,
Chrobry, dzielny i wytrwały
Ucz się łączyć słowo z czynem,
W zmudnej pracy szukaj chwały!

Pomnąc, że do jaśniejszego
Jutra cała ludzkość zmierza —
Ucz się wcześniej od wszystkiego:
Abecadła i pacierza!...

Światło wiary, jasność Boża
W ciemne dusze, jak dzień wnika;
Nie zabłądzi na bezdroża,

Kto ma w wierze przewodnika...

Najchlubniejsze nasze rany,
Najpiękniejsze nasze blizny,
To po strugach krwi wylanej,
Te dla wiary i Ojczyzny.

* * *

Nad przepaścią nasza droga
Przez zawrotne wiedzie skrzyty, —
Kto nią lud chce wieść bez Boga,
Ku zagubie — ten przekłety!...

Ale błogosławion taki,
Co w nim szczepi miłość, wiarę,
Co pod Chrystusowe znaki
Sklada serce na ofiarę!

Błogosławion każdy z ludzi
Dobrej woli, czystej siły,
Który w słabszych ducha budzi:
Biada sercom, co zwątpiły!...

* * *

Nad przepaścią droga nasza...
W cieniach, w mrokach szczyt wysoki...
Lecz jest gwiazda, co rozprasza
Dla narodów nocne mroki...

I ten tylko wzwyż się wspina,
Kto w jej blasku naprzód kroczy,
Z nią się nowy dzień pocyna,
Ku niej ludzkość zwraca oczy:

W jej promieniach świat się mieni:
Wśród pustyni wschodzą kwiaty,
Zorze wstają z nocnych cieni,
Kędy gwiazda lśni — oświaty ...
Zaś najsroższa z klęsk, co gnębi
Ludy i we więzy mota,
Co aż z piekieł wyszła głębi,
By świat gubić — to ciemnota!
Gdy w przyszłości pragniesz cudu,
Co-ć ma ojców zwrócić stratę,
Czcij i kochajże mój ludu:
Język, wiarę i oświatę!...

Sen szlachcica.

Włodzimierz Wysocki.

Po obiedzie pan Jacenty
Chrapnął na kanapie;
Pomrukuje, świszczę nosem
I potężnie chrapie.

Białą chustką przykrył głowę
I rumiane lica,
By ich czasem nie ucięła
Mucha swawolnica.

Żona, dzieci, domownicy,
Każdy stąpa cicho,
Każdy palec ma na ustach:
»Cyt, bo będzie lichy...

Cyt, nie budźcie, bo nieborak
Znużył się nielada,
Już trzy noce nie spał... w karty
Grając u sąsiada!«

Wtem się zbudził, jak lew ryknął
Zacisnąwszy pięście,
Twarz mu zbladła — włos się jeży:
»Nieszczęście, nieszczęście!«

Na głos biegną domownicy,
Biegnie w strachu żona:
— »Mój Jacusiu! co ci, rybko?«
Pyta go strwożona.

— »Ach! nieszczęście, sen... okropność
Nad ludzkie pojęcie;
Zmówcie zaraz trzy pacierze
Na moją intencję.«

»Jezus, Marya! mój Jacenty,
Czyś nie chory, rybko?
Zaraz poślę po doktora,
Niech przyjeżdża szybko.«

— »Ach! dajże mi, imość, pokój
Ze swymi doktory:
Sen mię strwożył, sen niezwykły...
Ach! okropne zmory!«

— »Uspokój się mój, Jacenty,
Sen — mara, Bóg — wiara,
Objadłeś się, moja rybko,
Więc...« — »At pleciesz, stara!

Wszak sny często Pan Bóg zsyła
Ludziom dla przestrogi.«

— »Więc powiedz, coć się śniło,
Że tak drżysz, mój drogi.

Może zbójcy, nieurodzaj,
Pomór, albo może
Moszko z wekslem i komornik?«
— »Gdzie tam, jeszcze gorzej!«

»Może wojna, rewolucya,
Sybir, lub broń Boże,
Śmierć którego z naszych dzieci?»

— »Gdzie tam, jeszcze gorzej!

Może potop, koniec świata,
Sąd straszliwy Boży,
Może piekło...?

»Gdzie tam, jeszcze gorzej!

Oto śniłem, że nasz proboszcz

(A dajże go katu!)

Wsadził, panie, mnie bez czterech

Na dziewięć bez — atu!!«

Pochodnie Nerona.

Mirosław Dobrzański.

W prastarym Rzymie, stolicy świata,

Krwawo zachodzi wolności słońce...

I gdzież są dawni swobód obrońce?

Czy dali gardło pod topór kata?

O! już nie szukać w nich starej cnoty:

Gdy Rzym się pali, lud z głodu kona,

Oni, w bezwstydzie własnej sromoty,

Chylą swe czoła do stóp Nerona!

Próżno, ach próżno na sprawcę zbrodni

Głos ludu pomsty woła do nieba,

— Igrzysk i chleba! — krzyczą wyrodni —

Hej! daj nam igrzysk i chleba!

Więc sprawił orgję; da widowisko,

Że pozazdrości mu piekło!

A potem ręką, w urągowisko

Krwia własnej matki ociekła,

Wychyli puchar na cześć rozpusty
Na łonie lubieżnej Fryne,
By bluźnierczemi nakoniec usta
Śmiech rzucić w podłą drużyne.

*

*

*

Zmierzcha. Jużienne światło zagasło,
Czas już rozpocząć krwawe obrzędy.
Orgia przerwana. Na dane hasło
Rzesza ciekawych, gdzie spojrzeć wszędy
Przez pałacowe zbiega kruzganki
Pomiędzy żywe chrześcijan szpalery.
Tam, z różanemi na głowach wianki,
Stoją też tłumem strojne hetery,
Gładjatorowie, skoczki, atleci,
I obojętną żrenicą w oku
Patrzą, czy rychło w nocnym pomroku
Żywych pochodni blask im zaświeci.

Wtem: Neron! Neron! — Ucichły zgraje
I wraz w złocistej niesion kolebce,
Krwi chciwy tygrys wśród widzów staje:
— To ci! — ponurym głosem wyszepce,
— To ci! — powtórzy i wzrok swój dzik
Utkwi przed siebie, jakby chciał zbadać —
Skąd mogą nędzne te męczenniki
Taką potęgę ducha posiadać?
— Mająż zwyciężyć? Mająż ich święci
Istotnie kiedyś zawładnąć światem?
Ich Bóg pod pontskim umarł Piłatem.
Oni podemną pomrą, przekleci!

Dał znak — i oto straszna ofiara
Całopalenia już się zaczyna:
Po jednej stronie ufność i wiara,
Dla których bije męczeństw godzina,
Po drugiej widzim złości szatana;
Tam duma, łzami ludu karmiona —
Tu miłość Boża... Ach! któż pokona?
Czyjaż i kiedy będzie wygrana?

*

*

Minęły wieki od onej chwili,
A neronowych ogień pochodni
Wciąż jeszcze płonie na chwałę zbrodni?
Próżno się ludzkość zalać go sili,
Próżno ach! ramię swoje wyteża,
Wstaje i pada, znów się podnosi,
Krwia męczenników o litość prosi
I zwyciężona — sama zwycięża.

Lecz choć się chwieje jej losów szala,
Z jej pełnej bólu i męstwa twarzy
Widzisz, że prawda wkońcu przeważy,
Ze Bóg — zginionych nawet ocala.

Wioska polska.

Kaźm. Laskowski. (El.)

A czemżeś ty dla mnie, wiosko,
Czemże ja tobie —
Ze tak lecę do cię z troską
O każdej dobie
Myślami,
O każdej dobie.

Że tak leczę, a spoglądam
 Ku czarnej roli,
Że cię pragnę, a pożadam,
 Jak własnej doli,
 Zbawienia.
 Jak własnej doli.

A czymżeście dla mnie chaty,
 Wy progi niskie,
Że mi wasze znoje, straty,
 Tak sercu blizkie,
 Siostrzane.
 Tak sercu blizkie.

Czemże ja wam zasłużyłem,
 Pola a niwy,
Że mi przy was życie miłem,
 Dzionek szczęśliwy,
 Złocony,
 Dzionek szczęśliwy.

Co wy macie do mnie drzewa,
 Wy polne grusze, —
Że gdy wietrzyk wami śpiewa
 Ja łzami proszę
 By rosą,
 Ja łzami proszę.

A czyście mi co zadały
 Chaty a wioski?
A toć wrócę do was cały;
 U białej brzożki
 Zalegnę,
 U białej brzożki.

Toć nie zginę gdzieś na świecie,
Powrócę cały,
Toć mię prochem znów weźmiecie
Jakżeście dały,
Zrodziły,
Na życie dały.

Suty pogrzeb.

Kazimierz Laskowski.

Trumienkę miała malowaną
Z desek sosnowych,
Wiązanek jej słomy pod głowę dano
Z kłosów żytniowych.
W daleką podróż, wychudłe z nędzy,
Okryto ciało
W zgrzebną koszulę z domowej przędzy
I chustę białą;
Szkaplerz na szyję i krzyżyk czarny...
Z ziemskiej chudoby
Więcej nie wzięła w obwód cmentarny
Pomiędzy groby.
Za trumną nie szli blizcy — krewniacy,
Żaden z sąsiadów...
I tak samotna z rodzinnej wioski
Poszła nieboga,
Niosąc łzy swoje, żale i troski
Do stopni Boga!
Nikt nie zapłakał biednej sieroty,
Rodzic ni macierz,

A tylko lipy zielone sploty
Zmówiły pacierz.

A brzóz cmentarnych płaczącej kosy,
Nad jej mogiłą,

Wiatr stracił kilka kropelek rosy,
A łez... nie było!

O daj mi, Panie, po dniach pokuty,
Ziemskiej tułaczki —

W rodzinnej wiosce pogrzeb tak suty
I takie płaczki!

Trzy łokcie ziemi niech mi wyznacza,
Dziad grób wybierze —

Cmentarne drzewa niechaj zapłaczą,
Zmówią pacierze...

Więcej nie pragnę! Cóż z ludzkich żali?
Po co łzy bliźnie?

Byle — mogiły mi nie sypali
Hen, na obczyźnie!

Bo jabym... w grobie tęsknił za swemi,
Za rajskim echem,

Grzeszył miłością ojczystej ziemi
Jeśli to grzechem.

Hej, żeby tak...

Kazimierz Laskowski (El.)

Hej, żeby tak w garści socha
Iść warkoczem skib,
Orać dla tych, co się kocha,
Na powszedni chleb — o wiośnie,
Na powszedni chleb!

Hej, żeby tak wodzić pługiem...
»Odsie«, »wišta«, »ksie!«
Ponad Wisłą, Narwią, Bugiem,
Tam, gdzie serce rwie i dusza,
Tam, gdzie serce rwie!

Hej, żeby tak ziarna z korzec
Na tysiączny plon,
Niechby rosło, jak proporzec,
Jak krakowski dzwon szumiało,
Jak krakowski dzwon!

Hej, żeby cztery siwe,
Bicz konopny... hej!
Huknąć! jechać w dni szczęśliwe
O wiosence tej złocistej,
O wiosence tej!

Król Łokietek.

Artur Oppman. (Or.-Ot.)

Król Łokietek wzrostem mały,
Ale duchem śmiały,
Jako słońko promieniste
Świecił Polsce całej.

Trzykroć z kraju uciec musiał
Przed przemożnym wrogiem,
I tułał się w cudzej ziemi,
Za ojczyzny progiem.

A gdy wrócił, to go kmiecie
Ukrywali w chacie.
Chadzał wonczas król Łokietek
W zgrzebnej chłopskiej szacie.

W zgrzebnej szacie chadzał władca
I pługiem kierował,
A do śmierci dla rolników
Miłość w sercu chował.

Siadł na tronie pozłocistym
Król Łokietek chwacki.
Alić z boku krzyżak czyha,
Napada z zasadzki.

Niszczy, grabi polską ziemię,
Ludzi w jasyr bierze;
Gorzej wilków gospodarzą
Krzyżaccy rycerze.

Krzyż na piersiach, miłość w uśmiech,
A zaś w piersi zdrada.
Hej! Łaskawy usuń Boże
Takiego sąsiada.

To nie plemię Chrystusowe,
To jest krew Judasza.
I Łokietek srebrzystego
Dobywa pałasza.

Dobył miecza, siadł na konia
I ciągnie pod Płowce,
A tam zdali już bieleją
Płaszczami krzyżowce.

Zadzwoniły głośnie trąby,
Zaparskały konie,
Pieśń Wojciecha uroczysta
Polata przez błonie.

Wieje sztandar z białym orłem,
Nad rycerstwa głową,
Czerwienieje w blaskach słońca
Barwą purpurową.

I natarły oba wojska,
Z impetem na siebie.
Święty Michał patrzy z góry,
Siedzący na niebie.

Święty Michał patrzy z góry,
Naszym błogosławi,
Co na wroga lecą stadem,
Jakby klucz żórawi.

Uderzyli całą mocą,
Przy ramieniu ramie,
Po pancerzach mieczmi grzmocą,
Wróg się cofa — łamie!

Padły nogą przydeptane
Te krzyżackie żmije.
I płowieckie huczą pola,
Łokietek niech żyje!

Niewiast polskich serca święte.

Artur Oppman (Or-Ot.)

Od początku dziejów naszych,
Od uwicia gniazdek laszych,
Odkąd białe orły słyną
Bujające nad krainą,
Odkąd żyje polska strzecha,
Polskich pieśni lecą echa, —
Lśnią jak gwiazdy wniebowzięte,
Polskich niewiast serca święte.

One Kingi, Salomeje,
Z których Boża cnota wieje,
I Jadwigi nieskażone,
Dziś noszące z gwiazd koronę,
Szły przez głogi i przez ciernie,
Jezusowi służąc wiernie.
Wobec Boga czcią przejęte,
Polskich niewiast serca święte.

I te, które syny swoje
Na śmiertelne słały boje,

Na Tatara i Turczyna,
Gdzie śmierć krąży krwawo-sina,
Kiedy tamci walczą w bitwie,
One trwały w łzach, w modlitwie,
W mocy swojej niepojęte,
Polskich niewiast serca święte!

Czy wieśniaczki, czy królowe,
One zawsze jednakowe,
W możnym zamku, w kurnej chacie,
W równym chodzą majestacie,
Czy w płótniance, czy w koronie,
Zawsze każda zorzą płonie;
Zawsze słodko uśmiechnięte,
Polskich niewiast serca święte.

Ach i dzisiaj z równą mocą
Blaskiem cnoty nam migocą,
Starodawnej pełne wiary,
Rozświetlają pomrok szary,
Koją bóle i tęsknoty,
Wznosząc w niebo ducha loty,
Miłowaniem wskroś przejęte.
Polskich niewiast serca święte.

Więc gdy wokół biją gromy,
Gdy drżą w grozie polskie domy,
Gdy się los nasz chwieje, waży,
One stoją wciąż na straży,
Jak anioły nieskalane,
Duszą całą w zwyż podane,
W mękach życia nieugięte
Polskich niewiast serca święte!

Zwalonym krzyżem -- zapadłym mogiłom.

Artur Oppman. (Or-Ot.)

Po ciemnych, zadumanych borach
Zapadłe w ziemię stoją niskie groby,
Pieśń je kołysze o wiosny wieczorach
Wspomnieniem krwawej, a rycerskiej doby,
I ptak nad nimi tak żałośnie śpiewa,
I łzy spadają z szumiącego drzewa.

Niegdyś tu grała pobudka junacza,
Niegdyś kipiące paliło się życie...
Dziś nad mogiłą ległego tułacza
Chłopska dziewczyna pomodli się skrycie,
Dzieciak przyklęknie, biegnąc na jagody,
I kwiat zakwita... i śpi żołnierz młody...

Szczęśliwy! lasy grają mu rodzinne,
Rodzinne niebo patrzy na mogiłę,
I proch wymarza jakieś lata inne,
I umarłemu sny się roją miłe,
Czuje, jak ziemia żywym tętnem bije...
Na świecie wiosna! Ona żyje! żyje!

A tam daleko, na śnieżystym stepie,
Widnieją krwawe, niezatarte ślady,
Kruk czarnem skrzydłem nad trupami trzepie,
I Anhellego duch się snuje blady...
Słyszać w kopalni grzmot ciężkiego młota,
A w kacie siedzi... gdybyż śmierć!... tęsknota!...

Tęsknota! Boże! takim strasznym dzwonem
Bije ten wyraz o wygnańcze łono!
Za wszystkim drogiem, za wszystkim straconem,
Za chatą własną, za matką, za żoną,

Za kwiatem w polu, za niebem, za listkiem,
Za psem domowym! za wszystkim! za wszystkim!

O, gdyby leżeć na polanie leśnej
Z głowicą szabli potrzaskanej w ręce
I czuć, jak ziemią idzie powiew wczesny,
Jak wiosna idzie, czekana w piosence,
Jak przez mogiły idzie, i jak one
Drżą szczęścia pełne i zmartwych zbudzone!

Ale tam echo wiosny nie dolata,
Tej naszej wiosny, ubranej w pierwiosnki,
I tylko sercom śni się polska chata,
I łąn zbożowy, i znajome piosnki,
I krzyż z Chrystusa miłościwem licem
Co jest tej ziemi stróżem i dziedzicem.

Krzyżom zwalonym, zapadłym mogiłom,
Kopalniom czarnym w srebrnej dalekości,
Leżącym w grobie zmarnowanym siłom,
Żałobnym szczątkom okrwawionych kości,
Duchom, zbawionym przez życia męczeństwo, —
Pamięć — kochanie — i błogosławieństwo!...

Odjazd na wojenkę.

Artur Oppman (Or-Ot.)

Tam pod jasnem, włoskiem niebem,
Pomarańcze kędy kwitną,
Gdzie kwitnące wiecznie róże
Patrzą w morza toń błękitną;
Gdzie rycerski Bonaparte
Niezwalczone sprawia szyki, —
Tam z Ojczyzny biegną milej
Nasze młode wojownicy.

Na wezwanie Dąbrowskiego,
Które woła biciem dzwonów.
Rzuca chłopiec chatę ojców
I pospiesza do legionów.

Rzuca chłopiec chatę ojców
I dziewczynę ukochaną,
I krajowi daje siebie,
By wypełnić, co kazano.

Kto ma w piersiach dzielne serce,
Ten się wahać nie powąży,
Jemu we dnie i po nocach
Sztandarowy ptak się marzy.

Jemu we dnie i po nocach
Śnią się boje, srebrne zbroje,
Aż rodzicom do nóg padnie
I pożegna kąty swoje.

Stary ojciec szablę dawa,
Starą szablę prądziadowską
I ryngrafik, z Barskiej jeszcze,
Z Matką Boską Częstochowską.

Macierz syna błogosławi,
Dłonią tuli go zgrzybiałą:
— Bóg cię prowadź, synu miły!
Powróć zdrowy! Powróć z chwałą!

*

*

*

W całej wiosce gwarnie,
Jakby na kiermaszu,
Każdy parobeczek
Przy lśniącym pałaszu.

Nie jednej dziewczynie
Pierś się bólem ściska,
Nie jednemu chłopcu
Łza w źrenicach błyska.

Oh, żal sercu żegnać
Te kochane strony,
Te serdeczne łany,
Ten nasz kraj rodzony!

Te szumiące lasy,
Rozśpiewane gaje,
I poważne rzeki,
I srebrne ruczaje.

Przed chatami starzy
Zadumani stoją,
Racławicką przeszłość
Wspominają swoją.

Cichy pacierz szepcą
Usta rozmodlone:
»Najświętsza Panienko
Pod Twoją obronę...«

*

*

*

Na rozstaju Boża Męka
Spogląda ku wiosce,
Młode dziewczę pod nią klęka
W żalości i w trosce.
Tak serduszko w piersiach lata
Tak się dusza smuci:
— Jedzie miły na kraj świata,
A Bóg wie, czy wróci.

O, Jezusie! przez Twą mękę!
Przez konanie Twoje!
Weź pod swoją świętą rękę
Ukochanie moje!
W krwawych bitwach strzeż go, Boże,
Od śmierci ponurej!
I przez szumne prowadź morze,
I przez strome góry!
Codzień krzyżem będę leżeć
W modlitwy godzinie
Jeno, Chryste, pozwól wierzyć,
Że mi on nie zginie!
A już raczej mnie, o Panie,
Zabierz do Swej chwały,
Lecz niech wróci me kochanie,
Niech on wróci cały!

* * *

Na koń! na koń!
Do ręki broń!
Wojenna pieśń zabrzmiała!
Na długie dni
Bądź zdrowa mi,
Ty chato ojców biała!

Do drogi czas!
Kraj wzywa nas!
Niewolno tracić chwili!
Żegnamy was!
Żegnamy was!
Żegnamy was, o mili!

Ty, trąbko, graj,
Niech wtórzy gaj,
 Niech przestrzeń poda echo!
 Niech pieśni ton
 Dźwięczy jak dzwon,
 Nad ukochaną strzechą!

Zaparskał koń!
Zabrzękła broń!
 Przejrzała się w niej zorza!
 I jadą już
 Na gromy burz,
 Za góry i za morza!

*

*

Pusto, smutno w cichej wiosce,
Po chałupach słyszać łkanie,
A dziewczyny chusteczkami
Ślą ostatnie pożegnanie.

Niknie w kurzu hufiec dziarski,
Coraz ciszej grzmiaą tętenty,
Ten i ów się spojrzy jeszcze
I znak krzyża czyni święty.

I słoneczko zasmucone
Świeci z nieba jakoś bladziej...

Niechaj Bóg ich zaprowadzi!...
Niechaj Bóg ich przyprowadzi!...

W pochodzie.

Artur Oppman (Or-Ot.)

Jadą ułany,
Hej! na wojenkę,
Śpiewają sobie
W drodze piosenkę.

Śpiewają sobie
O żołnierzyku,
Co to na ciele
Ran ma bez liku.

Idzie żołnierzyk
Samotną drogą,
Na całym świecie
Niema nikogo.

Mundur w łachmanach,
A bosc nogi,
Ledwo się wlecze
Wiarus ubogi.

Idzie polami,
Idzie lasami,
Świecą mu oczy
Gorzkimi łzami!

Ojczyźnie żywot
Poświęcił cały —
I cóż ma za to
Żołnierz zgrzybiały?

Tylko na ciele
Te krwawe rany,
Tylko na grzbiecie,
Zdarte łachmany!

O, nie, zaprawdę!
Nie to jedynie!
Krzyżyk zdobyty
W obcej krainie!

Krzyżyk, co nosi
Na swoim łonie,
A dumny z niego,
Jak król w koronie!

* * *

Jadą hułany,
Hej! na wojenkę,
Śpiewają sobie
W drodze piosenkę.

Jak to wśród bitwy
Kulki latają,
Jak to żołnierza
W serce trafiają.

Żołnierz z konika
Spada nieboże,
Z ziemi macierzy
Ma twarde łoże.

Krew ciurkiem płynie
Z śmiertelnej rany,
A nad nim stoi
Konik kochany.

Stoi bułanek,
Nóżką dotyka:
— Wstawaj, mój panie,
Gra trąb muzyka!

Gra trąb muzyka,
Walka dokoła! —
Lecz próżno trąca
I próżno woła.

— Ha! śpij, rycerzu,
Nie zbudzę ciebie! —
I nóżką panu
Mogile grzebie.

Młodość.

Artur Oppman (Or-Ot.)

Błogosławionaś ty, młodości,
Zapałem swoim święta;
W twem sercu iskra tkwi miłości,
W niebiosach gdzieś poczęta.
Przeciwność — tylko sił ci doda
I bardziej z pracą zbrata,
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!

Tyś jest olbrzymem, który może
Tysiączne zwalczyć trudy,
Na chmurnem niebie zatlić zorzę,
Marzone spełniać cudy!
Marnować czasu — trzykroć szkoda,
Gdy wiosna mknie skrzydlata!
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!

Cóż ci zapory? cóż przeszkody?
One dla ciebie niczem!
Przez ostre ciernie, śniegi, lody
Z radosnem mkniesz obliczem!

W twych myślach zawsze lśni pogoda,
Przed tobą — obszar świata!
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!

Idź! zrywaj kwiaty! lecz, na Boga!
Pamiętaj zawsze o tem:
Że wiedzie w przyszłość twoja droga,
Do jutrzni, lśniącej złotem!
Gdy czas ucieka, gdyby woda,
Niech zapal nie odlata
I niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!

Ty jesteś ziarnem, które strzeli
* Złocistym, bujnym kłosem
I całą ziemię uweseli
I z lepszym zwiąże losem.
W tym wielkim celu twa nagroda
I pracy twej zapłata,
Więc niech się święci dusza młoda
I młodociane lata!

Idzie bieda.

Andrzej Niemojowski.

Od wsi do wsi idzie bieda,
A przytułku któż jej nie da?
Choć ją z dworów wyszturchali,
Bieda sobie u nas chwali.

Bo chłop czeka ją przed progiem
I powita Panem Bogiem.
Ugościwszy należycie,
Ofiaruje całe życie.

Różnie w świecie jest niekiedy,
Ale nikt tak nie czci biedy,
Nikt się o nią nie postara,
Jak ta nasza chłopska wiara.

Leje deszcz, dmie zawierucha,
Bieda idąc w palce dmucha,
Moknie, ziębnie, lezie dalej,
Ale sobie u nas chwali.

Do syna!

Kazimierz Tetmajer.

Pomnij, jakimkolwiek chodzi
Los twego życia szlakiem,
Że każdy wraz się tutaj rodzi
Człowiekiem i Polakiem —
I że to dwie są święte rzeczy
O sile apostołskiej:
Piękny i dobry duch człowieczy
W gorącej piersi polskiej!

Balada o cyganie.

Kazimierz Tetmajer.

Cygan raz przyszedł na króla dwór,
Cygan, co grał na gęśli,
Cygan, któremu ojcem był bór,
A matką cicha dolina gór.

I zagrał. Zdumiał dwór cały w krąg,
Cygan, co grał na gęśli,
Że mu aż gęśle wydarto z rąk:
Czyli są z drzewa, czy z kwiatów łak?...

I został w króla pałacu tam,
Cygan, co grał na gęśli,
»Bierz złoto, ile w skarbcu go mam —
Rzekł król, — a tylko graj ciągle nam!«...

I grał — i długi spędzał tam czas,
Cygan, co grał na gęśli,
Daleko jego rodny był las,
A płomień ducha w nim gasł i gasł..

Tęsknił, lecz złotem otoczony był,
Cygan, co grał na gęśli,
I biały biust tam niejeden lśnił,
Kuty z wrzącego marmuru brył..

Aż raz tęsknocie uległszy swej,
Cygan, co grał na gęśli,
Opuścił króla, dwór i swych kniej
Biegł szukać, rodnych swych lasów, hej!

Lecz przebóg! Cóż to! tam, kędy znał
Cygan, co grał na gęśli,
Przepastne bory: był zrębów zwał,
Wyciętą pustką wiatr tylko gnał.

I stanął z sercem skrzepniętem w lód,
Cygan, co grał na gęśli,
Jest tam nurt cichych, głębokich wód,
Okło nie dojrzy, kto runie w spód..

Wieczera Pańska.

Lucyan Rydel.

Był wieczór Paschy. W milczeniu głębokiem
Siedli napoju pożywać i jadła —
Wieczernik szarym napelniał się mrokiem.

Półjasność zmierzchu, mglista i wybladła,
Na stół, białemi zasłany rańtuchy,
I na ich twarze łagodnie się kładła.

I cisza była; a w tej ciszy głuchej
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy
Gnał z pól zielonych wiośniane podmuchy.

Wpółśród rybitwów tych ubogich siadłszy,
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna
Mistycznych brzasków grała światłość złota
I myśl ogromna jakaś i jedyna...

Z ich oczu — serca patrzyła prostota,
Pierwsi pić mieli z kielicha Miłości,
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota,
Iż byli jako ptaki leśne — prości.

Legenda o królowej Jadwidze.

Lucyan Rydel.

Szumia wody wiślane
Rozszalałe, wezbrane,
Nurt za nurtem szumiący pomyka
I toczy mętną pianę.

U wawelskiej opoki
Wynióśł odmęt głęboki
Posiniałe ciało pacholika,
Biedne, młodzieńcze zwłoki.

Gawiedź ludzka ciekawa
W okrag topielca stawa,
Przyziera się nagiemu trupowi,
Oczy śmiercią napawa.

Tłum i wzdycha i gwarzy,
Ktoś rozpoznał go z twarzy,
Iż to synek jedynak był wdowi,
Uczeń cechu kotlarzy.

Nagle milkną rozmowy,
Odkrywają się głowy,
W ciżbie miejsce przestronne się czyni
Dla Jadwigi królowej.

Na Wawelu w Krakowie
Byli dobrzy królowie,
Lecz nikt lepszej nie widział władczyni:
Naród matką ją zowie.

Bo gdzie nędza się sroży,
Gdzie kto cierpi najgorzej,
Tam z pomocą litośną pospieszy
Jadwiga, anioł Boży.

Chlebem głodnych obdzieli,
Strapionych uweseli;
Wśród kalek nędznej rzeszy
Ludzie łąy jej widzieli.

I teraz litościwa
Łza po licu jej spływa;
Ona z ramion płaszcz własny odpina
I trupa nim przykrywa...

Jak ów syn biednej wdowy,
Tak całun pogrzebowy
Miała odtąd cechowa drużyna
Z płaszcza świętej królowej.

Dobroć.

Lucyan Rydel.

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej świata potrzeba!
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zniża do nieba.

Potęga jej w sercu poczęta
Nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
Że same do rąk się jej zleca,
I serca najdziksze rozbroi,
Że same dobrocią zaświecą...

Do ziemi Ojczystej.

Aleksander Piłiński.

Ziemió ty nasza, biedna ziemió szara,
Dla innych brzydka, a dla nas tak droga!
Wróg nam cię wyrwać od wieków się stara,
Choć tyś od wieków nam dana od Boga!

Ziemio ty nasza! w tobie ojców kości,
Krew w tobie żyje, co za cię spłynęła,
Z ciebie niech bije wciąż źródło miłości
I chęć się rodzi do Bożego dzieła!

O, ziemio nasza, niechaj twoje syny
W tej krwi i kościach mają posiew błogi,
Na pracę twardą i na wzniosłe czyny!
Niech z obowiązku już nie zbłądzą drogi...

W pomyślnej doli, czy w trudnej potrzebie
Niech będą wierni, póki ciebie starczy!
Bo biada temu, co na twym wzrósł chlebie,
A gardzi tobą, lub tobą frymarczy!

O ziemio, ziemio! wspólny ty nasz grobie,
Wspólna mogiło! żywe pokolenia
Niech mają twierdzę niepożytą w tobie,
I w tobie siłę swojego ramienia.

Siłę miłości, nadziei i wiary
Wzmagaj ty, ziemio, rodzicielskiem tchnieniem,
By w czyny rosły szlachetne zamiary!
Tak bądź narodu ciąglem odrodzeniem!

Marcin Kątski.

Leon Rygier.

Wśród smutnej doli za króla Sasa,

Wśród nędz powodzi —

Nagle po kraju pierwsza radosna

Wieść się rozchodzi:

Znowu Podole i Ukrainę

Polsce zwrócono

I w Karłowicach oddać Kamieniec

Postanowiono.

General Kątski odebrać twierdzę
Do Turków jedzie.
Wieść ta słonecznym błyska promieniem
W powszechnej biedzie.

Przyjechał Kątski. Wita go wściekły
Turecki aga.
Dyplomatycznie gniew i nienawiść
W sercu przemaga.

Przy oglądaniu twierdzy wstępują
Do ciemnych lochów,
Gdzie pod ścianami czernieją beczki
Drzemiących prochów.

Ogląda Kątski z oficerami
Groźne piwnice —
Śledzą go pilnie dzikie, płonące
Turka żrenice.

— »No, chwała Bogu, — rzecze generał, —
Zwycięża wiara —
Znowu powrócisz do swoich panów,
Warownio stara.«

Słyszac te słowa, zaśmiał się Turek...
Trzask... jasność blada...
Na beczkę prochu z ręki pohańca
Lont nagle pada.

Zdrtwili wszyscy na groźny widok,
Kątski się wzdryga,
A w mroku, z głuchym, ponurym szmerem
Światelko miga.

Ku wyjściu bieży w strasznym popłochu
Pobladła świta...
Nagle generał ku beczce skoczy
I za lont chwyta.
Trzyma go w dłoni, choć ogień kasa,
Do kości parzy,
I stapa dalej, z głową wzniesioną,
W głąb korytarzy.
Zbladł mściwy aga. Spuścił źrenice
I wbił je w ziemię,
I szepnął cicho: — »Giaurze przekłety,
Lew w tobie drzemie.«

Szarża.

Gustaw Daniłowski.

Wódz zmierzył pole bitwy, rzucił rozkaz krótki.
Ordynans go powtórzył; w cwał go poniosł drugi,
Aż do szeregów jazdy. Zagrzmiały pobudki.
Wykwitły z pochew szable, jak ogniste smugi.
Jak łan kłosów przed wichrem zatrzęsły się lance;
Szczękneło jakieś strzemie, gdzieś znów koń się wspina.
Marsz — marsz! I, kędy leżą nieprzyjaciół szance,
Pułk runął jak huragan, a brzmiał jak lawina.

* * *

Drżała ziemia. Pył złotej podniósł się kurzawy...
A na szarżę wódz patrzył, a nad wodzem słońce
Staczało się ogromne. I wszystkich lanc końce
Brały od jego łuny jakiś połysk krwawy —
Że rzekłbyś, każdy rycerz na końcu oręża
Nie śmierć, lecz ogień z nieba niósł do mrocznych wałów,
Z wałów warczały kule, a każdy z wystrzałów
Gasił lance, jak świecę, a z nią życie męża.

* * *

I coraz mniej promieni. Na zoraną ziemię
Trup pada w krwawym pocie, jak rataj po orce.
Reszta pędzi jak chmura, w której piorun drzemie,
Łan czerwieni krew jazdy, chmurę — jej proporee.

*

*

— Ta jazda, — tak do sztabu mówi wódz spokojny —
Nie zna, co to są dźwięki odwrotnych sygnałów.
Wnieście słońce na lancach do tych mrocznych wałów,
Albo padnie przy słońcu: w imię dobrej wojny,
Wobec zwycięstwa jutra, — dziś klęska nie boli!
Patrzcie! wszak i to słońce zda się w przepaść płynie,
Kona, zgaśnie za chwilę, a jednak nie zginie:
Jutro wszędzie w zdwojonej światła aureoli!

Statek.

Gustaw Daniłowski.

Rozżarła się burza... Nad statkiem się chwiały
Chmur cielska olbrzymie i ciemne jak kir.
Maszt piorun roztrzaskał, a żagle w kawały
Darł wicher; a w dole od piany aż białły,
Jak wściekły szamotał się wir.

Bałwanów pierś ciężka na pokład się kładła, —
W powietrzu jak sępy, lecące na żer,
Bój wiodły orkany; i śmierci widziadła
Stawały na falach; a zmora napadła
Sternika, tak szepcąc: »Puść ster!«

»Puść!« — kuszą go mary. »Puść« — fala mu pluszcze,
»Puść!« — wścieka się morze... »O, głupi!« — wiatr
[drwi.

On jedną dłoń wpija w ster, drugą w lin bluszcze
I szepce zawzięcie: »Nie puszcze, nie puszcze,
Dopóki choć kroplę mam krwi.«

Więc mary opadły załogę: »Szalona,
Zawracaj! — wołały — tam zguba, śmierć, mgły,
Zginiecie! A morze każdemu, nim skona,
Wygryzie żrenicę swą wodą, a słona
To woda i gorzka, jak łzy«.

Lecz mary załoga odpędza ze wstrętem
I woła: »Hej, naprzód! choć ciężko pod prąd!
Choć mgła nam żre oczy, wir grozi odmętem,
I burza się pastwi nad naszym okrętem,
Tam płynmy, gdzie jasny jest ład!«

»Więc naprzód!« — okrzykiem napełnia się sfera —
Tam, kędy się niebo rumieni od zórz!«
I dzielna załoga znów siły swe zbiera,
I dalej w mgłach płynie jaskrawa bandera,
Od gromów podarta i burz.

W ciemnościach lśnią węże z błyskawic warkoczy,
Bałwany podnoszą spieniony swój garb,
Szturmują żeglarzy, miotają żwir w oczy...
Niejeden jak perła, w głębiny się stoczy —
Dno morza zbogaci o skarb.

A inni tymczasem, wytrwali i karni,
Wciąż walczą i płyną na przebój, pod prąd;
W goryczy kąpani, od wichrów aż czarni,
Kierują za światłem odległej latarni,
Skąd jasny majaczy się ład.

Na maszcie, bez płaszcza, obdarty, wpólnagi
Kapitan swe oczy w mgły wpija jak sęp,
Piersiami osłania stargany szmat flagi
I szepce załodze: »Odwagi, odwagi!
Choć nitkę ocalmy, choć strzép!« ...

I nagle potężny hymn rzuca w przestworza.
Załoga wtóruje... i zerwał się śpiew,
Aż zadrżał firmament, zadrżało dno morza...
I statek tam zdąża, gdzie pali się zorza,
Jak łuna płomienia, jak krew.

H u s a r z e.

Jerzy Żuławski.

Szły te mary z przeszłości wywołane duchem,
Jak zórawie płynące w mglistym nieboskłonie:
Jadą cali w żelazie i w żelazie konie, —
Zbrojni kopią, koncerzem, tarczą i obuchem.

Na ramionach ich skrzydła szeleszczą z podmuchem
Wiatru, — w hełmy stalowe zakute i skronie, —
Na sztandarze przed nimi imię Maryi płonie —
»Boga Rodzico«... płynie w dal po polu głuchem.

Tętent kopyt, — schylają się na końskie karki;
Kopii las się pochylił: Turka czy Tatara
Lecą roznieść... W żelazie pierś, a w skrzydłach barki...

»Święta Boga Rodzico!...« Ziemia drży i tętni,
Grzmi żelazo — »Niech żyje Ojczyzna i wiara!«
Lecą, pędzą jak burza — czyści, wielcy, smętni — —

W co wierzyć.

Jerzy Żuławski.

Nie wierz nigdy, o! nie wierz, choćby ci mówiono,
Że miłość, szczęście, wiara — to są dźwięki marne:
Nie wierz, że życie smutne tylko jest i czarne,
Że cierpieniem jedynie tchnie człowiecze łono!

Nie wierz, że w zgłiszczach gasną płomienie ofiarne
A na ołtarz wystygły, dżdże z wichrami wioną,
Że uprosić nie można nic dłonią wzniesioną,
Że zło świata króluje — ślepe i bezkarne!

Nie wierz, choćby sto razy mówili bluźnierce,
Nie wierz, choćby twe własne tak mówiło serce,
Choćby gorycz łez z oczu płynących mówiła.

Choćby pierś twa spalona strasznym ducha głodem
A stargana rozpaczą, przebita zawodem —
Ty nie wierz! — choćby nawet to i prawda była...

• *

Ale zawsze wierz za to, że łzy nie są próżne,
Że nie ginie nic z cierpień ani pracy ducha.
Bo Bóg znoje policzy i krzyku wysłucha —
A serce Jego nagród nie zostanie dłużne...

Wierz, że chociaż grom błyska, huczy zawierucha,
To my lecim wciąż naprzód, żórawie podróżne!
A w kraj słońca lecące — i przez morza różne
Bożym duchem wiedzione. Wierz w to, a otucha

Niechaj nigdy ci z serca nie wyjdzie, ni z duszy;
Niechaj losu przeciwność tej wiary nie zgłuszy,
W której jedno jest szczęście i jedyna siła —

Wiary, że po cierpieniach i po trudach wielu
Dojść musimy nareszcie do świętego celu! —
W to uwierz — choćby nawet to nieprawda była!

Na armacie.

Zdzisław Dębicki.

Na wznak leży na armacie
Posiekany i pokłóty trup...
Tyżeś to, mój biedny bracie?
Ciebie wojna wzięła. jak swój łup?

Cichy sen ci zmorzył oczy,
Twoje usta nie przemówią już,
Piers twoja raną krwawą broczy...
Śpij przy szumie złotych, polskich zbóż!...

Ziemia cię przytuli matka,
Z ran czerwoną twych wypije krew.
Żeś, jak syn jej, do ostatka
Walczył mężnie, broniąc się, jak lew...

Obcy mundur — dola taka,
Lecz nie mundur mówi, ale zgon —
Śmiercią ległeś tu Polaka,
Bo tak umrzeć umie — tylko on...

Kazimierz Wielki, król chłopków.

Szczęśny Zahajkiewicz

Hej! gdzie grody? — Gruz z nich tylko..
Gdzie wioski i łany?
Z wiosek — zgłiszczą, a na polach
Wiatr posiał burzany.

Wojny ręka kraj zniszczyła,
Przybrała w chwast pola —
W lasach gaźdzą tłumy zbójców,
Wśród ludu — niedola...

Siadł na złotym tronie Piastów
Ostatni z ich rodu,
Król Kazimierz, król i ojciec
Polskiego narodu.

Spojrzał okiem, sercem odczuł
Tę niedolę ludu —
I nie szczędził, by kraj podnieść,
Ni grosza, ni trudu.

Jak po ciepłym deszczu grzyby,
Tak grody wzrastały —
Pola, łąny złotym kłosem
Znów oku się śmiały.

Sprawiedliwość znalazł teraz
Pan i kmieć ubogi,
Kupiec znowu był bezpieczny
Wśród lasów, wśród drogi.

Król, chcąc znać potrzeby ludu,
Za dziada przebrany,
Po wieśniaczych, biednych chatach
Chodził niepoznany.

I jak z równym pogawędził
Z mieszkańcem z pod strzechy,
W sprawiedliwych, dobrych czynach
Doznawał uciechy.

Wiele po nim pozostało*
Wiekowych pamiątek,
I dzisiaj wielu miastom
Już on dał początek.

Do dziś głosi jego chwałę
Krakowska wszechnica,
Sukiennice mówią o nim
O prawach Wiślica.

A lud w pieśniach Kazimierza
Jak ojca wspomina —
Wzdłuż i wszerz brzmi jego chwałą
Lechicka kraina.

Bo król chłopków wziął ją biedną,
Zniszczoną, drewnianą,
A zostawił w dobrobycie,
Szczęsną, murowaną.

O. kochajcie króla kmiotków!
Kochajcie tę ziemię,
Co wydała i karmiła
Wielkie Piastów plemię.

W kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej

Ewan.

Błogosław, Matko, naszej biednej ziemi,
Tej przebogatej w nieszczęścia i łzy,
O, chroń jej dzieci, idąc razem z niemi
Przez wichry, burze i przez ciemne mgły.

Błogosław cichej pracy nad ugorem,
By go nie zabrał obcy, wrogi lud —
Nad naszą chatą i tym czarnym borem
Wyciągnij ręce, a zmaleje trud.

Niech ci, co ciszy, -ukojenia pragną,
Zobaczą innych, lepszych czasów blask,
Niech nigdy burze czoła ich nie nagna,
Królowo święta, rozdawczyni łask!

Błogosław mężów, którzy silnie bronią,
Ojczystej wiary i ojczystych słów,
Co wśród nieszczęścia zwątpień łez nie ronią.
A gdy upadną — powstawają znów.

Błogosław dalej i te łany żytnie,
Mogiły, sioła, cały polski kraj;
Niech w wszystkich naszych strzechach znów za-
[kwitnie,
Ten stary, cudny wielkich ojców maj.



Spis rzeczy części I.

	Strona
Jan Kochanowski * 1530 † 1580.	
Treny (VIII. X. XIII)	1
Julian Ursyn Niemcewicz * 1758 † 1841.	
Piast	3
Franciszek Morawski * 1785 † 1861.	
Brzeża Gryżyńska	6
Wąż	9
Kazimierz Brodziński * 1791 † 1835.	
Wesele (z »Wiesława«)	10
Adam Mickiewicz * 1798 † 1855.	
Hymn na dzień Zwiastowania N. M. Panny	14
Pieśń Wajdeloty (z »Konrada Wallenroda«)	15
Koncert myśliwski (z »Pana Tadeusza«)	18
Opowiadanie Jana Sobolewskiego (z trzeciej części »Dziadów«)	19
Reduta Ordona — (w skróceniu)	22
Trzech Budrysów	25
Pani Twardowska	27
Pieśń filarecka	32
Antoni Malczewski * 1793 † 1826.	
Kozak na stepie (z »Maryi«)	32
Bohdan Zaleski * 1802 † 1886.	
Wzgórek pożegnania	34
U nas inaczej	37
Seweryn Goszczyński * 1803 † 1876.	
Westchnienie do Boga	39
Aleksander Fredro * 1793 † 1876.	
Osiełek przebierający	40
Zygmunt Krasiński * 1811 † 1859.	
Resurrecturis (Urywek)	41
Juliusz Słowacki * 1809 † 1849.	
Smutno mi, Boże	44
Rozmowa z Piramidami	45
Stefan Garczyński * 1805 † 1833.	
Przeczcucie śmierci	47
Ostatni kanonier	47

	Strona
Stefan Garczyński * 1805 † 1833.	
Posterunek na stracenie	48
Natarcie konnicy	49
Szturm do okopu odparty	49
Antoni Górecki * 1787 † 1861.	
Śmierć zdrajcy ojczyzny	50
Ant. Edw. Odyniec * 1804 † 1885.	
Wesele	53
Czy aniołek, czy dyabełek	58
Konstanty Gaszyński * 1809 † 1866.	
Tęsknota za krajem	59
Półka	62
Papuga i wróbel	63
Wincenty Pol * 1807 † 1872.	
Pieśń o ziemi naszej (wstęp)	65
Sztandar	67
Stefan Czarniecki	69
Ks. Karol Antoniewicz * 1807 † 1852.	
Święty Jan Kanty	70
Józef Borkowski * 1809 † 1843.	
Turczyk	72
Lucyan Siemieński * 1809 † 1877.	
Książ Dymitr Wiśniowiecki	74
Branka tatarska	76
Jan Nep. Jaśkowski * 1812 † 1882.	
Błogosławieństwo polom	78
Za późno	80
Józef Ignacy Kraszewski * 1812 † 1887.	
Ziemio!	84
Edmund Wasilewski * 1814 † 1846.	
Konik zwierzyniecki	86
Dalej skrzypki grajcie...	87
Antoni Czajkowski * 1816 † 1873.	
Śmierć Stefana Czarnieckiego.	89
Cyprian Norwid * 1821 † 1883.	
»Ruszał z Bogiem«	90
Teofil Lenartowicz * 1822 † 1893.	
Zachwycenie	91
Co miłsze?	95
Za dobre słowo dla pielgrzyma	96
Do mojego grajka	98
Kornel Ujejski * 1823 † 1897.	
Hagar na puszczy	100
Pogrzeb Kościuszki (w skróceniu)	102
Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz)	
* 1823 † 1862.	
Zwierzyna	104
Grabarz	107

	Strona
Włodzimierz Wolski * 1824 † 1882.	
Skarga Żmudzinów	110
Roman Zmorski * 1824 † 1867.	
Przypowieść wschodnia	115
Adam Pajgert * 1829 † 1872.	
Karliński	116
Seweryna Duchńska * 1816 † 1905.	
Idźmy dalej	118
Mieczysław Romanowski * 1834 † 1863.	
Dziadus	119
Ku ojcom	121
Deotyma (Jadwiga Łuszczewska) * 1834 † 1908	
Polska mowa	123
Adam Asnyk * 1838 † 1897.	
Dwa anioły	124
Słonko	125
Siedzi ptaszek na drzewie	126
Do młodych	127
Marya Konopnicka * 1842 † 1910.	
Credo	128
Bogarodzica	129
Pieśń pracy	131
Poszłabym ja...	132
Na gody	133
Do granicy	135
Bez dachu	140
List Jana Grudy do rodziców. (Pan Balcer w Brazylii)	143
Władysław Bełza * 1847	
Hymn Polski	146
Kobiecie	147
Do młodej Polki	148
Mogła Wandy	149
Henryk Sienkiewicz * 1845 † 1916.	
Kozieł i wilk	151
Zygmunt Głogier * 1845	
Do tych, którzy śpiewać zapominają	152
Kazimierz Gliński * 1850	
Kulig	153
Julian Ochorowicz * 1850	
Naprzód!	155
Wiktor Gomulicki * 1850	
Pobudka	158
Maryan Gawalewicz * 1852 † 1910	
Księżyc jegomość	159
Edward Słoiński * 1872.	
Głód	160

Jen Kasprowicz * 1860.	
W noc wigilijną	161
Kazimierz Laskowski (El) * 1861 † 1913	
Nie wydrzecie!	162
Nie chcę...	164
Z notatnika	164
Baba	167
Artur Oppman (Or-Ot) * 1867	
Wiara, Nadzieja i Miłość	169
Krzyżyk z Olszynki	171
Powrót wygnańca	173
Chrystus cudowny	174
Stanisław Wyspiański * 1869 † 1907.	
Pogrzeb Kazimierza Wielkiego (Urywek)	175
Lucyan Rydel * 1870 † 1918.	
Przed krucyfiksem (Modlitwa królowej Jadwigi)	179
Leon Rygier * 1875	
Kmotr królewski	180
Ignacy Danielewski	
Szewczyk na wystudze	182
Paula Wężyk *	
O, nie odchodź...	184
Ignacy Batiński * 1862	
Z dobrych rad	186
Felicja Szamowska *	
W obce ja nie pójde kraje	186
Ferdynand Kuraś * 1871	
Hartuj wolę!	187
* *	
Przykry sen	189



Spis rzeczy części II.

	Strona
Jan Kochanowski * 1530 † 1584.	
Dzień święty	1
Ignacy Krasicki * 1735 † 1801.	
Szczep winny	2
Czapla, ryby i rak	2
Julian Ursyn Niemcewicz * 1758 † 1841.	
Leszek Biały	3
Franciszek Morawski * 1785 † 1861.	
Święty Izidor	6
Wybór żony	9
Wyżeł i pszczoły	10
Adam Mickiewicz * 1798 † 1855.	
Oda do młodości	12
Trybunał tajemny (z »Konrada Wallenroda«)	14
Powieść o Domejce i Dowejce (z »Pana Tadeusza«)	17
Alpuhara	20
Śmierć pułkownika	22
Antoni Malczewski * 1793 † 1826.	
Bitwa z Tatarami (z »Maryi«)	24
Maurycy Gosławski * 1805 † 1839.	
Napad tatarski (Podole)	27
Bohdan Zaleski * 1802 † 1886	
Lubor	31
Ladaco	34
Seweryn Goszczyński * 1803 † 1876	
Wyjście z Ojczyzny	37
Zygmunt Krasiński * 1811 † 1859.	
Z Glossy św. Teresy	37
Juliusz Słowacki * 1809 † 1849.	
Ojciec zadżumionych (Wstęp)	41
Testament	43
Stefan Garczyński * 1805 † 1833.	
Grobowiec na granicach Syberyi	45
Stefan Witwicki * 1801 † 1847.	
Prostak wiejski	48
Antoni Górecki * 1787 † 1861.	
Somo-Sierra	49

Antoni Edw. Odyniec * 1804 † 1885	Strona
Branka Litwina	51
Miłość i praca	54
Konstanty Gaszyński * 1809 † 1866.	
Męczennik	55
Wincenty Pol * 1807 † 1872.	
Litwa (Z »Pieśni o ziemi naszej«)	56
W polskim domu (Z »Pieśni o ziemi naszej«)	58
Dziadek	62
O Kilińskim	63
Ks. Ign. Hołowiński * 1807 † 1855.	
Garnek popiołu	65
Lucyan Siemieński * 1809 † 1877.	
Westchnienie za Polskę	65
Beduin i wąż	67
Gustaw Zieliński * 1809 † 1881.	
Powrót wiosny	69
Stanisław Koźmian * 1811 † 1885	
Stół marmurowy	70
Jan Nep. Jaśkowski * 1807 † 1882	
Policzek	72
Józef Ign. Kraszewski * 1812 † 1887	
Wiosna zwodnica	75
Edmund Wasilewski * 1814 † 1846.	
Hymn orłów	77
Ryszard Berwiński * 1819 † 1879.	
Wiarę ojców czcić należy	78
Karol Brzozowski * 1821 † 1904	
Na przesilenie wiosenne	79
Kornel Ujejski * 1823 † 1897.	
Słup soli	80
Za służbą	82
Do pieśni	84
Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz)	
* 1823 † 1862 Hetman polny	86
Pocztylion	87
Wlaził kotek na płótek	90
Teofil Lenartowicz * 1822 † 1893	
Wyroki	91
O Baśce, co jej krowę zajęli	93
Felicyan Faleński * 1825 † 1910	
Duma o Samuelu Koreckim	95
Mieczysław Romanowski * 1834 † 1863	
Prośba	99
Zgon konfederata	99
Pielgrzym	101
Józef Szujski * 1835 † 1883	
Święta Kinga	102

Adam Asnyk * 1838 † 1897	
Pan Jezus chodzi po świecie	106
Wątpliwości	108
Marya Konopnicka * 1842 † 1910	
Błogosławieństwo	109
Modlitwa wiosenna	109
Kiedy Pan Jezus chodził po ziemi	110
Mojżesz (Urywek)	112
Hold królowej Jadwidze	112
Ojczyzna	114
Ave Patria!	114
Po bitwie (List z 1794 roku)	117
Dziadus	120
U proga	122
A jak poszedł	125
Ziemio ty nasza! (Pan Balcer w Brazylii)	126
Władysław Bełza * 1847	
Legenda o garści ziemi polskiej	130
Disce puer	131
Sztandar	132
Mikołaj Rodoń Biernacki * 1836 † 1901.	
Ciężkie czasy	133
Idylla małeńka taka	136
Franciszek Waligórski	
Samarytanka	136
Michał Bałucki * 1837 † 1909.	
Z pamiętnika więźnia (Urywek)	137
Kazimierz Gliński * 1850	
Stary rybak	139
Gęsiarz (Urywek)	141
Wiktor Gomulicki * 1851.	
Nasze	142
Stanisław Grudziński * 1852 † 1885.	
Wierzę	144
Jan Kasprowiez * 1860	
Sierotka	146
Józef Kościelski * 1845 † 1911.	
Pieśń na dzisiaj	149
Maryan Gawalewicz * 1852 † 1910.	
Po śmierci	150
Bolesław Czerwieński * 1852 † 1888.	
Kto silniejszy?	151
Kazimierz Laskowski (El) * 1861 † 1913.	
Kocham cię, Ziemio!	152
Z »Saksów«	153
Święta	156

Artur Oppman (Or-Ot) * 1867	
List z Sybiru	157
Pożegnanie	161
Kościółek wiejski	162
Śpiewak-zwycięzca	163
Szevc Onufer	164
Stanisław Wyspiański * 1869 † 1907.	
Zgon Barbary Radziwiłłówny (Urywek)	168
Ludwik Orpiszewski *	
Ballada z ostatnich czasów	171
Kazimierz Przerwa Tetmajer * 1863	
Anioł Pański	173
Lucyan Rydel * 1870 † 1918.	
Chryste, o Chryste!	176
Antyfona	177
Leon Rygier * 1875	
Kochajcie waszą pieśń! (W skróceniu)	179
Antoni Lange * 1863	
Burza	181
Jerzy Żuławski * 1874 † 1915	
Prorok miłości	184
Za chlebem	185
Antoni Pilecki	
Spowiedź starca	186
Karol Hoffmann	
Pożegnanie	187
Powitanie	188
Franciszek Konarski	
Trzy Budryski	189
Józef Jankowski	
Pobudka	191
Adam Dobrowolski	
Hetman Żółkiewski	193
Wacław Wolski *	
Betleem w Polsce	194
Władysław Karoli * 1868 † 1913	
Modlitwa Jagiełły	195
Zofia Zacharkiewiczówna	
W zimowy wieczór	197
Zuzanna Morawska	
Mowa ojczysta	198
Zofia Fertner-Korczyńska	
A kiedy...	198



Spis rzeczy części III.

	Strona.
Julian Ursyn Niemcewicz. * 1758 † 1841.	
Pogrzeb Józefa Poniatowskiego	1
Franciszek Morawski. * 1785 † 1861.	
Pozwól się spodziewać	3
Giermek	5
Osiek i Jacek	10
Gęsi	11
Osiek szlachcicem	12
Adam Mickiewicz. * 1798 † 1855.	
Śmierć Konrada Wallenroda (Z »Konrada Wallenroda«)	13
Koncert nad koncertami (Z »Pana Tadeusza«)	15
Nocleg	20
Powrót taty	22
Golono, strzyżono	25
Antoni Młaczewski. * 1793 † 1826.	
Śmierć miecznika (Z »Maryi«)	28
Bohdan Zaleski. * 1802 † 1836.	
Pielgrzym	30
Zygmunt Krasiński * 1811 † 1859.	
Bądź mi Aniołem	31
Juliusz Słowacki. * 1809 † 1849.	
Śmierć ostatniego dziecka i matki (Z »Ojca zadźmio- nych«)	32
Stefan Witwicki. * 1800 † 1845.	
Rozmowa Michała	36
Antoni Górecki. * 1787 † 1861.	
Żebrak	40
Antoni Edward Odyniec. * 1804 † 1885.	
Legia Tebańska	42
Piorun	44
A. E. Odyniec i J. Słowacki.	
Niewiadomo co	47
Konstanty Gaszyński. * 1808 † 1866.	
Śmierć Jenerała Sowińskiego	48

Wincenty Pol. * 1807 † 1872.	
Obraz cudowny	50
Polska (Z »Pieśni o ziemi naszej«)	52
Pożegnanie	54
Przypowieści pana Wełdysza	56
Do młodości	57
Dobre rady.	58
Ks. Ignacy Hołowiński. * 1807 † 1855.	
Krówka Jaremy	59
Ks. Karol Antoniewicz. * 1807 † 1852.	
Święty Jacek	61
Lucyan Siemieński. * 1809 † 1877.	
Opryszek	64
Jan Nep. Jaśkowski. * 1807 † 1882.	
Powitanie	66
Józef Ignacy Kraszewski. * 1812 † 1887.	
Dziad i baba	68
Edmund Wasilewski. * 1814 † 1846.	
Pielgrzymi	71
Antoni Czajkowski. * 1816 † 1873.	
Chrystus z nami.	72
Narcyza Żmichowska. * 1819 † 1876.	
Fantazya (Urywek)	72
Karol Brzozowski. * 1821 † 1904.	
Lirnik litewski	76
Teofil Lenartowicz. * 1822 † 1893.	
Niewidomy przewodnik (Z »Bitwy Racławickiej«)	79
Noc	84
Kornel Ujejski. * 1823 † 1897.	
Maraton	85
Marsz pogrzebowy	89
Młodości moja	92
Toast	93
Adam Gorczyński. * 1805 †	
Chleb	94
Władysław Syrokoma. * 1823 † 1862.	
Śmierć Lutasa (Margier)	96
Niepiśmienny	100
Wacław Szymanowski. * 1821 † 1886.	
Niedołęga	101
Adam Pajgert. * 1829 † 1872.	
Dawni rycerze	103
Ludwik Jabłonowski.	
Dziewczę polskie	104
Mieczysław Romanowski. * 1834 † 1863.	
Przewodnik w puszczy (Urywek).	106
Śmierć Levitoux (Lewitu)	110
Orły, sokoły!	11

	Strona.
Włodzimierz Zagórski. * 1834 † 1903.	
Rozmowa pijaka z księżyce	112
Mikołaj Rodoł Biernacki. * 1836 † 1901.	
A to mi się zdarzyło!	114
Adam Asnyk. * 1838 † 1897.	
Jeniec.	11
Chłopca mego mi zabrali	11
Pobudka	11
Michał Bałucki. * 1837 † 1909.	
Dla chleba	120
Aureli Urbański. * 1844 † 1903.	
Sierotka	121
Aleksander Kraushar. * 1842	
Garść ziemi	122
Marya Konopnicka. * 1842. † 1910.	
Łzy ziemi.	124
W Wielki Piątek	125
A za tego króla Jana	129
W racławickiem polu	130
Bój pod Lipskiem	132
Ku chacie	133
Przed sądem	134
Chłopskie serce	137
Wolny najmita	139
W kościele (Pan Balcer w Brazylii)	141
Do swoich	143
Nasz sztandar	146
Władysław Bełza. * 1847.	
Ojczyzna	147
Narodziny piosenki	148
Chleb przeklęty.	150
Wiązka drzewa	151
Henryk Sienkiewicz. * 1845 † 1916.	
Pieśń litewskich borów	153
Ordon Władysław. * 1847.	
Przy kowadle	154
Franciszek Waligórski.	
Matka Polka	155
Przy łuczywie	156
Kazimierz Gliński. * 1850.	
Attyla	158
Chata ojcowa (w skróceniu)	161
Nie tak! — nie tam!	163
Wiktor Gomulicki. * 1851	
Gdy ziemia w śnie odpoczywa...	164
Jan Kasprowicz. * 1860.	
Błogosławieni	165

	Strona.
Jan Kaspr owicz. * 1860.	
Melodye wiosenne	166
Maryan Gawalewicz. * 1852 † 1910.	
Z głębi duszy	168
Włodzimierz Wysocki.	
Sen szlachcica	170
Mirosław Dobrzański.	
Pochodnie Nerona	172
Kazimierz Łaskowski. (El.) * 1861 † 1913.	
Zagroda polska	175
Suty pogrzeb	176
Hej, żeby tak	178
Artur Oppman (Or-Ot) * 1867.	
Król Łokietek	179
Niewiast polskich serca święta	181
Zwalonym krzyżom — zapadłym mogiłom	183
Odjazd na wojenkę	184
W pochodzie	189
Młodość	191
Andrzej Niemojowski. * 1864.	
Idzie bieda	192
Kazimierz Przerwa Tetmajer. * 1863.	
Do syna	193
Balada o cyganie	193
Lucyan Rydel. * 1870 † 1918.	
Wieczernia Pańska	195
Legenda o królowej Jadwidze	195
Dobroć	197
Aleksander Piniński.	
Do ziemi ojczystej	197
Leon Rygier. * 1875.	
Marcin Kątski	198
Gustaw Daniłowski.	
Szarża	200
Statek	201
Jerzy Żuławski. * 1874 † 1915.	
Husarze	203
W co wierzyć	203
Zdzisław Dębicki. * 1871.	
Na armacie	205
Szczesny Zahajkiewicz. *	
Kazimierz Wielki, król chłopków.	205
Ewan. * 1875.	
W kaplicy M. B. Częstochowskiej	207





MCMXX